

ZESZYT CZWARTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

12.056 $\bar{11}eg2.$

5.71

5.2

ZESZYTY HISTORYCZNE

IV

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom XC



P. 12056 II eqz.

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

Z E S Z Y T C Z W A R T Y

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

Podajemy do wiadomości Czytelników „Zeszytów Historycznych”, że ukazują się one dwa razy do roku: w styczniu i w sierpniu. *Cena pojedynczego egzemplarza wynosi F. 15 (dol. 3,-; 22/-)*. Prenumeratorzy KULTURY korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych” otrzymują dwa „Zeszyty” w cenie jednego.

Prenumeratorzy KULTURY mogą zgłaszać abonament „Zeszytów Historycznych” bezpośrednio w redakcji KULTURY albo u przedstawicieli.

„Nie ma co zresztą dyskutować czy w Związku Radzieckim jest socjalizm czy nie...”

— czyli

O NIEZNANEJ DYSKUSJI GOMUŁKI Z DZIENNIKARZAMI

Publikując po 7 prawie latach sprawozdanie z pierwszej po październiku rozmowy z Władysławem Gomułką, pragnę podkreślić, że artykuł ten nie był bynajmniej „antygomułkowski”.

Wręcz przeciwnie. Jednak dziś, w perspektywie minionych lat jasno widać, że Gomułka nie potępiał naprawdę stalinowskiego kierownictwa partii. Nawet w przyjaznej rozmowie akcentował zasadę bezwarunkowego posłuszeństwa wobec partii, wyrażając jednocześnie swoje dobre chęci jeśli chodzi o swobodę pisania i krytyki. W formie jaskrawej i drastycznej zmienił stanowisko i powiedział to (zresztą tym samym dziennikarzom) w rok później, przy okazji likwidacji „Po Prostu”.

Z tego sprawozdania wynika również, że wielu dziennikarzom w Polsce nie brakowało odwagi wyrażania swoich opinii, krytyk i wątpliwości wobec Gomułki i jego współpracowników.

Dyskusja, którą opisuję jest istotnym przyczynkiem do badań wpływu dziennikarzy na politykę partii, i odwrotnie, w krajach demokracji ludowych. To jest zresztą przedmiotem mojej pracy naukowej.

Artykuł ten, przeznaczony dla miesięcznika „Prasa Polska”, był skontfiskowany w 1956 roku na polecenie Gomułki.

SPOTKANIE PREZYDIUM ZARZĄDU GŁÓWNEGO STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH Z WŁADYSŁAWEM GOMUŁKĄ (10.XII.1956)

Gabinet I Sekretarza KC PZPR. Przy biurku i na stoliku stoją białe i czerwone goździki, na ścianie portret Bieruta, kilka zdjęć i popiersi przywódców międzynarodowego ruchu rewolucyjnego. Na biurku dwa telefony, lampa, brązowy kałamarz i bibu-

larz. Przy miniaturze Róży Luksemburg stoi piękny chiński wazon. Za dużym okrągłym stołem siadają dziennikarze — członkowie Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wybranego 1 grudnia 1956 na Walnym Zjeździe SDP.

Przyszlśmy przedstawić się I Sekretarzowi Partii i wymienić poglądy w tak bardzo nas wszystkich interesujących zasadniczych problemach nie tylko prasy i dziennikarstwa, ale i ogólnej sytuacji politycznej w kraju.

Towarzysz Wiesław z uwagą wysłuchuje wstępnych uwag Stanisława Brodzkiego, Krasickiego, Hajnicza, Osmańczyka, Mon-da, Ziemby i Kętrzyńskiego.

Mówimy o sytuacji w kraju, o niebezpieczeństwach utrudniających działalność nowemu kierownictwu Partii, zarówno ze strony reakcji, a więc z prawa, jak również podkreślamy szkodliwość działalności elementów konserwatywnych w Partii i poza Partią, których wystąpienia przeciwko części czołówki partyjnej i dziennikarskiej obiektywnie zbiegają się z wystąpieniami reakcyjnymi w ogóle przeciw Partii. Wiele mówimy o zadaniach prasy, o stosunku kierownictwa partyjnego do prasy, o potrzebie częstszych pełnych argumentacji rozmów kierownictwa partyjnego z większymi zespołami dziennikarzy.

Wiesław słucha nas, patrzy w oczy mówiącym, od czasu do czasu robi notatki.

Zabierając głos zastrzega, że to nie podsumowanie; dyskusja trwa dalej. Wiesław przyznaje, że prasa torowała drogę dla VIII Plenum, nawet wbrew części starego kierownictwa partyjnego — była to praca bardzo pożyteczna, i z tej racji trzeba oddać *należne uznanie prasie i publicystom*. Jednak wielu dziennikarzy traktuje już uchwały VIII Plenum KC Partii w sposób formalny, deklaratywny. Stąd przemówienie tow. Morawskiego na Walnym Zjeździe nie przez wszystkich dziennikarzy zostało dobrze przyjęte i zrozumiane.

Dwadzieścia osiem minut trwa polemika Wiesława z tezami wyrażonymi przez tow. Zimanda na Walnym Zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy. Zdaniem Wiesława w przemówieniu Zimanda jest skoncentrowane to wszystko, co można określić jako ujemną stronę działalności prasy.

„Tow. Zimand mówił, że mamy kierownictwo Partii omylne i dobrze, że omylne, ale wszystkie momenty sprzeczności i dyskusji między członkami Partii nie powinny być stawiane na wiecach, ale potrzebnym i dopuszczalnym forum dla takich dyskusji są przecież organizacje partyjne. Proces demokratyzacji polega głównie na tym, że można swobodnie dyskutować w organizacjach partyjnych”.

Wzywa aby nie zaliczać po prostu do rządu stalinowców wielu dobrych towarzyszy z aparatu partyjnego, których nie raz popychano i kazano im robić i działali oni, mówi Gomułka, w przekonaniu, że robią słusznie.

Wy nie jesteście winni?

„A wy co — patrzy na nas wszystkich — wy nie jesteście winni? Wszyscy są winni, po społu, głęboko winni. Trzeba to rozumieć, a nie uważać, że należy wszystko zwać na aparat i lepiej pluć na Związek Sowiecki i w ten sposób winę swoją odkupywać. Aparat często nie rozumie — bo takeśmy ich wychowali, prasa ich wychowywała, was czytali, wasze artykuły czytali. A dziś kto ich zastąpi, kto? Rewolucyjne komitety? Nie dziwcie się więc rozgoryczeniu aparatu. Tym wszystkim poglądom niesłusznym Zimanda czy Niewiarowskiego, całkowicie nieodpowiedzialnym i demagogicznym Zjazd niestety się nie przeciwstawił. Słuszne było pytanie Starewicza do Zimanda: Jeżeli Partia tak jest skompromitowana, to w takim razie po co w niej jest? Deklaratywnego stosunku do uchwał VIII Plenum znosić nie będziemy”.

Wiesław krytykuje z kolei wystąpienie Niewiarowskiego jako niecisłe, oparte na nieprawdziwych faktach; w górnictwie np. pracuje najmniejszy procent (6%) pracowników umysłowych a nie 11% jak mówił Niewiarowski. Robotnicy śląscy są najbardziej praworzadni, nie idą na demagogię, usuwają zło, ale drogą jaką myśmy wytknęli.

Czy apel Niewiarowskiego o poruszenie „stojącej wody” służy jego własnym postulatom, aby prawo było prawem i prokurator prokuratorem, a milicjant milicjantem? Czy apel ten da nam wzrost produkcji węgla?

Codziennie przeglądam raporty wydobywania węgla i zamiast tak, jak przed VIII Plenum, kiedy plan był wykonywany nawet w 98%, 95%, 103%, 93% to teraz widzę wciąż cyfry 91, 92, 93. Tu wy musicie pomóc, prasa musi pomóc, aby wszyscy zrozumieli, że na polepszenie sytuacji realnej trzeba lat, środków na to trzeba, najbardziej wartościowych ludzi. Staramy się o pomoc przecież. Ale teraz jest taka sytuacja, że nie możemy nic dać. Do CRZZ przychodzą liczne delegacje domagając się podwyżki płac a my nie możemy im nic dać.

Powracając do głównego kierunku ataku Gomułka stwierdza, że nie jest w tej chwili najważniejszy atak na konserwę w aparacie partyjnym. Nie oni kształtują opinię. Będziemy ich zwalczać,

ale to nie jest główne niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo jest na prawicy¹.

Mówiąc o zamknięciu tygodników *Ziemia i Morze* i *Horyzonty*, Wiesław stwierdza: „Nie ma i nie będzie w Polsce miejsca, aby w prasie prowadzić kampanię zmierzającą do restytucji starych stosunków społecznych”.

W tym miejscu zachnęliśmy się. Stanisław Brodzki i Osmańczyk chcieli coś powiedzieć. Osmańczyk w obronie najlepszych intencji młodzieży redagującej *Horyzonty*

Wiesław następnie kontynuował.

— Siedziałem wczoraj cały dzień nad prasą, widziałem wiele dobrych artykułów tchnących głęboką troską o Partię i nasz program, ale... i tu nie szczędził nam Wiesław również i krytycznych osądów na temat prasy terenowej i młodzieżowej.

Są takie niepopularne stanowiska, które zdepopularyzują najbardziej popularnych ludzi (jak np. Kierownik Kwaterunku w Warszawie). Łatwiej jest, oczywiście, krytykować aniżeli formułować program pozytywny i stawać w obronie nie zawsze przyjemnych dla wszystkich spraw.

Kierownictwo Partii zwraca się do dziennikarzy o poczucie odpowiedzialności wspólnie z kierownictwem Partii za to wszystko co się dzieje. Musicie być poczytni, ale jeżeli ma to być na fali sprzeczej z linią Partii, to nie możecie iść na tanią poczytność.

Doświadczenia atomowe w ZSSR

I jedna dygresja w rozważaniach Wiesława: „Nie ma co zresztą dyskutować nad tym czy w Związku Radzieckim jest socjalizm czy nie... Widziałem w Moskwie dwa filmy, przedstawiające wybuch bomby atomowej i wodorowej. Wstać mi się nie chciało po oglądnięciu tych filmów. Wiecie, jeszcze w średnicy 150 kilometrów lecą szyby. Niewiele możemy, ale coś możemy zdziałać w walce o pokój.

Znamy romantyzm naszej młodzieży, niech więc starsi będą mniej romantyczni. Nic nam nie jest narzucane, ale równocześnie widzimy ramy budownictwa socjalistycznego i w tych ramach przecież chcemy i zbudujemy najszerze swobody. Brak nam wciąż jeszcze twórczych dyskusji teoretycznych. Gdzie są te artykuły o polskiej drodze do socjalizmu? Możemy teraz już pisać i co? Przecież w Związku Radzieckim też coś się zmieniło. To nie to samo co za Stalina, nie zamyka się przecież tak jak za czasów

1. Dla Gomułki prawica to reakcja i kapitaliści; dla jego rozmówców prawica to właśnie stalinowcy.

Stalina. Jestem też głęboko przekonany, że stopa życiowa w Związku Radzieckim byłaby znacznie wyższa, gdyby nie zbrojenia. XX Zjazd otworzył nam drogę. Czy możemy więc pluć na tych, którzy nam otworzyli te możliwości? Trzeba czuć wielką odpowiedzialność wspólną za to co się przecież dokonało przy waszym współudziale” — uśmiecha się Wiesław.

Zgodni byliśmy słuchając wywodów Wiesława o problemach ekonomicznych i w ogóle jego uwag o sytuacji gospodarczej, że nie tylko samymi popularnymi sprawami prasa może żyć. Problemy produkcji, usprawniania administracji, redukcji pracowników umysłowych i w ogóle zagadnienia zatrudnienia stanowią twarde orzechy do zgryzienia.

Wracając do naszych spraw prasowych Wiesław: „zgodził się z tym, że prasa powinna być stale, na bieżąco, informowana o tym co się w kraju dzieje, aby mogła kształtować opinię publiczną”.

Nawiązując do wystąpienia Monda, Wiesław szczególnie zgodził się z tym, że potrzebne są bezpośrednie szerokie kontakty przedstawicieli prasy z kierownictwem Partii. Służyć temu będzie powołanie Komisji Prasowej przy Sekretariacie KC, jak również Komisji Prasowych przy Komitetach Wojewódzkich Partii.

Nie można się zgodzić, aby gazety uważały, że nie są organami Komitetów Wojewódzkich, a tylko pismami PZPR — przeczy to wszelkim zasadom partyjnym. Wobec członków Partii, którzy się nie podporządkują będą stosowane sankcje. Nieco inny stosunek mamy do innych organów prasowych.

Na odcinku katolickim jest sprawa wymagająca rewizji: *Koncern Piaseckiego jest niezdrowym zjawiskiem*; trzeba będzie to rozwiązać. Postawimy to na międzypartyjną Komisję Porozumiewawczą. Najbliższe posiedzenie Biura Politycznego poświęcone będzie omówieniu problemów prasy.

Zbliża się godzina druga. Wiesław zaprasza nas na kawę. Zanim podadzą jednak, zabiera głos Stanisław Brodzki.

Nie chcemy już nigdy więcej pisać na ślepo

Przemówienie Brodzkiego sumuje nasze głosy i rozwija elementy polemiczne rozmowy. M.in. Brodzki przyznaje, że dziennikarze ponoszą współodpowiedzialność za wypaczenia i błędy minionego okresu. Ale dlatego właśnie nie chcemy już nigdy więcej pisać na ślepo. Chcemy wiedzieć, znać pełną argumentację, z sercem i przekonaniem wykonywać swój zawód.

Uważamy, że działalność Konserwy w swoim obiektywnym

wyniku zagraża Partii i realizacji programu VIII Plenum KC, podobnie jak reakcja z drugiej strony prowadzi do tego samego.

Trudno również zgodzić się z oceną prasy na podstawie nielicznych specjalnie dobranych artykułów dających wyraźnie skrzywiony obraz rzeczywistości.

Polska — ZSSR i Niemcy

Przy herbacie w sąsiednim hallu trwała w dalszym ciągu już mniej oficjalna wymiana myśli. Najciekawsze z nich, szczególnie godne uwagi, to opinia Wiesława, który powiedział tow. Starewiczowi: „Trzeba im dać rzeczywiście więcej informacji, dajcie im Biuletyn Wichy”².

Na uwagi Bańkowskiego o kłopotach dziennikarzy próbujących poruszać zagadnienia ekonomiczne bez porozumiewania się z kierownikami resortów (którzy często, gdy się ich pyta o opinie co do opublikowania jakiejś ważniejszej sprawy, odpowiadają: nie) Wiesław wyraził pogląd: „Można pisać o sprawach gospodarczych bez porozumiewania się z kierownictwem”.

Wiesław widzi wrażenie jakie wywołały jego argumenty na wielu rozmówcach. Pijąc herbatę dyskutujemy dalej w kilku grupkach. I tu nagle, gdy wyrażamy wątpliwości co do socjalistycznego charakteru Związku Sowieckiego, Wiesław powiada: „A co myślicie by się stało, gdyby nasi przyjaciele niemieccy zacieśnili więzy przyjaźni z towarzyszami radzieckimi...?”. Nie podjęliśmy już dalszej dyskusji.

Wracamy do gabinetu. Mówi Arski. Broni młodzieży, ich najlepszych intencji, chociaż niedojrzałych umysłów, za co zresztą my też jesteśmy współodpowiedzialni. Oni są ignorantami, ale myśmy ich przecież tak wykształcili. W Polsce jest wielu wybitnych publicystów, ale brak nam publicystów tłumaczących na codzienny język racje polityczne, jak np.: co oznacza groźba inflacji na jutro, co znaczy przerwanie rurociągów naftowych...

Na przykładzie przekonującej argumentacji politycznej Krzysztofa Wolickiego, który opowiadał młodzieży akademickiej o wydarzeniach na Węgrzech, można dojść do przekonania, że tego typu przemawianie ma wpływ na młodzież. I stąd dobrze byłoby, gdyby redakcje młodzieżowe, tak jak *Po Prostu* i *Sztandar Młodych* wzięły opiekę nad prasą studencką, takimi *Horyzontami* czy *Odnową*.

2. Tajny biuletyn ministra Spraw Wewnętrznych.

My też byliśmy młodzi

Wśród młodzieży — uważa tow. Arski — zawsze są spory, polemiki... My też byliśmy młodzi.

Co nie oznacza — wtrącił Wiesław — aby wszystko to publikować; nie zabramy im przecież spierania się, kłótni i polemik.

Po krótkim wystąpieniu Teofila Głowackiego na temat orientacji w sprawach polityki międzynarodowej wśród niektórych aktywistów partyjnych, zabrał głos Hajnicz, zaczynając od stwierdzenia, że *Sygnaty*³ Głównego Urzędu Kontroli Prasy nie są podstawą do oceny prasy. Poruszał on wiele spraw, m.in. postulując, aby na naradach aktywu czy aparatu partyjnego z kierownictwem partyjnym mogli być dziennikarze. Można było w ten sposób z miejsca wyjaśniać różne zarzuty, spory i nieporozumienia.

Halina Miroszowa była bardzo zdenerwowana, gdy zaczęła mówić. Ale dobrze powiedziała. Że „niebezpieczeństwo zagrażające ze strony konserwy partyjnej przyczynia się do wykruszania zaufania narodu do kierownictwa partyjnego i wstrzymuje błogosławiony proces demokratyzacji”. Ilustracją zaufania do władz terenowych jest fakt, że o ile dawniej przychodziło 1500 listów do „Fali 49”, to teraz w tym samym okresie przychodzi 50 listów, co zdaniem tow. Miroszowej, świadczy o wzroście zaufania słuchaczy do władz miejscowych...

...albo o zmniejszeniu zaufania do „Fali 49” — śmieją się obecni.

Bańkowski analizuje przyczyny zdarzających się wypadków lekkomyślnych uogólnień stosowanych przez niektórych dziennikarzy. Przyczynę tego widzi on w tym, że dotychczas krytykowano bez rezultatów i stąd płynące zaciekle zacierzowanie u wielu dziennikarzy, którzy coraz ostrzej i ostrzej, nie raz z przesadą, piszą, chcąc osiągnąć jakieś rezultaty.

Jak pomóc kierownictwu partii? Troska o więź prasy z czytelnikami zmierza do tego, aby wykorzystać tę więź z gazetą nie dla dziennikarzy i nie dla prasy, ale właśnie dla partii i jej polityki.

W praktyce naszego pisania napotykały nieraz na sprzeczność między tym, jak pisać dla potrzeb międzynarodowej naszej polityki, a jak pisać na wewnątrz. Klasycznym przykładem tego są problemy naszych stosunków do Związku Sowieckiego na tle m.in. wydarzeń węgierskich. Jak trudno z prosowieckimi tonami w prasie; — trudno było już po pierwszej interwencji na Węgrzech, a co dopiero po porwaniu Nagy. Bańkowski słusznie uważa — podobnie jak Hajnicz i my wszyscy — że potrzebne są roz-

3. Tajny Biuletyn Urzędu Kontroli Prasy.

mowy prasy z kierownictwem partyjnym przy udziale sekretarzy KW. Uważamy, że *Wiesław nie zawsze jest dobrze informowany*. My też możemy informować kierownictwo. Bańkowski zgadza się, że są dwa fronty przeciw reakcji i przeciw konserwie, ale na pewno dwa — i ten przeciw konserwie też jest ważny.

Jakoś inaczej nam się już rozmawia w tej piątej godzinie spotkania. Wiesław dalej robi notatki, czasami uśmiecha się, patrzy uważnie na mówiących dziennikarzy. Stół tymczasem obiega alarmująca kartka: „Nie przeciągajmy dyskusji, minęła 15 godzina, Wiesław powinien iść na obiad...”.

Właściwie powiedzieliśmy w zasadzie, to cośmy chcieli powiedzieć. Słuchamy z napiętą uwagą podsumowania, które nie jest podsumowaniem, gdyż Gomułka zastrzeża potrzebę dalszej wymiany poglądów i myśli.

Gomułka nie widzi grozy „natolińskiej”

Wiesław widzi „prawie jednolite stanowisko towarzyszy, sprowadzające się do opinii, że naczelnym niebezpieczeństwem jest konserwa”.

Wiesław nie podziela naszych poglądów w tej sprawie i omawia kilka zagadnień, które uważa za szczególnie interesujące dla prasy. Mówi o pracy i trudnościach, i brakach Rad Narodowych i o tym, że wszystkich naraz zmienić nie można. Jeśli chodzi o Rady Narodowe prasa mogłaby oddać wielką przysługę, gdyby wskazywała im na konkretny program działania w danym terenie, dla rozwiązania takich czy innych problemów. Stosunek społeczeństwa do Rad Narodowych zależy od ich konkretnej działalności. *W wielu wypadkach określone Rady nie mają możliwości realizacji posunięć żądanych przez społeczeństwo, ale mają pełne możliwości pozytywnego działania w wielu innych sprawach.* I tutaj, przy rzeczowej krytyce, nawet i przy rzeczowej krytyce personalnej, należy konkretnie wskazywać, co na danym terenie jest możliwe do zrealizowania. Wówczas stosunek do Rad Narodowych będzie się nieco zmieniać i sami ludzie pozostający pod kontrolą opinii publicznej (a więc Wiesław uważa, że prasa jest rzecznikiem opinii publicznej — (uwaga J.M.) będą inaczej patrzeć.

Jednocześnie zbliżamy się do tego okresu, kiedy trzeba będzie przeprowadzić bardziej generalną zmianę. Bo jakoś wypadło z całej dyskusji to, że realizujemy demokrację wewnątrzpartyjną, że przecież my we wszystkich organizacjach społecznych i politycznych

idziemy naprzód, że stworzyliśmy szerokie możliwości wybierania najlepszych ludzi.

Wracając do zagadnienia „konserwy”: z jednej strony jest to sformułowanie, że prasa wypowiada opinię również i członków partii, że olbrzymia większość członków partii, można powiedzieć, że cała partia, poza nielicznymi jednostkami, jest przeciwna wszelkim tendencjom konserwatywnym i próbom nawrotu do starego. A przecież ta partia będzie decydować. Jeśli my stawiamy sprawę wyborów od najniższych do najwyższych władz partyjnych na zasadach w pełni demokratycznych, to w jaki sposób konserwa może dojść do głosu w partii.

— Mogłaby dojść do głosu tylko za wolą członków partii, a przecież to jest niemożliwe.

— A demagogia? — zapytuje Brodzki.

— Demagogia ma zawsze krótkie nogi — odpowiada Wiewślaw. — W każdym razie demagogia nie może zagrażać w ogóle całej partii.

— Jak to w praktyce wygląda np. na konferencjach wojewódzkich?

— W czasie tych konferencji około 50 sekretarzy KW zostało usuniętych. Stało się tak mimo, że można było przecież stosować szeroka demagogię, mimo że się ludzie bronili. Czy wszyscy zostali słusznie usunięci? Na pewno nie wszyscy. Na pewno działała inna demagogia, przeciwnego kierunku. Myśmy zupełnie świadomie na to poszli, licząc na to, że ludzie, którzy nie są odpowiedni, wcześniej czy później zostaną zmieceni, usunięci z szeregów, usunięci od władzy partyjnej. Trudno mi tutaj widzieć to niebezpieczeństwo, które nie istnieje w rzeczywistości, jak jakieś poważne, realne niebezpieczeństwo, że partia zwróci się na prawo. Nie pozwolą na to same masy członkowskie. A że jest jeszcze i w aparacie państwowym i w aparacie partyjnym wiele tego, co by można nazwać nie konserwą, ale nawykami do starych metod pracy — to tego z dziś na jutro zmienić nie można. Na to potrzeba czasu. Gdyby to było łatwiejsze do zrobienia, my byśmy poszli na szereg może i bardziej śmiałych posunięć, sami byśmy może proponowali zmianę niektórych ludzi, gdyby nam można było wskazać kogo dać lepszego. Pokażcie kto może być lepszy. Atakując jednego trzeba pokazać kto na jego miejscu lepiej wywiąże się z tych obowiązków. Bo ograniczanie się tylko do ataków, jest programem na „nie”. A powinno się szukać sposobów słusznego rozwiązania sprawy, względnie wysuwać projekty zastąpienia niewłaściwych ludzi właściwymi ludźmi.

Przecież my idziemy i to bardzo szeroko na zmianę. My właściwie stale żyjemy w takim okresie zmian. Chyba wszyscy

tutaj jesteśmy całkowicie zgodni z tym, że chcemy żeby na każdym miejscu był właściwy człowiek. Ale tych ludzi trzeba szukać, trzeba ich znaleźć. A jeżeli chodzi o aparat partyjny i o aparat administracyjny, to niestety trzeba powiedzieć, że tych ludzi nam jeszcze brak. Ludzi trzeba wychować i nie można przekreślać wkładu ich pracy. To jest sprawa nieraz trudna do zrozumienia dla was i może dla wielu ludzi bezpartyjnych. Ale nie tak łatwo jest przejść nad tym do porządku dziennego, nie tak łatwo jest przekreślić, czy pogrzebać człowieka, który jest w ruchu robotniczym od wielu dziesiątek lat, który działając zawsze z pobudek ideowych za tę sprawę, słusznie czy niesłusznie rozumianą, nieraz cierpiał i to ciężko cierpiał. Ludzie ci mają za sobą wiele lat więzienia, potracili zdrowie. Mamy setki, tysiące takich ludzi, którzy nie tylko wczoraj, ale i dzisiaj stoją poza kierowniczą pracą. Oni nie są ani w aparacie partyjnym na naczelnych stanowiskach, ani w aparacie administracyjnym dlatego, że nie posiadają odpowiednich kwalifikacji. Trzeba i tych ludzi zrozumieć, a równocześnie powiedzieć im, że nie wszyscy mogą kierować, bo będą zawałać tę pracę i że poprzednio bardzo często zawałali tę pracę.

Ja was rozumiem, wy reagujecie tak jednostronnie, ponieważ z takimi czy innymi atakami na prasę spotykacie się właśnie teraz ze strony tego elementu zwalnianego z pracy, szczególnie ze strony byłych pracowników organów bezpieczeństwa i pracowników aparatu partyjnego, których około 50% redukujemy obecnie. Jest teraz okres przejściowy, który trwać będzie dotąd, póki nie wejdą oni w inną pracę, póki jakoś się ich nie urządzi.

Mówi się często, że ludzie źle pracowali w organach bezpieczeństwa. Pewno, że w tych organach olbrzymia większość ludzi została nieraz wypaczona. Przyszli tam ludzie młodzi — dano im szeroką władzę, lepsze warunki materialne aniżeli gdzie indziej. My tych ludzi dajemy obecnie do fabryk. Niektórzy z nich pracują już tam od kilku lat, a dziś na tych fabrykach znajdzie się jakiś demagog i podnosi sprawę: wyrzucić tych ludzi z pracy. I mamy wiele faktów, że wyrzucają tych ludzi z pracy. A gdzież my ich dajemy? Na jakieś miękkie fotele? Dajemy ich do produkcji, by stanęli przy warsztacie razem z innymi robotnikami. Względnie powiadamy — będziemy ci pomagać żebyś nauczył się zawodu. I tu napotykamy na duży opór. Więc co to jest? Co to jest to niebezpieczeństwo konserwy? Przecież nie ma takich tendencji. Przeciwnie, przeciwko konserwie jest całe społeczeństwo. To nie jest groźne. Groźne jest to, że mogą być rozbujane, rozhuśtywane demagogiczne nastroje, które będą uderzać w podstawy. Na tę stronę mało, czy niedostatecznie zwraca się uwagę albo przemilcza się tę sprawę.

Zniszczyć człowieka, nie dać mu pracy — to są metody stalinowskie. Czy możemy pójść po linii takich stalinowskich metod? Jeśli chcemy wypleniać zło, to czy w stosunku do tych ludzi mamy znówu stosować jakieś niszczące ludzi metody? To nie jest droga. To jest tylko zupełnie niepotrzebne zaostrzenie sytuacji. I to jeszcze takie zaostrzenie, które nie uderza tylko w tych ludzi, a uderza w całą partię.

Wy powiadacie — procentowo — cenzura zdejmuje tylko niewiele artykułów, a tyle jest przecież dobrych. Ja się z tym całkowicie zgadzam. Ale widzicie nieraz jeden artykuł zły, może narobić o wiele więcej szkody, aniżeli 100 dobrych artykułów, bo ten jeden zostanie wzięty, będzie czytany, będzie się go odbijać, powielać, kolportować itd. I ten jeden będzie służyć za podstawę, a nie te 100 dobrych, które są wydrukowane.

Określone posunięcia wywołały określoną reakcję i dalej będą wywoływać określone reakcje. My będziemy wyciągać określone wnioski w stosunku do ludzi, którzy prowadzą inną politykę aniżeli ta, jaka została wytknięta na VIII Plenum.

Ja w tej chwili nie chcę o tych sprawach szczegółowiej mówić, ale rzecz jasna, jest zupełnie nienormalna, niezdrowa taka sytuacja, gdy się kolportuje różne przemówienia, wyciąga całą przeszłość, rozbija, jątrzy. I tu się schodzą te obydwa kierunki w jednym punkcie i ten kierunek wrogi, reakcyjny, który bije we władzę ludową i ten drugi kierunek, który wychodzi z innych może założeń, czy pozycji. Obiektywnie schodzą się one w jednym punkcie. Tylko, że w sumie biorąc, niebezpieczeństwo jednak widzimy z prawej strony, a nie z tej „konserwatywnej” strony.

Kołakowski i studenci...

Problem młodzieży uniwersyteckiej. Wy powiadacie, taka ona jest. My wszyscy jesteśmy tu winni. Ale jeżeli ona jest taka, to nie jest już sprawą wyłącznie samego kierownictwa partyjnego, ażeby przekształcać ją czy wykazywać jej niesłuszne stanowisko. Ja bym powiedział tak: było bardzo wiele niesłusznych artykułów ideologicznych puszczonech w prasie. A gdzie jest w prasie dyskusja z tymi niesłusznymi artykułami? Kto dyskutuje z tymi studentami? Jeśli oni są nieświadomi, to niech nie biorą się do kształtowania umysłów innych ludzi. Przynajmniej takiego poczucia odpowiedzialności można wymagać. Są jednak ludzie bardziej świadomi i mimo to wysuwają różne fałszywe koncepcje. My to przepuszczamy i nie polemizujemy z nimi. Nie można kształtować w ten sposób, że nie będziemy odpowiadać na błędne poglądy. Ja się

zgadzam z tym, że do nich trzeba pójść, z nimi trzeba rozmawiać. Ja się zgadzam z tym, że tam jest bardzo wiele dobrych ludzi, stojących na gruncie ustroju. Ale to jest już szersze zagadnienie całości pracy partyjnej, w której biorą również udział partyjni dziennikarze. Główna sprawa w tym, że nie odpowiadamy, nie polemizujemy z tymi fałszywymi poglądami, a są tu szerokie możliwości, których my nie wykorzystujemy.

Wspominaliście tow. Hajnicz o Kołakowskim... To jest może najbardziej wybijający się ideolog, człowiek zdaje się mający dużo w głowie. Wiele niesłusznych rzeczy u niego można położyć jeszcze na karb wyżywania się za przeszłość. Jeszcze raz skrytykuje, doprowadzi nawet do jakiegoś absurdu, to wszystko. Zdolność, dobry język i łatwość pisania, to jeszcze nie wszystko. Można by wiele rzeczy puścić od strony krytyki przeszłości, ale powiedz jak dzisiaj ma być, jak powinno być, jak należy w naszych konkretnych warunkach kształtować los kraju. Nie tędy droga i nie w ten sposób wybrniemy z trudności. Powiadacie: najgorsze są metody administracyjne. No, ale powstaje pytanie co jest lepsze. Na pewno lepsze będą jednak administracyjne metody aniżeli pozwolenie na szerzenie wręcz wrogiego stanowiska i wręcz wrogich poglądów.

Tu wtrąca Arski: Ale z młodzieżą musimy pomówić.

— Trzeba pomówić, jasne. Zgadzam się całkowicie z tym, żeby dyskutować skonfiskowane artykuły na komisji i zasięgać jej opinii czy zostały one słusznie skonfiskowane.

Szukamy ministra-fachowca...

Zmiana metod pracy aparatu partyjnego i państwowego to wielki problem. My mamy to zagadnienie na warsztacie. Złe było, że aparat partyjny wszystkim kierował. Ale równocześnie, gdy odciążamy dzisiaj aparat partyjny od zajmowania się np. dostawami obowiązkowymi — zresztą i tak nie chce on tego robić — bo kto chce robić rzeczy niepopularne, od razu mamy spadek dostaw obowiązkowych. Wynika to rzecz jasna i z tego, że administracyjny aparat odwykł od funkcji, które normalnie powinien spełniać. Ale czy wy ich tego znowu nauczycie tak od razu? Zasadniczo rzecz powinna się tak kształtować, żeby aparat administracyjny wypełniał wszystkie zadania, które do niego należą, a aparat partyjny był tym ogólnym kierownikiem politycznym, kształtował opinię, wytyczał ogólną linię, ogólne zasady, a w szczególności realizacji żeby nie wnikał. My ograniczamy teraz bardzo obsadę personalną tzw. „nomenklaturę”. Prowadzimy do tego, żeby kierow-

nik sam dobierał sobie najodpowiedniejszych ludzi do pracy. Teraz nie ma już tej drobiazgowej ingerencji w różnych sprawach narzucania ludzi itd. Zmieniamy strukturę organizacji partyjnych, likwidujemy wiele wydziałów, scalamy wydziały, ażeby koncentrować robotę partyjną w nowym łożysku, przerzucając prace administracyjne na administrację. Ale w tym okresie zmian daje to na razie złe wyniki i odbija się po prostu na produkcji, która spada.

Tow. Miroszowa przedstawiła sprawę tak, jakbym ja mówił tylko o partyjnych sprawach a bezpartyjnych odsunął. No, jakże tak można rozumieć, że bezpartyjnych się odsuwa, czy też, że się ich nie docenia. Przecież mówią o tym fakty. Chociażby powołanie bezpartyjnych ministrów. Bierzymy do komisji wielu bezpartyjnych fachowców. Chcemy nadal wprowadzać pewne zmiany biorąc bezpartyjnych. „Szukajcie ministra” — była taka audycja w radio. Szukaliśmy tego ministra-fachowca, chcieliśmy znaleźć dobrego bezpartyjnego fachowca i nie znaleźliśmy. Rozmawialiśmy z różnymi profesorami, różnymi fachowcami, z dziesiątkami ludzi i jak się już taki fachowiec znalazł, mówił — nie chcę przyjąć nominacji. Trzeba patrzeć na to co się robi. Nie na tym przecież polega rzecz, że będziemy dużo mówić o bezpartyjnych, a na praktycznych posunięciach. Mowy nie ma o tym, ażeby partia chciała prowadzić jakąś ciasną politykę, ograniczając się wyłącznie do swoich członków. Partia jest kierownikiem, decydującym trzonem, tą częścią narodu, która ma kierować całością. Ale przecież nie może niczego zrobić sama. Musi opierać się na masach bezpartyjnych. I najlepsi mają otwartą drogę do różnych kierowniczych stanowisk.

Jeszcze rola radia. Jest ona podobna do roli prasy. Przecież radio to jest też masowy agitator. To jest nie tylko agitator, ale równocześnie czynnik, który kształtuje opinię i prowadzi propagandę. Czy ze wszystkiego można być zadowolonym co się tam ostatnimi czasy działo? Nie, stanowczo nie.

Głosowanie w ONZ i pożyczka amerykańska

Nawiązując do naświetlenia w programie radiowym wydarzeń międzynarodowych, Gomułka mówi: „Powiedźcie co byśmy zrobili w sytuacji dzisiejszej, gdybyśmy nie dostali pomocy ze Związku Radzieckiego, nie dostali na kredyt zboża, czy w ogóle nie dostali kredytu?... Przecież trzeba sobie z tego zdać sprawę: musielibyśmy zamykać fabryki”.

„Była mowa — kontynuuje pierwszy sekretarz PZPR — o wnioskach pewnego zespołu dziennikarzy, którzy proponował zdjęcie ze stanowiska ministra Rapackiego za to, że Polska głosowała w ONZ w sprawie węgierskiej tak jak ZSRR. Jugosławia wstrzymała się wtedy od głosowania”.

„Ale wiecie — powiada Gomułka — Jugosławia otrzymywała wielkie kredyty amerykańskie i oni rozumieli, że trzeba ludziom dać jeść. I stąd to głosowanie. A my? Zarząd Główny ZMP myślał, że Stany Zjednoczone nam wszystko dadzą... A my chcemy, chcemy na normalnych warunkach, dajcie: a oni się zastanawiają”.

Każde państwo prowadzi określoną politykę. Trzeba powiedzieć jeszcze na plus Związku Radzieckiego, że mimo prowokacyjnych posunięć, audycji i artykułów — towarzyszy radzieckich cechuje spokój, cierpliwość, idą nam jak najbardziej na rękę, mimo, że znają te wszystkie nastroje u nas. Nie było z ich strony prób nacisku, nie robią trudności — przeciwnie, ułatwiają.

Nie zadowolimy całego społeczeństwa

Jaka jest u nas sytuacja w kraju? Pytam was o to jako dziennikarzy. Podnosi głowę nasza reakcja. Chciałaby chwycić nas za gardło. Nie ulega wątpliwości. Trzeba to widzieć. Trzeba widzieć i sytuację międzynarodową i naszą sytuację gospodarczą i tę pozycję polityczną. Trzeba się z tym liczyć. Nie wszystkie ideały mogą być realizowane, bo ideały są ideałami, a życie jest twarde, nie raz chamskie, grube, mocniejsze jak wszystko inne. I nie potrafimy rozwiązać problemów tylko samymi ideałami.

Taka jest sytuacja. Ja całkowicie rozumiem, że trudna jest rola prasy. Trudna jest rola kierownictwa i rola prasy. Ale przecież musimy przede wszystkim brać rzeczywistość taką, jaka ona jest. Ja przecież absolutnie nie jestem za tym i nie stawiam tak sprawy, ażeby prasa znowu zaczęła pisać jakimś drętwym językiem i żeby wrócić do dawnego, żeby w ogóle przeciąć krytykę. Nie — to samo dotyczy i radia. Tylko chciałbym — nie tylko chciałbym, ale wymaga tego sytuacja — żeby wszystko było robione z poczuciem odpowiedzialności, z umiarem, żeby było oparte na faktach. Bez emocji, bez niepotrzebnych epitetów, które ludzi mogą tylko podniecać. Czy wszystkich zadowolimy? Nie zadowolimy całego społeczeństwa. Ale jeśli chodzi o to nie należy zapominać o jednym, że opinię społeczeństwa również urabia prasa i jeśli potrafi ją skierować w sposób odpowiedni na określone zagadnienia — to będzie więź. Czy my chcemy, żeby pisać

jakieś tam chwalby nieuzasadnione, żeby słowo rozmijało się z czynem? Nie chcemy. Dalecy od tego jesteśmy. Tak to jest jednak, że o niektórych sprawach nie będziemy mówić wszystkiego np. o sprawie węgierskiej. Chcemy, by była ona odpowiednio stonowana, z odpowiednimi tytułami, odpowiednimi czcionkami i na odpowiednim miejscu umieszczona. To nasza potrzeba polityczna i nie tylko nasza państwowa potrzeba polityczna. Przecież to wszystko, co ma miejsce w tej chwili na Węgrzech, ani Węgier nie wzmacnia, ani socjalizmu nie wzmacnia, ani nas nie wzmacnia, ani pokoju nie wzmacnia. Długo to trwać nie będzie. Skutki tylko mogą trwać wiecznie — ostatecznie doprowadzi się do wielkiegoubożenia narodu i do wielkiej biedy. Nie pchajmy do tego, trzeba sobie w pełni zdawać sprawę z tego, że u nas byłoby wtedy o wiele gorzej. Sytuacja jest trudna i tym bardziej będzie jeszcze trudna że rok przyszedł 1957 zapowiada duże trudności gospodarcze. Przede wszystkim nie będziemy mogli pójść na żadną szerszą poprawę. W takiej sytuacji jest łatwo działać różnym demagogom. Dlatego apel do was — przede wszystkim poczucie odpowiedzialności. Mieć przed oczyma obraz całości, a nie wycinkowy obraz nastrojów opinii publicznej, czuć odpowiedzialność za to, co się w kraju dzieje. A wówczas gdy będzie odpowiedzialność to mam wrażenie, że nie będzie powodu również do ingerencji cenzury.

Zdaje się, że nic nie pomogła alarmująca kartka — godz. 15.50 — wchodzi sekretarz prasowy Wiesława, znany nam dobrze Namiotkiewicz⁴ do niedawna młody dziennikarz w „Po Prostu”. Z krótkiej rozmowy i małej kartki jasno wynika: czekają nowi interesanci.

Jerzy MOND

4. Współautor artykułów pt. „Błoto i Dolary” (krytyka handlu zagranicznego), które wywołały z końcem 1956 ogromne wrażenie w kraju.

13.22

RELACJE I WSPOMNIENIA
(OKRES NIEPODLEGŁOŚCI)

s. 24

SEJM WILEŃSKI W 1922 ROKU

a) *Postępowanie wyborcze*

„Zbuntowany”¹ gen. L. Żeligowski wydał, po zajęciu Wilna w dniu 9.X.1920 r., odezwę do ludności Litwy Środkowej zawierającą obietnicę uregulowania przyszłych losów Ziemi Wileńskiej, a której odnośny ustęp brzmiał: „...według swej woli, według istotnych potrzeb ludności określimy los naszej ziemi, postanowimy sami, jaki będzie nasz stosunek do Polski i Litwy Kowieńskiej...”. W dalszej treści odezwy mówi gen. L. Żeligowski: „...za zadanie sobie stawiamy zwołanie przedstawicieli Kraju w Wilnie, którzy w imieniu całej ludności objawią swoją niczym nieskrępowaną wolę i o przyszłych naszych losach postanowią...”².

W realizacji tej myśli wychodzi w dniu 28.XI. tegoż roku rozkaz Naczelnego Dowódcy Wojsk Litwy Środkowej, w którym zarządza on postępowanie wyborcze w kraju. Do wyborów jednak nie dochodzi, a to na skutek prób rozwiązania konfliktu na drodze porozumienia z rządem kowieńskim. Stało się to na sugestię rządu polskiego, który był za rozstrzygnięciem problemu przez Ligę Narodów, zastrzegając sobie jednak możliwość dania ludności Wileńszczyzny wypowiedzenia swej woli —

1. Na skutek istniejących układów międzynarodowych nie mogły wojska polskie zająć Wilna. Na rozkaz J. Piłsudskiego gen. L. Żeligowski „wypowiedział” służbę Rzeczypospolitej Polskiej i ze swoją I. Lit. Biał. Dywizją zajął w dniu 9.X.1920 r. Wilno wraz ze spornym terenem.

Patrz: Niepodległość T. VII. Instytut J. Piłsudskiego w Londynie rok 1963, tegoż autora: Historia 2. lit. biał. dyw. w świetle listów J. Piłsudskiego.

2. „Wybory do Sejmu w Wilnie 8 stycznia 1922 r. Wydawnictwo Generalnego Komisarza Wyborczego. Wilno 1922. Zakłady Graficzne D.O.K.III.

gdymby rozstrzygnięcie Ligi Narodów nie poszło po linii sprawiedliwości.

Niestety, zarówno Liga Narodów jak i Rada Ambasadorów, nie załatwiły sporu, a to z powodu sprzeciwów zarówno rządu polskiego jak i litewskiego, którym żadne z proponowanych rozwiązań okazało się nie do przyjęcia. Belgijski minister spraw zagranicznych P. Hymans, jako główny mediator sprawy wileńskiej oświadczył, że uważa swe pośrednictwo za ukończone i że w tej sprawie nic więcej zrobić nie można.

Rok 1921 dobiega końca, a sprawa Wilna jest w tym samym martwym punkcie w jakim znajdowała się przed rokiem.

W tej sytuacji, poleca gen. L. Żeligowski Prezesowi Tymczasowej Komisji Rządzącej, A. Meysztowiczowi, opracowanie nowej ordynacji wyborczej, ustala dzień wyborów na 8 stycznia 1922 r., przekazuje mu władzę na zajęty przez jego wojska terenie, a sam ustępuje i opuszcza teren Litwy Środkowej³.

Prezes T.K.R. dekretem nr 421 z dnia 1.XII.21 r. ogłasza nową ordynację wyborczą i wdraża postępowanie wyborcze.



Ordynacja wyborcza do Sejmu Litwy Środkowej realizowała wszystkie postulaty demokratyczne, a więc:

— pięcioprzymiotnikowość wyborów,
— oparcie władz wyborczych na niezależnych czynnikach sądowych⁴ wykluczało wpływ administracji na przebieg wyborów,

— wszystkie zażalenia na władze wyborcze miały być rozpatrywane i ostatecznie rozstrzygane na publicznym posiedzeniu Wileńskiej Izby Kasacyjnej, jako najwyższej instancji sądowej na Wileńszczyźnie⁵,

— uchylono wszystkie dekryty ograniczające zebrania publiczne oraz przywrócono swobodę wypowiedzania się w prasie i na zebraniach,

— wykluczono organa policyjne z akcji wyborczej, powołując do życia straż wyborczą, pełniącą swe funkcje honorowo,

— przesunięto wiek wyborczy z 18 lat na 21 skończonych, gdyż dawał on pewniejszą gwarancję uświadomienia politycznego,

— nadano prawo wyborcze jedynie tym urzędnikom państwowym, którzy pracowali w instytucjach rządowych na tere-

3. Dekret nr 417.

4. Art. 13 Ordyn. Wybor. mianował sędziów przewodniczącymi Okręgowych Komisji Wyborczych.

5. Op. c. str. 24- art. 81 Ordynacji.

nie Wileńszczyzny przed wkroczeniem wojsk gen. L. Żeligowskiego, a to by wyeliminować nawet pozory udziału w wyborach elementu napływowego⁶,

— wykluczono z głosowania wszystkich wojskowych służby czynnej, znajdujących się na terenie wyborczym⁷,

— zmniejszono liczbę mieszkańców na jeden mandat poselski z 10 tys. na 7 tys., a to, by dać możliwość przeprowadzenia własnych kandydatów przez mniejszości narodowe tam, gdzie stanowiły one poważny odsetek ludności,

— ułatwiono formalności w zgłaszaniu kandydatów, ustalając, że deklaracja zgłoszeniowa ma być podpisana jedynie przez 50 wyborców, jak również dopuszczono podpisywanie deklaracji zgłoszeniowej krzyżykami z tym, że pełnomocnik listy stwierdzał autentyczność krzyżyków,

— przyznano prawa wyborcze urodzonym na Wileńszczyźnie, ale chwilowo tam nie zamieszkałym.



Teren podlegający wyborom w rozumieniu Dekretu nr 421 z dnia 1.XII.21 r. o ordynacji wyborczej obejmował obszar ograniczony od wschodu linią traktatu litewsko-bolszewickiego z dn. 12.VII.1920 r., od zachodu linią demarkacyjną pomiędzy wojskami polskimi a litewskimi z lat 1919-20. Rząd polski pragnął załatwić sprawę terenów, które nie podlegały administracji Litwy Środkowej lecz wchodziły w skład Rzeczypospolitej Polskiej, a które mogły stać się zarzewiem sporu na przyszłość. Chodziło mianowicie o powiaty Lidzki i Brasławski o łącznej liczbie 233.535 mieszkańców; pomimo oporów w łonie Sejmu Warszawskiego zostały one uchwałą sejmową z dnia 16.XI.21 r.⁸ objęte wyborami.

Należy nadmienić, że wskutek nieudanej w listopadzie 1920 r. ofensywy gen. L. Żeligowskiego, któremu nie udało się osiągnąć linii zajmowanej przez wojska polskie w latach 19/20, zachodnia część terytorium wyborczego znajdowała się częściowo w rękach litewskich, częściowo zaś leżała w tzw. „pasie neutralnym” wskutek czego objęcie tego terenu wyborami miało charakter symboliczny.

Określone w ten sposób terytorium wyborcze liczyło, bez części zajętej przez Litwinów lub też leżącej poza liniami polskich placówek 20.211 km kw. z 735.089 mieszkańcami, z

6. Op. c. art. 1 pkt. 7 Ordynacji Wyborczej

7. Op. c. art. 3 Ordynacji Wyborczej.

8. *Monitor Polski* z dnia 17.XI.21 nr. 262.

czego uprawnionych do głosowania i wniesionych na listy wyborcze zgodnie z ordynacją było 387.397 tj. okrągle 53%.

Jeżeli chodzi o strukturę narodowościową obszaru wyborczego to przedstawiała się ona jak poniżej⁹;

Polacy stanowili	68,4 %
Żydzi	11,5 %
Białorusini	8,8 %
Litwini	7,2 %
Inni	2,8 %
Tutejsi	1,3 %

Większość polska, stanowiąca w przekroju 68,4% nie była rozłożona równomiernie. Niektóre okręgi, jak np. Wilno-Północ i Wilno-Południe miały odpowiednio 93,8% i 94,2% podczas gdy w samym mieście odsetek Polaków spadał do 56,1%, a w gminie Stare Święciany stanowił zaledwie 38,5%.

Żydzi z zasady unikali obszarów wiejskich, stąd w tych okręgach % ludności żydowskiej nie przekroczył nigdy wskaźnika 8,8% (Troki) i nie zszedł poniżej 2,6% (Komaje). Ogólną natomiast przeciętną w okręgach wiejskich można zatem przyjąć na 4,5%. Natomiast w miasteczkach i miastach gwałtownie podskakiwał osiągając np. 57,2% w Oszmianie, 50,7% w Podbrodziu i 36,1% w Wilnie — co dawało średnią przeciętną 36,6%.

Jeżeli chodzi o Białorusinów, to gęstość osiedlenia nie przekraczała w przecięciu kilku procent, z wyjątkiem trzech okręgów: Komaje 23%, Wasiliszki 21,4% i Brasław 20,0%.

Z kolei Litwini byli silnie ugrupowani w okręgach: Święciany 31,5%, Troki 20,3%, Komaje 18,5%; natomiast w najbardziej zapalnym punkcie, jakim było Wilno, to na ogólną w owym czasie liczbę mieszkańców 128.954 było ich zaledwie 2.920, co stanowi 2,3%.

Grupa „Inni” — to są przeważnie Rosjanie, zarówno wyznania prawosławnego jak i staroobrzędowcy. Pojęciem „tutejsi” została objęta ludność miejscowa mówiąca po polsku względnie po białorusku, która w zeznaniach swoich podczas spisu ludności nie chciała być zaliczona do żadnej z grup narodowościowych.

Pod względem wyznaniowym struktura terenu wyglądała¹⁰:

9. Wybory do Sejmu w Wilnie 8 stycznia 1922 r. Wydawnictwo Gen. Kom. Wyb. Wilno 1922, str. 104.

10. Ibidem, str. 102.

Katolicy	77,9 %
Wyznanie mojżeszowe	11,5 %
Prawosławni	8,9 %
Staroobrzędowcy	1,4 %
Mahometanie	0,1 %
Inni (przeważnie ewangelicy)	0,2 %



Teren na którym rozpisano wybory został podzielony na 12 okręgów wyborczych, z których 7 stanowiło istotny obszar Litwy Środkowej, administrowany przez Tymczasową Komisję Rządzącą z 499.554 mieszkańcami. Do tego dochodziły 3 okręgi z terenu Rzeczypospolitej Polskiej z 233.535 mieszkańcami oraz 2 okręgi „martwe” leżące bądź w pasie neutralnym, bądź też będące pod administracją litewską z 110.970 mieszkańcami w tym 59,1% Polaków. W tych dwóch okręgach wybory zostały odłożone do chwili zaistnienia możliwości ich przeprowadzenia, co zresztą nigdy nie nastąpiło.

Do grupy okręgów wyborczych z terenu Litwy Środkowej należały¹¹:

N.II-Święciany	z 27	obwodami	i 34,808	wyborców
N.III-Komaje	z 27	„	i 29,584	„
N.IV-Oszmiana	z 33	„	i 40,595	„
N.V-Troki	z 23	„	i 17,613	„
N.VII-Wilno Płnc.	z 22	„	i 29,483	„
N.VIII-Wilno Płdn.	z 25	„	i 32,106	„
N.IX. Wilno Miasto	z 38	„	i 74,495	„

plus
4853 wyborców przyjezdnych, którym przyznano prawo głosowania. Razem teren L.Śr. miał 195 obwodów z 263.537 wyborcami.

Okręgi z terenu Rzeczypospolitej Polskiej:

Nr IX Lida	z 28	obwodami	i 45,431	wyborców
Nr XI Wasiliszki	z 55	obwodami	i 46,161	wyborców
Nr XII Braśław	z 38	obwodami	i 31,968	wyborców

Pozostałe dwa okręgi N.I. Szyrwinty i N.VI. Wysoki Dwór były, jak to już zostało zaznaczone, okręgi martwe, przewidziane w

¹¹. Wszystkie dane liczbowe są wzięte ze Sprawozdania Gen. Kom. Wyborczego.

ordynacji wyborczej raczej jako symboliczne zadokumentowanie naszych praw ze względu na duży odsetek ludności polskiej.

Zasadą przy określaniu granic poszczególnych okręgów czy też obwodów, było pokrycie się okręgu wyborczego z istniejącymi granicami powiatu, względnie gminy w odniesieniu do obwodu. Jedyny wyjątek stanowi włączenie gminy Janiskiej z pow. Wileńskiego do okręgu, obejmującego powiat Święciański, a to tylko ze względów czysto komunikacyjnych. Czynniki etnograficzne nie były absolutnie brane pod uwagę. Większe powiaty organizowano w dwa okręgi wyborcze, ale czyniono to pod kątem widzenia siatki komunikacyjnej danego obszaru. Okręgi wyborcze dzielono na obwody z tym, by na każdy obwód przypadło nie więcej niż 1500 wyborców, co odpowiadało przeciętnie liczbie 3.000 mieszkańców na terenie jednej gminy o przeciętnej powierzchni 64 km. kw. i odległości od miejsca zamieszkania wyborcy do lokalu wyborczego nie przekraczającej 6 km. W rezultacie całe terytorium wyborcze było podzielone na 51 miejskich i 265 wiejskich obwodów, a ogólną ilość mandatów poselskich określono na 106.



Na czele wyborów stanął, mianowany przez Prezesa T.K.R. Generalny Komisarz Wyborczy Z. Zabierzowski, któremu zostali podporządkowani dwaj Główni Komisarze Wyborczy: jeden na teren Litwy Środkowej, którym był W. Łuczyński, a drugi na powiaty Lidzki i Braślawski, wyznaczony przez Rząd Polski, a którym był ten sam Zabierzowski. Komisarzom Głównym podlegali prezesi odnośnych Komisji Okręgowych, każda w składzie czterech członków oprócz prezesa.

Jak Generalny Komisarz rozumiał swoje zadanie, określa to wywiad, jakiego on udzielił dziennikarzom, w którym mówi¹²:

„Uważam się za stróża prawa, zawartego w ordynacji wyborczej. Za wytyczną swego postępowania przyjąłem bezstronność. Chcę zapewnić krajowi spokój, ład i porządek w czasie akcji wyborczej, stać na straży czystości urny wyborczej, udzielić każdemu wyborcy bez różnicy narodowości, wyznania i przekonań politycznych należytej ochrony jego praw i opieki. Jednocześnie chcę zabezpieczyć całkowitą swobodę agitacji przedwyborczej, wolność prasy i zebrań...”.

Idąc po linii swego oświadczenia i w trosce o bezstronność wyborów wystosował Z. Zabierzowski w dniu 5.XII.1921 r. następujące pismo do Komisarzy Okręgowych¹³:

12. Ibidem, str. 28.

13. Ibidem, str. 28.

....Przy ustalaniu składu personalnego Okręgowych Komisji proszę w porozumieniu z p. przewodniczącym uwzględnić klucz narodowościowy. Pożądanym byłoby, aby w skład Komisji Okręgowych weszli: 1 Żyd, 1 Litwin i 1 Prawosławny. Powyższy skład narodowościowy należałoby również zastosować w Komisjach obwodowych, z tą tylko różnicą, że przedstawiciele mniejszości narodowych weszliby w tych gminach, w których te mniejszości są duże ilościowo...”.

b) *Ustosunkowanie się stronnictw politycznych i mniejszości narodowych do wyborów*

Poszczególne stronnictwa polityczne i grupy narodowościowe można połączyć w dwa odrębne obozy. Jeden z nich grupował te elementy, które chciały wyborów, pomimo że miały krańcowe zapatrywania na rolę przyszłego Sejmu i w konsekwencji dążyły do jak największej frekwencji wyborczej.

Drugi obóz — to obóz bojkotujący wybory. Chodziło im o powstrzymanie ludności od wyborów, toteż wszelkie ich usiłowania szły w tym kierunku.

Do grupy pierwszej należały wszystkie stronnictwa i ugrupowania polskie oraz Białoruski Związek Krajowy. Grupę przeciwną tworzyły organizacje litewskie i część Białorusinów, zorganizowanych w tzw. Narodowy Komitet Białoruski.

Żydzi, o których mowa będzie poniżej zajęli zupełnie odmienne stanowisko.

Jeżeli chodzi o stronnictwa polskie to rywalizowały między sobą: Polski Centralny Komitet Wyborczy, Rady Ludowe, Polskie Stronnictwo Ludowe, Polski Związek Ludowy „Odrodzenie”, Polska Partia Socjalistyczna, Polski Komitet Demokratyczny i Narodowy Bezpartyjny Polski Komitet Wyborczy. Zasadnicza różnica pomiędzy tymi stronnictwami leżała w odmiennym punkcie widzenia na rolę Sejmu. Jedna grupa wyznawała ideę inkorporacji bez żadnych zastrzeżeń, a przez to samo Sejm Wileński miał mieć wyłącznie charakter „orzekający” i z chwilą powzięcia uchwały miało nastąpić rozwiązanie Sejmu oraz wybory do Sejmu w Warszawie. Druga grupa stała również na stanowisku państwowości polskiej, pragnęła jednak zachować pewną odrębność i traktowała Sejm jako ciało ustawodawcze. Inaczej mówiąc grupa ta miała pewne zabarwienie federalistyczne.

Polski Centralny Komitet Wyborczy sprecyzował swe stanowisko w odezwie z dnia 2 grudnia, które brzmiało¹⁴:

14. Ibidem, str. 34.

- „1. Bezwarunkowe wcielenie Ziemi Wileńskiej do Polski,
2. Ograniczenie zadania Zgromadzenia przedstawicieli ludności w Wilnie do tej jedynej sprawy,
3. Przekazanie wszystkich innych spraw Sejmowi Rzeczypospolitej w Warszawie i niezwłoczny wybór posłów do tego Sejmu z Ziemi Wileńskiej...”.

W akcji wyborczej Polski Central. Kom. wykazał bardzo dużą ruchliwość i przedsiębiorczość, zorganizował szereg wieców, wystawił kilka list w różnych okręgach, wydał szereg ulotek i pism, a w rezultacie uzyskał 40 mandatów w tym w samym Wilnie 15 na przyznaną liczbę 18. Nie bez wpływu na wynik miało umieszczenie na pierwszym miejscu kandydatury ks. arcbpa K. Hryniewieckiego.

Rady Ludowe, które wzięły bardzo czynny udział w wyborach, uzyskując 29 mandatów, głosiły w swoim programie¹⁵:

„Za najpierwsze zadania nasze uważamy wcielenie Ziemi Wileńskiej do Rzeczypospolitej Polskiej. W myśl powyższego uważamy, że Sejm Wileński powinien jedynie uchwalić połączenie Ziemi Wileńskiej z Polską i dopilnować, by to połączenie rzeczywiście nastąpiło. Sejm Wileński nie może wydawać żadnych nowych praw, bo to należy tylko do Sejmu Polskiego w Warszawie...

Za jedno z najważniejszych naszych zadań uważamy dopilnowanie przeprowadzenia reformy rolnej...

.....

Jeżeli chodzi natomiast o samo stanowisko i pogląd na zadania Sejmu Wileńskiego to jest pewna różnica w określaniu jego jako Sejmu Orzekającego, od innych stronnictw. Polega ona na tym, że oprócz roli orzekającej, Sejm Wileński miał załatwić szereg bieżących i najbardziej palących bolączek. Znalazło to swój wyraz w nr. 2 pisma „Rada Ludowa”, gdzie piszą:

„Nie zgromadzenie orzekające, ale Sejm Wileński winien się zebrać. Powinien on uchwalić wcielenie do Rzeczypospolitej Polskiej i dopilnować tego wcielenia. Dopóki nie wybierzemy posłów do Warszawy, co oby nastąpiło jak najprędzej, Sejm nasz powinien załatwić nasze bolączki. Ale żadnych nowych ustaw mu wydawać nie wolno...”.

Polskie Stronnictwo Ludowe było autonomiczną grupą PSL w Polsce, a w Wilnie powstało dopiero w dniu 8.IX.21 r. Wystawiło ono szereg własnych list w kilku okręgach i uzyskało 12 mandatów. Stało ono na stanowisku Sejmu Ustawodawczego i chciało połączenia z Polską, nie precyzując bliżej formy połączenia się. Stosunkowo dużą ilość mandatów zawdzięcza to młode

15. Organ stronnictwa „Rada Ludowa”, nr 1 z dnia 4.XII.21 r.

na gruncie wileńskim stronnictwo, rzuconemu w czasie kampanii wyborczej hasłu „Za Polską i za reformą rolną”.

Polski Związek Ludowy „Odrodzenie” był uważany za obóz radykałów i federalistów, chociaż żadnego w tym kierunku programu nie ujawnił. „Odrodzenie” stało na stanowisku łączności z Polską i było zwolennikiem reformy rolnej, wysuwając ten argument na plan pierwszy w walce wyborczej. Pomimo tego atrakcyjnego hasła, zdołało ono przeprowadzić do Sejmu jedynie 7 posłów. Pewnym wytłumaczeniem jest fakt, że wiele głosów włościańskich padło na PSL i Rady Ludowe.

Polska Partia Socjalistyczna stała na stanowisku łączności z Polską i odważnie wysuwała autonomię Ziemi Wileńskiej oraz ustawodawczy charakter Sejmu Wileńskiego. Wystawiła swe listy w dwóch okręgach, gdzie uzyskała 2 mandaty.

Demokraci wyszli z grupy miejscowej radykalnej inteligencji i byli znani na gruncie wileńskim ze swych idei federalistycznych. Stworzyli oni Polski Komitet Wyborczy, który stał na stanowisku łączności z Polską oraz uważał, że Sejm musi mieć charakter ustawodawczy. Program ich zawierał się w oświadczeniu ogłoszonym w prasie¹⁶:

„Wymagamy, aby Sejm stał się obok Rządu Polskiego twórcą naszej przyszłości. Żądamy trwania Sejmu aż do ostatecznego załatwienia zjednoczenia z Polską”.

Nie angażowali się oni w walkach partyjno-wyborczych, a stali na stanowisku biernych obserwatorów, wystawiając jedną listę w Wilnie z której przeszedł Witold Abramowicz.



Pogląd Żydów na wybory był różny w łonie samych organizacji żydowskich, które po długich dyskusjach zarówno między sobą jak i z przedstawicielami polskiego życia politycznego, wydały deklarację stwierdzającą, że uważają za swój obowiązek „przyjąć udział w Sejmie Ustawodawczym” jak również „wziąć udział w plebiscyście wyznaczonym w celu rozstrzygnięcia kwestii przynależności państwowej naszego kraju, o ile by zostały stworzone warunki, zabezpieczające prawidłowość przeprowadzenia takowego” i że decyzja ich (Żydów) zapadnie dopiero po „wydaniu odpowiedniego dekretu, określającego zadania tego Sejmu”¹⁷.

16. Wybory do Sejmu w Wilnie, 8 stycznia 1922 r., str. 30.

17. Ibidem, str. 37.

Deklarację tę podpisały: Partia Syjonistyczna, Partia Demokratyczna, Partia Cejrej-Cjon, Związki Kupców i Rzemieślników Żydów.

Stanowisko zajęte przez Żydów można nazwać „wykrętnym”, gdyż zgodnie z istniejącymi założeniami nie można było z góry określić roli Sejmu. Mógł to zrobić tylko sam Sejm, a więc już po odbytych wyborach — stąd zastrzeżenie, że Żydzi wzięliby udział w wyborach, gdyby zawczasu znali rolę Sejmu jest co najmniej nielogiczne. Więcej światła na stanowisko Żydów rzucają artykuły w prasie żydowskiej, a mianowicie Szapiro, znany działacz na gruncie wileńskim pisze¹⁸:

„...wprawdzie interesy kulturalne i ekonomiczne Żydów idą w kierunku Polski, to jednak nie mogą oni wypowiedzieć się za Polską bez przyrzeczenia im specjalnych praw narodowych, gdyż w przeciwnym razie oznaczałoby, że nie traktujemy sami poważnie naszej walki o autonomię narodowo-kulturalną i dajemy w ten sposób atut w ręce polskiej endecji...”

Przywódca demokratów żydowskich dr Szabad analizuje stanowisko Żydów i w końcowym *résumé* dochodzi do wniosku, że jeżeli Sejm będzie miał na celu tylko decyzję co do losów Wileńszczyzny — to Żydzi udziału w Sejmie nie wezmą. Jeżeli natomiast zajmie się sprawami kulturalnymi i gospodarczymi to „jasne jest, że obywatele Żydzi, choć są w mniejszości, nie mogą się zrzec udziału w wyborach”. Po czym dowodzi dalej, że Polakom „niezmiernie zależy na tym, aby Żydzi przystąpili do wyborów i podnieśli przez to autorytet Sejmu w oczach Europy... Ostateczne zdanie dr. Szabada jest: „szczęście Kraju i Polski byłoby pewniejsze, gdyby utworzono Wielką Litwę w sojuszu z Polską...”¹⁹.

Natomiast Żydzi Kowieńscy mają zupełnie inny, niezmiernie ciekawy punkt widzenia. Charakteryzuje go następujący ustęp²⁰:

„Wilno jest ukochaniem naszym i nadzieją, a zarazem raną. Ranę tę obcy nam sprawili — ci co bawią się w grę dyplomacji, grę krwawą, sprawiającą nam ból i cierpienie. Jest to tysiąc razy bardziej kwestia nasza żydowska, niż międzynarodowa. Wśród starszego pokolenia Wilno uchodziło za Jerozolimę litewską, pełną pamiątek i śladów tajnego rozkwitu światopoglądu realnego i doświadczenia żydowskiego. Wilno jest atoli nie tylko tradycją i muzeum getta. Tutaj narodził się duch rewolucyjny żydowski, tutaj tkwił żydowski duch robotniczy, pielęgnując dumę narodową i poczucie obywatel-

18. *Unzer Tog* z dnia 26.XII.21. r. z art. „Do Polski czy Litwy?”.

19. *Unzer Tog* z dnia 2.XII.21 r.

20. *Dziennik Nais* z dnia 29.IX.21 r. Kowno.

skości. Mogłoby więc Wilno być drogowskazem dla żydostwa litewskiego...

...Czego chcemy? Chcemy... wolelibyśmy, aby Wilno zostało Wilnem, żydowskim Wilnem. Mamy wszelkie podstawy do przypuszczenia, że Żydzi posiadają niemniej praw do Wilna niżeli strony sporne. I może projekt uczynienia z Wilna miasta wolnego jest nie tylko najmądrzejszym, ale najbardziej sprawiedliwym...".



Białorusini tworzyli dwa odłamy o skrajnych dążeniach. Odłám, nazwijmy go pierwszym, nosił nazwę Narodowy Komitet Białoruski i był inspirowany przez tzw. rząd Białoruski Łastowskiego, który rezydował w Kownie, co już mówi samo za siebie. Odłám ten wydał w dniu 10.XII.21 r. deklarację w której m.in. stwierdzał:

— że Białoruś Zachodnia została sztucznie rozdzielona pomiędzy Polskę i Litwę Środkową,

— że Białorusini stanowią bezsporną większość na terenie Litwy Środkowej,

— że władza jest wyłącznie w ręku ludności polskiej i to napływowej i wobec tego sejm nie będzie wyrazicielem woli ludności,

— że przez trzy lata była prowadzona polityka ucisku narodu Białoruskiego i

— że swobodne wypowiedzenie się ludności białoruskiej w tych warunkach jest niemożliwe i wobec tego oni nie wezmą udziału w wyborach.

Druga grupa białoruska, zorganizowana w tzw. Związek Krajowy reprezentowała kierunek polonofilski i utworzyła Centralny Białoruski Komitet Wyborczy. Związek Krajowy odbył w dniach 11 i 12 grudnia zjazd na którym uchwalił bardzo charakterystyczną rezolucję, którą podajemy w całości²¹:

1. że historyczna przeszłość wiąże naród białoruski i Rzeczpospolitą Polską, która to łączność odpowiada w zupełności naszym interesom narodowym,
2. że Rosja, źródło imperializmu i nienawiści narodowościowej musi być wyłączona od wszelkich możliwości wejścia z nią w związek państwowy,
3. że Polska jest wałem ochronnym przeciwko ekspansji wschodu
4. że ryski i bolszewicko-litewski traktaty rozerwały na części żywe ciało Białorusi,
5. że Białoruś powinna być niepodzielną autonomiczną jednostką związaną z Rzeczpospolitą Polską,
6. że traktat ryski przyłączył do Polski znaczną część ziem Białoruskich,

21. Wybory do Sejmu Wileńskiego 8 stycznia 1922 r., str. 43.

7. że naród Białoruski do ostatnich wysiłków powinien prowadzić krwawą i dyplomatyczną walkę o uwolnienie swej ojczyzny od bolszewicko-niemieckiej niewoli,
8. że konstytucja Polski gwarantuje narodowi białoruskiemu pełnię jego praw,

oraz szereg innych punktów i w konkluzji powzięto uchwałę zespolenia Białorusinów z Narodem Polskim, wzięcia udziału w Sejmie Wileńskim, zwalczania rządu Łastowskiego nie mającego nic wspólnego z narodem Białoruskim.

Komitet zgłosił własne listy wyborcze w okręgach Komaje i Oszmiana, jednak nie uzyskał żadnego mandatu. Przez cały czas akcji wyborczej zwalczał on kowieński rząd białoruski, zarzucając mu że pracuje na szkodę Białorusi za niemieckie i rosyjskie pieniądze i nie ma żadnego prawa do reprezentowania interesów ludności białoruskiej.



Litwini, wiedząc z góry że nie odniosą sukcesu, zwalczali od początku ideę Sejmu Wileńskiego i w piśmie swoim do Prezesa Okręgowej Komisji Wyborczej w Wilnie L. Grabowskiego, Tymczasowy Komitet Litewski uzasadnił swoje negatywne stanowisko kończąc:

„...wileńskie społeczeństwo litewskie nie chcąc wykroczyć przeciwko swemu narodowi i ojczyźnie, nie uczestniczy w wyborach do takiego sejm — spełniając zaś jego wolę Tymczasowy Komitet Litewski w Wilnie nie będzie brał udziału w takich wyborach”²².

Następują podpisy Prezesa Komitetu M. Birzyski i sześciu członków.

Jeżeli chodzi o inne narodowości to Rosjanie, Tatarzy, Karaimi i Niemcy stanowili łącznie około 3% ludności terytorium wyborczego i nie byli zorganizowani lecz wzięli czynny udział w głosowaniu. W Braśławskim, gdzie jest dość silne skupienie staroobrzędowców została zgłoszona lista rosyjska, na którą padło 1320 głosów, co przy rozdzielniku wyborczym 2323 nie dało im żadnego mandatu.

Parę słów o organizacjach społecznych, z których zasługują na uwagę: Straż Kresowa, Związek Bezpieczeństwa Kraju i Rada Młodzieży Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego. Organizacje te nie prowadziły żadnej akcji wyborczej w znaczeniu polityczno-partyjnym, podjęły natomiast akcję uświadamiającą o

²². Ibidem, str. 45.

celu wyborów, zachęcając ludność do wzięcia udziału w tym akcie politycznym, oświadczając²³:

„Praca Towarzystwa Straży Kresowej w czasie wyborów zgodnie z uchwałami Zjazdu przedstawicieli w dniu 13 listopada rb. będzie miała jedynie na celu przyczynienie się do zmniejszenia liczby powstrzymujących się od udziału w wyborach...

Akademicy U.S.B. ogłosili w prasie w dniu 4.I. odezwę zatytułowaną „Do wszystkich Akademików” i podpisaną przez siedem organizacji studenckich, w której jest poniższy apel²⁴:

„W poczuciu ważności chwili podpisane organizacje wszechniczy wileńskiej, zwracają się do całej młodzieży akademickiej nie z apelem, ale wprost z nakazem, aby każdy z Was Koleżanki i Koledzy, stanął do pracy. Obowiązkiem waszym jest poświęcić przynajmniej trzy ostatnie decydujące dni na propagandę wyborczą, na uświadomienie szerokich mas wyborczych o zasadach ordynacji, o celu wyborów. Wszyscy na wieś, wszyscy do pracy”.

c) Prasa w okresie wyborów

W owym czasie prasa polska w Wilnie była reprezentowana przez cztery pisma codzienne: *Rzeczpospolita*, *Gazeta Wileńska*, *Słowo Wileńskie* i *Gazeta Krajowa* oraz kilka periodyków z których najważniejszymi były *Głos Wileński*, tygodnik ludowo-narodowy, *Ziemia Wileńska* — organ Straży Kresowej i *Przegląd Wileński* — dwutygodnik literacko-społeczny nielicznej grupy tzw. „krajowców”, będących w opozycji do czynników administracyjnych. *Rzeczpospolita*, organ demokracji narodowej, stała początkowo na stanowisku plebiscytu, a następnie godziła się na Sejm orzekający, była przeciwna włączeniu w obszar głosowania powiatów Lidzkiego i Brzawskiego.

Gazeta Wileńska reprezentowała pogląd rozstrzygnięcia losów Ziemi Wileńskiej łącznie ze wszystkimi zagadnieniami całego sektora wschodniego Rzeczypospolitej Polskiej. Wyczuwała ona trafnie nastroje miejscowej ludności, zmęczonej tymczasowością i niepewnej swego jutra. Stała na stanowisku Sejmu orzekającego i popierała stanowisko Rzeczypospolitej co do spornych powiatów.

Słowo Wileńskie propagowało zwołanie Sejmu o jak najszerszych kompetencjach. Kładło nacisk na wolę ludności i na przeciwstawienie się Wilna Kownu na terenie międzynarodowym. Podkreślało konieczność udziału mniejszości narodowych w wybo-

23. Ibidem, str. 48.

24. Ibidem, str. 49.

rach, twierdząc, że od tego m.in. zależy uznanie wyborów przez ciała międzynarodowe.

Gazeta Krajowa stała na stanowisku zwołania Sejmu stałego, o charakterze ustawodawczym, była za włączeniem spornych powiatów, żądała dla Wileńszczyzny autonomii. Jej zdaniem Sejm Wileński mógł odegrać rolę mediatora w sporze pomiędzy Warszawą a Kownem.

Prasa żydowska miała dwa pisma codzienne: *Unzer Tog* organ Demokratów Żydowskich i *Unzer Frajnd* — organ Syjonistów. Oba pisma różniły się przede wszystkim w tendencjach społeczno-politycznych jak również w poglądach na sprawę Wilna. *Unzer Tog* był zwolennikiem federacji w przeciwieństwie do *Unzer Frajnd*, będącego pod wpływami partii syjonistycznej w Kownie, która miała swego przedstawiciela w rządzie litewskim.

Z chwilą ogłoszenia wyborów prasa żydowska poświęciła wiele miejsca międzynarodowemu znaczeniu Sejmu, starając się przeprowadzić tezę, że jeżeli mniejszości narodowe nie wezmą udziału w głosowaniu, to taki Sejm i jego decyzja mogą być nie uznane na terenie Ligi Narodów. Trzeba przyznać, że oba dzienniki zamieszczały bezstronnie wywiady z czołowymi przedstawicielami polityki polskiej, jak również informowały swych czytelników o negatywnym stanowisku Litwinów i Białorusinów. W końcowej fazie oba dzienniki rozpoczęły kampanię za wstrzymaniem się od wyborów, podkreślając, że nie należy uważać tego za bojkot, a jedynie za akt „lojalnej neutralności”. W imię neutralności nie zamieszczała prasa żydowska żadnych komunikatów Komisarza Wyborczego niemniej jednak zachowała ton rzeczowy, pozbawiony tendencji i nie wzywała do bojkotu.



Prasa litewska była wydawana przeważnie w języku polskim i odznaczała się wrogim stosunkiem do wszystkiego co polskie, a w szczególności do wyborów. W okresie tym wychodziły w języku polskim: dziennik *Głos Litwy* oraz dwa tygodniki *Nowiny Wileńskie* i *Nasza Ziemia*. W języku litewskim wychodziły dwa tygodniki: *Vilniaus Garsas* i *Vilenietis* oraz liczne tygodniówki.

Cała prasa litewska nawoływała do bojkotu wyborów, namawiała do czynnego oporu, zozydzała Polskę, łącząc ją z pojęciem pańszczyzny etc.... Zarówno treść jak i styl nie należy do kulturalnych. Oto kilka próbek publicystyki litewskiej z tego okresu:

„Troki. Nasz naród taki ciemny, że wierzy byle komu. Po wsiach włóczą się jacyś cienkonodzy fircycy. Namawiają żeby z nimi iść do Sejmu. Dziwne skąd się tego tałatajstwa wzięło tyle. Zdaje się jeszcze nie wiosna żeby pluskwy ze szczelin powylażyły”²⁵

„Noworoczne numery prawie wszystkich gazet warszawskich są poświęcone wyłącznie wyborom do Sejmu Wileńskiego. Pełno tam wiary i nadziei, że wybory udadzą się znakomicie, że prawie wszyscy Litwini i Białorusini pójną na wybory. My zaś powiadamy na to: niech się wybory udadzą tak, jak wy, panowie warszawscy sobie tego życzyście, nic to wam nie pomoże. O losach Wileńszczyzny zdecydować nie wasz Sejm, ale wielkie mocarstwa zachodnie: Anglia, Francja, Włochy i Ameryka, a przede wszystkim Rosja. Wszystkie partie i sami bolszewicy piszą w swych gazetach, że stoją po stronie rządu litewskiego, że Sejm Wileński dla Rosjan istnieć nie będzie. Jeżeli za wcześniej nie uciekniecie do Warszawy, to może wam bardzo źle się przytrafić. Wilno będzie oddane Litwie. Więc płonne są Wasze nadzieje, sejmikowicze warszawscy; możecie sami siebie oszukiwać ile wam się żywnie podoba, tylko nie myślcie że inni są tak głupi jak wy, panowie...”²⁶

„A spisy ciągle robią. Ot i teraz spisali bydło i konie. To już dla daniny, której my tu już lękamy się. Mówią, że w Polsce będzie teraz ciężko wyżyć: od dziesięciny mają wziąć do 20.000 marek, a oprócz tego każdy żywiol, nawet kot będzie opodatkowany. Bardzo to podobne do prawdy, każdy rozumie, że inaczej cała ich Polska pęknie...”²⁷

„Kto będzie wybierał do Sejmu Wileńskiego? Ponieważ ani Litwini, ani Białorusini, ani Żydzi nie będą brali udziału w wyborach do Sejmu Wileńskiego, to ten Sejm wybierać będą sami tylko Polacy (i to nie wszyscy) oraz aleksiuki i bolszewicy...”²⁸

Po wyborach prasa litewska przycichła, lecz wkrótce znów rozpoczęła nową kampanię, tym razem przeciwko rzekomym nadużyciom i niewłaściwościom w postępowaniu wyborczym. Kilka wzorów niewybrednego języka:

„Przed wszystkim postarano się ogłupić nasz lud przy pomocy księży. Znalazło się nawet takich panów, którzy umyślnie przybrani w szaty biskupie agitowali na rynkach miasteczkowych, stojąc na wozie chłopskim i zachwalając ludowi stan szlachecki...”²⁹

25. *Głos Litwy*, nr 80 z dnia 28.XII. 21 r.

26. *Nasza Ziemia*, nr 2 z dn. 8.I.22. z art. „Za wcześniej”

27. *Głos Litwy*, nr 83. z dn 31.XII.21 r.

28. *Nasza Ziemia* nr 1.

29. *Nasza Ziemia* z dn. 22.1.22 z art. „Po wyborach”.

.....Z milionowego terytorium ludności brało udział zaledwo 14.000...³⁰.

„Wioska Poszumienie w parafii Kołtyniańskiej. Pomimo starań agentów „Odrodzenia”, włościanie odmówili udziału w wyborach. Polacy pobierają 40 do 50 tysięcy grzywny, albo wyprowadzają ostatnią krowę z zagrody. pomimo to włościanie w Poszumieniach postanowili zupełnie nie uczestniczyć w wyborach...³¹”.

Nie można pominąć jednego tygodnika *Musu Balsas*, który powstał w 1917 r. i stale propagował pogodzenie się zwaśnionych narodów. W czasie wyborów *Musu Balsas* zajął stanowisko pozytywne i nawoływał do udziału w głosowaniu do Sejmu Wileńskiego, wychodząc z założenia, że to przyczyni się do złagodzenia konfliktu.



Prasa białoruska była podzielona na dwa obozy. Jeden o kierunku antypolskim, był reprezentowany przez tygodniki *Bielaruskije Wiedomosci*, *Krynica*, *Bielaruskij Zwon* i szereg jednodniówek. Pisma te z zapaścią nie mniejszą od litewskiej zwalczały wybory. Natomiast Związek Narodowy miał na swoje usługi dziennik *Ranica* oraz tygodniki *Jednaść* i *Radnaja Strana*, które polemizując ze stroną przeciwną nawoływały do wyborów. Oto wzory polemiki:

„Bielarusini! Wiedźcie iż każdy z was, kto poda na wyborach swój głos na spisy aleksiukowskie uczyni niegodny postępek, gdyż dopomoże zdrajcom ludu naszego sprzedawać naszą ojcowiznę. Bielarusini! Niech w dzień wyborów już nie daleki ani jedna ręka nie podniesie się, by podać głos na spisy aleksiukowskie. Wiedźcie, iż żaden prawdziwy Bielarusin, żaden syn prawdziwy ducha białoruskiego nie zgodził się wystawić swej kandydatury do Sejmu i ci co zostali wniesieni do spisów — są to świadomi zdrajcy i odstępcy ludu naszego³²”.

Strona przeciwna:

„Nie wiadomo jeszcze kto z nas odszczepieniec. Czy my przedstawiciele tych partii i organizacji, które nie szczędziły swej krwi i życia w walce za ojczyznę z moskiewskimi najeźdźcami, ci, co walczyli bok o bok z Polakami w czasie moskiewskiego najazdu na Polskę, czy też wy — współpracownicy *Bielaruskiego Zwonu*, *Bielaruskich Wiedomosci* i działacze Narodnego Komitetu, wydawcy bolszewickich proklamacji i paszkwilowych jednodniówek, pracujących

30. *Litwa* z dnia 9.III.22. z art. „Absurdy”.

31. *Vilnietts*, z dnia 19.I.22 r.

32. *Golos Prawdy* z dnia 27.XII,21.

według dyrektyw samozwańczego, narodowi białoruskiemu zupełnie nieznanego „Rządu Łastowskiego”?...

...wy mówicie, że my pracujemy dla swojej osobistej korzyści, my zaś zapytujemy was: skąd bierzecie pieniądze na wydawanie proklamacji i paszkwilowych jednodniówek? Za czyje pieniądze są wydawane wasze czasopisma?³³.

d) *Przebieg i wynik wyborów*

Przebieg wyborów był zupełnie spokojny. Ludność dała wyraz zrozumieniu powagi chwili oraz oceniła właściwie doniosłość tego aktu politycznego. Ogólna ilość głosujących wyniosła 249.325 co w stosunku do liczby uprawnionych do głosowania stanowi 64,4%. Odsetek ten byłby znacznie większy, gdyby nie trudności natury czysto technicznej. Do nich należy zaliczyć trudności komunikacyjne, duże odległości, brak koni, zaspasy śnieżne itd. Szereg kobiet nie głosowało, nie mając przy kim zostawić małych dzieci, szereg wsi wskutek epidemii tyfusu było odizolowanych etc...

Frekwencja głosowania przedstawiała się:

Ponad 90% głosowało w 55 obwodach, ponad 50% głosowało w 195 obwodach, poniżej 50% w 54 obwodach i poniżej 10% w 12 obwodach. W tym ostatnim wypadku było 10 obwodów z większością litewską, jeden z białoruską i jeden mieszany.

Udział Białorusinów w obwodach wiejskich wynosił 44.5%, zaś przeciętna na całym terytorium wyborczym wynosiła 41% uprawnionych.

Procent głosujących Żydów wyniósł w obwodach wiejskich 37,8, w miasteczkach wyodrębnionych w obwoły osiągnął 38,9, a na całym obszarze osiągnięto przeciętną 15,3%.

Udział Litwinów, wskutek zajętogo przez Tymczasowy Komitet Litewski w Wilnie stanowiska, był znikomy i wyrażał się się średnio cyfrą 8,2%. Jako rzecz charakterystyczną należy podkreślić wyłamanie się pewnej części Litwinów spod dyrektyw Komitetu Litewskiego, którzy w okręgu Święciany zgłosili własną listę wyborczą z trzema kandydatami. Nie została ona jednak uwzględniona, gdyż zgłoszenie jej nastąpiło po przepisany termin. Niemniej jednak padło na nią w gminie Daugieliszki 413 głosów, gdyż unieważnienie jej nie doszło na czas do wiadomości zainteresowanych.



33. *Ranica* z dnia 22.XII.21.

Jeżeli chodzi o podział mandatów pod kątem widzenia politycznego to wypadł on tak:

Polski Centralny Komitet Wyborczy	40
Rady Ludowe	29
Polskie Stronnictwo Ludowe	12
Blok Demokratyczny w Lidzie i Wasiliszkach ..	9
PSL Odrodzenie	7
Listy Lokalne w Brasławiu	6
PPS	2
Polski Demokr. Komitet Wyborczy	1

Najstarszy poseł liczył lat 78 — ks. arcybp K. Hryniewiecki, a najmłodszy lat 24 — A. Zalewski.

Do Wileńskiej Izby Kasacyjnej wpłynęły dwa protesty o unieważnienie wyborów w jednym obwodzie okręgu VIII i w trzech obwodach okręgu VII. Oba protesty, złożone z ramienia Odrodzenia, były rozpatrywane na publicznym posiedzeniu Wileńskiej Izby Kasacyjnej w dniu 16.II.22 r. i oba oddalone jako nieuzasadnione. Gdyby nawet zostały one uwzględnione i w konsekwencji zarządzono uzupełniające wybory w tych obwodach, to i tak nie miałyby to żadnego wpływu na wynik ostatecznej uchwały Sejmu Wileńskiego.



Związek pracowników prasy polskiej w Wilnie z prezensem Cz. Jankowskim na czele zorganizował na okres wyborów specjalne biuro prasowe „Cercle de la Presse”, które miało za zadanie ułatwienie kolegom z zagranicy zorientowanie się w sytuacji wyborczej oraz nawiązanie kontaktów z miejscową ludnością. W Biurze Prasowym były wszystkie zarządzenia wyborcze w językach angielskim i francuskim. Wszyscy przyjezdni dziennikarze rejestrowali się w biurze, tylko dziennikarze niemieccy i rosyjscy nie dopełnili tego aktu kurtuazji. Reprezentowanych było 11 pism francuskich jak: *Temps*, *Le Matin*, *Petit Parisien*, *Le Monde*, *Universitaire* i szereg innych. Z angielskich były *Times*, *Daily News*, *The Manchester Guardian* i *Morning Post*. Ponadto dwa pisma włoskie, cztery amerykańskie, kilka szwajcarskich oraz szereg agencji telegraficznych. Oto kilka ocen prasy zagranicznej:

Temps z dnia 9.I.1922 r.:

Wilno, 7 stycznia. Miasto jest bardzo żywo zainteresowane wyborami. Spokój panuje wszędzie zupełny. Rząd prowizoryczny

zapewnił zupełną swobodę w głosowaniu. Dziś już można z pewnością oświadczyć, że mieszkańcy miasta będą głosować za Polską. Litwini, których liczba jest bardzo niewielka, powstrzymają się od głosowania, a to z powodu niewyrobienia politycznego. Białorusini w większości głosować będą za Polską. Żydzi powstrzymują się od głosowania nie dla przyczyn zasadniczych, ale taktycznych...”.

Petit Journal z dnia 10.I.1922

„Wybory wileńskie. Śnieg i białe równiny, po białych równinach lud leniwy lecz w każdym razie zaciekły, by zachować Wilno dla Polski. Takie są moje pierwsze wrażenia o wyborach plebiscytowych, które miały miejsce i których zadaniem jest rozstrząść między Polską a Litwą.

...Wilno chciałoby pozostać polskim, lecz Litwini, których stolica Kowno jest marnym miasteczkiem, gorąco pragnęli Wilna. Co zrobiła Liga Narodów? Zażądała wyborów ogólnych i dlatego to dnia 8 stycznia, chłopki niepiśmienne, chłopci o wyglądzie kozaków z kabaretu i polscy dzentelmeni wybrali się do Wilna i wsi, gdzie odbywało się głosowanie. Czy Litwini istnieją w tym kraju? W każdym razie ja ich nie widziałem...

Excelsior z dnia 12.I.22 r.

Wilno 10 stycznia. Wyniki wyborów przeszły wszelkie oczekiwania. Głosowało 70%, co wobec wstrzymania się części Żydów i kobiet wykazuje, że głosowała niemal cała ludność zdolna do jakiegokolwiek koncepcji politycznej. Olbrzymia większość oświadczyła się za Polską, pomimo 150-letniego prześladowania i wysiłków rosyjskich, zmierzających do nadwyreżenia stosunków polsko-litewskich przez sztuczne wytworzenie tzw. kwestii litewskiej.

Polska dąży szczerze do porozumienia z Litwą, jednakże nieprzejednane stanowisko Litwy Kowieńskiej stoi temu stale na przeszkodzie. Od roku 1915, gdy powstał rząd litewski, przeważają na Litwie wpływy niemieckie. Litwa szuka bezpośredniego połączenia z bolszewią, do czego jako klucz służy Wilno. Teraz wobec olśniewającego zwycięstwa polskiego w wyborach może jej stanowisko ulegnie zmianie. Litwa nie może rościć sobie praw do miasta odwiecznie polskiego, o kulturze polskiej...”.

New York Herald z dnia 10.I.22 r.

Rezultaty wyborów w Wilnie. 15 deputowanych za wcieleniem do Polski, 3 za federacją, żadnego za połączeniem z Litwą. Małe miasta wileńskiego terytorium są za wcieleniem, rezultaty wsi jeszcze nie wiadome, lecz na pewno nie za Litwą. Osobiste wrażenie, że Wilno jest kompletnie polskim miastem.

Echo de Paris z dnia 10.I.22. r.

Plebiscyt wileński odbył się wczoraj w spokoju. Przyłączenie do Polski wydaje się pewne...

...Wielką przeszkodą w pomyślnym odbywaniu się plebiscytu jest srogość zimy, gdyż często włościanie muszą jechać przeszło 10 km. po drogach zaspanych śniegiem by głosować. Do ostatniej chwili

kampania wyborcza była bardzo ożywiona dzięki całkowitej swobodzie pozostawionej wszelkim propagandom. Wszystko odbyło się bez najmniejszego zaburzenia.

Times, Londyn 14.I.22. r.

Wybory wileńskie. Wybory sprzyjają Polsce...

...Przeszło 60% wyborców głosowało, a wobec trudności głosowania i pory roku, oraz faktu że kobiety, które nie mogły pozostawić osamotnionych gospodarstw były zaliczone na liście wyborczej, głosowanie przeszło oczekiwania...

Najbardziej jednak charakterystyczną jest wypowiedź przedstawiciela agencji Havasa w *Journal de Genève* z dnia 13.I.22., w którym daje on doskonałą ocenę wypadków i wykazuje znajomość zagadnienia.

„Wybory wileńskie.. „włączając mimo największych trudności parlamentarnych okręgi Lidy i Brasławia do terytorium wyborczego, Polska posunęła do ostatnich granic wierność swą dla zasady samostanowienia, której domagała się zawsze dla wszystkich ludów...”.

podkreślając duch liberalny wyborów kończy dziennik:

„...jeżeli dzięki wyborom, dokonany w dniu 8 stycznia, przywrócony będzie pokój w tej części Europy, jeżeli sprawa Wilna zniknie wreszcie z listy spraw spornych, jeżeli Polska, mocarstwo 30-milionowe, będzie mogła na koniec poświęcić swe siły dziełom pokoju, co jest jej życzeniem i celem, wtedy, naszym zdaniem, wielkie mocarstwa będą mogły z wielką dla siebie korzyścią nie mówić więcej o projekcie Hymansa. Każdy przyzna, iż w Genewie, w zimie 1921 r. robiono wiele hałasu o nic dookoła kwestii, której nici wymykały się z rąk ludziom, wierzącym że je mocno trzymają. Ci w których interesie leży wyciągnięcie wniosków z naturalnego uregulowania sprawy Wilna, powinni wnioski te wyciągnąć bez żadnego wstydu, co będzie zresztą bardzo korzystne dla całej Europy...”.



Sejm Wileński zebrał się na swe pierwsze posiedzenie w dniu 1 lutego. Przez trzy tygodnie trwały obrady pod łaską marszałkowską A. Łokuciewskiego, aż wreszcie w dniu 20 lutego 1922 roku powzięto uchwałę „w przedmiocie przynależności państwowej Ziemi Wileńskiej” mocą której „Ziemia Wileńska stanowi bez zastrzeżeń i warunków nierozdzielną część Rzeczypospolitej Polskiej...”.

Tak zakończył się spór o Wilno, który dał temu miastu dwadzieścia lat Niepodległości...

Wacław CHOCIANOWICZ

NIEZNANE „TESTIMONIUM” O PIŁSUDSKIM

Studium Władysława Pobóg-Malinowskiego o „sprawie Brzozowskiego”, które niestety ukazało się po śmierci autora, i które jest najlepszą jego pracą, jakie daną mi było przeczytać, uderzyło mnie znaczeniem najdrobniejszych „zeznań” ówczesnych świadków — Praussa, Krzywickiego, Grzymały, różnych Rosjan — dla ustalenia prawdy. Benedyktyńska praca Malinowskiego przekonała mnie, że Brzozowski był istotnie co najmniej „oświeconym” Ochroną, i myślę również, że analiza Sławka daje nam klucz do jego postępowania. Może te moje wrażenia, po przeczytaniu rozprawy Malinowskiego, są o tyle ważniejsze od wrażeń każdego z brzegu amatora, że w swoim czasie przed ćwierć wiekiem, utrzymywałem zażyłe stosunki z Ignacym Matuszewskim, do śmierci fanatycznym przedstawicielem poglądu, że wieści o stosunkach Brzozowskiego z Ochroną były ohydną plotką, że za namową Matuszewskiego przeczytałem wówczas wiele dzieł Brzozowskiego, które zresztą z innych, już czysto intelektualnych względów, wydały mi się przereklamowane: jeżeli więc argumenty Malinowskiego wydają mi się *irréfutables*, to jest to w pewnej mierze dowodem, jak bardzo są przekonujące. Ale nie o to chodzi. Ten drobny epizod o Brzozowskim dowodzi, jak ważne są wszystkie świadectwa współczesnych o ludziach wybitnych, jak każdy szczegół w rękę fachowego historyka może być pouczający i wyzyskany. Jeżeli każdy szczegół jest ważny co do Brzozowskiego, to o ileż jest to bardziej prawdą w stosunku do Piłsudskiego.

Znałem tylko dwóch ludzi mojego pokolenia, obu jednak starszych ode mnie, którzy bliżej zetknęli się z Józefem Piłsudskim. Wśród moich rówieśników, a nawet wśród młodszych ode mnie była pewna ilość „Piłsudczyków”: ale ta nazwa nie miała z historycznymi „Piłsudczykami” nic wspólnego, albowiem Piłsudskiego ci młodzi albo nigdy nie znali, albo też, w najlepszym razie, byli raz czy dwa w jego obecności. Ja sam zresztą dwa

razy w życiu, w Krakowie w 1924 roku, i w Warszawie w 1926 r. byłem Piłsudskiemu przedstawiony, uściskałem jego rękę i zamieniłem z nim dwa lub trzy zdania. To nie ma znaczenia.

Starszy ode mnie lat Stanisław Mackiewicz odwiedził Piłsudskiego w Druskiennikach i w Sulejówku przed 1926 r., oraz był przez niego przyjęty na dworcu Wschodnim w czasie przewrotu majowego, a potem jeszcze raz czy dwa w Belwederze. Ale Mackiewicz, przy swych wielkich zdolnościach, jest człowiekiem tak egocentrycznym, że dobrym świadkiem być nie może --- interesuje go bardziej to, co on mówi, niż to co mówi jego rozmówca. Sam zresztą zdawał sobie z tego sprawę. Opowiadał mi np. bardzo zabawnie swą rozmowę z Wielkim Księciem Kiryłem Władimirowiczem, w Dinard w 1936 r. Kirył Władimirowicz był legalnie carem rosyjskim, po zamordowaniu wszystkich bliższych krewnych Mikołaja II. Mackiewicz opowiadał: „rozumiesz mówię przez dwie godziny, tłumaczę dlaczego Romanowowie stracili tron, co trzeba zrobić, by go odzyskać, i nagle zdaje sobie sprawę, że sam gadam dwie godziny, a tu siedzi przede mną car Wszehrosji, i dotąd nie powiedział ani słowa. Więc przerywam mój własny potok wymowy, i robię gest, że może „Jewo Impieratorskoje Wieliczestwo” raczy coś powiedzieć. Na to Wielki Książę wstał i powiedział (cytuję za Mackiewiczem): *Biednyj narod, wsiegda był griaznym, pojdiom pokuszać* i zaprowadził mnie do sali jadalnej na świetne śniadanie!”.

A drugim tym moim rówieśnikiem, choć też starszym, który dobrze znał Piłsudskiego, był Mieczysław Maliński, zwany powszechnie „Burcikiem” Malińskim, który umarł nie dawno w Kanadzie. Pochodził z Wilna czy Wileńszczyzny, miał silny akcent wileński, za młodu wstąpił do MSZ-etu, i w roku 1932 był sekretarzem poselstwa w Kairze. W tym czasie nasz ówczesny poseł w Kairze, Aleksander Dzieduszycki ciężko zachorował na nerki czy wątrobę, już nie skleję, i znajdował się w sanatorium, a Maliński był wobec tego *chargé d'affaire*'m. I właśnie wówczas, ku końcu zimy 1932 r., Piłsudski przybył na wypoczynek do Heluanu. Wobec choroby Dzieduszyckiego Maliński witał Piłsudskiego i kręcił się koło niego przez cały czas tego pobytu, czyli przez kilka tygodni. Maliński był Wilnianinem i grał w szachy: dwa powody, dla których Piłsudski zaraz go polubił i dopuścił go do swej intymności, chociaż miał z sobą kilku adiutantów, bodajże Lepeckiego i bodaj także swego lekarza przybocznego Woyczyńskiego, i kogoś z żandarmerii.

Powiem jeszcze kilka słów o Malińskim, by ułatwić przyszłym historykom ocenienie, ile wagi i znaczenia należy przypisywać jego świadectwu. Malińskiego znałem w Warszawie, ale zbliżyliśmy się dopiero w Londynie w jesieni 1939 r. Mieszkaaliśmy obaj przez kilka miesięcy w Park Lane Hotel na Piccadilly, potem on wyjechał na jakieś kursy jęz. angielskiego do Oxfordu, a stamtąd odpłynął do Kanady, gdzie bodajże był w czasie wojny cenzorem listów (znał kupę języków, był wielkim

lingwistą, po rosyjsku mówił wybornie). Po wojnie czas jakiś pracował w Kanadyjskim Military Govt. w Niemczech po czym wrócił do Kanady, i znowu tam pracował dla któregoś ministerstwa w Ottawie. Spotykałem go parę razy, ale zawsze przelotnie. Więc wszystko co wiem, to tylko z rozmów z nim w owych pierwszych miesiącach II wojny światowej, kiedyśmy nieraz spędzali razem długie wieczory przy whisky w hallu Park Lane Hotel.

Maliński pochodził z rodziny ziemiańskiej, był zawsze kawalerem, wstąpił za młodu do MSZet-u, skąd Beck go usunął wkrótce po powrocie Piłsudskiego z Kairu, pod zarzutem jakichś kolosalnych przegranych w karty. Maliński zawsze twierdził, że Beck go wyrzucił, bo bał się urzędnika, który by mógł mieć osobisty dostęp do Piłsudskiego. Nie byłem przy tym, więc nie wiem, ale stwierdzam, że Maliński grał w bridge'a fenomenalnie, że nigdy nie widziałem, by grał w co innego, i że był to człowiek niezmiernie oszczędny, skąpy nawet, o bardzo skromnych potrzebach osobistych, nie był dziwkarzem, nie był pederastą, nie był hulaką, więc wątpię bardzo, by rznął po wariacku w karty, jak to robili inni. Na pewno Maliński nie był *a security risk*, jak tego dowodzi jego późniejsza kariera w cenzurze wojennej, w military Govt w Niemczech i w urzędach w Ottawie.

Po opuszczeniu MSZetu Maliński był dyrektorem polsgdańskiej Izby Handlowej w Gdańsku. Nie był to żaden ekspert handlowy ani geniusz finansowy, ale miał dużo zdrowego rozsądku, i pewne wykształcenie ekonomiczne, nigdy nie mówił nonsensów na ten temat, w przeciwieństwie do tylu naszych dostojników i wyższych urzędników. Był to człowiek o mentalności ziemiańsko-konserwatywnej, nie germanofil, ale i daleki od germanożerstwa, natomiast zdecydowany rusofob, jak wszystko co było przyzwoite i uczciwe na Wileńszczyźnie. Jak każdy konserwatysta, nie miał nabożeństwa do Brześcia i do ewolucji wewnętrznej polityki Piłsudskiego, ale nie był też nigdy jakimś zaperzonym anty-piłsudczykiem. Polityka zagraniczna Piłsudskiego wydawała się Malińskiemu, jak i wielu innym urzędnikom MSZetu, niedość „zachodnia” w metodach i formach, ale poza tym lepsza od naiwności socjalistów i lewicy i od antyniemieckiej monomani endecji.

Nie mam żadnego powodu podejrzewać, że Maliński fryzował czy fałszował to, co usłyszał od Piłsudskiego. Sądzę, że powtarzał dosłownie i uczciwie każde słowo od niego zasłyszane. Ja też chcę powtórzyć to co słyszałem od Malińskiego jak najdokładniej i bez najmniejszego retuszu. Nie zrobiłem sobie wówczas żadnych notatek, ale ufam mej pamięci, tym bardziej, że Piłsudski interesował mnie znacznie bardziej wówczas, niż dzisiaj, przypisywałem mu wówczas większe znaczenie niż dzisiaj, więc kilkakrotnie prosiłem Malińskiego, by mi te rozmowy powtórzył. Być może że Maliński spisał swe ówczesne wrażenia i że w jego papierach można by te zapiski odnaleźć. Jeśli tak, obowiązkiem

jego przyjaciół jest te notatki odnaleźć i jak najprędzej wydać, bez zmian i bez skrótów. A teraz oddaję, że tak powiem, głos śp. Mieczysławowi („Burcikowi”) Malińskiemu:



„Piłsudskiego nie znałem wcale; ledwo przekroczyłem trzydziestkę, więc perspektywa przyjazdu Piłsudskiego bardzo mnie przeraziła, mówił Maliński. Poseł Dzieduszycki był tak ciężko chory, że nie mogło być mowy o jego wydobrzeniu, ani choćby c próbie wstania, więc z góry było pewne, że na mnie wszystko spadnie. W oznaczonym dniu czekałem na przystani w Aleksandrii w żakiecie, cylindrze i z mocną tremą. Przedstawiłem się na statku. Nie zdążyłem nawet powiedzieć, że jestem Wilnianinem, gdy Piłsudski już się tego domyślił z mego akcentu. „A, to pan Wilnianin, burknął, i od razu stał się przyjazny. Skąd, pytał. Z jakich Malińskich? Gdzie był czy jest wasz majątek? Jak matka z domu?”. Wydawało się, że to wszystko go interesuje.

Do pociągu idącego do Kairu była przyczepiona specjalna salonka, wysłana przez rząd egipski. Piłsudski rozsiadł się w niej ze swą nieliczną świtą, zaraz zażądał herbaty w szklance, popijał i aż do Kairu bez przerwy palił papierosy, nie wychodząc z wagonu, a tylko patrząc martwym wzrokiem przez okno. Do pociągu wsiadła chmara dziennikarzy, którzy już od przede dnia nalegali na mnie, bym im koniecznie urządził interview z Piłsudskim. Byli to przeważnie Anglicy i Amerykanie, i była to dla nich okazja, bo wówczas miesiącami w Egipcie nic się nie działo. Tak nalegali, że kilka razy wszedłem do wagonu salonowego, i próbowałem wytłumaczyć Piłsudskiemu, że byłoby dobrze, gdyby dziennikarzom udzielił wywiadu. Ale za każdym razem się zachnął, i nie chciał o tym słyszeć. Z jego mruczenia było widać, że ma do prasy i do dziennikarzy wyraźną awersję.

Akurat tego ranka nadeszła wiadomość o nagłej śmierci Brianda. Zrozpaczeni dziennikarze błagali mnie, bym w braku wywiadu zapytał się Piłsudskiego, co myśli o tej śmierci i by im to powiedział, by mieli „copy” dla depeš do swych dzienników. Zdobyłem się na odwagę, znowu wlałem do salonki, i szepnąłem: „Panie Marszałku, właśnie nadeszła depeša, że Briand umarł...”. Na to, Piłsudski, nie ruszając głowy i szklanego wzroku, utkwionego gdzieś w dal, mruknął: 'No cóż, stary był, to i umarł. I znowu pogrzyżył się w milczeniu. Więcej nic nie mogłem od niego wyciągnąć. Ale było widać, że wiadomość ta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, i że Briand go w najmniejszym stopniu nie interesował.

Nazajutrz po przyjeździe do Heluanu, gdzie zarezerwowano dla niego specjalną willę za wysokim murem, Piłsudski kazał po mnie zatelefonować do poselstwa, że czeka na mnie na szachy, o godzinie 3-iej po południu. Potem zwykle co dzień miałem telefon, że Pan Marszałek prosi albo czeka na trzecią czy czwartą

czy piątą. Zawsze zastawałem Piłsudskiego w fotelu czy w krześle plecionym z wikliny, na werandzie, w niezapiętej koszuli, bez kołnierzyka, z szelkami na koszuli, w bardzo starych, zmiętych portkach, z papierosem w ustach, z herbatą w szklance przed sobą, nieraz już zimną, zawsze bez mleka, ale niezawsze z cytryną, za to zawsze z łyżeczką w szklance. Popijał powoli i z rzadka, ale właściwie bez przerwy. Nie jadał prawie nic, czasem jakąś kanapkę. Palił dużo, choć też często zgasył papieros dalej trzymał w ustach czy w długim ustniku. Był zwykle nieuczesany, a często i przez dwa dni lub dłużej nieogolony. Zawsze koło jego herbaty stały już szachy, i Piłsudski witając się wołał: 'No, panie Maliński, zobaczymy, czy dzisiaj pan mnie pobije'... Szachy naprawdę lubił. Jak grał? Nie nadzwyczajnie, ale i nie najgorzej, trzeba było jednak uważać, by nie przegrywał, bo tego nie lubił; gdy przegrywał dwie czy trzy partie z rządu, wpadał wyraźnie w zły humor...

Od początku miałem z Piłsudskim, ciągnął Maliński, jeden kłopot. Miał on swój własny szyfr do rządu czy do inspektoratu, i przeze mnie to wszystko nie przechodziło, i nic o tym nie wiedziałem.

Rząd egipski bez przerwy na mnie naciskał, by Piłsudski wybrał się z wizytą do króla Fuada. Szalenie im na tym zależało. A Piłsudski ciągle się wykręcał. 'Ja stary, mówił. Ot, to nie na moje lata. I co mam królowi do powiedzenia? Nic. Ot, ja tutaj prywatnie, na odpoczynek, dla zdrowia. Proszę powiedzieć królowi, że go bardzo szanuję, ale żem słaby, stary, i chcę siedzieć w domu'. Naturalnie, dwór i MSZet egipskie nalegały nadal, Król Fuad chciał koniecznie wydać na cześć Piłsudskiego wielki bankiet galowy we frakach i orderach. Piłsudski nie chciał o tym w ogóle słyszeć. Wreszcie mu jakoś wytłumaczyłem, że Fuad się obrazi, myśląc, że ta odmowa wynika stąd, iż Piłsudski nie uważa go za króla, a jedynie za lennika angielskiego. To przeważyło i w końcu Piłsudski zgodził się na wizytę, ale zastrzegł, że pojedzie tylko na herbatę, i że żadnego bankietu nie będzie. Fuad chciał koniecznie, by Piłsudski przyjechał w galowym mundurze, z masą orderów, skończyło się na tym, że Piłsudski włożył tylko marszałkowski mundur. Gdy go odprowadzała do samochodu, którym ochmistrz dworu, czy szef protokołu miał go zawieźć do pałacu królewskiego, zauważyłem, prawil Maliński, że spodnie Piłsudskiego nie były odprasowane co najmniej od roku. Nieśmiało coś bąknąłem, że może by mógł zmienić spodnie, albo te kazać odprasować. Ale Piłsudski nie chciał o tym słyszeć. 'Ot, zawsze panowie dyplomaci, burknął. Wszystko co ich interesuje, to kant u spodni. Tak wystarczy'. Wsiadł do samochodu i pojechał.

„Nazajutrz, opowiadał dalej Maliński, dostałem telefon od adiutanta jakoś wcześniej niż zwykle, że Pan Marszałek czeka. Naturalnie przyjechałem co do minuty. Piłsudski przyjął mnie

w świetnym humorze, był ubrany, a nie w koszuli tylko, i jakoś sprężyście się ze mną przywitał, wstając, czego normalnie nie robił.

„Nu, panie Maliński, rzekł Piłsudski (jego „nu”, twierdził Maliński, było jakieś nosowe i niewyraźne, tak że nie miało się pewności, czy to było 'no' czy też 'nu'), nu, panie Maliński, zrobiłem co mi pan kazał, i byłem u pańskiego króla!

Zrobiłem jakiś niewyraźny ukłon, mówił Maliński, coś mrużąc, i czekałem co będzie dalej.

Otóż, ciągnął dalej Piłsudski, który zdawał się być bardzo rochochony swym conceptem i całą tą sceną z Jowiałówki, skoro pan, panie Maliński, jest tutaj reprezentantem Rzeczypospolitej, to wydaje mi się, że ja, Józef Piłsudski, jestem panu winien sprawozdanie, co też pański król mi w czasie tej rozmowy powiedział!

„Zrobiłem jeszcze jakiś głębszy gest obu rękami, wywodził Maliński, wydając jakieś nieartykułowane dźwięki, i czekając co będzie dalej.

„Otóż, kontynuował Piłsudski, który wydawał się Malińskiemu w coraz lepszym humorze, król mi nic nie powiedział. Był bardzo miły, uprzejmy, ale nic nie powiedział!”

„Znowu nieartykułowane dźwięki ze strony Malińskiego, a Piłsudski nadal w najlepszym humorze — dodaje:

„Nie, skłamałem. Widzi pan, jak łatwo skłamać. Właściwie król mi powiedział jedno: że chciałby, byśmy u niego więcej kupowali bawełny”. Po czym na chwilę zamilkł, i rzekł zamyślony, jakby do siebie: „ale gotówki, to on, zdaje się, nie ma”.

„I widzi pan, opowiadał mi gdzieś w październiku czy listopadzie 1939 r. w Londynie Maliński, w tej chwili, jak nigdy, zobaczyłem w Piłsudskim starego szlagona, który, gdy rozmawiał z żydowskim pachciarzem, ciągle zastanawiał się: „czy Żyd ma pieniądze, czy udaje?”. Piłsudski nie miał najmniejszego pojęcia o sprawach gospodarczych, zupełnie mu się pomieszało, że w tym wypadku „Żyd”-Fuad był nie kupcem a sprzedawcą, ale odezwały się u niego jakieś przedziwne atawizmy z Zułowa czy jeszcze starsze: czy też pachciarz ma gotówkę?

„Na tym się ta zabawa w Jowialskiego z okazji „sprawozdania” dyktatora wobec małego *chargé d'affaires* skończyła. Pozostały szachy, bo poza Fuadem Piłsudski nikogo w Kairze nie chciał widzieć.

„Piłsudski, mówił Maliński, prawie nigdy nie opuszczał swej willi. Pojechał kiedyś ze mną do Gizy, obejrzeć Piramidy i Sfinksa. Milczał, wyglądał zmęczony, szybko wrócił do domu. Meczetów i miasta nie zwiedzał. Po Nilu nie jeździł. Robił wrażenie człowieka mało wrażliwego na naturę i zabytki. Tak samo nie interesował się Arabami, ani ich kulturą. Gdy nie grał w szachy, albo nie drzemał czy dumał w fotelu, Piłsudski czytał jakąś historię brytyjskiego imperium. Maliński mówił mi, jak się to dzieło nazywało, ale dzisiaj nie mogę sobie przypomnieć.

W każdym razie Piłsudski czytał je w tłumaczeniu francuskim. Maliński odniósł wrażenie, że Piłsudski miał głęboki podziw dla Anglii, a Anglików uważał za wielki naród. Kiedyś mu powiedział: „Ot, Anglik — ten zawsze spadnie, jak kot, na cztery łapki. Może kiedyś Anglia straci Indie, ale za to zdobędzie Chiny! Ha? Co pan o tym myśli? ”.

Jakoś te supozycje się nie sprawdziły.

„O wypadkach i ludziach w Polsce Piłsudski nie mówił z Malińskim nigdy. Czasami coś bąknął o Mościckim. Nigdy nie mówił Mościcki, lecz zawsze „Prezydent”. Trzeba będzie zawiadomić Prezydenta, że wracam. Kiedy indziej wspomniał z jakiejś okazji Sławka, o którym mówił per „Sławek”. O innych w obecności Malińskiego nie wspomniał ani razu.

Natomiast kilkakrotnie rozmawiał z nim o Rumunii, w związku z wizytą w Bukareszcie, którą planował w drodze powrotnej. Najwięcej nadziei wiązał z królową Marią Rumuńską, zawsze mówiąc: „Muszę z panią Marią porozmawiać, to mądra kobieta”. Po czym znowuż kilkakrotnie dodawał: „A ten Karolek, to mi się nie podoba. Może i jakiś łobuz?”.

Maliński mi mówił, że Piłsudski na pewno często rozmyślał nad sytuacją międzynarodową, a specjalnie nad sytuacją Polski, parę razy zastał go schylonego nad mapą Europy, z martwym okiem utkwionym nie wiadomo gdzie. Piłsudski zwykle nic nie mówił, a jeśli coś mówił, to jakieś urywane zdania, z których nic bardzo jasno nie wynikało. Ale było widać, wywodził Maliński, że był głęboko niespokojny, głęboko pesymistyczny, że widział przyszłość w bardzo czarnych kolorach. I było z tych półsłówek jasne, że zawsze upatrywał niebezpieczeństwo tylko w Rosji, że ciągle myślał, jakby się z Niemcami dogadać, jakby te stosunki załagodzić, natomiast absolutnie nie wierzył, by jakiś *modus vivendi* z Rosją był możliwy! Kiedyś, gdy Maliński zauważył, jak szczęśliwą pozycję geograficzną ma Egipt w porównaniu z Polską, Piłsudski burknął: „I tutaj Moskale dojdą, gdy tylko im dać okazję!”.

Właściwie, mówił Maliński, Piłsudski robił już wówczas na mnie wrażenie ruiny człowieka. Raczej sympatycznego i dobrego człowieka, niż wielkiego, patrioty głęboko zaniepokojonego o przyszłość, ale nie geniusza czy nawet statysty. Nade wszystko Piłsudski był niesłychanie staroświecki, należał do 19-go wieku, w 20-ym był zgubiony, ani go nie rozumiał, ani się nim nie interesował. Nie można było go nie lubić, ale nigdy nie miałem wrażenia, że był on wówczas w stanie rządzić, czegoś dokonać, czy Polskę uratować. Wydawało się, że jest bohaterem poematu czy powieści, a nie żywym człowiekiem!

W. A. ZBYSZEWSKI

KIEDY WOJNA ROZPOCZĘŁA SIĘ NAPRAWDĘ

I

Ostry dźwięk telefonu obudził mnie z głębokiego snu, w hotelowym pokoiku paryskim, w czasie nad ranem, w dniu 3 marca 1936 roku.

— Doktorze, co zamierza pan dziś robić?

Poznałem głos radcy Ambasady, pułkownika Kary, który, pomimo przydziału najzupełniej odmiennej natury, nadal zajmował się głównie sprawami „dwójkowymi”.

— Chciałbym nieco odpocząć. Wie pan dobrze jak jestem wyjąłowany przedłużającymi się w nieskończoność rokowaniami, z których jakoś nic nie wynika...

— Nie, niech pan to odłoży na kiedy indziej! Wybieram się właśnie na ciekawą wycieczkę do Nadrenii i bardzo bym się cieszył, gdyby pan chciał mi w tej podróży towarzyszyć.

— Nadrenia? Po co? Żeby łowić pstrągi czy grać w karty w tamtejszym kasynie?

— Nie, naprawdę nie o to mi chodzi. Wchodzą tu w grę sprawy grubo ważniejsze. Ale nie mogę tego wytłumaczyć przez telefon. Na pewno nie pożałuje pan tej przejażdżki, na którą może pan zresztą zaprosić też swego młodszego kolegę, Szymankę. Za pół godziny wpadnę po pana, zgoda?

Gubiłem się w domysłach, próbując zrozumieć jaki miałby być cel naszego nagłego wyjazdu na Wschód. Po Lokarnie zdawało się nam wszystkim, że wstąpiliśmy w okres pokoju i równowagi. Nic nie wskazywało na to, by można było oczekiwać jakichkolwiek awanturnicznych posunięć Hitlera i to pomimo zjadliwej reakcji nazistowskiej na mocno zresztą spóźnioną raty-

fikację przez parlament paryski paktu francusko-sowieckiego (353 głosów — pro, 164 — contra).

Niedługo potem dowiedziałem się, już w aucie, że jakoby zanosilo się jednak na nowy wstrząs międzynarodowy, którego prawdopodobieństwo mieliśmy ocenić, w czasie tej niespodziewanej podróży, na własne oczy. Płk Kara otrzymał ostatnio od swych agentów w Niemczech zachodnich wiadomość, że coś nieokreślonego dzieć się zaczyna w zdemilitaryzowanej stonie nadreńskiej, co wymagałoby sprawdzenia na miejscu. Alarmistyczne plotki? Na pierwszy rzut oka wydawało się raczej nieprawdopodobne, by Hitler miał się pokusić na jednostronne naruszenie dotychczasowego stanu rzeczy w punkcie tak wyjątkowo newralgicznym.

Kilka godzin później, mijając szybko Strasburg, znaleźliśmy się na moście wiodącym do Kehl. Z miejsca można było zauważyć gorączkowe prace wykonywane przez setki robotników. Żeby móc się temu bliżej przypatrzeć, nasz szofer (naturalnie sierżant z Oddziału Drugiego) zgrabnie zaimprovizował „defekt w motorze”, robiąc na wszystkie strony zdjęcia dobrze zakamuflowanym aparacikiem fotograficznym. Wkrótce otoczyła nasze auto cała zgraja mocno zdenerwowanych policjantów, którzy nastawali na to, żeby nie zatrzymywać się tu ani na chwilę i jechać dalej. Ale już było za późno. Prace nad naprawą dróg i odnowieniem różnych budynków, a już zwłaszcza opuszczonych od tak dawna koszar, nie pozostawiały nam trzem żadnych co do tego wątpliwości, że przygotowywano w ten sposób wkroczenie do Nadrenii wojsk niemieckich.

Właściwie powinniśmy byli natychmiast wrócić do Paryża, by przekazać te nasze wrażenia bezzwłocznie pod właściwym adresem — choć można było przypuszczać, że wiadomości o tym już tam dotarły. Ale płk. Kara, zapalony gracz, nie mógł sobie odmówić przyjemności popróbowania szczęścia w niedalekim kasynie. Nie miał jednak tym razem dobrej passy i spłukawszy się szybko z okazałego zasobu marek, zgodził się na powrót do Paryża.

II

Ku niemałemu naszemu zdumieniu przekonaliśmy się wkrótce, że dobrze udokumentowane fotograficznie raporty, które opracowaliśmy szybko, przedstawione przez polską ambasadę rządowi francuskiemu, były dla „miarodajnych czynników” zupełną i to najprzykrzejszą niespodzianką. Spadły na nie jak grom z jasnego

nieba. Zupełne zaskoczenie Francji tym posunięciem Hitlera jest zresztą w świetle dokumentacji ogłoszonej po wojnie, trudną do rozwiązania tajemnicą; okazuje się z niej, mianowicie, że nie później jak w dniu 21 listopada 1935 r., po rozmowie z Hitlerem, ambasador François-Poncet zaraportował do Quai d'Orsay, że nie nasuwa mu żadnych wątpliwości decyzja, powzięta już przez Hitlera, zajęcia Nadrenii; pozostawał mu tylko co najwyższej wybór najpomyślniejszej po temu daty.

Kilka tylko dni później, bo już w dniu 7 marca, przewidywania nasze znalazły pełne potwierdzenie: trzy bataliony niemieckie przekroczyły granicę strefy w Trewirze, Akwizgranie i Saarbrücken. Trzy bataliony tylko? Naczelny komendant armii niemieckiej wyjaśnił to grubo później. W razie jakiegokolwiek kontrakcji francuskiej miało to ułatwić wycofanie tych słabych formacji i powrót do *status quo*... Wiadomo już dziś, ponad wszelką wątpliwość, że kierownictwo armii niemieckiej (Blomberg) było zdecydowane na danie rozkazu odwrotu w razie podjęcia przez Francję jakichkolwiek kroków wojskowej natury.

Ale czy można było liczyć istotnie na zdecydowaną reakcję militarną ze strony Francji?

Marszałek Rydz-Śmigły nie zawahał się ani na chwilę ofiarowując Francji natychmiastową mobilizację i wkroczenie do Prus Wschodnich. Beck, choć, trzeba to przyznać, przewidywał z góry kapitulację Paryża, oświadczył wczesnym rankiem 7 marca ambasadorowi Léon Noël, że Polska wypełni natychmiast i to w całej rozciągłości swe zobowiązania przymierzowe wobec Francji, przewidziane umownie.

Sytuacja prawno-międzynarodowa w tej sprawie była zresztą krystalicznie jasna. I to zarówno w świetle klauzul traktatu pokojowego (art. 42-44), jak i paktu lokarnieńskiego. Złamanie przez Niemcy niedwuznacznych zobowiązań traktatowych usprawiedliwiało automatyczne sankcje wojskowe francuskie, które powinny były znaleźć wyraz w solidarnych posunięciach w tym samym kierunku ze strony innych gwarantów zachodnich.

Jak można się było jednak tego obawiać, rząd francuski nie mógł się zdobyć na jakąkolwiek decyzję, zwłaszcza bez pewności, że może liczyć na całkowite poparcie zachodnich sprzymierzeńców, a zwłaszcza Anglii — no i oczywiście bez sukcesu bezkompromisowego ze strony własnego kierownictwa armii. Otóż w momencie decydującym Sztab Generalny francuski zawiodł na całej linii. Dlaczego? Podobno brakowało mu jakichkolwiek planów operacyjnych, przygotowanych na wypadek remilitaryzacji Nadrenii... Gamelin przestrzegał rząd przed „ryzykiem

walk ulicznych w miastach niemieckich”. Uważał w każdym razie za konieczne zmobilizowanie dwóch roczników i przesunięcie na Wschód wszystkich sił wojskowych (nie mniej niż 600 tysięcy żołnierzy). I to wszystko przeciw wojskom niemieckim, które nie przekraczały w całości na terenie spornym, kontyngentu 4 (czterech) brygad... Akcja ta miałaby być poza tym przeprowadzona w ramach mechanizmu Ligi Narodów i uwarunkowana podobnymi krokami podjętymi równocześnie przez sojuszników zachodnich i wschodnich. W swych pamiętnikach ogłoszonych po wojnie Gamelin twierdzi, że dopiero kilka tygodni później dowiedział się przypadkowo ze sprawozdań francuskiego attaché wojskowego w Warszawie o zdecydowanej postawie, zajętej w tej sprawie przez Polskę. Ale już w tym czasie nasza ambasada w Paryżu domyślała się tego, że Flandin, minister spraw zagranicznych (i przyszła podpora *régime'u* Vichy) sztucznie zatajał informacje na ten temat przed tymi wszystkimi, którzy mogliby byli zająć stanowisko bardziej zdecydowane.

W dniu 11 marca Flandin wyleciał do Londynu w nadziei, jak się okazało, w pełni usprawiedliwionej, że zdoła przesunąć ku Anglii odpowiedzialność za bezprzykładny defetyzm, okazany w tej krytycznej sytuacji. Bo nawet zwolennicy ostrzejszej reakcji wobec niemieckiej inwazji zgadzali się na uzależnienie jej od czynnego współdziałania w niej jeżeli nie wojskowego to przynajmniej dyplomatycznego, Londynu. Ale nie można było na to liczyć; lord Lothian oświadczył, że „ostatecznie Niemcy wróciły po prostu do swojego ogródka”. A Eden w przemówieniu wygłoszonym w dniu 9 marca, potępivszy jednostronne posunięcie niemieckie, wyraził jednak przekonanie, że nie oznacza to bynajmniej groźby podjęcia kroków wojennych ze strony Trzeciej Rzeszy.

Początkowo rozważano możliwość operacji na najmniejszą skalę, o charakterze czysto symbolicznym: zajęcie ograniczonego terenu w Zagłębiu Saary i wysłanie wojsk do Luksemburga, jako gwarancji przed ewentualną, zagrażającą mu rzekomo agresją (?). Ale nawet takie, pozbawione istotnego znaczenia projekty, porzucono bardzo szybko. Podobno na posiedzeniu gabinetu, kiedy rozważano te sprawy, prezydent Lebrun ze łzami w oczach oświadczył, że nie może dopuścić do nowego przelewu krwi, do nowej wojny.

Wiadomości o tym wszystkim dochodziły pośrednio do polskiej ambasady poprzez różnych naszych informatorów, przynębiając nas mocno, ale prawdę mówiąc, nie wywołując przesadnego zdziwienia. Jeden z wysokich oficerów francuskich, z

którym nasi dyplomaci utrzymywali bliższe kontakty, nie ukrywał najgłębszych obaw, jakie mu nasuwała bierna postawa rządów zachodnich.

„Kto wie, czy to nie początek końca. Czy po tym *coup* nie nadejdą dalsze, które całkowicie już podważą podstawy power-salskiego układu sił?”

Byłoby może przesadą twierdzić *ex post*, że zdawaliśmy sobie wtedy w pełni sprawę z olbrzymiej wagi bezkarnej reokupacji Nadrenii jako pierwszego ogniwa w łańcuchu dalszych wypadków, które musiały po prostu siłą rzeczy doprowadzić do wybuchu drugiej wojny światowej.

Skończyło się właściwie na niczym. Nic nie wynikło z deklaracji, złożonej już wieczorem w dniu 8 marca przez premiera Sarraut, że „Francja nigdy nie pozwoli na to, by Strasburg znalazł się w zasięgu armat niemieckich”. Poprzestano na platonicznych protestach dyplomatycznych, które, rzecz jasna, niczego nie mogły zmienić.

III

Chociaż nie zajmowałem w służbie publicznej stanowiska, które by mnie upoważniało do pogłębionego badania tych wypadków, byłem do tego stopnia zaintrygowany tym wszystkim, co się wiązało z oceną ich od strony Berlina, że po prostu nie mogłem się oprzeć pokusie ustalenia, jak mogło dojść do tego na tle sytuacji politycznej wewnętrznej i międzynarodowej Niemiec.

Okazja po temu nadarzyła się bardzo szybko. Musiałem przerwać rokowania paryskie w sprawach socjalnych, związanych z naszą emigracją robotniczą do Francji, które natrafiały na wzrastające trudności ze strony usposobionych dla nas niezyczliwie delegatów francuskich, by wznowić podobne pertraktacje z Niemcami, gdzie przedstawiały nieporównanie lepsze widoki.

Wiedziałem o tym dobrze, że moi partnerzy berlińscy nie byli narodowymi socjalistami. Ale miałem co do tego poważne wątpliwości, czy pomimo raczej poprawnych stosunków, które nas wiązały, będą chcieli czy mogli mi udzielić wyjaśnień, na których tak bardzo mi zależało po prostu dla zaspokojenia mojej ciekawości.

Ale moje obawy okazały się zupełnie płonne.

Sami oni — podsekretarz stanu Krohn, dyrektor ministerialny Engel, dyr. ministerialny Rosenberg i inni, na oko-

licznościowym śniadaniu z okazji wznowienia rokowań, nie byli w stanie mówić o czymkolwiek innym.

— Musi pan przyznać, że nasz Führer to istny geniusz!

— Cóż to za mąż stanu! Kto może się z nim równać?

— No, dobrze — odpowiedziałem — ale czy nie była to gra *va banque*?

— Otóż, czy uwierzy pan, że na decydującej konferencji, kiedy jego plany spotkały się z jednomyślną krytyką generalicji, gdy mu zadano pytanie co się stanie jeżeli Francja przerzuci przez Ren jedną armię, czy chociażby jedną dywizję, lub nawet jedną brygadę, odpowiedział spokojnie: „Strzelę sobie w łeb — a reszta będzie już należała do was...”.

Przysłuchiwałem się ze wzrastającym zdziwieniem wywodom moich podnieconych współbiesiadników. Nie ukrywali przede mną, że dopiero stosunkowo niedawno zmuszeni byli przystąpić do DNSP. Jeden z nich należał poprzednio do Stahlhelmu. Byli specami-biurokratami starej daty. Ale nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, że i tym razem byli wobec mnie szczerzy, nie odgrywając żadnej komedii.

IV

Głowię się nad tym czy nie wyolbrzymiam znaczenia incydentu nadreńskiego, uważając, że wtedy właśnie rozpoczęła się w istocie rzeczy druga wojna światowa. Myślę, że chyba nie.

Czy polityka Becka, tak bezmiłosiernie krytykowana i rzeczywiście trudna do usprawiedliwienia w wielu późniejszych etapach, nie opierała się nade wszystko na doświadczeniach z roku 1936? I czy nie miała głównie na celu odczekania chwili, gdy mocarstwa zachodnie dojdą do dojrzalszej świadomości swych zobowiązań w obronie pokoju światowego?

Wszystko to pozornie sprawy zupełnie przebrzmiałe. Niemniej, mam to wrażenie, że ten epizod sprzed 26 lat nasuwa bezcenne i wciąż jeszcze aktualne wnioski co do strategii Zachodu w walce z imperializmem, bez względu na cele i przesłanki, na jakich się opiera. Metody jego działania (Nadrenia w r. 1936 czy Berlin w r. 1963) nie ulegają przecież większym przemianom.

Stanisław FISCHLOWITZ

RELACJE I WSPOMNIENIA
(OKRES WOJNY I POWOJENNY)

KRYZYSOWY OKRES W STOSUNKACH POLSKO-FRANCUSKICH

Polska Misja w Vichy w 1940 roku

Dwumiesięczny pobyt w Vichy (od 18-go lipca do 2-go października 1940 roku) paryskiej Ambasady R.P., której, po ustąpieniu Ambasadora Łukasiewicza na jesieni 1939 roku, byłem kierownikiem, jako Minister Pełnomocny, Chargé d'Affaires, stanowi epizod historyczny pełen paradoksów, lecz dający syntetyczny obraz zagadnień, składających się wówczas na rzeczywistość polską na terenie Francji. Był to okres bardzo przykry i niechętnie doń myślą powracam, jednak wobec tego, że w ostatnich czasach pojawiły się relacje naświetlające wydarzenia tego okresu nieco tendencyjnie, a nawet nieraz nieściśle, jeżeli chodzi o ogólny ton tych naświetleń, chciałbym, nie podejmując niewczesnych polemik, nakreślić krótkie zestawienie faktyczne elementów ówczesnej sytuacji i działań Ambasady R.P. przy rządzie francuskim w ciągu dwóch miesięcy po rozejmie i podać jakie były powody i cele tej misji i jakie były jej, choć ograniczone, lecz pozytywne osiągnięcia.

Przed wyjazdem Ambasady z Francji, gdy do Bordeaux lada już chwila wkraczać miały wojska niemieckie, ustaliłem z francuskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych, że, gdy tylko na to okoliczności pozwolą, podejmiemy na nowo bezpośrednie stosunki, których chwilowo utrzymywać nie było już można. W chwili tej nie było jeszcze jasne, jak się ukształtują losy Rządu francuskiego: czy Prezydent Republiki, Lebrun, jak tego pragnął, i cały Rząd przeniosą się do Afryki, czy też będzie utworzony nowy Rząd w Imperium w oparciu o sojuszników, czy też, ostatecznie Rząd legalny pozostanie we Francji pod panowaniem

niemieckim. Nie było też wiadome, czy w tym ostatnim wypadku nasz Rząd zechce i będzie mógł utrzymywać oficjalne stosunki z kapitulacyjnym Rządem francuskim, czy też, za przykładem Anglików, zerwie z nim manifestacyjnie.

Na podstawie instrukcji Ministra Spraw Zagranicznych, A. Zaleskiego, udałem się do Madrytu, zachowując możliwość działania zależnie od dalszego rozwoju sytuacji. W Madrycie mogłem utrzymać kontakt z Rządem francuskim za pośrednictwem Ambasady francuskiej, tym łatwiej, że Ambasadorem był hr. de La Baume, z którym łączyły mnie od dawna przyjazne stosunki. Jednocześnie mogłem za pośrednictwem naszego Poselstwa komunikować się swobodnie szyfrem z Rządem Polskim w Londynie. Wreszcie miałem możliwość otrzymywać szybko informacje z terenu francuskiego od rodaków i Francuzów, którzy przedstawiali się do Hiszpanii. W Madrycie byłem sam, gdyż niezbyt gościnne podówczas władze hiszpańskie zgodziły się, co prawda, tolerować moją obecność, lecz nie chciały dać prawa pobytu w stolicy dla całego personelu Ambasady. Toteż koledzy moi zmuszeni byli udać się do Lizbony. Parę tygodni upłynęło, zanim sytuacja nieco się sprecyzowała. Niestety, Rząd francuski nie wyjechał z Metropolii, a na terenie Imperium nie powstał nowy Rząd, który by podniósł sztandar dalszej walki z niemieckim najeźdźcą. Rząd marszałka Pétain'a, po różnych upokarzających przejściach i peregrynacjach, ulokował się ostatecznie w Vichy. Ochłonawszy z dramatycznych wrażeń dni, spędzonych w Bordeaux pod bezpośrednią okupacją niemiecką, Ministerstwo Spraw Zagranicznych pragnęło ściągnąć jak najprędzej do prowizorycznej stolicy misje dyplomatyczne, akredytowane przy Rządzie francuskim. Zaprosiło więc do przybycia również i przedstawicielstwa Rządów sojusznicznych. Zdaje się, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych, korzystając z zamętu, powzięło tę ostatnią inicjatywę, stwarzając fakt dokonany, bez całkowitego porozumienia z innymi czynnikami rządowymi. Ambasador de La Baume zakomunikował mi więc, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych radę będzie widzieć mnie w Vichy i pragnie również powrotu konsulów, których siedziby znajdują się na terenie Francji nieokupowanej, (Lyon, Marsylia, Tuluza). Nasunęły się, co prawda, od razu różne wątpliwości i trudności, np. co do powrotu personelu Ambasady, ale w zasadzie powrót do Francji stał się możliwy. Jednocześnie nasz Rząd w Londynie zdecydował się utrzymać choć na pewien czas urzędowe stosunki z Francją, i polecił mi udać się do Vichy. Złożyło się na tę decyzję wiele powodów. Pałącą była sprawa demobilizacji i ewentualnej ewakuacji wojskowych, którzy nie zdążyli wyjechać z Francji przed

rozejmem; również wielką troską Rządu było zapewnienie opieki dla naszego uchodźstwa cywilnego. Chodziło też o sprawę złota polskiego, wywiezionego wbrew naszej woli do Afryki, a także o sprawę kredytów i depozytów naszych Ministerstw na rachunkach bankowych, głównie w Banku Francji. Działała też pewna obawa przed rozłamem politycznym w łonie emigracji we Francji, skąd nadchodziły naglące głosy o potrzebie w terenie urzędowego przedstawicielstwa polskiego. Otrzymawszy więc instrukcje polecające mi powrót na moje stanowisko przy Rządzie francuskim, wyruszyłem natychmiast w drogę, prosząc, ze swej strony moich współpracowników, przebywających w Lizbonie, by za mną podąжали. Trzej konsulowie, pp. Mierzyński, Lisiewicz i Dygat otrzymali również polecenie powrotu do swych okręgów. Omijając zonę okupowaną, musiałem jechać drogą okrężną na Lyon. Tam otrzymałem wiadomość od szefa protokołu, Lozé, że powinienem być w Vichy nazajutrz rano, gdyż o godzinie 12-tej tego dnia Marszałek Pétain po raz pierwszy przyjmować będzie korpus dyplomatyczny. Szef protokołu, bardzo uczynny, Maurice Lozé powiadomił mnie też, że zarekwirował dla Ambasady oddzielną willę na Boulevard de Sichon, myśląc, że będę się czuł tam swobodniejszy, niż w przepelnionych wielkich hotelach śródmieścia.

Nazajutrz, zrzuciwszy tylko walizki z samochodu w willi na Boulevard de Sichon, udałem się do „Pavillon de Sevigné”, gdzie miało się odbyć przyjęcie Szefów Misji Dyplomatycznych. Było nas, o ile pamiętam, szesnastu, a spośród tej liczby wielu nie miało długo pozostać w Vichy. Ceremonia opóźniła się znacznie, gdyż czekano na przybycie Chargé d'affaires'a Stanów Zjednoczonych, Murphy'ego. Wreszcie Murphy się zjawił. Marszałek Pétain wszedł do sali i stanął w środku naszego koła. Wygłosił krótkie przemówienie, całkowicie bezbarwne, mówiąc, że Francja przeszła przez wielkie nieszczęścia i, że jego zadaniem będzie podźwignąć ją z trudnej sytuacji, w jakiej się znajduje; prosi nas więc żebyśmy mu w tym dziele dopomogli. Marszałek trzymał się prosto i na twarzy nie był zmieniony, lecz w głęboko osadzonych oczach widać było jego poważny wiek, blade, starcze oczy wyrażały przekonanie o słuszności roli, jaką odgrywał. Bez względu fatalizm wiał od jego postaci. Był on wyniosłym uosobieniem nocy, która, zdawało się, zapadła nad Francją. Poczuliśmy też od razu, że od niego niczego dla sprawy naszej spodziewać się nie można. Wrażenie to okazało się słuszne.

Następnego dnia złożyłem wizytę Ministrowi Spraw Zagranicznych, Baudouin. Przyjął mnie z wielką kurtuazją i okazywał żywe zainteresowanie wiadomościami, które mogłem otrzymy-

wać z Londynu i naszymi sprawami we Francji. Ta pierwsza wizyta była zachęcająca. Odwiedziłem zaraz dawnych znajomych z Quai d'Orsay, paru resortowych Ministrów i różnych dygnitarzy i starałem się wznowić liczne, dawne kontakty — cały Paryż polityczny, światowy, prasowy i intelektualny był stłoczony w kilku wielkich hotelach i willach małego prowincjonalnego miasta. Anegdotyczna historia życia w Vichy w tym czasie nadała się do wielu rozważań, ale pozostawiam ją na uboczu.

Koledzy moi, panowie: A. Kawałkowski, konsul generalny w Lille, przydzielony do Ambasady jako radca do spraw rekrutacyjnych, sekretarze Ambasady, K. Sońnicki, W. Dąbrowski i radca finansowy Houwalt przybyli wkrótce z Lizbony. Zjawił się też, przywożąc nowe instrukcje z Londynu, Generał Juliusz Kleeborg, Attaché wojskowy Ambasady. Ambasada stała się wkrótce ośrodkiem ożywionej działalności. Nawiązaliśmy oczywiście, w pierwszym rzędzie współpracę z rodakami i organizacjami polskimi. Ogrom zagadnień stał przed nami: a zarówno ze strony polskiej, jak i francuskiej warunki działania nie były łatwe. W masach patriotycznego uchodźstwa wojennego panowały nastroje łatwo zrozumiałego przygnębienia, rozgoryczenia i zatroskania o los materialny i niepewną przyszłość. Różnych pretensji m.in. finansowych i krytyk było bardzo wiele. Niektórzy, poddając się nastrojom otoczenia myśleli, że wojna wkrótce się skończy i nawet snuli plany o powrocie do kraju. Na masy uchodźstwa przybycie na teren Francji urzędów polskich, mających na zewnątrz pełne uznanie rządu miejscowego, podziało uspokajająco. Jeżeli chodzi o osobistości na stanowiskach kierowniczych, lub odgrywających rolę polityczną, to nastroje były bardziej różniczkowane. Ogromna większość pokazywała dobrą wolę do współpracy z Ambasadą, między innymi przedstawiciele emigracji przedwojennej. Jednak spośród politycznych działaczy, parę jednostek o nieco burzliwym temperamencie, uważając się za uprawnionych do niezależnego działania, odnosiło się początkowo krytycznie i z pewną niechęcią do poczynań Ambasady i z trudem podporządkowywało się dyrektywom, przychodzącym z Londynu. Oceniałem w całej pełni godną szacunku i ofiarną pracę wszystkich kierowników akcji społecznej, którzy w przełomowych chwilach, działając z własnej inicjatywy, starali się opanować trudną sytuację i położyli istotne zasługi w dziele organizacji natychmiastowej, doraźnej pomocy dla uchodźców na terenie Francji nieokupowanej, lecz musiałem dążyć do koordynacji aktywności na polu opieki, a oczywiście jeszcze bardziej do ujednostajnienia politycznego charakteru działalności wszystkich organów polskich. Nastroje uległy wkrótce pożądanej ewo-

lucji. Nie udało się, co prawda, stworzyć — o co usilnie zabiegałem — reprezentatywnego ciała społecznego, złożonego ze wszystkich wybitnych osobistości polskich, przebywających we Francji, które by z należym autorytem działać mogło w ścisłym porozumieniu z Rządem, ale jednak z czasem faktyczna łączność i współpraca z Rządem wszystkich czynników polskich we Francji, w miarę jak na to pozwalały warunki, stały się trwałym faktem.

W samym Vichy przebywało w tym czasie wielu wybitnych polityków, m.in. prezes T. Bielecki, Minister J. Zdziechowski, a także przedstawiciele dawnej emigracji, jak prezes Kalinowski, a na południu Francji wielu innych.

Sytuacja Ambasady w stosunku do Rządu francuskiego była bardzo trudna. Obecność przy Rządzie francuskim w Vichy dyplomatycznej misji polskiej była prawdziwym politycznym paradoksem, jeżeli się zważy, że Rząd francuski był wówczas jak najściślej uzależniony od Niemców i żył w ciągłym strachu wysunięcia przez tych ostatnich coraz to nowych pretensji. Miał, że dla Francji wojna się skończyła i że rozpoczął się okres organicznej odbudowy zanikał z dnia na dzień. Już w parę tygodni po rozejmie wielu uświadomiło sobie, że Rząd idzie po złej drodze i szukało sposobności uwolnienia się od „kolaboracjonizmu”.

Z drugiej strony grupa polityków germanofilskich z wicepremierem (właściwie premierem) Laval'em na czele brnęła coraz głębiej, szukając zbawienia dla kraju w coraz to dalej idącej uległości wobec Niemców. Wreszcie trzecia grupa reprezentowana głównie przez czynniki gromadzące się wokoło Ministerstwa Spraw Zagranicznych i w pewnej mierze przez sfery wojskowe, usiłowała utrzymać linię pośrednią: jak najmniej się angażować, nie palić mostów od strony aliantów, starać się zdobyć choćby pewne minimum niezależności od Niemców i bronić wytrwale interesów francuskich, szczególnie w odniesieniu do zamorskich posiadłości.

Nad wszystkim ciążył jednak brutalny „Dyktat niemiecki”. W tych warunkach sytuacja Ambasady Polskiej była niesłychanie krucha. Co prawda, w układzie o zawieszeniu działań wojennych sprawa reprezentacji dyplomatycznych przy Rządzie francuskim nie była wspomniana. Niemcy, uspokojeni faktem wyjazdu Ambasad i Poselstw alianckich z Bordeaux kwestią tą widocznie przez czas pewien nie zajmowali się, a dopiero gdy Radio Londyńskie podało wiadomość o moim przybyciu do Vichy i zapowiedziało przyjazd do Londynu pana Gauquié, jako chargé d’Affaires francuskiego przy Rządzie polskim, Niemcy zaczęli wywierać presję na Francuzów, by zerwali stosunki z misjami alianckimi, gdyż pozostawanie w Vichy przedstawi-

cielstw Rządów walczących przeciw Niemcom stanowi akt nieprzyjazny ze strony Rządu francuskiego i jako taki przeciwny zobowiązaniem rozejmowym. Ministerstwo Spraw Zagranicznych broniło się dość energicznie, starając się, jak tylko można przewlec sprawę. Natomiast premier Laval, jak we wszystkim, tak i w tym zagadnieniu, pragnął pójść na rękę Niemcom, u których zabiegał wówczas o możliwość przeniesienia rządu z Vichy do Paryża. W sprawie misji alianckich widział on możliwość dania Niemcom satysfakcji, a po tej linii stałych ustępstw szła jego polityka. Wkrótce więc, po wyżej wspomnianym komunikacie B.B.C., Biuro Premiera podało do prasy notatkę, że Premierowi nic nie wiadomo o istnieniu oficjalnych misji alianckich w Vichy i że tych przedstawicielstw w ogóle w Vichy nie ma. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych przeproszano mnie z wyrazami wielkiego żalu za ten wybryk propagandy Laval'a i proszono, żebym na tego rodzaju wystąpienia w prasie nie zwracał uwagi. Zapewniano mnie, że nic się nie zmieniło w sytuacji Ambasady i że będzie nadal uznawana. Proszono mnie tylko bardzo usilnie, bym unikał w swej akcji zbytznego rozgłosu, a przede wszystkim nie zgłaszał się do wicepremiera, a także dawano dyskretnie do zrozumienia i do marszałka Pétain'a, nad którym Laval rozciągał swą nieodstępną opiekę, kontrolując wszystko, co w okół sędziwego Marszałka się dzieje. Nie mając wyboru, zastosowałem się do tych sugestii. Próbowałem, co prawda, nieco później nawiązać kontakt prywatnie z wicepremierem, ale nie dało to rezultatu. Wobec Marszałka mogłem działać tylko drogami pośrednimi. Miałem zresztą okazję przekonać się wkrótce o słuszności rad moich przyjaciół i przyjętej przeze mnie taktyki, a to w związku z przybyciem do Vichy ze Szwajcarii specjalnego wysłannika, który przywiózł list od Prezydenta Paderewskiego do Marszałka Pétain'a. *Demarche* ta nie dała absolutnie żadnych rezultatów. Wobec zupełnej rezerwy Szefa Państwa i jawnej niechęci Premiera, musiałem działać bardzo ostrożnie, by móc rozwijać nadal starania o załatwienie szeregu spraw dla nas ważnych, a przy tym zachować w tej akcji formy odpowiadające godności Rządu, którego byłem oficjalnym przedstawicielem (ten ostatni względ był czasem niedoceniany przez niektórych rodaków).

Nakreśliwszy powyżej w najogólniejszych liniach tło, na jakim rozwijała się działalność Ambasady, chciałbym podać, również w najkrótszym zarysie, nieco informacji o tej działalności.

Ścisłe politycznych celów moja misja nie miała. Mogłyby się one wytworzyć z czasem, gdyby ogólna ewolucja wypadków była sprzyjająca w sensie zasadniczej zmiany polityki rządu fran-

cuskiego, tj. gdyby ten rząd szczerze pragnął wydostać się spod panowania niemieckiego, odwrócił się od polityki „kolaboracji” i pragnął, w porozumieniu z obozem alianckim, pchnąć na nowo Francję na drogę walki przeciw Niemcom, lub choćby biernego oporu. Taka ewolucja polityczna wydawała się wówczas wielu politykom i dyplomatom prawdopodobną. Wielu sądziło, że Marszałek Pétain bierze taki obrót wypadków pod uwagę i wcześniej czy później dokona odwrócenia sytuacji, przenosząc Rząd do Afryki, a także spodziewano się, że alianci i również Stany Zjednoczone wywierac będą silny nacisk w tym kierunku na Rząd w Vichy. Ewolucja wypadków nie poszła po tej linii. Natomiast, oczywiście, ogólnym moim zadaniem było starać się działać w myśl postulatów i interesów naszych, a więc w ogóle obozu alianckiego w wojnie z Niemcami i gdzie tylko i jak tylko było to możliwe zachęcać Francuzów do oporu przeciw Niemcom, i do wznowienia walki w porozumieniu z aliantami. Zważywszy okoliczności, tego rodzaju akcja musiała być prowadzona bardzo dyskretnie. Prasa była dla nas całkowicie niedostępna, lecz propaganda mówiona nie była bez znaczenia, jeżeli się zważy skoncentrowanie w Vichy czynników kierujących francuską opinią publiczną. Ambasada nasza była niewątpliwie ośrodkiem propagandy mówionej. Pomimo trudności technicznych, przyjmowaliśmy w naszej willi wiele osób — zarówno Francuzów jak i dyptomatów innych krajów. Żałowałem tylko, że Londyn nie nadsyłał nam dostatecznego materiału informacyjnego i sugestii. Te wiadomości mogłyby być bardzo użyteczne w rozmowach z Min. Baudouin, z przedstawicielami MSZ i osobistościami politycznymi. Co prawda, był to okres wielkich bombardowań bitwy o Londyn. Mieliliśmy więcej informacji ze słuchania radia, niż od naszych urzędów. Jednak nawet ta mała ilość wiadomości, jaką posiadaliśmy, wzbudzała zainteresowanie zarówno Ministra Baudouin’a i Ministerstwa Spraw Zagranicznych jak i wszystkich osób, z którymi mieliśmy do czynienia. Miałem wówczas wrażenie, że dwa czynniki może mogłyby mieć pożądany wpływ: nieoficjalny choćby, lecz bardziej stały kontakt ze strony brytyjskiej i wpływ Stanów Zjednoczonych. W omawianym okresie polityka Stanów Zjednoczonych nie była szczęśliwa dla sprawy alianckiej. Z rozmów z Chargé d’Affaires’em Murphy, mogłem się przekonać, że Ameryka właściwie popiera politykę rządu w Vichy, a w każdym razie, nie przesądzając zapewne przyszłości, utrzymuje stanowisko neutralistyczne, obiecując Francji pomoc charytatywną i ekonomiczną. M.in. Amerykanie uważali, że zabieg Laval’a o przeniesienie rządu do Paryża (czy też Wer-salu) pod całkowitą okupację niemiecką, mogą być usprawiedli-

wione troską o ekonomiczną sytuację Francji. Nie były to zapewne osobiste opinie Murphy'ego, który później odegrał wybitną rolę w przygotowaniu desantu amerykańskiego w Północnej Afryce — lecz wyraz stanowiska, jakie w tym czasie zajmował Departament Stanu. Zresztą, jak wiadomo, Amerykanie bardzo długo byli przeciwni akcji „Wolnej Francji” Generała de Gaulle'a, a okazywali zaufanie dla czynników Francji metropolitalnej. Wydaje się, że zrobili w tym wypadku złe obliczenie i w chwili decydującej rachuby te zawiodły. Przyznać trzeba, że w rezultacie zrozumiałego psychologicznego procesu, olbrzymia większość Francuzów, która moralnie uznała i poparła politykę marszałka Pétain'a, gdy zawierał rozejm, pozostawiała biernie jego decyzji ewentualną zmianę strategii politycznej, w chwili, gdy będzie to wskazane i możliwe. Nie będę tu wchodził w tej dygresji w rozpatrywanie skomplikowanego rozwoju polityki angielskiej wobec Francji w tym okresie. Jak zwykle, polityka ta była wyrazem przenikliwego realizmu. Ostatecznie Anglicy nie chcieli podejmować większych wysiłków w chwili, dla nich samych krytycznej, nie mając pewności sukcesu; poparli więc akcję generała de Gaulle'a, a poza tym zastosowali politykę „czekać i przyglądać się”. Może żywsza akcja angielska we Francji metropolitarnej dałaby pozytywne rezultaty, ale było to niepewne. Generał de Gaulle sam łącznie z akcją oporu, odegrał później rolę właściwego czynnika dla sprowadzenia z powrotem Francji do obozu alianckiego.

Powracając do działalności Ambasady w poszczególnych sprawach, którymi się zajmowała, ująć ją można w paru następujących punktach.

Jak wyżej już było wspomniane, dwumiesięczny pobyt Ambasady na terenie Francji niewątpliwie przyczynił się do uspokojenia nastrojów w kołach emigracji, do lepszego ułożenia się stosunków pomiędzy kierownikami akcji społeczno-opiekuńczej, do rozładowania nieporozumień politycznych i wzmocnienia autorytetu Rządu polskiego pośród uchodźstwa.

Zagadnienie demobilizacji i ewentualnej ewakuacji wojskowych stanowiło jedną z największych trosk Ambasady. Naszą koncepcją początkowo było przeprowadzenie demobilizacji przez konsulaty z tym, że następnie ewakuacja stałaby się zagadnieniem wyjazdu już osób cywilnych. Jednak ta procedura nie spotkała się, z różnych powodów, z uznaniem ze strony naszych czynników wojskowych, które spodziewały uzyskać od władz francuskich zezwolenie na ewakuację wojskowych, po przeprowadzeniu ich demobilizacji przez organy francuskie, z zachowaniem uprawnień do odpraw demobilizacyjnych, oraz pragnęły

utrzymać żołnierzy w oddziałowych formacjach. Przesadzano ilość żołnierzy mających być demobilizowanymi; wysuwano cyfrę 30 tysięcy, choć zdaje się, że było ich znacznie mniej. Żądano jawnej zgody na ich ewakuację. Te usprawiedliwione, lecz nieostrożne zabiegi bardzo zaszkodziły sprawie. Pierwszy rozkaz demobilizacyjny, idący po linii naszych dezyderatów, został na skutek ostrej interwencji Niemców wycofany i sprawa demobilizacji wzięła obrót przewlekły, niepomyślny i przykry. Nie będę tu wchodził w szczegóły, lecz powiem, że w sprawie tej Ambasada czyniła, co mogła, by uzyskać lepsze traktowanie naszych wojskowych i otrzymać choćby cichą zgodę władz francuskich na ich wyjazdy.

W dziedzinie spraw dotyczących naszych wojskowych największym dla nas zawodem było stanowisko, jakie wówczas zajęły w tej sprawie najwyższe czynniki wojskowe francuskie. Największym dla mnie osobiście zawodem było stanowisko gen. Weygand'a i także gen. Noguès, w związku z projektami przerwienia do Maroka większej grupy naszych wojskowych. Gen. Weygand, który później przeniósł się do Afryki i całkowicie zmienił linię swej polityki, stał wówczas, w Vichy, na stanowisku, przynajmniej na zewnątrz, ścisłego dotrzymywania zobowiązań rozejmowych, a w rozmowie ze mną zasłaniał się obowiązkiem lojalności wobec kontrahenta niemieckiego. Tak samo gen. Noguès, który na parę dni przybył z Maroka do Vichy, nic pozytywnego nie chciał mi obiecać. Na niższych stopniach hierarchii wojskowych spotykaliśmy się z większym zrozumieniem i chęcią pomocy, lecz w miarę powiększania się nacisków niemieckich, dobre intencje naszych przyjaciół coraz bardziej stawały się teoretyczne. Jednak nasze wysiłki nieraz przyczyniały się do obrony praw i sytuacji naszych wojskowych i polepszenia ich warunków życia, m.in. również i w obozach pracy.

Ambasada zajmowała się też usilnie ułatwieniem indywidualnych wyjazdów osób cywilnych i wojskowych. W korpusie dyplomatycznym mieliśmy przyjaciół, którzy wydatnie pomagali nam w tej dziedzinie. Chciałbym tu w szczególności wymienić nazwisko zacnego i szlachetnego przyjaciela Polaków, Ambadora brazylijskiego, Couza Dantas, który nieraz — wobec oporu swych bardziej rygorystycznych współpracowników — własnoręcznie wypisywał na, liberalnie wystawianych, paszportach polskich wizy docelowe do Brazylii, które umożliwiały wyjazdy przez Lizbonę do Anglii. Inni też dyplomaci południowo-amerykańscy okazywali nam przyjazną pomoc.

W dziedzinie spraw finansowych — wiele uzyskać nie było można. O zabiegach naszych dla zabezpieczenia złota polskiego,

wywiezionego do Dakaru, pisałem w swoim czasie. Uzyskało się ostatecznie minimum uznania i zabezpieczenia naszych praw i potwierdzenie, że złoto nie będzie wydane Niemcom. Zabiegi o uruchomienie kredytów i zablokowanych rachunków w bankach francuskich nie mogły, wobec ścisłej kontroli niemieckiej, dać pozytywnych rezultatów. Wydatki więc na pomoc dla uchodźców musiały być pokrywane z budżetów poszczególnych ministerstw francuskich. Jednak udało nam się podjąć nieco sum rządowych z różnych źródeł, tak, że Ambasada, która przybyła do Vichy bez żadnych środków finansowych, wyjeżdżając, po wpłaceniu szeregu odpraw i należności, mogła zabezpieczyć pełne trzymiesięczne budżety dla naszych zastępczych urzędów i instytucji. Dodam, że później, już z Londynu dopilnowywałem stale, by budżety dla terenu francuskiego były zapewnione, co nie przychodziło tak łatwo w ówczesnych warunkach wojennych.

Póki Ambasada przebywała w Vichy, interesy obywateli polskich bronione były stale na drodze normalnych interwencji w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i innych urzędach francuskich. Gdy jednak data wyjazdu Ambasady i zamknięcia konsulatów zbliżała się, przystąpiliśmy do stworzenia aparatu zastępczego i ustalenia podstawy i formy dalszej opieki nad Polakami we Francji. Wraz z radcą Kawalkowskim odbyliśmy w tym celu szereg konferencji z przedstawicielami francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z dyrektorem Rochat na czele; brali w tych pertraktacjach udział między innymi pp. Bressy, Gauquié i Radca Prawny MSZ, profesor Basdevant. W rezultacie tych konferencji udało się nam ustalić na piśmie niezmiernie ważne porozumienie. Układ ten gwarantował de facto uznawanie nadal przez władze francuskie obywatelstwa polskiego naszych uchodźców i ustalił formy przedłużania ich paszportów i wydawania legitymacji. Ustalał, że funkcje konsulatów będą pełniły tzw. Biura Polskie². Na szefów tych biur wyznaczeni mieli być emerytowani konsulowie francuscy, z zastępcami Polakami. Personel pozostawał polski, złożony z urzędników dawnych konsulatów i miał być płatny przez nas. Zapomogi uchodźcze miały być utrzymane. Układ ten został potwierdzony w ten sposób, że ja złożyłem *note-verbale* z tekstem głównych punktów porozumienia, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych potwierdziło mi odbiór tej noty. Więcej w tych warunkach trudno było się spodziewać. Została też pozytywnie ustalona sytuacja urzędników Ambasady i konsu-

1. *Tydzień Polski* z 15 września 1959 r.

2. Biura te stanowiły zupełne novum w dziedzinie prawa międzynarodowego.

latów, którzy pragnęli pozostać we Francji, jako osoby prywatne. Spośród tych kolegów, którzy zdecydowali się pozostać we Francji, jako osoby prywatne, prawie wszyscy wzięli później udział w akcji tajnej polskiego ruchu oporu. Radca Kawałkowski i Sekretarz W. Dąbrowski objęli w tym ruchu stanowiska naczelne. P. Kawałkowski później był konspiracyjnym przedstawicielem Rządu. Konsul Mierzyński i Sekretarz K. Sośnicki ofiarną pracą dla Ojczyzny przypłacili życiem, ginąc w obozie koncentracyjnym, niemieckim.

Wobec niemożności utworzenia na terenie Francji autorytatywnej reprezentacji polskiej o charakterze ciała zbiorowego, głównym organem opieki polskiej pozostała organizacja Polskiego Czerwonego Krzyża wraz z Komitetem Społecznym. Na polecenie z Londynu, przed wyjazdem zaakredytowałem, ustnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jako męża zaufania Rządu, tj. faktycznego przedstawiciela Rządu dla spraw Polaków we Francji, sekretarza generalnego Czerwonego Krzyża, p. S. Zabiełłę. W ten sposób zostało zapewnione, o ile było to możliwe, zorganizowanie w pełnym zakresie legalnego statutu Polaków we Francji, po zawieszeniu działalności polskich urzędów oficjalnych. Organizacja ta funkcjonowała sprawnie aż do zajęcia przez Niemców całości terytorium metropolitalnej Francji.

Do tego krótkiego bilansu działań Ambasady we Francji od lipca do października 1940 roku pragnę tylko dodać parę szczegółów, dotyczących politycznego oblicza zerwania z nami stosunków dyplomatycznych przez Rząd francuski w Vichy. Po paru dramatycznych rozmowach, jakie miałem z Ministrem Baudouin, notyfikacja zerwania przybrała formę bardzo charakterystyczną. W nocy urzędowej do mnie, Minister Baudouin stwierdził, że działa na żądanie okupantów, a jednocześnie otrzymałem pismo, podpisane przez sekretarza generalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym Amb. Charles-Roux stwierdzał, że przymusowa przerwa stosunków dyplomatycznych nie zmienia w niczym przyjaźni i uczuć Francji dla Polski. Żegnany byłem, jeżeli tak można powiedzieć, bardzo serdecznie. Odbyło się szereg pożegnalnych przyjęć, w których wzięła udział większość urzędników M.S.Z. Pomimo dobrze zrozumiałej niechęci, nie odrzucałem tych objawów sympatii, by nie utrudniać sytuacji tak licznych rodaków pozostających we Francji i móc im choć z daleka okazywać pewną pomoc. Wielu wyższych urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych składało mi wizyty; zjawiał się nawet w Ambasadzie najbliższy współpracownik i szef gabinetu marszałka Pétain'a, dr Menetrel. Wszyscy podkreślali, że nie chodzi przecież o prawdziwe zerwanie stosunków, lecz o

chwilową niemożliwość ich urzędowego utrzymywania. Nawet w ściśle cenzurowanej prasie Vichy, pojawiła się nieśmiało notatka z wyrazami sympatii dla odjeżdżających dyplomatów.

Myszę, że presja niemiecka istotnie była dość stanowcza. Obecność i działalność wrogiej dla nich placówki we Francji była solą w oku Niemców. W ostatnich tygodniach naszego tam pobytu rozpuszczano nawet pogłoski, że Niemcy szykują „raid” na Ambasadę, tak, że policja przysłała dla ochrony Ambasadę kilku zbrojnych *gardes mobiles*.

Formy, w jakich zerwanie stosunków odbyło się, świadczyły o tym, że Ambasada spełniła swoją misję w sposób odpowiadający względom należnym Rządowi Polskiemu i że było to właściwie ocenione przez czynniki francuskie, pomimo, że sprawa, której broniła była przeciwieństwem tego wszystkiego, co stanowiło podstawy polityki kapitulacyjnej, gdyż reprezentowaliśmy, pośród ich rezygnacji, ducha walki aż do zwycięstwa.

Zważywszy wszystkie powyższe okoliczności Rząd nasz uznał, że Rząd w Vichy nie może już działać niezależnie i z własnej woli, więc zaprzestanie przez niego utrzymywania z nami stosunków dyplomatycznych, nie stanowi zerwania Francji z nami. Rząd nie odwołał mnie ze stanowiska Chargé d’Affaires’a na Francję, a ja ze swej strony, nie potwierdziłem odbioru noty o zaprzestaniu stosunków. Toteż w charakterze Chargé d’Affaires’a na Francję mogłem wkrótce reprezentować w Londynie nasz Rząd wobec Komitetu Wolnej Francji gen. de Gaulle’a. Ze smutkiem patrzyliśmy na tych, którzy uważali się za pokonanych, lecz pragnęliśmy współpracować z tymi wolnymi Francuzami, którzy mogli i walczyli nadal dla honoru i przyszłości Francji i sprawy sojuszniczej. Dla polityki tej, której byłem zawsze przekonany rzecznikiem, a wyrażającej historyczną trwałość sojuszu Polski z Francją, dali pełne zrozumienie i poparcie zarówno p. prez. R.P. Władysław Raczkiewicz, jak i min. M.S.Z. A. Zaleski, jak również Rada Narodowa i inne czynniki polityczne. W okresie ustalania współpracy z Komitetem Wolnej Francji gen. de Gaulle’a okazywali mi stałe poparcie i cenną pomoc min. Stroński i prof. W. Folkierski. Każdy, kto czuł na sobie brzemień odpowiedzialności i musiał, choćby w ograniczonym zakresie, pobierać decyzje w kłeszkowych okolicznościach, zawsze będzie w swym sumieniu rozważał, czy zrobił wszystko, co należało i mógł, czy czasem czegoś nie zaniedbał, lub nie popełnił błędów. Jednak po 20 latach, wspominając o mej misji przy Rządzie francuskim po rozejmie, wydaje mi się, że misja ta, pomimo specjalnie trudnych warunków, w jakich się rozwijała, dała pewne doraźne, raczej pozytywne osiągnięcia. Stanowiła ona pierścień w łańcuchu

naszej ogólnej polityki wojennej, — by walczyć na każdym odcinku o nasze prawa i bronić, w porozumieniu z naszymi sojusznikami, każdej pozycji tak długo, jak było to politycznie celowe i możliwe.

Jestem szczęśliwy, że po przykrych przeżyciach w Vichy, dane mi było przyczynić się do utrzymania podstaw sojuszu i przyjaźni pomiędzy Polską i Francją przez bliską współpracę z Komitetem Wolnej Francji gen. de Gaulle'a. Wierzę nadal, że stosunek nasz do Francji w całym tym trudnym okresie był słuszny w obliczu przyszłości.

Feliks FRANKOWSKI

„PROCES SZESNASTU” W MOSKWIE

(Wspomnienia osobiste)

Upłynęło lat osiemnaście od tego procesu o znaczeniu międzynarodowym i ważkich następstwach dla Polski, ale głosy o nim nie milkną. Nazbierało się wiele informacji i ocen, nieraz nieścisłych i niesłusznych. Wymagają one wyjaśnienia.

Niniejsze wspomnienie, jako osobiste, ze zrozumiałych względów specjalnie podkreśla postawę Ruchu Ludowego, który tak ważką odegrał rolę z racji jego siły w kraju i wpływu jego reprezentacji emigracyjnej na politykę rządu w Londynie.

Dziś już większość uczestników procesu ma usta zamknięte na wieki, a kilku żyjących w Polsce albo nie chce, albo też nie może się odezwać. O procesie tym wielokrotnie przemawiałem i pisałem, ale tylko fragmentarycznie. Uważam więc za swój obowiązek ogłosić bardziej szczegółowe omówienie, tym bardziej, iż jestem z tego grona już jedynym, obeznanym z całokształtem zagadnienia i mogę mówić nieskrępowanie.

W okresie od Powstania Warszawskiego do wywiezienia do Moskwy, jako urzędujący wiceprezes kierowałem polityką Stronictwa Ludowego (SL), mającego w podziemiu nazwę „ROCH” lub też „Trójkąt”. A na terenie międzypartyjnym byłem wiceprezesem Rady Jedności Narodowej (RJN) i członkiem jej Komisji Głównej (KG), która zastępowała plenum RJN, zwoływanym ze względów konspiracyjnych i technicznych dość rzadko. Żadnego z posiedzeń Komisji Głównej czy też plenum Rady nie opuściłem.

Był to okres kształtowania się stosunku do Sowietów i komunistów na emigracji i w kraju. Ludzie, którzy przez całą wojnę byli poza krajem, przy najlepszej woli nie mogą zrozumieć, w jakich warunkach prowadziliśmy pracę. Trudno im wżyć się w naszą sytuację. Trzeba więc cofnąć się do dziejów podziemia. Tym bardziej, iż miały one swoje odbicie w procesie, lub też były wprost tematem przewodu sądowego.

ZAGRAŻA DRUGI OKUPANT

Kraj i emigracja

Na emigracji, tzw. obóz sanacyjny znalazł się w pokażnej liczbie i to czołowych jego przedstawicieli. Zajęty był rozgrywką z Sikorskim i chciał się odgrywać. Ciężka sytuacja Polski nastęrczała nieraz łatwą krytykę. Tak to ocenialiśmy w Polsce. Tu natomiast były inne warunki. Zarówno prezydent Raczkiewicz, jak i pierwszy rząd z udziałem Adama Koca, symbolem dyktatury, nie wzbudzał zaufania. Wywołał nie tylko zdziwienie, ale i zakłopotanie. Tak samo było z legalizmem, opartym na konstytucji 1935 r. nielegalnie uchwalonej. Jeżeli na zewnątrz, dla polityki międzynarodowej było to potrzebne, nie rozumieliśmy, aby w wewnętrznym działaniu zostały nawet ślady tej antydemokratycznej ustawy. I Sikorski i Mikołajczyk nie znaleźli w tej sprawie zrozumienia, podporządkowaliśmy się tylko, dając tym wyraz osobistego zaufania.

Obóz sanacyjny w kraju stracił wszelkie wpływy, zwolennicy jego nie przyznawali się do przynależności do tej grupy. Lokowali się głównie w organizacjach wojskowych bez rozgłosu, co znakomicie ułatwiała konspiracja, operująca pseudonimami. Zespół polityczny czterech stronnictw, tzw. historycznych, rzeczywiście reprezentował zdecydowaną większość kraju. Poza nim nie było poważniejszych sił, obejmujących cały teren. Istniały tylko małe grupy, i to działające głównie w Warszawie, o coraz bardziej zanikających wpływach. Wszystkie one jednak uznawały Rząd w Londynie, nawet wprowadzające wiele zamętu Narodowe Siły Zbrojne (NSZ). Wpływy komunistyczne prawie nie istniały.

Te różnice między krajem a emigracją oraz trudności komunikacyjne, a do tego brak dostatecznych informacji, nie dawały

w kraju obrazu politycznej sytuacji Polski w świecie. Zwłaszcza że jedna strona — opozycja, przesadnie oceniała ją krytycznie, a druga — rządząca — tak samo przesadnie — pozytywnie. Kraj jednak orientował się na rząd, co było zrozumiałe. Najsilniejszą podporę miał w ludowcach, we wsi, która niedawno przeżywała sanacyjne rządy. Zwłaszcza, że do nas dochodziła bezkrytyczna reklama naszych przyjaciół: Roosevelta i Churchilla i rzekomych wielkich wpływów naszego rządu u zachodnich aliantów, oraz silnej pozycji Sikorskiego. Nawet bajeczki o Mikołajczyku, jako ulubionym uczniu Churchilla, i, nawet, do niego podobnego... Rozgrywki w Paryżu i w Londynie miały rozgłos w Polsce jako wojna sanacji z rządem, który ona chce opanować. Kraj był tym zgorzszony, zwłaszcza, iż my umieliśmy utrzymać współpracę czterech stronnictw.

Na tym tle zaufania do rządu i naszych przedstawicieli opie-raliśmy stosunek do Sowietów. Układ z Sowietami — mimo jego niejasności — i wyjście armii polskiej z Rosji, w kraju prawie nie miały przeciwników. Powszechnie przyjęto decyzję rządu w sprawie Katynia. Natomiast w kraju nasz praktyczny stosunek do komunizmu i Sowietów był zdecydowanie wrogi, i to bez mała we wszystkich obozach. Dopiero w końcu 1943 r. zwycięstwa sowieckie, a zwłaszcza bezsiła Zachodu w czasie Powstania Warszawskiego, zachwiały nieco nastrojami w Polsce. Wzmogły się wyłomy: w Stronnictwie Ludowym — grupa „Wola Ludu”¹, w Stronnictwie Pracy — grupa Felczaka, w PPS już dawniej był rozdział, który się zwiększał, ale nie miało to jakiegoś szerszego i poważniejszego znaczenia.

Memorandum

Dopiero w czasie Powstania Warszawskiego stanął przed nami jaskrawo stosunek do Sowietów i komunistów. W mieście oblężonym musieliśmy zajmować się nie tylko walką z wrogiem, ale opieką nad ludnością: wyżywieniem, ratowaniem rannych i chorych, grzebaniem zmarłych, podnoszeniem na duchu przez wydawanie pism, itd., a równocześnie w tych potwornych warunkach, wśród fali nalotów bombowców i niszczycielskich skutków potężnych dział wszelkiego kalibru, trzeba było odbywać długie wędrówki ostrzeliwanymi terenami, aby zdążyć na zebranie w sprawie stosunku do zagrażającego nam innego przeciwnika —

1. P.P.R. zwróciła się listownie do S.L. z propozycją porozumienia, a po otrzymaniu odpowiedzi odmownej zorganizowała grupę „Woli Ludu”.

sowieckiego. Nie wiem, czy znajdzie się w historii Polski podobna sytuacja...

Przełomowe były nasze obrady w dniach 28-30 sierpnia, gdy Mikołajczyk, po powrocie z Moskwy, większością głosów w rządzie, uzyskał zgodę na tzw. memorandum, które miano złożyć rządowi zachodnim w sprawie naszego stosunku do Sowietów. Według tego projektu Mikołajczyk miałby przyjechać do uwolnionej Warszawy, uzgodnić skład rządu złożony z czterech stronnictw RJN i PPR. W sprawie granic podano, że na wschodzie „zostaną przy Polsce główne centra życia kulturalnego i źródła surowców, koniecznych dla życia gospodarczego Polski”, a na północy i zachodzie „wszyscy Niemcy zostaną usunięci”. Zatwierdzenia ostatecznych zmian granic dokona sejm, który w najkrótszym czasie zostanie powołany.

PPS przedstawiła inny projekt. Różnił się od powyższego tym, iż żądał, aby wszystkie te akty w Polsce odbywały się za uprzednią zgodą Sowietów i w obecności przedstawicieli dyplomatycznych Zachodu. Sprawy granic na Wschodzie nie określał, miały być rozpatrzone po wojnie.

Rząd londyński wysłał do RJN te dwa projekty do naszej decyzji, żądając szybkiej odpowiedzi, zaznaczając jednak, iż projekt większości ma widoki poparcia przez Anglosasów. RJN stała więc przed ciężkim zadaniem. Odpowiedź Rady stwierdzała, że chociaż nieznane są nam motywy i konieczność nagłej odpowiedzi, i pomimo, że memorandum stanowi zmianę naszej polityki, rezygnację z granicy ryzykier, w tych przymusowych warunkach, w imię utrzymania jedności w RJN, decydujemy się przyjmując projekt większości rządu z niektórymi uzupełnieniami. Zaznaczono w uchwale, iż jednym z motywów naszej decyzji jest nadzieja na ułożenie stosunków z Sowietami i przyspieszenie pomocy dla Warszawy.

Ten ostatni argument w ówczesnym położeniu był niezmiernie ważki. Jednak w ciągu dwóch dni nadeszły z Londynu od prezydenta i SN nowe oświetlenia. Równocześnie Kraj. Rada Min. wysłała do Londynu krytyczne uwagi o memorandum. Uczynił to również gen. Bór. Wobec powyższego RJN znów jednomyślnie uchwaliła szereg uzupełnień, żądając, aby wyjazd rządu do Polski był uzgodniony z Sowietami i aby rząd przybył w towarzystwie ambasadorów Zachodu, aby uwolniono więźniów politycznych i aby AK otrzymała prawa kombatanckie. Nie zmieniono jednak zasadniczych punktów projektu większości rządowej: zgody na zmianę granic i wprowadzenia PPR do rządu. Podkreślić należy, iż projekt wprowadzenia PPR do rządu przyszedł z Londynu...

Chcę podnieść sprawę depeesz krajowych między krajem i Londynem, gdyż jest to już raczej rzecz historyczna. Nie mogę pominąć pewnych zastrzeżeń. O ile teksty wysyłane z Londynu w warunkach normalnych mają dużą dozę ścisłości, o tyle wysyłane z kraju, nie mające oryginałów, mogą być często zdeformowane i ulec pomyłkom, czy nawet „przeróbkom”. Pamiętam, iż w sprawie memorandum wysłałem bezpośrednio ze stacji radiowej, w obecności Stefana Korbońskiego, długą depezę do Londynu, pisaną „na kolanie” i nadawaną w bardzo ciężkich warunkach technicznych. W tej depeży z d. 30 sierpnia jest jakoby taki ustęp: „...z PPR uzgodniono wstępnie, że pożądane, aby rząd częściowo zjechał tu do formowania gabinetu, na rozmowy z PPR, już po przychylnym stanowisku Sowietów”. Pobóg-Malinowski podając tę depezę (Najnowsza Historia Polityczna Polski) dodaje, iż ludowcy układali się z PPR już w sierpniu, i może nawet wcześniej”. Otóż kwestionuję ten ustęp depeży odnośnie rozmów z PPR. Zaznaczam, iż w czasie Powstania, gdzie tylko nikła grupa komunistów brała udział w walkach pod komendą AK, nie byłoby nic dziwnego prowadzenie z nimi rozmów. A jednak tak nie było. Przecież w czasie Powstania nie było takich przywódców PPR w Warszawie, którzy by mogli mówić w imieniu partii. Pobóg-Malinowski stale się zajmuje rzekomymi rozmowami ludowców z PPR-em. Teraz dopiero przeczytałem fantastyczne informacje jego (tom 3, str. 715) oparte jakoby na plotkach Wardejn-Zagórskiego (zastępcy Rzepeckiego w BIP), o których nigdy dotychczas nie słyszałem.

„...pod wrażeniem wieści o grożącym ze strony ludowców „zamachu stanu” (271), zapadła decyzja wycofania się Komendy Głównej ze Starego Miasta... K. Bagiński i A. Bień próbowali się porozumieć z komunistami, a przez nich z chełmskim Komitetem Wyzwolenia”.

A więc już nie tylko rozmowy z komunistami, ale zamach stanu! Jest to szczyt fantazji i złośliwości oraz tendencja zwalczania ludowców i tych wszystkich, którzy byli przeciw sanacji.

Przy okazji stwierdzam, iż nie tylko w czasie okupacji niemieckiej, ale aż do wyjazdu na emigrację nie prowadziłem rozmów politycznych w imieniu Stronnictwa Ludowego, ani też osobiście, z żadnym odpowiedzialnym komunistą (z wyjątkiem przymusowych rozmów w więzieniach i urzędowych z szefem cenzury w obronie prasy — jako kierownik Wydziału Prasowego PSL). Może się to wydać nawet dziwne, zwłaszcza w

latach gdy PSL było w rządzie. Miałem stale niechęć do rozmów z komunistami, a po Moskwie jeszcze większą.

PO POWSTANIU WARSZAWSKIM

Okulicki zyskuje zaufanie

Po Powstaniu nastąpiły zdarzenia, które stwarzały nową sytuację. Do nich w pierwszym rządzie należą stosunki w AK. Przede wszystkim sprawa objęcia przez generała Leopolda Okulickiego („Niedźwiadka”) Komendy Naczelnej po gen. Tadeuszu Borze-Komorowskim. Okulickiego nie znałem. W czasie Powstania i przed nim nie komunikował się z czynnikami politycznymi, lecz dopiero po Powstaniu, jako następca Bora. Z nominacją tą zaczęły się dziać rzeczy przedziwne. Londyn ustosunkowywał się do niego niechętnie. Odebrał mu właściwie wszystkie te kompetencje, jakie miał Bór. Okręgami miał dysponować Londyn bezpośrednio; narzucano i inne podobne ograniczenia. Do nas doszła z Londynu depesza Władysława Banaczyka (min. Spraw Wewn.) o braku zaufania do Okulickiego. Była też podobno w tym duchu depesza Mikołajczyka, ale do mnie taka nie dotarła. Według przyjętych rozmowań oceniano, iż jest to człowiek sanacji, ale okazało się, iż szef sztabu gen. Kopański i Prezydent, który decydował o nominacji, nie popierali Okulickiego. A więc coś innego? Postanowiłem rozmówić się z Okulickim bezpośrednio. Stawiałem szereg pytań, na które ku mojemu zdziwieniu odpowiadał pozytywnie. A były to stare, zadawnione spory, nigdy nie załatwione z AK: polityczne podporządkowanie wojska Delegaturze Rządu, ustanowienie Departamentu Wojskowego, który by łączył wojsko z Delegaturą, wprowadzenie jednego budżetu dla całego podziemia, włączenia BIP-u do aparatu prasowego Delegatury, przekazanie resztek cywilnej administracji, czego AK, wbrew układowi, definitywnie nie ukończyła, itp.

A ze spraw specjalnie interesujących ludowców, Okulicki obiecał mianować komendantami okręgowymi AK ludzi umiejących współpracować z BCh, co by ostatecznie załatwiło sprawę scalenia. Wreszcie postawiłem pytanie, czy gotów jest popierać politykę Mikołajczyka. Okulicki wyraził wątpliwość, czy da ona wyniki, ale nie będzie się angażował przeciw niemu. To mi wystarczyło. Nabrałem do niego zaufania.

Na posiedzeniu Komisji Głównej wysunąłem sprawę stosunku AK do Delegatury Rządu. Wicepremier Stanisław Jankowski, mając doświadczenie z rozmów z Borem, przyjął to niechętnie, jako stratę czasu. Nieoczekiwanie dla Jankowskiego, Okulicki opowiedział się pozytywnie w wyżej podanych sprawach, ze mną omówionych. Jankowski i przedtem nie był zadowolony z trudności czynionych Okulickiemu w Londynie, teraz więc silnie go poparł, tak samo i RJN. Wobec tego Londyn stopniowo zwiększał uprawnienia Okulickiego. Później okazało się, iż Londyn nie godził się na zbyt jaskrawe nastawienie Okulickiego dotyczące zmniejszenia działania zaczepnego w stosunku do Niemców. Zdaje się, iż chciał przystać gen. Tabora na komendanta AK.

„Niepodległość” (NIE)

Jeszcze inna ważna sprawa związana była z osobą Okulickiego. Londyn już od dawna, traktując to jako sprawę specjalnie poufną, powołał nową organizację pod nazwą „Niepodległość” (NIE). Do mojej wiadomości doszło to już po wkroczeniu Sowietów do Warszawy. Informował mnie o niej Okulicki i zapytywał, czy do niej przystąpi Stronnictwo Ludowe. Miało to być porozumienie konspiracyjne stronnictw z małym aparatem technicznym dla celów samoobrony. Zasadniczo miała to być organizacja polityczna. Osobiście uważałem za wskazane istnienie takiej organizacji, tym bardziej gdy przestanie działać Rada Jedności Narodowej i Delegatura Rządu. Na prośbę Okulickiego wtajemniczyłem w tę sprawę E. Czarnowskiego, przedstawiciela Zjednoczenia Demokratycznego w Komisji Głównej RJN. Odpowiedzi definitywnej Okulickiemu i Jankowskiemu nie mogłem dać bez porozumienia się z kierownictwem a więc i z Józefem Niecką. Rozmowa z nim była bardzo burzliwa. Sprzeciwił się kategorycznie. Sprawa naszego udziału nie była rozstrzygnięta do naszego aresztowania.

Niecko ulega przemianom

Muszę wyjaśnić postawę Niecki ze względu na jego pozycję w podziemiu jako szefa politycznego Batalionów Chłopskich, oraz przewodniczącego kierownictwa SL. Podczas Powstania konferencja działaczy ludowych powołała mnie na kierownika „ROCH-a” Gdy to ogłosiły pisma powstańcze, zjawił się Józef Niecko, który

siedział w piwnicy i obawiał się z niej wychylić. Zwołałem ten sam zespół i jako członkowi dawnego kierownictwa oddałem mu przewodnictwo z własnej inicjatywy, ale zląkł się, iż będzie musiał narażać się na niebezpieczeństwo w codziennej pracy, wobec tego przyjął z warunkiem, iż ja, jako urzędujący zastępca będę kierował całokształtem polityki stronnictwa. Tak było aż do mego aresztowania, choć powołano później szersze kierownictwo. J. Niećko prawie się nie udzielał, po Powstaniu zaszył się na wsi, zdaje się dopiero w lutym zjechał do Warszawy.

Józef Niećko, jako kierownik „Wici”, zajmował przed wojną tak jaskrawe stanowisko antysowieckie i antykomunistyczne, iż miał opozycję w organizacji. Dopiero pod koniec wojny następowały w nim przemiany. Wyraźnie wystąpiło to gdzieś w styczniu 1945 r., gdy przysłał ze wsi do kierownictwa SL list, wypowiadając się za całkowitą zmianą polityki, rozejściem się z rządem i RJN. Wywołało to nasze zdumienie, ale nie odniosło żadnego skutku. Nikt się za tym nie opowiedział.

Wystąpienie z czwórporozumienia

Po Powstaniu odbyliśmy w Krakowie w dn. 4 listopada, a więc jeszcze przy rządzie Mikołajczyka, szerszą konferencję partyjną, na której ujawniło się stanowisko opozycyjne okręgu krakowskiego, głównie dra W. Kiernika, który przewidywał zwycięstwo sowieckie i dominację komunistów oraz konieczność liczenia się z tym, a więc rozluźnienie stosunków z prawicą. Podobnie zachowywał się Niećko.

W kilka lat później, gdy Niećko i inni współpracowali już z komunistami, chcąc stworzyć sobie alibi, twierdzili o powziętych jakoby wówczas w Krakowie uchwałach o rozejściu się z Delegaturą i RJN — tylko Bagiński nie wykonał tego. A więc zarzuty z dwóch stron: z jednej — jakoby ja sabotowałem porozumienie z komunistami, a z drugiej — iż do niego parłem. Prawda była inna. Uchwalono wówczas tylko wycofanie zobowiązania, które zawarto przy powołaniu w dn. 15 sierpnia 1943 r. Krajowej Reprezentacji Politycznej (KRP), polegającego na tym, że te cztery stronnictwa będą w tym zespole działały do czasu uzyskania niepodległości i wyborów do sejmu. Uchwała ta więc nie tylko nic nie zmieniała w stosunku do Delegatury, do Rządu w Londynie, ale i w stosunku do RJN, w której SL pozostawało. Wymierzona była właściwie przeciw prawicowemu Stronnictwu Narodowemu. Zdawałem sobie sprawę, iż w dalszym nieprzychylnym rozwoju wypadków możemy być do tego zmu-

szeni, byłem jednak wówczas przeciw tej uchwale, tym bardziej, iż ja ją musiałem wykonać... Nie potrzebuję chyba dodawać, iż ja i obóz, do którego należałem, byliśmy wrogo nastawieni do Str. Nar., jednak w okresie okupacji byłem w bliskim kontakcie z kolejnymi prezesami SN: Stefanem Sachą, Władysławem Jaworskim i Aleksandrem Zwierzyńskim i doszedłem do przekonania, iż jest to obecnie od góry grupa konserwatywna o nastawieniu demokratycznym. Utwierdziły nas w tym kłopoty, jakie SN miało z faszyzującymi NSZ i ONR, nie przebierającymi w środkach zwalczania SN, zwłaszcza za reformę rolną uzgodnioną z nami w KRP i RJN. Nie bez znaczenia była lojalna współpraca w kraju przez cały czas okupacji, chociaż SN w Londynie nie wchodziło do rządu, ale w kraju bez przerwy było w czwórnoporozumieniu i RJN, a na przykład PPS nigdy nie wyjaśniła swego ustąpienia na szereg miesięcy w 1941-1942 r. Toteż wykonując uchwałę konferencji krakowskiej oświadczyłem Zwierzyńskiemu, iż mimo to zawsze mogą liczyć na lojalną współpracę i pomoc. Niedługo miałem możliwość żądać od władz sowieckich uwolnienia aresztowanego przez nich Zwierzyńskiego.

Komisja Główna RJN

Do obrazu całości wewnętrznych stosunków w RJN należy dodać, iż w codziennej pracy decydowała Komisja Główna. (K. Pużak, A. Zwierzyński, K. Bagiński i F. Urbański). Powiększona ona została o piątą osobę, reprezentującą grupy należące do RJN, ale nieobjęte czwórnoporozumieniem. Tak się dziwnie złożyło, iż na wniosek prezesa RJN Kazimierza Pużaka tym piątym przedstawicielem został Eugeniusz Czarnowski ze Zjednoczenia Demokratycznego o nastawieniu radykalno-sanacyjnym, ale on właśnie politycznie prawie zawsze występował razem z ludowcami. Podobna była również sytuacja ze Str. Pracy, chociaż Franciszek Urbański, były chadek, tradycyjnie zbliżony do narodowców, w tym czasie blisko współpracował z nami. A więc na pięć głosów mieliśmy trzy, czyli większość. Że ta większość nie była wykorzystywana w duchu porozumienia z komuną, świadczą liczne dokumenty. Nawet Pobóg-Malinowski (tom 3, str. 857) podaje uchwałę Kom. Głównej RJN z d. 23 stycznia 1945 r.: „Lubelski rząd jest nielegalnym, samozwańczym tworem obcych sił, opartym na terrorze”. Jest ona powtórzeniem innej, powziętej przedtem przez SL w dn. 12 stycznia 1945 r. (podanej przez Pobóg-Malinowskiego na tej samej stronie):

...,rząd lubelski jest nielegalny, samozwańczy, oparty na obcej sile”.

Gdzież jest więc to parcie ludowców do porozumienia się z komuna, o którym Pobóg-Malinowski wspominał, iż nastąpiło w sierpniu, gdy w siedem miesięcy później ludowcy stale atakują PPR i ich rząd. Najlepiej to świadczy jakimi pobudkami kierował się Pobóg-Malinowski: nagromadził wiele faktów, informacji i dokumentów, ale właściwie nie na nich, ale na sympatiach i antypatiach w duchu piłsudczyków opierał swoje sądy. „Swoi” zawsze działają zgodnie z interesem Polski, a inni błędzą...!

Ustąpienie Mikołajczyka. Kraj chce jedności.

Niespodziewane ustąpienie Mikołajczyka z rządu w dn. 24 listopada 1944 r. przyjęliśmy z wielką troską. Nadesłał on do SL obszernie wyjaśnienia o swoim ustąpieniu. Traktował to jako protest przeciw większości rządowej, która odrzuciła propozycję Roosevelta, obiecującego zażądać od Stalina Lwowa dla Polski za cenę rezygnacji z reszty kresów wschodnich. Podzielaliśmy pogląd Mikołajczyka odnośnie usiłowań ratowania Lwowa, ale ustąpienie z rządu budziło poważne wątpliwości. Jedność w kraju i na emigracji uważaliśmy za fundament naszej siły i utrzymanie nastrojów przeciw rządowi lubelskiemu. Jest prawdą, że ludowcy grozili ustąpieniem z RJN, ale traktowano to jako formę nacisku na Londyn. Używały tej metody i inne stronnictwa, czynił to również i S. Jankowski.

W dn. 23 stycznia 1945 r. trzy stronnictwa (K. Bagiński — SL, Kwasiborski — SP, i E. Czarnowski — Zjedn. Dem.) podpisały depezę do Londynu, w której żądały ustąpienia Arciszewskiego w imię utrzymania jedności i powołania rządu o wyraźnym obliczu społeczno-politycznym jako skuteczne przeciwdziałanie Lublinowi. Inna znów depeza z dn. 4 lutego wysłana do Mikołajczyka przez K. Bagińskiego (Pobóg-Malinowski, str. 858) wysuwa nową propozycję: „Marcin (Z. Zaremba) proponuje zmiany: Arciszewski prezydentem, Stem (Mikołajczyk) premierem rządu, ewentualnie bez kwadratu (Str. Narodowe). My zasadniczo godzimy się”.

A więc i czwarte stronnictwo — PPS, w pewnej formie wystąpiło za zmianą rządu. Czy była ona nierealna, nie mogliśmy się orientować, dalecy od rozgrywek i zbytnej formalistyki Londynu. Zdawało się nam, iż nie jest cnotą trwanie w bezruchu, gdy wokół wszystko się pali.

Rządy sowieckie i komunistyczne

Zajęcie Warszawy i reszty Polski przez armię sowiecką stworzyło nową sytuację. Mieszkałem na krańcu wioski pod Pruszkowem, skąd było blisko na różne spotkania, odbywające się głównie w rejonie Milanówka. Wkroczyły wojska sowieckie i nastąpiło chwilowe odprężenie. Padło jedno jarzmo — przyszedł nowy okupant. I co dalej? Przez Milanówek przepływa masa wojska sowieckiego. Żołnierz zmęczony, wielki procent młodych chłopaków, wszystko nędznie wyekwipowane, wyróżnia się tylko sprzęt amerykański i angielski. W Milanówku na ulicy przyglądają się przechodzącym wojskom ponure tłumy, nie okazując żadnych objawów przyjaźni. Wiadomo, jak zachowują się Sowiety za Wisłą, zwłaszcza w lubelskim, gdzie od kilku miesięcy już gospodaruje i działa pseudo-polski rząd w Lublinie. Aresztują i wywożą do Rosji członków AK, administracji podziemnej złożonej przeważnie z ludowców. W Lublinie przez kilka dni, zanim Sowiety jeszcze się umocniły, a siły Bat. Chłopskich i AK były znaczne i brały udział w zdobywaniu Lublina, tolerowali wojewodę konspiracyjnego, który urzędował oficjalnie, uznawany przez całą ludność. Wreszcie wojewodę Cholewę² i Chmielewskiego, obu ludowców, zaproszono na konferencję, która skończyła się wywiezieniem do Rosji.

Charakterystyczne, iż jedyna sprawa, która, zdawałoby się, powinna rozentuzjasmować wieś — to reforma rolna. Chłopi jednak zachowali się oziębłe. Nie mieli zaufania do jej trwałości, widzieli robotę niedbałą, obliczoną tylko na efekt agitacyjny, który niweczyła obawa, iż skończy się to kołchozami.

Najboleśniej jednak nowe rządy odczuła ludność przez zmianę pieniędzy. Od razu unieważnili wszystkie będące w obiegu, okradając w ten sposób najbiedniejszych. Wymieniali tylko po 500 zł. polskich (5 dol.) na osobę i to z trudnościami. Toteż w ciągu kilku tygodni ustał całkowicie handel, gdyż nikt nie miał pieniędzy. Nastąpił głód, jakiego nie było w ciągu całej wojny.

A do tego wojsko sowieckie wywoziło do Rosji wszystko, co im się mogło przydać, napadało na ludzi, itp.

2. Później dowiedziałem się bardzo charakterystycznego szczegółu. B. poseł ludowy, Andrzej Koter, znany działacz społeczny, który ma gospodarstwo pod Lublinem, w czasie pierwszej wojny światowej ukrywał Bolesława Bieruta w swoim gospodarstwie jako ogrodnika. Niezwłocznie po przyjeździe do Lublina Bierut zgłosił się do Kotera z kurtuazyjną wizytą. Koter, jak mi opowiadał, zwrócił się do niego, aby spowodował zwolnienie z więzienia Cholewy. Bierut oświadczył, iż, niestety, on nic w tej sprawie nie może uczynić...

Siła ludowa

Pod firmą Lubelskiego Stronnictwa Ludowego zaczęto organizować wieś. Teoretycznie wstrzymywaliśmy ogół od wstępowania do tego stronnictwa, ale w praktyce było to rzeczą trudną wobec parcia mas chłopskich, które chciały się wyżywać w wolności. Okazało się, jak głęboko sięgały konspiracyjne wpływy ludowe. Były to organizacje szczerze ludowe, zagarniające w swej fali i organizatorów tzw. „lubelskich”. W kilka miesięcy później, gdy wróciła do nas grupa Bańczyka, okazało się, iż w tym lubelskim tworze zostały tylko jednostki nasłane przez komunistów. Jaskrawo wystąpiło to na samym początku w Poznańskim i na Pomorzu, gdzie mieliśmy słabsze siły w czasie okupacji wskutek wysiedleń i wielkiego procentu Niemców. Tam komuniści rzucili się, zdawałoby się, na łatwiejszą zdobycz, ale tylko dopomogli nam do budowy szczerzej organizacji ludowej, która opowiedziała się przeciw nim.

Jednak władze wojewódzkie i powiatowe „ROCH-a” pozostały w konspiracji. Znamienne, iż tak było nawet w województwie lubelskim mimo wszelkich wysiłków komunistów. Najtrudniejsza jednak była w marcu sytuacja w Łódzkim, gdzie przeniosła się centrala „lubelskich” ludowców. Zawiadomiono nas, iż kierownik wojewódzki „ROCH-a” w Łodzi, Stefan Ignar, zamierza zjawić się na ich zjeździe, który ma się odbyć 4 marca. Pojechałem do Łodzi, aby zakazać tego wystąpienia. Po całonocnych obradach moich z zarządem wojewódzkim Ignar podporządkował się tej decyzji. Oświadczył jednak, iż usuwa się od działalności polityczno-partyjnej. Na zjeździe tym nie było przedstawicieli „ROCH-a”.

Jałta

Decyzje konferencji jałtańskiej były nowym nieszczęściem, które na nas spadło, wywołując powszechne przygnębienie i wściekłość na Anglosasów. Gwałtownie dobijaliśmy się do Londynu o wiadomości, pytając: „Na co rząd liczy, odrzucając postanowienia konferencji, jaki ma dalszy plan?”... „Milczenie wasze jest zgubne”.

W takich to nastrojach w dniach 21 i 22 lutego, nie wiele wiedząc, co się dzieje w Londynie, zebrała się RJN. Ciężkie to były dni. Czuliśmy się osamotnieni, opuszczeni przez aliantów, kierowani przez skłócony Londyn, nie wiedzieliśmy, co czyni Mikołajczyk. Powzięliśmy jednomyślną uchwałę.

Warto ją przytoczyć w całości, gdyż przeważnie podawana jest w skrótach, nie oddających pełnej treści.

„Rada Jedności Narodowej wypowiada przekonanie, że powzięte bez udziału i zgody Państwa Polskiego postanowienia Konferencji Krymskiej narzucają Polsce nowe niezmiernie ciężkie i krzywdzące ofiary. Rada Jedności Narodowej stanowczo protestuje przeciw jednostronności postanowień Konferencji, pomimo to zmuszona jest zastosować się do nich, pragnąc widzieć w nich w dzisiejszej rzeczywistości możliwość ratowania niepodległości Polski, uniknięcia dalszego niszczenia narodu oraz stworzenia podstawy do organizacji własnych sił i do prowadzenia przyszłej samodzielnej polityki polskiej.

Rada Jedności Narodowej czyni to w przeświadczeniu, że zarówno zachodni sprzymierzeńcy Polski, jak i ZSSR, w imię uznanych przez nich zasad Karty Atlantyckiej i demokracji, uszanują istotną niepodległość Państwa Polskiego, a ZSSR powstrzyma się od wszelkiej ingerencji w sprawy wewnętrzne Polski i umożliwi warunki, aby Rząd Jedności Narodowej był rządem istotnie niepodległego państwa polskiego i miał pełną możliwość przeprowadzenia wyborów i wykonywania władzy w warunkach prawdziwej wolności i demokracji, z wykluczeniem wszelkiego nacisku obcych sił.

Rada Jedności Narodowej wyraża przekonanie, że ostateczne ustalenie granicy między Polską a ZSSR nastąpi w drodze bezpośrednich rokowań między tymi państwami, bądź też na konferencji pokojowej; natomiast zachodnia granica Polski zostanie przesunięta do Nysy Łużyckiej i Odry, a na północy obejmie Prusy Wschodnie.

Rada Jedności Narodowej daje wyraz przeświadczeniu, że ogólnikowej formule Konferencji Krymskiej o porozumieniu „z przedstawicielami demokracji w kraju i zagranicą” zostanie nadana konkretna treść porozumienia się w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z Radą Jedności Narodowej w kraju oraz z Rządem i Radą Narodową w Londynie. Rada Jedności Narodowej, jako przedstawicielka Polski Podziemnej deklaruje swą gotowość podjęcia rokowań w tej sprawie”.

Nie jest prawdą, iż posiedzenie to było nieformalne. Brali w nim udział Delegat Rządu S. Jankowski i prezes RJN K. Pużak. Na emigracji ukazywały się co do tego błędne informacje, a zwłaszcza Stanisława Kauzika (Dołęgi).

Należy jednak podkreślić, iż na emigracji utrwalił się błędny pogląd o tzw. nieugiętej postawie rządu Arciszewskiego. Jeszcze przed Jaltą, w dn. 20 stycznia 1945 r., otrzymał Jankowski depeszę z Londynu od Arciszewskiego, iż na wypadek zwrócenia się do nas o rozmowy ze strony Sowieców, możemy je podjąć na zasadach znanego „memorandum”, a w depeszy z dn. 23 marca 1944 r. do Jankowskiego wyraźnie stwierdza: „Uważamy również, że rozmowy trzech (Harriman, Clark Kerr, Mołotow) powinny być prowadzone przede wszystkim z wami i niezależnie od naszego zasadniczego stanowiska w sprawie uchwał krymskich”. A więc wyraźnie dwutorowość, w tym wyjątkowym

wypadku zupełnie słuszną, zawierającą dla nas upoważnienie do rozmów.

Co ważniejsze: granice czy rząd?

Dyktat krymski streszczał się do dwóch spraw zasadniczych: granicy i rządu niezależnego, czyli niepodległości. Londyn już od czasu umowy z Sowietami prowadził walkę w sprawie granic, i tę wysuwał na front. Natomiast my w kraju raczej tę drugą, tj. zapewnienie niepodległości, powołanie niezależnego rządu. W Jałcie dokonano w stosunku do granic polskich wyraźnego gwałtu. Nie może on być uznany przez Polskę dobrowolnie ze względów prawnych i moralnych.

Ale właśnie w tym czasie Polska przechodziła tragedię, która zmuszała do spojrzenia z całkiem innej strony na zagadnienie granic wschodnich. Ukraińcy rzucili hasło: „Polacy za San i za Bug!” przy równoczesnym mordowaniu Polaków. Padły tysiące, a to głównie chłopów, którzy przecież nie mieli na swoim sumieniu prześladowania Ukraińców. Dziesiątki tysięcy uciekało do centralnej Polski. Nawet w Przeworskim, na Podlasiu, czy też w Hrubieszowskim postawa Ukraińców była taka sama. Polacy nie byli pewni życia. Znam te sprawy dokładnie. Poruszam tylko fragmentarycznie, aby uzasadnić postawę wszystkich nas w kraju, bez różnicy partii, bez jakichś pobieranych uchwał, ale automatycznie wynikał z tego realny stosunek do granic wschodnich, przesuując je na plan drugi, wysuwając na czoło sprawę rządu, gdyż niezależnie od Sowietów wszedł tu w grę innych czynnik...

Dla pewności przypominam, iż PSL „Wyzwolenie”, do którego należałem, w trzech sejmach stale broniło mniejszości narodowych, a zwłaszcza Ukraińców. Z tego tytułu osobiście wiele wycierpiałem od polskich szowinistów.

Konieczność ujawnienia się

Zagadnienie ujawnienia się przechodziło tyle faz, iż trudno je szczegółowo omówić. Zmieniało się w miarę zmiany sytuacji. Już po uchwałach w Jałcie była w kraju powszechna opinia o konieczności ujawnienia się. Rząd londyński właściwie zostawił nam tę sprawę do decyzji. Ale jak i kiedy?

W dn. 15 marca 1945 r. odbyło się posiedzenie kierownictwa „ROCH-a. Organizacja krakowska żądała natychmiastowego

ujawnienia się. Ponieważ wykonanie uchwały spadało na mnie, chciałem mieć więcej czasu na załatwienie tej ważnej sprawy i porozumienie się z RJN itp. Żądałem późniejszego terminu, do 2 kwietnia. Dla organizacji ludowej ujawnienie się było wyjątkowo sprawą ważną i pilną, gdyż była ona masowa i opanowała całokształt życia wsi. Nie ma tu możliwości przedstawienia szczegółowo tak mało znanego zagadnienia na emigracji. SL opierało się na działaczach lokalnych. W innym położeniu np. było AK. Komendantami byli przeważnie ludzie przysłani, ogółowi nieznanymi. My, jako kierownicy, pozostający w konspiracji, lada chwila mogliśmy być rozszyfrowani, gdyż znali nas komuniści i ludzie z różnych grup, jak np. z odprysków PPS, SD, czy Syndykalistów a teraz wielu z nich współpracowało z komunistami. O rozszyfrowaniu nas lada chwila donosiliśmy Londynowi. W pierwszych dniach marca zostali aresztowani główni przedstawiciele Str. Narodowego, Zwierzyński i Jakubowski.

Tego samego dnia co ludowcy, PPS odbyła w Krakowie decydujące posiedzenie. Zebrała się przedwojenna Rada Naczelna w liczbie 12 członków (8 odeszło do grupy Osóbki) i również postanowiła rozpocząć działalność legalną, nie ustalając co prawda wyraźnego terminu. Potwierdziła też przymusowe przyjęcie uchwał krymskich za podstawę do dalszych rokowań.

List Pimienowa³. Decyzja Jankowskiego

Około 8 marca drogą pośrednią doręczone były Jankowskiemu i Okulickiemu, omawiane już wielokrotnie w różnych publikacjach na emigracji, listy od podającego się za pułkownika Pimienowa, wysłane w imieniu gen. płk. Iwanowa ze sztabu Zukowa. Zwracał się z prośbą o spotkanie w celu wyjaśnienia zdarzających się zatargów i rozładowania podziemia, zakończone gwarancją słowa honoru bezpieczeństwa spotkania. Jankowski wezwał mnie, aby porozumieć się w tej sprawie. Reprezentowałem wówczas Prezydium RJN, gdyż Pużaka nie było, a Zwierzyński został aresztowany. Jankowski pokazał mi list, dodając, iż na przysłanym do Okulickiego był dopisek, że jeżeli nie zdecyduje się on na spotkanie, to ono i tak nastąpi. A więc wyraźna groźba, iż są na jego tropie. Zwłaszcza, iż przed miesiącem otrzymał ustne zaproszenie na spotkanie.

W związku z depeşami wysyłanymi do Londynu o niemożności kontynuowania konspiracji, Jankowski od razu był na-

³W „Wiadomościach” z 14 września 1958 r. („Podróż w nieznanie”) podałem dzieje tego listu i drogi do Moskwy.

strojony do skorzystania z nadarżającej się okazji. Pokrywało się to z moim i stronnictwa nastawieniem. Obawy podstępny Jankowski postanowił zmniejszyć przez wysłanie poprzednio Józefa Stemlera-Dąbskiego, zastępcę dyr. Dept. Inform. Del. Rządu dla zbadania sytuacji.

We wspomnieniach Z. Stypułkowskiego pt „W zawierusze dziejowej”, u Pobóg-Malinowskiego, oraz częściowo we wspomnieniach Zygmunta Zaremby pt. „Wojna i konspiracja” są wzmianki, iż na Jankowskiego naciskali ludowcy, aby przyjął zaproszenie sowieckie. Odbywał jakoby z nimi liczne konferencje. Nie odpowiada to rzeczywistości. Jankowski zachowywał wówczas ścisłą konspirację, mieszkał w ustronnej willi koło przystanku kolejki wilanowskiej. Nie odbywały się w tych dniach aż do 25 marca, posiedzenia ani Komisji Głównej ani RJN. Z ludowców kontakt z nim mieliśmy wówczas tylko ja i Stefan Korboński, ale on z innego tytułu (Dept. Spraw Wewnętrznych i radio). Z relacji Korbońskiego („W imieniu Rzeczypospolitej” str. 417-418) wynika, że decyzja Jankowskiego była samodzielna, chociaż Korboński miał wątpliwości, czy Delegat i Okulicki osobiście powinni pertraktować.

Pimienow trafia do ludowców

Po uchwale SL z dn. 15 marca o ujawnieniu się, stałem przed zagadnieniem, jak to uczynić. Uchwała nie zawierała żadnych wskazówek. Następnego dnia spotkałem na ulicy w Warszawie b. komendanta Bat. Chłopskich na województwo warszawskie, Tadeusza Wyrzykowskiego, który oświadczył, iż mnie poszukuje, gdyż znajomy jego z konspiracji zetknął go z pułkownikiem sowieckim, który chce nawiązać kontakt z ludowcami, „tymi prawdziwymi” nie lubelskimi. Wysunął on te same zagadnienia, co w liście do Jankowskiego, i zapewniał również słowem honoru bezpieczeństwo rozmów. Prosił, aby delegaci podali swoje prawdziwe nazwiska. Równocześnie wysunął możliwość wysłania delegacji polskiej do Londynu. Propozycja ta padła po raz pierwszy. Dopiero dnia następnego, przy spotkaniu z Jankowskim, Pimienow to powtórzył. Proponując delegację do Londynu Pimienow prawdopodobnie wiedział, iż taką propozycję uczyniła mnie PPR pośrednią drogą w końcu 1943 roku, abym jechał do Moskwy w sprawie polskiej (samolot miał być przygotowany przez Sowiety w lasach na wschodzie), na co zareagowałem dowcipem: „Bardzo chętnie, ale przez Londyn”. ...Teraz ten Londyn miał nas wabić.

Muszę sprostować różne błędne relacje, jakoby wysłanie delegacji podziemia do Londynu miało poprzedzić rozmowy ze sztabem sowieckim.

T. Wyrzykowski oświadczył, iż pułkownik ten prosi na jutro. Mając wolną rękę co do formy ujawnienia, szybko się zdecydowałem. Naznaczyłem spotkanie na 18 marca, gdyż wiedziałem o mającej dnia 17 marca nastąpić pierwszej rozmowie Jankowskiego z Pimienowem. Będziemy więc wiedzieli o jej wynikach.

Przy okazji chcę podnieść sprawę budzącą zainteresowanie — jaką drogą dotarły listy do Jankowskiego i Okulickiego. Ta sprawa do dziś nie jest wyjaśniona. Są różne relacje, np. Pobóg-Malinowski upatrzył sobie bezpodstawnie St. Mierzwę⁴. Znalezienie pośredniego kontaktu nie jest tak skomplikowane, jak się to wydaje nieobeznany z ówczesną sytuacją. Jako przykład może służyć znalezienie drogi do ludowców przez Wyrzykowskiego⁵. Takich możliwości było wiele.

O zamierzonej wizycie niezwłocznie powiadomiłem Jankowskiego, prosząc, aby dla podkreślenia wspólności naszej akcji zawiadomił Pimienowa o mającym odbyć się spotkaniu ludowców.

Znów odwiedziłem Jankowskiego po jego wizycie w sztabie. Był zadowolony, obawy niebezpieczeństwa zostały uspięne. Główny temat: wyrównanie zachodzących nieporozumień i ujawnienie stronnictw. Ustalono wizyty poszczególnych stronnictw, przedstawienie na piśmie ich głównych wytycznych, wspólna delegacja do sztabu Żukowa, a później wyjazd ściślejszej ekipy do Londynu. Jankowski mówił o dobrej woli władz podziemia. Gdy przedstawiciele Delegatury ujawniali się, lub AK, wspólnie z armią sowiecką występowała w walce z Niemcami w Wilnie, w Kowlu czy w Lublinie — zawsze kończyło się aresztowaniem. Pimienow znów zarzucał akty terroru przeciw armii sowieckiej i dalszą działalność AK.

W delegacji Stronnictwa Ludowego zaproponowałem udział tym, którzy prowadzili codzienną pracę w Delegaturze i RJN — A. Bieniowi i St. Mierzwie. Przebieg spotkania z Pimienowem był prawie taki sam jak z Jankowskim. Zapytałem, czy rozmowy nasze są prowadzone w związku z akcją trzech ambasadorów, powołanych w Jańcie do formowania rządu polskiego.

4. Wyjaśniłem to w „Tygodniku Polskim” (Londyn) w numerze z dn. 23 kwietnia 1960 r.

5. Uważam jednak za konieczne podać pewne informacje o mec. Wyrzykowskim. Przed wyborami w 1946 r. został wraz ze mną aresztowany w procesie o tzw. „Komunikat” (wewnętrzny PSL) i otrzymał wyrok 5 lat więzienia...

Odpowiedział, iż jest to samodzielna akcja armii sowieckiej. Domagaliśmy się zwolnienia aresztowanego A. Zwierzyńskiego, co Pimienow przyrzekł wykonać niezwłocznie...

Wizyta u Witos

Zgodnie z przyrzeczeniem Jankowskiego mieliśmy złożyć przez Stemlera na piśmie postulaty Stronnictwa Ludowego. Napisałem je w Piotrkowie na dworcu kolejowym, gdzie się znalazłem z tej racji, iż wraz Mierzwą pojechaliśmy do Piotrkowa, gdzie przez ostatnie miesiące ukrywał się W. Witos, który tym samym autem wraz z Mierzwą wrócił już legalnie do siebie do Wierchosławic. Z W. Witosem widziałem się po raz pierwszy w czasie wojny. Zdaliśmy mu sprawę z naszych planów na najbliższą przyszłość i z wyników narady kierownictwa „ROCH-a”, która odbyła się w nocy poprzedniego dnia (zdaje się z 21 na 22 marca). Na niej to ustalono dotychczasowy skład delegacji do dalszych rozmów z Sowietami, gdyż J. Niećko i S. Wójcik, którym to proponowałem, udziału odmówili.

Warto też sprostować informacje z różnych relacji jakoby tych kandydatów do rozmów było wielu. O SL pisałem. Z PPS poszli ci, którzy musieli — Z. Zaremba nie chciał. Podobnie było w innych stronnictwach; w SN dwaj główni delegaci byli aresztowani i przyszli na ich miejsce zastępcy.

Nieufność do płk. Rzepeckiego

Na 25 marca naznaczone było posiedzenie plenarne RJN w Warszawie. Okulicki zwrócił się do mnie o spotkanie przed tym posiedzeniem, prosząc o udział F. Kamińskiego, b. komendanta Bat. Chłopskich. Zastaliśmy tam prócz gen. Okulickiego płk. Jana Rzepeckiego. W jego obecności Okulicki bez wstępu oświadczył, iż wybierając się na to niepewne spotkanie z Pimienowem zamianował swoim następcą Rzepeckiego. Zaskoczony tą wiadomością odpowiedziałem krótko: „My nie mamy zaufania do pana pułkownika Rzepeckiego”. Nastąpiło krępujące milczenie, nikt z nas się nie odezwał i na tym spotkanie to się skończyło. Scena ta, jak wiele innych wiadoma była władzom sowieckim — na procesie pytano mnie o to.

Nasz negatywny stosunek do Rzepeckiego powstał dopiero po powrocie jego z Oflagu. Przed Powstaniem Warszawskim był w silnej opozycji do gen. Bora, którego działalność prawicową

uważał za szkodliwą, zwłaszcza porozumienie z NSZ. Dążył do zmiany komendanta naczelnego AK i wskazywał na konieczność oparcia się na lewicy. Borowi złożył obszerny memoriał w tej sprawie. W związku z tym przejawiał dużą sympatię do Ruchu Ludowego. Po powrocie jednak z Oflagu zachowanie jego wydawało się nam dziwne i niejasne, stąd moje oświadczenie.

Równocześnie w lokalu Okulickiego doręczono mi karteczkę od pewnego działacza socjalistycznego, który nie był w WRN, ale współpracował z nami i miałem do niego zaufanie. Głosiła krótko: „Nie idźcie na spotkanie. Szczegóły później”. A więc wyraźne ostrzeżenie.

Decyzja. Depesza Mikołajczyka

Na posiedzeniu w dn. 25 marca byli obecni: Kraj. Rada Ministrów: — Jankowski i jego trzech zastępcy: A. Bień, A. Pajdak i S. Jasiukowicz; AK — gen. Okulicki; oraz członkowie RJN: — K. Pużak (PPS), K. Bagiński (SL), St. Mierzwa (SL), J. Chaciński (SP), F. Urbański (SP) i E. Czarnowski (Zjedn. Dem.). A zatem ci wszyscy, którzy byli członkami władz podziemia i mieli być na rozmowach. Natomiast nie byli obecni: Zbigniew Stypułkowski (SN) i, o ile sobie przypominam, również Kazimierz Kobylański (SN), oraz Stanisław Michałowski (Zjedn. Dem.), którzy przyłączyli się do delegacji już w samym Pruszkowie. Stemler-Dąbski, który znalazł się u Pimienowa, załatwiając sprawy techniczne, został przez nich również zagarnięty.

Podczas tego posiedzenia S. Korboński doręczył mi depeszę Mikołajczyka nadesłaną do ludowców, którą niezwłocznie odczytałem. Była to odpowiedź na nasze pytanie z dn. 9 marca odnośnie zamierzonego ujawnienia. Zawierała zachętę do ujawnienia się i rozmów z Sowietami. Również poinformowałem o ostrzegawczej kartce, którą przed kilku godzinami otrzymałem. Informacje te nie wywołały dyskusji. Właściwie nie omawiano zasadniczej sprawy — iść czy nie iść — gdyż uprzednio już w poszczególnych rozmowach była ona rozstrzygnięta. Nie było nikogo, kto by oświadczył, że tego czynić nie należy. Wiadomo było, iż Okulicki był przeciwny temu, aby osobiście brać udział, ale głosu w tej sprawie nie zabrał.

Formalnie tylko zaakceptowano zamierzone rozmowy ze sztabem sowieckim, gdyż było to pierwsze posiedzenie, na którym omawiało się tę sprawę.

Zbiorowe spotkanie ze sztabem było wyznaczone na 27 marca, ale Pimienow zwrócił się o przesunięcie na dzień następnny 28-go

pod pozorem przybycia z Moskwy specjalnej delegacji. Natomiast prosił, aby w dn. 27-go odbyły się rozmowy wstępne z tymi, z którymi jeszcze ich nie mieli: tj. z PPS (Pużakiem i Pajdakiem) oraz z Okulickim, a również z Jankowskim, aby dokończyć przygotowania całości. Wobec tego ustalono na 27 marca po południu nasze zbiorowe spotkanie, aby poinformować się o odbytych rano rozmowach i ustalić naszą taktykę wobec Sowietów. Na posiedzenie w dn. 27 przybył Pajdak wprost z Pruszkowa. Po rozmowie PPS u Pimienowa on wyszedł, a ci trzej, jak twierdził, pozostali tam i na pewno zaraz wrócą. Nie miał żadnych podejrzeń. Czekaliśmy długo, ale nie zjawili się. Natomiast przybył w opłakanym stanie Jakubowski (SN — członek RJN), który wraz z kilkoma innymi uciekł z NKWD we Włochach, wyłamując kraty i deski, okalające piwnicę. Dopiero rano w Pruszkowie, gdy w miejscu gdzie naznaczyliśmy spotkanie, również ich nie było, powstały poważne wątpliwości, ale rozwiął je Stemler, który wyszedł do nas ze sztabu sowieckiego i oświadczył, iż Okulicki, Jankowski i Pużak już tam są. Nie było to prawdą, Stemler naiwnie uwierzył informacjom oficerów sowieckich.

Są to jednak wszystko drobne incydenty. Zasadnicze pytanie nurtuje opinię do dziś, jak mogliśmy być tak naiwni, dać się oszukać i po tylu doświadczeniach uwierzyć w rozmowy. Sprawa jednak nie była taka prosta, jak się dziś wydaje. Istniały wszelkie możliwości. Przecież można było wierzyć, że bezpieczeństwo nasze jest zagwarantowane, skoro rząd angielski podał nazwiska członków KRM rządowi sowieckiemu i zastrzegł się, że aresztowanie ich będzie aktem nieprzyjaznym. Osobiście, niezależnie od tego czy wierzyłem, czy też nie, w nasze bezpieczeństwo, nie odgrywało to roli, gdyż zdecydowałem się na ujawnienie poprzez władze sowieckie, uważając je za narzuconego, ale rzeczywistego gospodarza na ziemi polskiej, a nie rząd lubelski, którego nie uznawaliśmy.

Samo zachowanie się NKWD w stosunku do nas też było sprawą drugorzędną. Ciekawe, iż kierownicza trójka (Okulicki, Jankowski i Pużak) została zaraz z Pruszkowa przewieziona do Warszawy i zachowywano się wobec niej bez ceregieli, dość wyraźnie traktując ich jak aresztowanych. Natomiast w stosunku do nas trzynastu odmiennie: nigdy nie można było ustalić, czy to areszt, czy droga na rozmowy.

Z Pruszkowa wywieziono nas do Włoch. Dojeżdżając do budynku władz sowieckich, widziałem nieuprzątnięte wyłamane

deski koło piwnicy, gdzie siedział Jakubowski. Opis jego zgadzał się z tym co dostrzegłem...

Oczekując na samolot do sztabu Żukowa musieliśmy tam przenocować. Rano zjawił się jakiś generał. Według naszej późniejszej opinii był to prawdopodobnie osławiony gen. Sierow. Miał on do nas krótką, ale uprzejmą przemowę i zawiadomił, iż czekamy na samolot. Wówczas oświadczyłem o konieczności zawiadomienia naszych rodzin, które spodziewały się, że wczoraj wrócimy. Jeden z nas się do nich uda. Odpowiedział, iż trudno byłoby czekać na powrót, gdyż lada chwila nadejdzie samolot ale oni znajdą sposób zawiadomienia rodzin... Odpadła więc możliwość przekonania się o intencjach sowieckich.

Przewieziono nas na lotnisko w Warszawie. Pierwszy wszedłem do samolotu podtrzymany uprzejmie przez generała i — ujrzałem Zwierzyńskiego... Został tu przywieziony wprost z więzienia. Nic nie rozumiał. To był czwarty, przymusowy delegat SN. Gdy po godzinie jazdy przekonaliśmy się, że nie jedziemy na Zachód, ale że przekroczyliśmy Bug, rzuciliśmy wobec oficerów przypuszczenie, iż zdążamy do Moskwy. Nie kwestionowali, oświadczając, iż tam jest Eden i inni i tam odbędą się rozmowy.

Drogą do Moskwy, czy do grobu?

Samolot nie mógł jakoby lądować w Moskwie z racji mgły. Lecieliśmy na północ szukać lotniska. Znaleźliśmy się w Iwanowo-Wozniesensku, o 300 km. od Moskwy. Lotnisko całe zasypane śniegiem. Lądując, samolot gwałtownie uderzył o ziemię, gdyż siadł poza lotniskiem, na polu. Głęboki śnieg uratował od rozbicia. Pilot wyszedł do nas błady i bez skrępowania oświadczył o cudownym uratowaniu się, gdyż nie było już benzyny, a radio nie działało... Powstało wśród nas podejrzenie, że samolot z nami chciano zniszczyć, nie pozwalając mu lądować w Moskwie.

Stamtąd pociągiem pojechaliśmy do Moskwy. W drodze, która trwała całą noc, mieliśmy możliwość omawiania wszelkich ewentualności. Na wypadek aresztowania uprzedziłem kolegów, aby przeszukali swoje rzeczy i nie zostawili jakichś papierów. Jeden z kolegów nie dojrzał karteczki, która później sprawiła mi wiele kłopotów, a drugi nie przyznał się do posiadania przy sobie elaboratu politycznego. A na wypadek rozmów przewidziane były wystąpienia Jasiukowicza i moje. Do samego wjazdu samochodami w podwórze Łubianki nie było jasne dokąd zdążamy...

NA ŁUBIANCE

Wyżywienie pomaga śledztwu

Nie ma chyba narodu bardziej obeznanego z więzieniem sowieckim, niż my, Polacy. Jednak w tym wypadku odbiegało ono od typowego. Jest na Łubiance oddział przeznaczony dla specjalnych więźniów i do tego dopasowane są urządzenia i „opieka”. Cella czysta, pościel również. Straż cicha i uprzejma. Na korytarzu dywany tłumiły kroki stale zagląających przez „judasza”.

Wyżywienie zależnie od wskazań oficera śledczego, urozmaicone co do jakości i ilości. Już dostatecznie rozreklamowano, że na kilka dni przed procesem otrzymaliśmy luksusowe jedzenie, nawet z kawiozem, do którego miałem zawsze awersję i, dopiero w więzieniu, po raz pierwszy spróbowałem. Ta różnorodność pożywienia w różnych okresach, a zwłaszcza w okresie śledztwa, ma swoje uzasadnienie.

Jestem pewien, iż śledztwu pomaga jeszcze inny sposób: dodawania do pożywienia środków chemicznych, osłabiających wolę więźnia, czyniąc go podatnym do podpisania spreparowanego przez oficera śledczego zeznania. Miałem próbę takiego doraźnego działania.

Pewnego razu mój oficer, który czasami zamawiał sobie herbatę i kanapki, kazał przynieść i dla mnie. Po spożyciu wpadłem w jakiś stan półprzytomny i resztkami świadomości pilnowałem, aby nic nie podpisywać. Takie środki dawane stale, działały w różnym stopniu, pożądanym przez śledztwo, ale niezależnie od tego pozostawiały w organizmie jeszcze inne ślady.

Gdy po wyroku w ośmiu znaleźliśmy się we wspólnej celi, wszyscy mieliśmy jakieś dziwne objawy: głównie puchnięcie i zanik pamięci. Nie usprawiedliwiały tego ani głód, gdyż takiego w tym stopniu nie było, ani też przeżycia psychiczne, gdyż kilku z nas przeszło więzienia pod każdym względem cięższe (Pużak — Szlisselburg, Chaciński — Oświęcim, ja — Brześć), ale takich objawów nie było. Czarnowskiemu np. puchła boleśnie głowa. J. Chaciński nie tylko stracił pamięć, ale objawiał taką ignorancję spraw powszechnie znanych inteligentowi, iż wywołało to wśród nas przykre uczucie, do czego doprowadzono umysł adwokata, prezesa stronnictwa i kandydata na premiera. Najłatwiej mi przedstawić moją sytuację. W czasie śledztwa miałem w kwestionariuszu napisać nazwisko mojej zamężnej córki. Ale tu się zatrzymałem — nie mogłem sobie przypomnieć —

i nie wpisałem. Nie nastawali na to, ale ja uświadomiłem sobie, że dzieje się coś niezwykłego. Wiedziałem, iż takie same nazwisko posiada mój stary znajomy, senator PSL „Wyzwolenia” i pewien znany lotnik. I tak przeszło trzy miesiące — dzień w dzień wyteżałem pamięć bezskutecznie. Stanowiło to dodatkową mękę. Przypominałem sobie dopiero po procesie. Ale już na stałe zostało mi zapominanie nazw i nazwisk, a opanowanie np. nowego języka, stało się niemożliwością.

Izolacja

Byłem w więzieniach: carskim, austriackim, komunistycznym w Polsce, ale nigdzie, nawet w Brześciu, gdzie starano się o izolację, nie było tak idealnej jak na Łubiance w naszym oddziale. Samotność, żadnej możliwości porozumienia się z sąsiadem, tzw. stukania. Nic nie wiedzieliśmy o kolegach. Ciszy nie mąciły żadne głosy czy rozmowy dozorców. Tylko wyczulone ucho więźnia raczej wyczuwało prawie nieustanne uchylanie tzw. „judasza”.

Metody śledcze

Są one na ogół znane. Stała zmiana nastroju: od udawanej grzeczności do brutalności. Ma ona oszołomić i zdeorientować więźnia, aby nie wiedział, czego się ma trzymać w swej taktyce.

Sowiety tę metodę stosują nawet i w polityce międzynarodowej, z większym sukcesem wskutek ignorancji swych kontrahentów, którzy każdą taktyczną zmianę od obleśnych uśmiechów do wygrażania własnym butem, traktują poważnie... i tracą orientację.

Wszystko to: regulamin, izolacja, wyżywienie zwykłe i „specjalne” przystosowane jest dla wygody śledztwa. Stoi ono w Rosji Sowieckiej na szczycie umiejętności. Dziwią się nieraz ludzie na całym świecie przewodom sądowym, w których oskarżeni sami siebie potępiają. Należy zrozumieć, iż sądownictwo sowieckie stawia sobie za cel, aby oskarżony spełnił taką polityczną rolę, jaką mu przeznacza, tj. by powiedział o sobie i o innych to, czego nawet nie było. Metody, które prowadzą do takiego celu są bardzo kunsztowne.

Istota śledztwa sowieckiego stosowanego do nas polegała głównie na takim zmęczeniu więźnia, iż staje się mu wszystko

obojętne, traci świadomość swych czynów i jest powolny wszelkim żądaniom. Oficer śledczy nie pisze tego, co mówi zeznający, ale układa protokół tak, jak chce, żeby więzień zeznał. A tu się dopiero rozpoczynają długie, wielogodzinne, nieraz kilkudniowe najróżnorodniejsze naciski i podstępny, aby podpisał. Wreszcie więzień, opadając z sił fizycznych i półprzytomny, robi małe ustępstwo. Po miesiącach jednak takiego śledztwa, gdy mu zestawiają akt oskarżenia, z przerażeniem spostrzega, że podpisał tyle oskarżeń na siebie i innych. Chce się więc cofnąć, ale wie znów, że z zemsty za to zwiększą wyrok, będą dręczyć fizycznie, prześladować rodzinę, itp.

Na początku nie było konkretnych oskarżeń. To należy do metody stopniowania. W naszym wypadku również i z tego względu, że w ogóle nie mieli ich jeszcze zebranych. Obowiązująca tam zasada prawna jest bardzo prosta, choć odwrotna od przyjętej w całym świecie cywilizowanym: „Człowiek jest, paragraf będzie”. Znaczy to, iż naprzód należy aresztować niewygodnego czy podejrzanego, a później szukać dowodów winy. Tę zasadę wyjaśniał mi później w więzieniu w Warszawie Rosjanin, kpt. Serkowski, szef oficerów śledczych w więzieniu na Mokotowie.

Oficer śledczy

Moje pierwsze spotkanie z oficerem śledczym miało następujący przebieg. Wprowadzono mnie do gabinetu ppłk. X., nazwisko nie ma znaczenia, gdyż wszystko są to pseudonimy funkcjonariuszy NKWD — policji politycznej, która spełnia rolę sędziów śledczych. Przywitał mnie grzecznie, oświadczając, iż jest mu bardzo przykro, że w takiej formie prowadzić musimy rozmowę, ale dla ułożenia dobrych stosunków polsko-sowieckich może nawet dobra jest ta metoda zupełnego izolowania od świata — wtedy się mówi spokojniej i szczerzej. Zwłaszcza noc nadaje się do takich rozmów...

Wówczas oświadczyłem, iż popełniono na mnie gwałt, gdyż zjawiłem się na rozmowy ze sztabem sowieckim dobrowolnie, miałem zapewnioną słowem honoru netykalność. Złamano nie tylko zwyczaj, ale i prawa, jestem bowiem obywatelem państwa polskiego, byłem na ziemi polskiej porwany przez obcą władzę, i przywieziony do obcego państwa. Pułkownik dość spokojnie wysłuchał, oświadczając, że prawo nie jest naruszone i pokazał mi odpowiedni ustęp umowy, jaką zawarł tzw. rząd polski

(PKWN) z rządem sowieckim, zezwalający na aresztowanie obywateli polskich przez władze sowieckie. Zawstydziłem się za taki rząd polski. I zapytałem pułkownika, czy on wyobraża sobie, że rząd sowiecki zgodziłby się np. na wydawanie swoich obywateli i prawo wywożenia ich do Ameryki, gdyby w pogoni za Niemcami Anglosasi znaleźli się na ziemi rosyjskiej... Sądzę, że dziwny to „rząd”, który czyni takie umowy...

Ciekawe rozmówki

Nieraz były ciekawe rozmówki, które chociaż nie są protokolowane, ale według systemu sowieckiego służą do wybadania więźnia, jego nastrojów i przekonań, jak również i dla celów ogólnoinformacyjnych. Zapytał mnie np. czy Bierut jako prezydent będzie miał popularność i poparcie w czasie wyborów. Odpowiedziałem wprost: „Przecież to osobistość nikomu nieznana, a warunki, w jakich została wysunięta, nie dają żadnych widoków uznania przez większość narodu”.

Albo, gdy atakował, że nie uznajemy Tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, złożonego z tak wybitnych ludzi jak premier Osóbka-Morawski, wyjaśniłem: „Rzeczywiście, w powiecie wieluńskim, jednym z dwustu kilkudziesięciu powiatów w Polsce, jest trochę znany, ale jako niezbyt poważny człowiek”.

A gdy mówił o naszym „warcholstwie” i nie uznawaniu wybranych w Lublinie naczelnych władz partii ludowej, oświadczyłem: „Prezesem stronnictwa jest Witos, a nie narzucony niejaki Kotek-Agroszewski, który nigdy członkiem stronnictwa naszego nie był, natomiast był drobnym funkcjonariuszem konspiracyjnym, mnie podległym. Przyjęliśmy go do tej pracy z zastrzeżeniami, albowiem przed wojną należał do tzw. sanacyjnej młodzieży ludowej „Siew”. Natomiast na sekretarza naczelnego „wybrano” w Lublinie Grubeckiego, który przed samą wojną kierował we Lwowie, jako faszysta, bojówkami napadającymi na nas i na Żydów, natomiast prawdziwym przedwojennym sekretarzem naczelnym jestem ja”.

A gdy rozmawialiśmy raz na tematy religijne, w przystępie dobrego nastroju oświadczyłem mu, że komunizm sowiecki wzuje się na kościele prawosławnym. Widziałem dawniej procesje prawosławne: na czele niesiono obrazy świętych w kolejności poważania, jakim je darzono. Widziałem sowieckie manifestacje komunistyczne, które zupełnie przypominają mi prawosławne: na

czyle pochodu niesiono obrazy, ale już nie świętych, lecz członków Komitetu Centralnego partii i tak samo podług szarż...

Mój oficer śledczy był inteligentny, na początku śledztwa orientował się tylko trochę w stosunkach polskich, ale pod koniec już zupełnie dobrze. Jednak zgodnie z wychowaniem marksistowskim stale mówił w zapale znanymi komunistycznymi formułkami, tzw. „łozungami”. Chciał mnie nimi przekonywać i wychowywać. Nieraz, gdy zaczynał mówić, wtrącałem, iż wiem, co chce powiedzieć. Dziwił się, gdy się okazało, że dobrze trafiłem. Nie było to wcale trudne, ale dziwne wydawało się rozmówcy.

Charakterystyczne metody

Przytoczę charakterystyczne metody śledztwa. Oficer śledczy wie, iż kierownictwo SL odbywało swoje zebrania w Warszawie i żąda, abym mu podał adres. Uczynić tego nie chcę, przypuszczając, iż szukają reszty kolegów w Polsce. Tłumaczę, zresztą zgodnie z prawdą, iż dojść do tego domu sam nie mogłem, musieli mnie przeprowadzać. Rzeczywiście był to dom położony w końcu ślepej ulicy Górskiego (Hortensji), która była cała zbombardowana, istniało tylko przejście podziemne od Nowego Światu. Adres jednak znałem, gdyż bywałem w tym lokalu, należącym do naszej łączniczki, Wandy Wasilewskiej, literatki (nie tej znanej obywatelki sowieckiej). Po trzech dniach i nocach nieustającego badania w tej sprawie, gdy nic ze mnie nie wydostał, raptem spokojnie mówi: „Ja wiem, że Pan zna ten adres, chodziło mi tylko o doświadczenie pańskiego charakteru”. Wówczas pokazał mi karteczkę z adresem tego lokalu pisaną przeze mnie z zawiadomieniem o zebraniu, znalezionej w kieszeni współoskarżonego...

Lub znów ze wszystkimi szczegółami opowiadał, jak zajmowałem się przechowywaniem pieniędzy Stronnictwa Ludowego w czasie Powstania i o zakopaniu dolarów w Warszawie, oraz o walutach w złocie. Właściwie na ten temat wcale mnie nie badał, o nic nie pytał, ale chciał, abym się orientował, iż on o wszystkim wie, i nic nie da się przed nim ukryć. Sprawa ta specjalnie mnie zaniepokoiła, gdyż właśnie przed moim aresztowaniem złoto było zakopane na wsi, gdzie mieszkała moja żona. Nie wiedziałem, czy jej nie aresztowano, ale bałem się pytaniem zaszkodzić sprawie. Okazało się później, że nie miała ona żadnego związku z procesem.

Tendencja zohydzenia Polskiego Podziemia

Ale z biegiem czasu śledztwo przeszło na właściwe tory. Wysunięto konkretne oskarżenia, mianowicie: popieranie dywersji przeciw armii sowieckiej (a w każdym razie odpowiedzialność za to), zatrzymanie broni przez organizacje podziemne, nie ujawnienie tych organizacji, rzucanie oszczerstw na armię sowiecką, oraz używanie zabronionej komunikacji radiowej z Londynem.

Istotna tendencja tych prymitywnych oskarżeń polegała na tym, aby rzucić na nas oszczerstwo, iż jesteśmy współnikami Hitlera, gdyż działając przeciwko armii sowieckiej, działamy na korzyść Niemców. Jesteśmy więc nie tylko wrogami Sowietów, ale i zachodnich sprzymierzeńców.

Oczywista, wysiłki pułkownika były bezskuteczne. Dni i noce trwające naciski nic ze mnie nie wycisnęły. Nic wspólnego nie miałem ani z dywersją, ani z rzekomo pozornym rozwiązaniem AK, ani z pomaganiem Niemcom. Podawałem natomiast tylko znane fakty walki AK z Niemcami i udział w tym całego podziemia, specjalnie uwypuklając działanie Batalionów Chłopskich.

Żadnego zeznania ode mnie nie uzyskał, które by nadało się do aktu oskarżenia. Ale coraz więcej przedstawiał faktów prawdziwych z życia wewnętrznego podziemia: z AK, Delegatury, stronnictw a szczególnie ze Stronnictwa Ludowego. Widoczne było, iż oskarżeni mówią to, czego nie powinni ujawniać.

Śledztwo w stosunku do mnie skoncentrowało się zatem na sprawach stosunkowo drobnych. A więc korzystanie z radia. Mieli odpisy depesz wysyłanych do Londynu przez Stronnictwo Ludowe. Trudno było zaprzeczyć, wreszcie uważałem, że my tego jako przestępstwo nie traktujemy, musieliśmy się porozumiewać, chociażby w sprawie rozmów z Sowietami itp.

Śledztwo usiłowało uzyskać dla nich ważne oświadczenie, iż szerzyliśmy w stosunku do armii sowieckiej oszczerstwa. A więc kajanie się — czego w żaden sposób nie mogli ode mnie wydobyć. Wobec tego biorą na ambicję: „honorowy” polityk powinien przyznać, iż bierze odpowiedzialność za to, że te zarzuty były prawdziwe. Tego również nie chciałem, nie tylko z obawy zaszkodzenia sobie, ale i innym. Wobec tego każdy przykład tzw. oszczerstw zaopatrywałem w tyle uwag, iż nie przedstawiało to żadnej wartości dla śledztwa. Oficer pisał i pisał, i darł, gdyż nie chciałem podpisać jego wypracowań.

Pewnego razu kazał zawołać stenografistkę, której ja poddyktowałem zeznanie i podpisałem je. Ale widać nie miało dla niego żadnego użytku, gdyż w akcie oskarżenia zupełnie nie było wykorzystane. Przez kilka następnych tygodni oficer śledczy poruszał drobniejsze sprawy.

„NIE”. *Ostre śledztwo*

Wreszcie pękła bomba, gdyż wytoczono oskarżenie o organizację „NIE” („Niepodległość”). Nie wiadomo, czy była to ich taktyka, czy też dopiero teraz wykryli tę sprawę. Zaczęło się bardzo ostre śledztwo. Stwierdziłem, iż wszyscy, z którymi w tej sprawie byłem w kontakcie, szczegółowo powtarzali nasze rozmowy (i w konfrontacji), nie było możliwości wyparcia się tych rozmów, uważałem raczej za wskazane zbagatelizowanie ich, że była to propozycja porozumienia się stronnictw i nie miała stanowić żadnej rozgałęzionej organizacji. Nie miała nic wspólnego z wojskowymi oddziałami.

W ciągu 70 dni śledztwa odbyłem 120 spotkań ze swoim oficerem, a pod koniec i z prokuratorem. Odbywały się one przeważnie w nocy i trwały przez trzy do ośmiu godzin. Były dni, gdy wzywano mnie trzykrotnie i przesłuchiowano czternaście godzin. Przesłuchania miały najróżnorodniejszy charakter. Były to typowe chwytły śledcze: rozmówki jakby towarzyskie, to znów pełne ataków, gróźb i wymyślań, ale wówczas przestawałem mówić i mój przesładowca uspakajał się. To straszyl, że otrzymam wyrok śmierci, to znów mówił, że w Rosji siedzenie w więzieniu w takich warunkach nikomu nie uchybia, że na naczelnym stanowiskach w armii w tej chwili są tacy ludzie, jak np. marszałkowie Rokossowski i Żukow, którzy niedawno wyszli z więzienia. I ja też mogę lada dzień wyjść i zostać ministrem. Może w takim charakterze spotkamy się niedługo w Warszawie... Wszystko zależy ode mnie. Należy przyznać się szczerze do błędów, zeznać, że jako kierownicy polskich władz podziemnych jesteśmy winni wystąpień dywersyjnych i agitacyjnych w stosunku do armii sowieckiej itp.

Przerazająca była atmosfera tych nocy. Ogarniało jakieś niesamowite zmęczenie, nastrój grozy a również jakiś dziwny stan psychiczny, poczucie jakby się miało nie własny umysł. Poczucie rozdwojenia jaźni: z jednej strony miała w sobie coś niesamowitego i skłaniała do uległości i spokoju za wszelką cenę (następującego prawdopodobnie pod wpływem narkotyków),

z drugiej zaś strony stała na straży własnej obrony. Oficer stara się wykorzystać ten pierwszy moment i podsuwa papiery do podpisu...

Toteż nic dziwnego, że ze śledztwa 16 ludzi wyłowili bardzo wiele wygodnych dla siebie zeznań.

W przystępie dumy z metod badań sowieckich mój oficer śledczy tak mi wyjaśnił dokładność ich wiadomości: przecież my tu mamy was 16-tu i wielu świadków. Niech każdy coś powie, nawet drobnego, gdy my zejdziemy się i zestawimy, wówczas urasta obraz rzeczywistości.

Muszę przyznać, iż mój oficer śledczy rzadko był ordynarny, a nawet stosował w pewnym sensie przepraszanie, przerzucając winę na mnie. To ja męczę go dnie i noce, on przeze mnie nie śpi, ciężko pracuje, i stąd jest zdenerwowany...

PROCES

Akt oskarżenia

Na parę dni przed procesem każdy z nas otrzymał drukowany akt oskarżenia. Zostaliśmy wszyscy oskarżeni z art. 58, sowieckiego kodeksu karnego, przewidującego karę śmierci. Równocześnie z doręczeniem aktu oskarżenia każdemu z nas dodano więźnia — Rosjanina, zdaje się nie tylko dla celów prowokacyjnych, ale również i po to, aby pilnował nas przed popełnieniem samobójstwa. Z praktyki wiadomo, iż najczęściej następowało to w chwili otrzymania takiego aktu oskarżenia lub też w czasie procesu, gdy więzień w śledztwie „przyznał się” do czynów nie popełnionych, a nie miał siły woli, aby je odwołać, bojąc się zemsty.

Akt oskarżenia dzielił nas na dwie grupy. O pierwszej stwierdzał, że Okulicki przy udziale Jankowskiego, Bienia i Jasiukowicza kierował na terenie Polski, Litwy, Ukrainy i Białorusi organizacjami nielegalnymi,

„które prowadziły aktywną robotę dywersyjną na tyłach Armii Czerwonej”... „Według wskazówek polskiego rządu emigracyjnego... zachowali sztaby, kadry oficerskie, i na tej podstawie stworzyli nową zakonspirowaną organizację wojskowo-polityczną „NIE-Niepodległość”, w celu kontynuowania roboty dywersyjnej na tyłach Armii Czerwonej i

przygotowania do wystąpienia wojennego w bloku z Niemcami przeciwko ZSSR”.

Wbrew rozkazowi armii sowieckiej nie oddali stacji radiowych, broni i amunicji. Poza tym osobiście Okulicki skarżony był o prowadzenie roboty wywiadowczo-spiegowskiej.

Reszta — należący do drugiej grupy: Pajdak (mimo, że był ministrem został wyłączony z pierwszej grupy), Pużak, Zwierzyński, Bagiński, Mierzwa, Stypułkowski, Czarnowski, Chaciński, Urbański, Michałowski, Kobyłański i Stemler-Dąbski —

„brali udział w działalności dywersyjnej, byli powiadomieni o niewydaniu stacji radiowych, broni i amunicji... i wykorzystywali je w celach przestępczych”.

Pierwsza i druga grupa została oskarżona z 58 artykułu: ustępy 8, 9 i 11 sowieckiego kodeksu karnego, a Okulicki dodatkowo jeszcze z tego samego artykułu ustęp 6, (za szpiegostwo).

Chociaż obie grupy były oskarżone z tego samego artykułu, który przewidywał karę śmierci, ale pierwszej zarzucono, iż „kierowała” a drugiej „brała udział”, czyli wyraźnie zaznaczone różnice między funkcjami AK i KRM jako wykonawczymi, a RJN jako parlamentarną.

Na końcu aktu oskarżenia znalazłem powołanie się na ten kompromitujący dokument, który ukazał mi oficer śledczy na mój zarzut nielegalności aresztowania. Głosił on:

„Na skutek powyższego, zgodnie z p. 7 umowy, zawartej 26 lipca 1944 r. między rządem ZSSR i Pol. Komitetem Wyzwolenia Narodowego... wszyscy wyżej wymienieni oskarżeni, jako podpadający pod jurysdykcję radzieckich władz wojskowych, podlegają przekazaniu sądowi... ZSSR”.

Reżyseria pokazowego procesu

Proces był typowo pokazowy. Sowietom zależało na nim bardzo, był więc wspaniale wyreżyserowany. Przygotowano nas do niego nawet zewnątrz. Podkarmili, wyprasowali ubrania, wyprali bieliznę, w której przyjechalśmy, ostrzygli, ogolili, używając nawet wody kolońskiej i pudru. Ale o dniu rozpoczęcia procesu nam nie powiedziano — to jest dla więźnia tajemnica.

W sali, przyległej do sądowej, przygotowano paradne wkrócenie nas w ten sposób, iż między każdym z nas szli oficerowie i podoficerowie NKWD. Tu dopiero ujrzeliśmy się wzajemnie po raz pierwszy. Było nas 15, gdyż brakowało Pajdaka, który według oświadczenia sądu był jakoby chory i w procesie nie brał udziału.

Znaczenie procesu podkreślał fakt, iż przewodniczył mu generał pułkownik W. Ulrich, prezes Kol. Najwyższego Sądu Wojskowego Sowietów, a oskarżali naczelny prokurator armii gen. Afanasjew i gen. Rudenko, znany z procesu w Norymberdze. Na stole sędziowskim leżało kilkanaście tomów pięknie oprawionych dowodów naszej „winy”.

Sala, mieszcząca kilkaset osób, zapełniona była „dobraną” publicznością. Znajdowali się również i dziennikarze zagraniczni, którzy przeważnie nie znali kulis sprawy, nie znali języka i widzieli tylko bardzo efektowne formy zewnętrzne.

W tej sali, pod tym samym przewodnictwem Ulricha, byli likwidowani główni konkurenci Stalina. Podobno na galerii za firankami przyglądał się on tym procesom...

Dodatkową trudność dla większości oskarżonych stanowiła niedostateczna znajomość języka rosyjskiego. Tłumacz zaś urzędowy tak tendencyjnie przekręcał zeznania, iż rezygnowali z jego pomocy nawet ci, którzy dopiero w więzieniu zaczęli się zapoznawać z językiem rosyjskim. Charakterystyczny był przypadek ze świadkiem Działyńskim z Wilna, kierownikiem polskich wydawnictw podziemnych, który niespodziewanie, na pytanie sądu odpowiedział, iż nie otrzymywał z Warszawy poleceń oczerniania armii sowieckiej. Ale tłumacz podał to odwrotnie. Mimo, iż z miejsca zwróciliśmy uwagę na błąd, sąd przyjął zeznanie świadka jako potwierdzające oskarżenie... Osobiście znam język rosyjski dobrze, ale wówczas przez 30 lat nie miałem go w użyciu. Nic dziwnego, iż co chwila brakowało mi słów, zwłaszcza przy osłabionej pamięci, co niezwykle utrudniało przemawianie.

Czyniono nam jeszcze i inne przeszkody. Pod pozorem robienia zdjęć filmowych na przemawiającego oskarżonego rzucono tak silne światło reflektorów, że wprost oślepiało i odbierało zdolność normalnego myślenia i panowania nad sobą. Posadzono nas po dwóch i ściśle pilnowano, abyśmy nie mogli mówić ze sobą.

Mikołajczyk w Moskwie?

W przeddzień jednak procesu zaprowadzono mnie do mego

obrońcy z urzędu. Był nim adwokat Polak — Markiewicz. Ten powiedział mi, iż mają odbyć się rozmowy w sprawie ustanowienia rządu polskiego, przyjeżdżają Polacy z Londynu. Wymienił mi jedno tylko nazwisko Stanisława Mikołajczyka. Wiedząc, iż w Sowietach nic się nie dzieje bez określonego celu i nakazu z góry, chciałem się choć w przybliżeniu zorientować w prawdziwości tej informacji. Zapytałem, skąd ona pochodzi. Gdyby mi powiedział, że jest to bardzo poufne, byłbym przekonany, że to jakaś specjalna gra, a sama informacja nieprawdziwa. Ale gdy oświadczył, iż piszą o tym gazety sowieckie, doszedłem do przekonania, iż to może być prawdopodobne. W czasie procesu więc zdążyłem o tym szepnąć kolegom ludowcom, zalecając stuszowanie ostrości przemówień w stosunku do Sowietów...

Zaskakujące zeznania Okulickiego

W czasie śledztwa, ustalając własną postawę w tym procesie, widziałem dwie główne możliwości. Jedną — nieliczącą już na porozumienie z Sowietami — jaskrawe oskarżenie ich o wszystkie znane zbrodnie w stosunku do Polski. Ich celowe odrzucanie naszej dobrej woli i zmuszanie do czynnej samoobrony, aby kompromitować nas wobec Zachodu. Taka postawa byłaby efektowna, ale nie dawałaby doraźnych rezultatów dla sprawy, a byłaby katastrofalna osobiście. Druga — szukająca jednak realnego wyjścia — wykazanie naszych wysiłków walki z Niemcami i chęć ułożenia stosunków z Sowietami mimo wszystkich trudności. A jeżeli to nie nastąpiło, nie było z to naszej winy. W każdym jednak razie należy wykluczyć wszelkiego rodzaju kaganie się.

Przed samym procesem otrzymałem do wglądu niektóre akta. Ogarnęło mnie przerażenie, gdy znalazłem tam zabójcze zeznania podpisane przez gen. Okulickiego. Oto treść niektórych.

Gen. Kopański w rozkazie o fikcyjnym rozwiązaniu AK, zachowaniu kadr, broni i pieniędzy, wskazał, iż będą one potrzebne do walki zbrojnej z tymczasowym rządem warszawskim i armią sowiecką.

Walkę tę ma prowadzić nowa organizacja polityczno-wojskowa „Niepodległość” (NIE). Na dowód Okulicki przytacza szczegółowo swoją rozmowę w r. 1944 w Londynie z gen. Sosnkowskim, który jakoby przewidywał walkę AK z Sowietami.

Mało tego — podczas rewizji w mieszkaniu Okulickiego jakoby znaleziono jego „dyrektywę” pisaną w dn. 22 marca

1945 r. do „Sławbora” (Jana Szczurka, kom. AK okręgu Poznań), przewidującą, iż zwycięstwo Sowietów zagrażać będzie Europie, wobec czego Polacy pójdą przeciwko Sowietom z Anglikami, a ci, pod swoją kontrolą, wezmą do tego bloku Niemców...

Myśl ta, jak stwierdza Okulicki, nasunęła się mu już podczas Powstania Warszawskiego, gdy von dem Bach oświadczył wysłannikom AK podczas kapitulacji, iż Polacy i Niemcy mają w Sowietach wspólnego wroga. Okulicki powiedział wówczas do Bora, iż Bach może ma rację, co Bór potwierdził.

A po tych i wielu innych przyznaniach się do odpowiedzialności za walkę czynną z Sowietami następują kajania i wyznawanie swych błędów.

Zeznania Okulickiego stwarzały nową sytuację. Zaskoczony nimi postanowiłem zmienić ton wystąpienia mego na procesie, podnieść dużą nieufność do kierownictwa AK, jak również złagodzić ton przemówienia wobec przewidywanych rozmów w Moskwie, o czym wyżej wspomniałem.

Moje wystąpienia w procesie

W przemówieniach moich na procesie i odpowiedziach na pytania sądu, prokuratora i adwokata podkreślałem, iż ani ja, ani stronnictwo, które reprezentuję, ani władze podziemne, w których udział braliśmy, nie ponoszą nawet cienia zarzutu bodaj pośredniej pomocy dla Niemców. Przedstawiałem fakt naszych ofiar, poniesionych w walce z nimi, ofiar całego narodu, a więc i ludu chłopskiego, który wystawił 100-tysięczną armię podziemną — Bataliony Chłopskie. Przypomniałem nasze współdziałanie z armią sowiecką, które kończyło się aresztowaniami. Tak samo zjawienie się nas 16-tu w sztabie sowieckim, zapewnienie o naszej nietykalności, oraz znalezienie się tu w charakterze więźniów... W tym miejscu prezes sądu przerwał mi, nie pozwalając o tym mówić. Przerывał również i przy innych sprawach, jak np. narzucanie Stronnictwu Ludowemu władz partyjnych w Lublinie, o czym wspomniałem w śledztwie.

Co się tyczy AK podniosłem brak zaufania do jego kierownictwa z racji przewagi wpływów przedwojennych wojskowych, i chęć opanowania podziemia w duchu nie odpowiadającym warstwowemu ludowemu. Stąd płynęły trudności ostatecznego połączenia z Bat. Chłopskimi, chociaż formalnie zostały one włączone do AK, ale praktycznie nie na wszystkich terenach i szczeblach organizacji.

Okulicki powoływał się na dobre jego stosunki ze Stronnictwem Ludowym i moje z nim rozmowy, traktując to jako swoje alibi. Potwierdziłem więc zmiany, jakie zadeklarował Okulicki w stosunku AK do Delegatury Rządu, ludowców i BCh. (Sprawy te wyżej przedstawiłem szczegółowo).

Tak samo, dla własnej i Okulickiego obrony oświadczyłem, że na jego propozycję przystąpienia do „NIE”, którą rozumiałem jako organizację polityczną, porozumiewawczą, między stronnictwami, nie zgodzilibyśmy się, gdyby miała iść ona drogą czynnej walki z Sowietami. Mogliby na to pójść tylko szkodnicy sprawy polskiej. Okulicki więc nie proponował wojskowego charakteru tej organizacji, a gdyby nawet miał takie plany, to do nas z nimi by się nie zwrócił. Udziału w „NIE” odmówiliśmy. (To oświadczenie nie było zgodne z prawdą, gdyż jak już wspominałem, sprawa nie była rozstrzygnięta). Również, na życzenie Okulickiego, potwierdziłem jego stosunek do uchwał krymskich, taki sam jak RJN.

Następnie, odwracając się do Okulickiego, oświadczyłem: „Dotychczas mieliśmy zaufanie do gen. Okulickiego, natomiast poglądy jego, iż Niemcy będą naszym sprzymierzeńcem wojennym, oraz inne podobne zeznania zaskoczyły mnie i wprost przerażyły. Muszę jak najkategoryczniej się od nich odciąć. Nigdy nie były one przez niego wobec nas wypowiedziane i nie były znane. Stanowią one zaprzeczenie całej polityki naszego podziemia tak ofiarnie walczącego z niemieckim najazdem”.

Prokurator Rudenko, który oskarżał drugą grupę, specjalnie zaatakował nas za Powstanie Warszawskie, patetycznie wołając, że naród polski surowo nas za to osądzi, i wyrzuci na śmietnik historii. Odpowiedziałem: „Co z nami uczyni naród polski, to jego sprawa, nie sądzę, aby nas potępił. Ale nigdy nie przypuszczałem, iż w tej sali będziemy potępieni przez najwyższe czynniki Armii Czerwonej za odciążenie pod Warszawą kilku dywizji niemieckich z frontu przeciw Armii Czerwonej. Tu tylko winna nas spotkać pochwała”.

Widziałem duże wrażenie i poruszenie na sali. A przewodniczący Ulrich, zawsze czujny, aby oskarżonemu przerwać niemiłe dla sądu wywody i odparować złośliwą uwagą, zamilkł, i nie znalazł stosownej odpowiedzi...

Ze spraw, które obejmował akt oskarżenia, a które dotyczyły mnie, prokurator Rudenko przez liczne podchwytliwe pytania chciał od mnie wydobyć chociaż jedno przyznanie się do winy, co nie udało się przez tyle dni śledztwa. Twierdził, iż Stronnictwo Ludowe, a więc ja, jestem winien za brak wezwania

BCh do oddania broni. Oświadczyłem, iż członkowie BCh byli wezwani do złożenia broni przez Armię Czerwoną. Każdego to obowiązywało. Członkowie BCh mieli broń własną. Po co więc nasze wezwanie. Co innego, gdyby BCh miały składy broni organizacyjnej. Wówczas musielibyśmy zlecić je wydać. Ale takich nie było.

Korzystania z radia wcale nie zaprzeczałem. Przecież musieliśmy się porozumiewać z Londynem, chociażby w takich sprawach jak stosunek do Jałty, czy rozmowy z armią sowiecką, i za przestępstwo tego nie uważałem. Zasadnicze przemówienie tak zakończyłem:

„Nie chcę się kajać. Naszej polskiej psychice specjalnie odpowiadają wskazania wielkiego pisarza sowieckiego Aleksieja Tołstoja (nie Lwa Tołstoja), który zganiał narodową wadę rosyjską, pisząc: „Zła jest nasza rosyjska natura: lubimy się kajać, sami sobie napluć w gębę”. („...w charju naplewat’ ”).

Stwierdziłem, co zresztą i inni podnosili, że proces wytoczono nie nam 16 „przestępcom”, ale narodowi polskiemu. My reprezentujemy jego dążenia do pełnej niepodległości. Polacy ją cenią. Znaleźli się wszędzie tam, gdzie była walka o naszą i cudzą wolność, kości ich rozrzucone są po całym świecie i to nie tylko dziś, ale od setek lat. Jeżeli państwo sowieckie chce zgody z narodem polskim, sąd winien stwierdzić, iż tu żadnej naszej winy nie było. Ujmie to naród polski, który ma w sobie wiele sentymentalizmu”.

Muszę z całym naciskiem stwierdzić: do żadnej winy się nie przyznałem. Potwierdziłem tylko niektóre fakty, których nie mogłem zataić: rozmowy o „NIE” i korzystanie z radia. Ale nie uznałem tego za przestępstwa z mojego punktu widzenia. Nawet oficjalny protokół sowiecki nie głosi mojego przyznania się do błędów.

Dziwny to objaw, gdy z polskiej strony, ze względów personalnych lub partyjnych przedstawia się niezgodnie z prawdą moją postawę w tym procesie. Wynika to, sądzę, głównie z nieprzyjaznego stosunku na emigracji do ówczesnej polityki Mikołajczyka, wobec czego nie chciano zgodnie z prawdą traktować wystąpienia przedstawiciela SL w kraju...

Zeznania Okulickiego

Wyżej podane zeznania Okulickiego zawierały to wszystko,

co Sowiety chciały osiągnąć w tym procesie a nawet więcej. Zawierały stwierdzenie planowanej walki z Sowietami do spółki z Niemcami w czasie, gdy wojna z Niemcami jeszcze trwała i gdy w całym świecie, a zwłaszcza w narodzie polskim, panowała do nich nienawiść. Zawierały poza tym, bez żadnej konieczności, wiele nieprawdziwych nawet faktów, służących interesom Sowietów.

O ile wiem, depeza gen. Kopańskiego o rozwiązaniu AK nie zawierała wskazania, iż kadry zostaną przeznaczone do walki z rządem lubelskim i Sowietami. Rzekoma rozmowa Okulickiego z gen. Sosnkowskim w 1944 r. przed jego przyjazdem do kraju nikomu nie była znana (co prawda osłabił ją przemówieniem na rozprawie). Tak samo rozmowa jego z gen. Borem po Powstaniu. Nawet nie miało to na celu przerzucenia winy na Bora, gdyż pierwszy Okulicki przyznał rację von dem Bachowi, a Bór jakoby to tylko potwierdził. A więc było to samooskarżenie Okulickiego. A już zupełnie nieprawdopodobnie wygląda sprawa z tą „dyrektywą” dla „Sławbora”. Otóż uważam, iż ona zupełnie nie istniała. Powstała z inspiracji oficera śledczego. Zwracanu uwagę na moją informację, iż list Pimienowa do Okulickiego zawierał wymowny dopisek, iż i tak go znajdują, gdy się dobrowolnie nie stawi. Czy w takich warunkach Okulicki, który jedyny z całego zespołu szedł na spotkanie wbrew swojej woli, nie miał zaufania do słowa honoru sowieckiego i liczył się z aresztowaniem, zostawiłby w mieszkaniu tego rodzaju dokument? W ogóle w mieszkaniu swoim żaden kierownik podziemia nie trzymał archiwum.

Okulicki starał się jednak niektóre zarzuty osłabić. Stwierdzał, iż wystąpienia czynne AK, jako samoobrona zdarzały się prawie wyłącznie na kresach, do których on dostępu nie miał, co było na ogół zgodne z prawdą, i za to nie może brać odpowiedzialności. Ale zaraz odczytują jego zeznania, stwierdzające, iż za wszystko bierze odpowiedzialność. Okulicki nie przeczy. Gdy tłumaczył się z tzw. oszczerstw przeciwko Sowietom, znów mu przypominają zeznania. Uznał za robotę dywersyjną swoje dyrektywy do komendantów okręgowych, stwierdzające że Armia Czerwona jest armią okupantów, która zastąpiła niemiecką. Lub też przyznał, że prowadził wrogą propagandę wśród ludności polskiej przeciw Związkowi Radzieckiemu i że przyniosło to korzyść Niemcom a szkodę sojusznikom. A więc kajanie.

W ostatnim przemówieniu jako własny obrońca miał wiele momentów bardzo mocnych i dobrych. Przedstawił skuteczność akcji AK w walce z Niemcami i wysiłek w tym duchu całego

narodu. Dał odprawę adwokatowi Braude, który nie tyle zajmował się obroną swoich klientów, ale pełnił rolę dodatkowego prokuratora w stosunku do Okulickiego. Na zarzuty wywołania Powstania Warszawskiego odpowiedział tak samo jak i ja, podkreślając pomoc okazaną Sowietaom.

Ale — jak twierdzą — zarzutów głównych, samooskarżeń — nie cofnął. Wprost przyznawał, iż winien jest poważnych przestępstw, i dlatego tu się znalazł... Brak zaufania do Sowietaów, stwierdził, „ma korzenie w propagandzie rządu londyńskiego, który uważaliśmy za legalny”. Spełniał rozkazy jako żołnierz. Podziękował za dobre obchodzenie się w śledztwie i możliwość obrony... Liczy na sprawiedliwy wyrok...

Muszę dodać, iż na procesie nie był przygnębiony, reagował dość żywo. Gdy np. zwróciłem się podczas przemówienia wprost do niego, o czym wyżej wspomniałem, uśmiechał się. W oczekiwaniu na wyrok w bocznej sali trzymano nas kilka godzin w nocy. Starałem się rozmówić z Okulickim, ale to się nie udało, gdyż siedziałem z dala od niego, a ochrona pilnowała. Wziął więc tajemnicę do grobu.

Zeznania Pużaka

Na ogół mówił mało. Nie przyznał się do żadnej winy, natomiast jak kilku z nas, przyznawał się tylko do prawdziwości niektórych faktów, które nie uznawaliśmy za przestępstwa, jak np. korzystanie z radia. Oskarżenie zmierzało do tego, aby przyznać, iż przesyłając do Londynu wiadomości o zachowaniu się armii sowieckiej, szerzyliśmy oszczerstwa, co byłoby kajaniem się. Ale Pużak tego nie uczynił. Miał trudną i nieprzyjemną sytuację, jeden z oskarżonych zeznał na rozprawie, iż Pużak jest zawziętym wrogiem Sowietaów. Pużak potwierdził, iż na posiedzeniu RJN oświadczył, że nie należy ufać Sowietaom. We wspomnieniach swoich Z. Stypułkowski takie wystąpienia Pużaka i moje niesłusznie kwalifikuje jako szkodliwe dla sprawy. Trudno było osobom biorącym tak wybitny i długotrwały udział w pracach RJN mówić, iż nic nie wiedziały i żadnej działalności nie prowadziły. Byłoby to wybitnie niepoważne. Stwierdzenie przez Pużaka jego nieufności do Sowietaów nie zawierało sprostowania, iż teraz widzi to inaczej i uznaje swój błąd, jak to głosiły zeznania niektórych innych oskarżonych. To krótkie oświadczenie Pużaka było jedynym w tej formie na procesie. Jeżeli szkodziło, to tylko jemu osobiście...

Zeznania Jankowskiego

W swoim zasadniczym wystąpieniu ujął całokształt polityki podziemia i Londynu. Walkę z niemieckim najazdem oraz tragizm stosunku Sowietów do Polski przez nas niezawiniony. Toteż urzędowe sprawozdanie sowieckie potraktowało lekceważąco przemówienie Jankowskiego jako „mające akcenty dobrze znanej propagandy londyńskiej”.

Taka ocena sowiecka jest w naszym pojęciu pochwałą dla postawy Jankowskiego.

Jankowski mówił również o zaszyłych niedawno różnicach między Londynem i krajem, zwłaszcza na tle stosunku do Jałty. której to decyzji nie chcieliśmy bezwzględnie odrzucić. Odcinał się również od odpowiedzialności za walkę czynną z Sowietami, jak również od pomysłu współdziałania z Niemcami.

Ale w ogniu pytań prokuratora miał ciężką sytuację wobec wydobytych od niego zeznań pisemnych, które mu przypominano. Przyznanie się do pełnej odpowiedzialności za wszelkie wystąpienia AK, które według aktu oskarżenia szkodziły aliantom. Lub też przyznał, iż źle uczynił, gdy kazał ujawniać się władzom administracyjnym, zwłaszcza na kresach i obejmować władzę, gdyż to w konsekwencji prowadziło do oporu i walki. To przyznawanie się do winy było łagodne, nie miało charakteru chętnego samooskarżania się do błędów, jak u niektórych innych.

Specjalnie zwracał uwagę jego zły stan psychiczny i fizyczny. Był niezmiernie przygnębiony, mówił z trudnością.

Zeznania Stypułkowskiego

Stypułkowskiego od początku traktowano inaczej niż pozostałych. W czasie śledztwa siedział np. w celi nie sam, ale z jednym lub dwoma więźniami. O nim tylko oficjalne sprawozdanie sowieckie podaje, iż do winy się nie przyznał.

Świadomość tego wyróżnienia ma sam Stypułkowski, gdyż w swoich wspomnieniach („W zawierusze dziejowej”) przyznaje: „...było wygodne wykazać liberalizm władz, dopuszczając możliwość nie przyznania się do winy jednego członka... Niech tę rolę odegra Stypułkowski”.

Ale dlaczego on? Otóż jeden ze współkolegów był tak „spreparowany”, iż oskarżał Stypułkowskiego jako faszystę. Były to momenty jedne z najprzykrzejszych w tym procesie. Przypomniano również Stypułkowskiemu udział jego w 1937 roku

w głośnym przyjęciu „Arconii” dla marsz. Rydza-Śmigłego, w obecności gen. Władysława Andersa.

Stypułkowski przyznał się, iż żądał od Okulickiego pomocy przy demobilizacji NSZ. O swoim zeznaniu wobec oficera śledczego tak pisze w swoich wspomnieniach: „...będąc odpowiedzialny za dziesiątki tysięcy młodzieży, które walczyły pod moim kierownictwem, nie mogłem ich opuścić w zmienionej sytuacji”. W pojęciu sowieckim były to te same NSZ, które zlikwidowały cały oddział Armii Ludowej w 1943 r. w Borowie, co komuniści stale przypominali jako największą ich zbrodnię, a AK wyczyn ten również potępiła.

Dla Sowietów opiekun NSZ to wróg nr 1. Właśnie dla tego w pojęciu sowieckim był to najlepszy sposób wykazania bezstronności sądu.

Stypułkowski w zeznaniach swych łatwo mógł twierdzić, iż niewiele wiedział o działaniu kierownictwa podziemia, co miało swoje formalne uzasadnienie, gdyż nie brał zupełnie udziału w RJN, a w zespole międzypartyjnym wystąpił po raz pierwszy w zastępstwie aresztowanych członków SN. W zeznaniach twierdził, iż nie był członkiem prezydium SN, a tylko jego doradcą.

Przemówienie napisane miał poprawnie po rosyjsku (pod względem językowym, z pomocą współwięźnia). Było ono zgodne z referatem, który zabrał z sobą na rozmowy w sztabie Żukowa, w duchu dawnej polityki Narodowej Demokracji, za porozumieniem z Rosją, a dziś za koniecznością dogadania się z Sowietami.

Podczas rewizji znaleziono przy Stypułkowskim ten referat, który stanowił jego alibi przeciw zarzutom działania na szkodę armii sowieckiej. Podczas śledztwa oświadczył, iż wygłaszał go na zebraniach, na żądanie Str. Narodowego. Na procesie powoływał się nań, żądał odczytania, wprowadzając w kłopot przewodniczącego.

Odżegnywał się od wszelkich czynnych wystąpień przeciw Sowietom. Sentymentalnie przedstawił tragiczne przeżycia własne i członków całej swojej rodziny, prześladowanych przez Niemców, podając to za najlepszy dowód stosunku jego do okupanta hitlerowskiego. Przemówienie było wygłoszone efektownie.

Najistotniejszą dla mnie oceną przemówienia był brak kajania się. (Wspomniany wyżej cytat z pism Tołstoja przed naszymi przemówieniami podsunąłem na kartce siedzącemu obok mnie Stypułkowskiemu do wykorzystania, gdyż rozmawiać nie było można). Toteż ten moment zadecydował, iż wracającego na

swoje miejsce Stypułkowskiego, gdy musiałem wstać, aby go przepuścić, demonstracyjnie pocałowałem. Ten sentymentalny odruch wobec „faszysty” na oczach całej sali miał swoją wymowę dla sądu. Zdawałoby się, że powinien mieć i dla Polaków...

Wyuczani świadkowie

Szczytem reżyserii było przygotowanie zeznań świadków. My ich z Polski przecież powołać nie mogliśmy, gdyż wszyscy dostaliby się również do więzienia. Okulicki zażądał sprowadzenia kilku świadków z AK, licząc na ich prawdomówność, chociaż byli w więzieniach sowieckich w Rosji, ale sąd żadnego na rozprawę nie dopuścił. Natomiast według swego systemu sprowadził swoich. Byli to więźniowie albo prowokatorzy już uprzednio do zeznań urobieni. Według systemu sowieckiego wszyscy oskarżali się sami, przyznając się do nieprawdopodobnych wprost wyczynów.

Niejaki Stankiewicz opowiadał, jak oddział jego i on sam wystrzelili żołnierzy sowieckich, mordowali ludność cywilną sprzyjającą Armii Czerwonej. Niewiarowski z wszelkimi szczegółami, mrożącymi krew w żyłach, opowiadał ze swadą odczytywania jakiejś makabrycznej nowelki, jak osobiście rozstrzeliwał pojmanych żołnierzy sowieckich, jak znęcał się nad nimi. Podobnie zeznają Kolendo i Czesław Lotarewicz, urodzony w r. 1923 w Detroit (USA), i inni. Ciekawe, iż wszyscy oni dobrze mówili po rosyjsku, a ich zeznania były tak płynne, jakby wprost wyuczone na pamięć. Wszyscy oni kategorycznie stwierdzali, że należeli do AK, rozkazy otrzymywali od swoich wyższych przełożonych, a ci otrzymywali je z Warszawy i Londynu...

Ale to byli przeważnie ludzie na mniejszych stanowiskach. Świadcami najkorzystniejszymi dla Sowietów byli ppłk Feliks Janson („Carmen”), zastępca komendanta AK obszaru Lwów i jego podkomendny W. Herman, komendant okręgu Stanisławów. Podczas rozprawy, na konfrontacji, zgodnie oskarżali siebie i władze naczelne AK, że przygotowywali powstanie przeciw Sowietom, kierowali akcją dywersyjną i zabijaniem żołnierzy Armii Czerwonej. Działali na podstawie instrukcji „NIE”. Dyrektywy takie otrzymał Janson jeszcze w maju 1944 r. na odprawie z Borem i Okulickim w Warszawie. Przy Hermanie znaleziono jakoby plany dywersji przeciwko Armii Czerwonej. Herman i Janson stwierdzili, iż sami doszli w rozmowie między sobą do wniosku, że ewentualnym naszym sojusznikiem będą Niemcy.

Widać z tego jak sztucznie było spreparowane to zeznanie i jak było ono potrzebne dla potwierdzenia takich nastrojów AK — choć od siebie niezależnych, ale zgodnych z dyrektywą Okulickiego do „Sławbora” i wspomnianą rozmową Okulickiego i Bora po kapitulacji Warszawy...

Sowieccy adwokaci. Stenogram

Ciekawą instytucję stanowią w Sowietach tzw. adwokaci. Są to raczej urzędnicy. Przydzielono nam ich z urzędu. Można było tylko nie zgodzić się na adwokata zupełnie i samemu się bronić. Uczynili to Okulicki, Jankowski i Stypułkowski.

Szczytem bezprzykładnych stosunków w adwokataturze sowieckiej było wystąpienie szefa adwokatatury sowieckiej, uznanego tu za sławnego mówcę i prawnika, I.D. Braude, obrońcy Bienia i Jasiukowicza. W przemówieniu swoim prawie nie zajmował się swoimi klientami, natomiast wygłosił długie, płomienne przemówienie, oskarżające w stosunku do innych pod sądnych, a zwłaszcza Okulickiego. W sprawozdaniu, wydanym w Moskwie po angielsku, ten kompromitujący wyczyn „sławnego” adwokata zupełnie opuszczono. W opinii Zachodu ten jeden fakt byłby wówczas proces ośmieszył.

Sowiety wydały spreparowane sprawozdanie stenograficznie z procesu w języku angielskim i innych, sprytnie uwidaczniające oskarżenie i zeznania urobionych świadków. Natomiast zeznania oskarżonych, czy to w śledztwie, czy na rozprawie podaje takie, jakie wygodne są dla oskarżenia, inne natomiast opuszcza, lub wprost przekręca.

Wnioski prokuratorów i wyrok

Prokuratorzy w przemówieniach oskarżycielskich uwypuklili winę Okulickiego i pozostałych, ale specjalnie zaatakowali rząd w Londynie, który jakoby tylko markował walkę z Niemcami, a współdziałanie AK z armią sowiecką używał jako dymnej zasłony, ale w rzeczywistości prowadził z nią walkę. Padły setki żołnierzy sowieckich. Dzisiejszą rzeczywistość potwierdzają plany na przyszłość... I tu z emfazą prokurator uderza w plany wspólnego frontu Polski z Niemcami w oparciu o zeznania Okulickiego, Jansona i Hermana.

Prokurator Afanasjew w stosunku do pierwszej grupy: Okulickiego, Jankowskiego, Bienia i Jasiukowicza — wobec ich wy-

rażonej skruchy, jak również wobec wielkiego zwycięstwa nad hordami niemieckimi i zakończenia wojny, nie widzi konieczności żądania kary śmierci i wnosi o zamianę na pozbawienie wolności.

Natomiast prokurator Rudenko drugą grupę, złożoną z 11 osób, jeszcze rozdzielił na trzy podgrupy różnego stopnia winy.

Wyrok ogłoszono o czwartej trzydzieści nad ranem w dn. 21 czerwca 1945 r.

W stosunku do pierwszej grupy uznano za dowiedzione przestępstwa ze wszystkich artykułów wymienionych w akcie oskarżenia, ale wyrokowanie oparto na art. 58 — 2, sow. kodeksu karnego. Skazano na więzienie:

Okulicki — 10 lat, Jankowski — 8 lat, Bień i Jasiukowicz — po 5 lat.

W stosunku do ośmiu członków RJN nie dowiedziono przestępstw z tych artykułów, o które byli oskarżeni, ale skazano z art. 8 — 12, sow.k.k. na więzienie z zaliczeniem okresu śledztwa:

Pużak — półtora roku, Bagiński — rok, Zwierzyński 8 mies., Czarnowski — 6 mies.

Mierzwa, Stypułkowski, Chaciński i Urbański po 4 mies.

Natomiast zostali uniewinnieni i zwolnieni:

Michałowski, Kobyłański i Stemler-Dąbski.

Wyrok ostateczny, nie ma odwołania. Podkreśla, iż kierowano się przy wymiarze kary okolicznością zwycięstwa w wojnie i przejściem do stanu pokojowego. I nie ma więc konieczności stosowania surowszych kar aż do rozstrzelania.

Wyrok odbiega od praktyki sprawiedliwości sowieckiej, która kary wymierza nie według udowodnionej winy, ale według tego, jak sąd ocenia więźnia, czy jest, lub też może być szkodliwy dla Sowietów.

Ofiarami tego odstępstwa sowieckiego dla opinii Zachodu padli zastępcy Jankowskiego, mający tytuły władzy wykonawczej — ministrów, ale którzy właściwie nie kierowali żadnym działem Delegatury Rządu, gdyż czyniły to departamenty. Bień, Pajdak i Jankowski byli przedstawicielami stronnictw w Krajowej Radzie Ministrów, działali tam w myśl wskazań ich partii i prezesów, którzy siedzieli na ławie oskarżonych, ale zostali potraktowani przez wyrok łagodniej, jako przedstawiciele Rady Jedności Narodowej, ciała opiniodawczego, a nie wykonawczego.

Natomiast wyrok ten wprost uratował na razie życie Pużakowi, któremu w całej jego politycznej działalności jednego nie

można zarzucić — aby był ustępliwy w odniesieniu do Sowietów i komunistów. W podobnym, jak już wspomniałem, położeniu był Stypułkowski.

Ocena wystąpień oskarżonych

Omówiłem przemówienia tylko tych, którzy rzeczywiście kierowali podziemiem, bądź tych, których wystąpienia były charakterystyczne. Omijam pozostałych, wśród których były i niezmiernie przykre... Warunki, w jakich pracowaliśmy w czasie wojny, tyle przeżyć w przeszłości, a zwłaszcza specjalne metody śledcze tak osłabiły odporność wielu, iż przestali być tym, czym byli przez okres swej długiej działalności politycznej. A odporność w dużej mierze zależała już nie tylko od właściwości psychicznych, ale — zdecydowanie twierdzą — wprost od różnorodnego działania środków chemicznych na organizm danej jednostki.

To powinno decydować o ocenie naszych wystąpień. Nie da się, niestety, tego procesu porównać z różnymi procesami politycznymi od blisko dwustu lat, wytaczanymi Polakom przez zaborców. Przyzwyczajeni byliśmy do innej postawy oskarżonych... Ale przyszły inne czasy, nastały inne warunki, i stosowano inne metody, jakich dawniej nie znano...

Przecież ta sala widzała tylu wybitnych bolszewików, którzy ku zdumieniu świata przyznawali się do niepopełnionych czynów i za nie byli zgładzeni. A pojętni uczniowie w krajach komunistycznych umieli do tego samego doprowadzić kardynała Mindszenty'ego, czy Rajka, lub też Clementisa. O tym ostatnim komuniści czechosłowaccy, nawet ci sami, którzy przyczynili się do jego zgładzenia, dziś nie przeczą, iż przyznał się do czynów niepopełnionych.

W tych warunkach trudno w procesie naszym przykładać normalną miarę i oceniać postawę oskarżonych pod względem polityczno-moralnym i potępiać nawet za ciężkie uchybienia. —

Inne zagadnienie stanowi bezstronna ocena, czy postawa oskarżonego była zgodna z interesem Polski.

Typowym przykładem niewłaściwej oceny wystąpień niektórych oskarżonych, a zwłaszcza Okulickiego, daje W. Malinowski w swojej historii. Tylko ubocznie wspomina o najistotniejszych zeznaniach Okulickiego o planach współdziałania z Niemcami. Ale i z tego, co podał z innych jego zeznań i co pokrywa się przeważnie z omawianymi przeze mnie, zaskakuje czytelnika stwierdzeniem, iż Okulicki wykazał... „tak piękne dowody poczucia godności własnej i narodowej”.

Po latach oceniając moją postawę, jestem przekonany, iż gdybym drugi raz znalazł się w takiej sytuacji, uczyniłbym to samo. W moim najgłębszym przekonaniu nie przyczyniłem się do żadnej krzywdy sprawie polskiej i swojej godności. Nie uważam tego jednak za moją zasługę, ale szczęśliwy przypadek, który, kosztem utraty zdrowia, nie zachwiał mojej odporności.

Skutki polityczne

Proces miał na celu zohydzenie w oczach Zachodu podziemia i rządu londyńskiego, nie tylko przez „stanie z bronią u nogi” ale jako czynnie walczących z Sowietami, sprzymierzeńcem Zachodu, a nawet układającymi plany wspólnej jawnej walki Polski i Niemiec przeciw Sowietom.

Praktycznie szło o wyłączenie nas, z kraju, od rozmów w Moskwie przy tworzeniu rządu, ale i osłabienie pozycji Mikołajczyka i tych wszystkich, którzy nie byli związani z komunistami. Liczono również na osłabienie wpływów naszego obozu wśród wojska. Wynikało to i z rozmówek oficerów śledczych. Sowiety i komuniści polscy zainscenizowali proces równocześnie z obradami o powołanie rządu z komisją trzech ambasadorów. Podpisanie umowy nastąpiło tego samego dnia, zaraz po ogłoszeniu wyroku.

Powstaje pytanie, czy cel został przez Sowiety osiągnięty. Niestety, tak. W pierwszym rządzie zeznania Okulickiego dały tyle materiału wygodnego dla Zachodu, iż mógł usypiać opinię swoich krajów koniecznością opuszczenia sprzymierzeńca polskiego, chociaż niewątpliwie wiedział, jaka jest rzeczywistość i jakie są śledcze metody sowieckie.

Jeszcze jedno zagadnienie do dziś pokutuje: Czy można było podpisać ten układ, skoro najbliżsi i lojalni współpracownicy zostali skazani...

LOSZY SKAZANYCH

Po procesie

Wkrótce po wyroku, nas ośmiu z RJN przeniesiono do wspólnej celi w innym już oddziale, bez takiej troskliwej opieki. Mieliliśmy już normalne jedzenie więzienne, a więc dość obfite, ale niemożliwe do jedzenia („szczy” na zepsutej rybce). Całe szczęście, iż jako uprzywilejowani otrzymywaliśmy dodatkowo

cukier i coś w rodzaju jajecznicy z proszku amerykańskiego. Ja dłem więc tylko chleb i ten dodatek, Pużak i Zwierzyński zjadali jednak wszystko. Utrapieniem były pluskwy (niespalone swego czasu przez Napoleona), które mnie trapiły najmocniej. Jeszcze w rok po opuszczeniu więzienia miałem krwawą plamę wielkości talerza.

- Z tej celi stopniowo wypuszczano, w miarę upływu terminu wyroku, Mierzwę, Stypułkowskiego, Chacińskiego i Urbańskiego po kilku tygodniach. Drogę do Polski mieli normalną jako zwykli pasażerowie bez żadnych przeszkód. Później wypuszczono Czarnowskiego, który był idealnym współwięźniem, przez wszystkich lubianym. Ten miał już inne warunki. Nie wiadomo dla czego odwieziono go w wagonie aresztanckim do Brześcia. W nocy podprowadzono go do granicy polskiej i tam porzucono. Chory, długo błąkał się, nim dostał się do Polski. Zmarł w kilka miesięcy później w Warszawie. Przed śmiercią zostawił dla mnie wskazanie, aby się wystrzegać wszystkich ze Stronnictwa Demokratycznego, gdyż przeżarte jest ono przez komunizm.

Zostało nas w celi trzech: Pużak, Zwierzyński i ja. Nic nie wiedzieliśmy, co się w świecie dzieje, gdyż nie mieliśmy żadnego kontaktu nawet z władzami więziennymi. Wzywano tylko kilka razy Pużaka, ale dla zebrania od niego danych „historycznych”, gdyż okazało się, iż siedział kiedyś w tym samym więzieniu co i Stalin. Czekaliśmy na wygaśnięcie wyroków.

Raptem, w dniu 1 listopada 1945 r. wezwano nas do kancelarii i tam w gronie licznych przedstawicieli sądownictwa i władz sowieckich ogłoszono nam z wielką ostentacją, iż zostajemy niezwłocznie zwolnieni decyzją Najwyższego Sowietu. Zapytano, czy mamy jakieś życzenia. Zgłosiłem, iż chcielibyśmy zobaczyć się z pięcioma pozostałymi więźniami. Komendant więzienia bardzo uprzejmie oświadczył, iż niestety, ich tutaj nie ma. Co, o ile wiem, nie było prawdą, gdyż mieliśmy niedawno po nich ślady.

Odesłano nas do polskiej ambasady, która załatwiła nam formalności i po kilku dniach wyjechaliśmy do Warszawy.

Stoję w korytarzu koło Zwierzyńskiego i obserwuję, jak podchodzi do niego jakiś jegomość i mówi: „Panie prezesie, pan minister Modzelewski chce się z panami zobaczyć, wysłał nas tutaj, abyśmy panów do niego dowieźli”. Zwierzyński odpowiada: „Poznaję. Pan mnie aresztował w Brwinowie. Po co te żarty o wizycie...”. W Dębach Wielkich pociąg staje, wysiadamy. Czekają auta wojskowe, do jednego wsadzają nas. A noc

listopadowa: ciemna i deszczowa. Ruszamy „w nieznaną”. Ja już piąty raz w swoim życiu. Kombinujemy, czy do obozu? Wreszcie znaleźliśmy się w UB na Pradze. Noc spędzamy w pokoju na stołkach a nie w piwnicy, co już budzi lepsze nadzieje. A rano rozdzieleni odbywamy rozmówki z ówczesnym szefem dept. politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa, wszechwładną Brystygierową. Namawia do oświadczenia, iż uznaję nowy Rząd Jedności, gdyż są w nim moi koledzy. Odpowiadam, iż nie wiem, co się w kraju dzieje, nie jestem uzależniony od żadnego rządu, jestem więźniem. Gdy będę wolny, to najlepiej poinformuję się u swoich kolegów. Na tym się skończyło i zostałem zwolniony. Tak samo i dwaj pozostali koledzy.

Akurat na ulicy kupiłem „Gazetę Ludową”, która po raz pierwszy wyszła tego dnia i stamtąd dowiedziałem się, gdzie jest lokal naszej partii.

Dalsze prześladowania

Zdawałoby się, iż następstwa procesu moskiewskiego już się skończyły. A to dopiero się zaczynało. Niezwłocznie przystąpiłem do działalności partyjnej. Właśnie rozszerzano Kraj. Radę Narodową i na skutek układu z PSL otrzymała ona kilkadziesiąt mandatów poselskich. Z listy tej, gdy już złożono ją Bierutowi do podpisu, w ostatniej chwili zakwestionował Mierzwę i mnie. Był to pierwszy znak, iż wyrok moskiewski ma dalszy ciąg. Sowiety dla względów międzynarodowych poczyniły ustępstwa przy wyrokowaniu. A teraz rękoma polskich komunistów stosują tzw. domiary. (Jest to system stosowany w celu zniszczenia prywatnej inicjatywy przez dodawanie do normalnego podatku nowego, niczym nie uzasadnionego). Był to wstęp do nowego aresztowania, gdyż komuniści nie chcieli być skrepowani nietykalnością poselską, którą zamierzali honorować.

Pierwszą ofiarą padł Mierzwa, w lecie 1946 r. został aresztowany. Powód jest obojętny, bo według zasad komunistycznych: człowiek jest — paragraf zawsze się znajdzie. Dostał 10 lat więzienia. Tak samo Pużak — również 10 lat więzienia — ale z niego nie wyszedł, — zmarł w więzieniu w Rawiczu 30 kwietnia 1950 r. Wreszcie ja — aresztowany 11 listopada 1946 r. przed samymi wyborami, bez żadnych podstaw prawnych — 8 lat więzienia.

Ale jeszcze ponadto miałem w więzieniu dodatkową przykrą karę, gdyż Państwowa Komisja Wyborcza skreśliła mnie z listy wyborczej. Nie liczyłem na ten mandat, wiedziałem iż go

nie otrzymam, ale nowy „domiar” polegał na tym, iż skreślono mnie z artykułu dodatkowego w ordynacji wyborczej, który opiewał o pozbawieniu praw wyborczych współpracujących z... Niemcami. A motywy Państwowej Komisji Wyborczej głosiły, iż decyzja ta nastąpiła w konsekwencji wyroku moskiewskiego.

A później po kolei przeszli przez więzienie nawet i po dwa razy Kobylański i Michałowski. W krótkim czasie zmarł Urbański, później Chaciński i Zwierzyński oraz Dąbski. Wrócili z Moskwy Bień i Pajdak, który był wyłączony ze wspólnego procesu i oddzielnie został skazany na lat 5.

Stypułkowski w krótkim czasie po wyjściu z więzienia opuścił Polskę, nie czekał na „domiar”, a ja, dopiero po ucieczce Mikołajczyka na Zachód w październiku 1947 r.

AKCJA W SPRAWIE ZAGINIONYCH

O Okulickim, Jankowskim i Jasiukowiczu słuch zaginął, na żadne poszukiwania rodzin władze sowieckie nie odpowiadały.

Toteż Tymczasowa Rada Jedności Narodowej wobec zbliżającej się dziesiątej rocznicy aresztowania, a więc i wygaśnięcia terminu najwyższego wyroku, który miał Okulicki, zainicjowała szeroką akcję w celu uwolnienia uwięzionych. Pomijając akcję prowadzoną wśród emigracji przez liczne artykuły w prasie polonijnej i na zgromadzeniach, skoncentrowało się głównie na czynnikach państw zachodnich. Min. Eden obiecał w porozumieniu ze St. Zjednoczonymi zażądać od Sowietów wyjaśnień. Kongres Polonii Amerykańskiej rozpiisał specjalne listy do senatorów z prośbą o poparcie tej sprawy. W Kongresie St. Zjednoczonych przemawiali kongr. T. Machrowicz (Michigan), kongr. Glood (Penn.), kongr. Sheeban (Ill.), kongr. Burdick (Dakota), kongr. Kluczyński (Ill.), kongr. Tumulty (NJ). Niezależnie od tego kongr. Machrowicz wysłał list do Sekretarza Stanu Dullesa o wystąpienie Dept. Stanu lub też ONZ o uwolnienie uwięzionych.

Odpowiedział podsekretarz stanu T.B. Morton, iż jest możliwość interwencji wraz z innymi rządami.

Noty USA i Anglii

Departament Stanu USA w dn. 22 kwietnia ogłosił noty USA i Anglii, które w prawie identycznej treści zostały złożone przez ambasadorów w Moskwie. Nota USA przypomina

o interwencji u Stalina w Moskwie i u Mołotowa w San Francisco w sprawie aresztowanych w 1945 r. Dalej nota stwierdza:

„Należy przypomnieć, że polski ruch podziemny prowadził zaciętą walkę u boku sojuszników w obronie Polski przed obcą agresją i okupacją w drugiej wojnie światowej. Aresztowanie tych przywódców, członków różnych polskich partii politycznych i ugrupowań, wywołało dużą troskę w całym świecie. Można również zanotować, że 16 przywódców polskich aresztowano w czasie, gdy sojusznicy zachodni, zgodnie z układami międzynarodowymi, czynili wysiłki dla utworzenia nowego rządu polskiego na podstawie demokratycznej przezłączenie przywódców polskich z zagranicy i podziemia Polski”...

„Najdłuższy wyrok sowiecki wydany był na gen. Okulickiego, który został skazany na 10 lat. Rząd St. Zjednoczonych stwierdza, że wyrok na gen. Okulickiego biegł od daty jego aresztu, tak iż obecnie odsiedział on swoją karę. Ponieważ wszystkie inne wyroki opiewały na krótszy termin, można założyć, że nikt z 16-tu nie przebywa obecnie w więzieniach sowieckich”...

„W tych warunkach rząd St. Zjednoczonych pragnie zwrócić się do rządu sowieckiego o informacje, którzy z tych 16-tu przebywają nadal w Związku Sowieckim i w jakich okolicznościach? Rząd sowiecki proszony jest także o informacje, dotyczące tych, którzy zmarli w Związku Sowieckim”.

Dopiero po tych notach Sowiety ogłosiły, iż Okulicki zmarł w więzieniu 24 grudnia 1946 r., zatem półtora roku po procesie w wieku lat 50-ciu. Nawet na procesie wyglądał w pełni sił... Jankowski zmarł 13 marca 1953 r., a więc na 2 tygodnie przed terminem zwolnienia... Zawiadomiono również o śmierci Jasiukowicza...

DZISIEJSZA RZECZYWISTOŚĆ

Omówiłem losy oskarżonych. Należy również spojrzeć, jak wyglądają dziś zagadnienia przyszłości poruszane na procesie.

Akt oskarżenia przytaczał artykuł wydawnictwa podziemnego SN „Warszawski Głos Narodowy” z dn. 21 lutego 1945 r. Oto niektóre ustępy:

„Wyniki konferencji (krymskiej), jeśli rozpatrywać je z punktu widzenia interesów Polski, istotnie budzić mogą pesymizm. Sytuacja ogólna przedstawia się w sposób następujący: cała Polska jest w rękę Sowietów, nie ma żadnych znaków na niebie ani na ziemi, które wrożyłyby ustępstwa lub nawet przepędzenie bolszewików z terytorium Rzeczypospolitej...”

Tak więc koniec oszustwa i koniec Polski. A gdzie jest słowo sojuszników? No i gdzie jest przepowiadany konflikt anglosasko-rosyjski?...

Przedstawiliśmy sytuację faktyczną w aspekcie dnia dzisiejszego, a obecnie spójrzmy na perspektywy...

Każda konferencja — to nowe oszustwo. Każda mowa Churchilla to nowe i jeszcze większe oszustwo. Konferencja Krymska —

to największe oszustwo ze wszystkich. Kiedyż wreszcie skończy się ta straszna, denerwująca gra? Kiedyż wreszcie sprzymierzeńcy chwycą Rosjan za gardło?...”

Artykuł, chociaż jaskrawo ocenia winę Zachodu i widzi konieczność rozprawy z Sowietami (jakże dawniej łatwej), nie kompromituje podziemia współdziałaniem z Niemcami. Był on na dalszą metę zgodny z interesem Polski i wolnego świata. Niestety, oskarżeni musieli się od niego odżegnywać...

Natomiast całkiem inaczej wyglądały pomysły w duchu wynurzeń von dem Bacha, które przewijały się przez cały proces. Były szkodliwe i wówczas, i jako wskazania na przyszłość.

Obecna rzeczywistość przeszła najbujniejsze fantazje. Rośnie siła odrodzonej armii niemieckiej. Jest to twór Zachodu, który traci kontrolę nad nim z dnia na dzień.

Nie tylko naiwne, ale szkodliwe są nadzieje na odzyskanie niepodległości przy pomocy armii niemieckiej. Cios temu zadały rewelacje „Der Spiegel” o planach atomowego zniszczenia Polski wzdłuż Wisły, aby zlikwidować na naszej ziemi siły sowieckie i odciąć je od Rosji. A wówczas na Ziemi Odzyskanie wkroczą Niemcy. Kto ich później wycofa?...

Zdawałoby się, iż reżym warszawski powinien gwałtownie zaatakować te pomysły, a jednak od pół roku pary z ust nie puścił. Boi się wzmożenia nastrojów antysowieckich, gdy społeczeństwo się dowie, iż „broniąca” nas armia sowiecka ma sprowadzić bomby i zniszczenie Polski. Dla nas jedyne rozwiązanie stanowi rozbrojenie Niemiec i wyjście Sowietów z Polski, aby nie „broniły” nas one przed Niemcami, a ci aby nie „uwalniali” Polski.

Zadne argumenty, iż nie chce tego Zachód czy też Sowiety, nie mogą usprawiedliwić przychylniej czy też milczącej postawy Polaków na rozrost armii niemieckiej, dziś już mającej włączyć broń atomową.

Na procesie, sądzę, wszyscy, oprócz Okulickiego, szczerze odcinali się od współdziałania z Niemcami. Osobiście podtrzymuję to zdecydowanie i dzisiaj.



Niniejsze wspomnienia osobiste nie obejmują zdarzeń, jakie się rozgrywały na zewnątrz. A więc reakcja Zachodu, Sowietów i Polski w związku z aresztowaniem, procesem i układem w Moskwie w sprawie powołania rządu.

Te zagadnienia oczekują na opracowanie.

Kazimierz BAGIŃSKI

Z DWU OSTATNICH LAT BOYA
(Lwów 1939 — 1941)

*La réalité ne se forme que dans la
mémoire.*

Marcel Proust

Boya poznałam we Lwowie w pierwszych dniach maja 1940 roku. Odtąd widywałam go niemal codziennie aż do tragicznej jego śmierci z rąk niemieckiego Sicherheitsdienstu w nocy z 2 na 3 lipca 1941. Był wówczas profesorem literatury francuskiej Uniwersytetu lwowskiego. I znowu przypadkowo, podobnie jak został pisarzem, został profesorem. Nie od razu jednak, gdyż przedtem — również przypadkowo — wrócił do swego dawnego zawodu. Przez kilka miesięcy bowiem pracował jako lekarz w klinice chorób dzieci, na oddziale prof. dra Stanisława Progulskiego; dyrektorem kliniki był prof. dr Franciszek Groer.

Uchodźcy z całego obszaru Polski zajętego przez Niemców, o ile nie decydowali się na powrót do domu lub nie usiłowali wydostać się za granicę, szukali pracy we Lwowie, jakiegokolwiek, gdziekolwiek — byle otrzymać papierek z pieczętką, byle wejść w poczet „ludzi pracujących”. Inaczej bowiem trudności piętrzące się i tak przed każdym w nowych, nieznanych i dziwnych warunkach, urastały do rozmiarów katastrofy. Najczęściej chodziło po prostu o możliwość zachowania mieszkania lub w ogóle pozostania we Lwowie. Boy mieszkał od przybycia do Lwowa aż do końca, u swego szwagra, prof. dra Greka, przy ul. Romanowicza 7. Dla Boya oddział na klinice dziecięcej był takim właśnie miejscem pracy, względnie spokojnym, anonimowym, nie zwracającym szczególnej uwagi nowych władz.

Zapytałam go raz, jak się czuł po tylu latach znowu w klinice, wśród chorych dzieci. Odpowiedział: „To było ogromnie zasmucające, jak wtedy, jak dawniej”.

Nie na długo jednak udało się Boyowi zachować ów anonim lekarza w klinice. Wkrótce poproszono go o wygłoszenie na Uniwersytecie Jana Kazimierza cyklu wykładów o Prouście; było to późną jesienią 1939 roku, a więc jeszcze przed reorganizacją uniwersytetu przez władze sowieckie i wprowadzeniem języka ukraińskiego jako języka wykładowego, co i tak pozostało oczywiście do końca fikcją.

Wstęp na wykłady był wolny. Lwów przechodził wówczas ciężkie chwile, wielu ludzi ubyło, na ogół mało bywano, ale na wykładach o Prouście było pełno. Zapominano o smutkach, słuchano Boya. Dziwny to był obraz sali wykładowej — studenci wcale w niej nie przeważali, bowiem byli obecni wszyscy, którzy mieli cokolwiek wspólnego z literaturą, sztuką, czy nauką — przychodziło także — jak to zwykle bywa — mnóstwo snobów i „pań z towarzystwa”.

Boy podbił serce Lwowa w mgnieniu oka i niejako wbrew własnej woli i intencji. — Wszyscy o nim mówili, wykłady jego były tematem długich dyskusji. Mimo skromności i prostoty — jego niezwykła indywidualność przyciągała uwagę, był soczewką, która skupia wszystkie promienie.



Niepokoił go wtedy bardzo los niewydanych jeszcze, a przygotowanych już do druku książek. Mówił, że na pewno straci cztery książki — i niestety tak się stało. Były to ostatnie dwa tomy przekładu Prousta, tom esejów pt. „W stronę Prousta” i ostatni tom krytyk teatralnych.

Wszystkie rękopisy, tak pieczołowicie przechowywane cały prawie czas wojny przez panią Zofię Żeleńską, spłonęły w pierwszych dniach powstania w mieszkaniu na Krakowskim Przedmieściu. Boy pisał ze Lwowa, by odebrać z drukarni rękopisy, żeby tam nie przepadły, a przede wszystkim oba tomy Prousta. — Niestety ani mieszkanie, ani drukarnia nie przetrwały powstania.

Poprosiłam raz zartem Boya, by mi „opowiedział” dwa ostatnie tomy Prousta. Prośbę mą potraktował jednak serio i w czasie spacerów po Wysokim Zamku, który ogromnie polubił, opowiadał szczegółowo dzieje Albertyny, Charlusa i innych bohaterów „Czasu odnalezionego”. Niezrównane były jego ko-

mentarze, charakterystyki, interpretacja myśli proustowskiej; o bohaterach powieści mówił jak o żyjących ludziach, przenikał stosunek autora do nich i do jego autentycznego otoczenia. W rozmowach tych fikcja stawała się rzeczywistością, a rzeczywistość fikcją. — Lwów z Wysokiego Zamku wyglądał pod wieczór jak Florencja, kiedy z małej kawiarenki przed wejściem widać było zapalające się światła na dole w mieście i na otaczających je wzgórzach.

Raz spotkaliśmy tam prof. Kleinera z dziećmi, schodzącego z kopca. Przywitał serdecznie Boya, ucieszył się bardzo, że i on polubił to urocze miejsce oraz rozległy widok na miasto w kotlinie i wzgórza.



Jeszcze jedna książka miała podzielić los wymienionych i nie dotrzeć do rąk czytelników, mimo że była już wydana. Jest nią antologia liryki młodopolskiej pt. „Młoda Polska” zaopatrzona obszerną przedmową Boya.

Miała się właśnie ukazać na półkach księgarskich, kiedy wybuchła wojna. Cały nakład został w skrzyniach w Ossolineum.

Boy dowiedział się o tym po jakimś czasie dopiero i wszczął starania u władz sowieckich o zwolnienie nakładu. Otrzymał odpowiedź, z której wynikało, że tytuł „Młoda Polska” budzi pewne zastrzeżenia. Autor zaproponował wobec tego zmianę tytułu, co nie przedstawiało większych trudności, jako że egzemplarze były broszurowane, łatwo więc można było zmienić okładkę i kartę tytułową. Propozycję przyjęto, nakład został w skrzyniach. Wreszcie jakiś uprzejmy urzędnik, oczarowany Boyem, wydał mu pięć egzemplarzy autorskich. Z tych Boy zatrzymał dwa dla siebie, dwa ofiarował kolegom profesorom, z których jeden nie żyje, a drugi, Mychajło Rudnicki, został we Lwowie — jeden mnie.

I jak tu nie wierzyć w cuda? Czy w przyjaciół? Między moimi kilkoma zaledwie drobiazgami i książkami ocalonymi przez przyjaciół we Lwowie, znalazła się również „Młoda Polska” Boya. Przywieźli ją do Krakowa po moim powrocie z Oświęcimia oraz kilku innych więzień i obozów. Otwieram książkę. Trzy wiersze drobnym pismem:

„Pani Wandzie Blankenheimowej swojej najmilszej przewodnicze po Lwowie
ofiaruje

T. Ż.

Lwów, 1.VIII.1940 r.”

Zadumałam się nad dedykacją i datą... Pięć lat. Już pięć lat? Dopiero pięć lat?

Uświadomiłam sobie jednak natychmiast, że skoro cały nakład przepadł, nie przepadł bezpowrotnie. Został ten jeden jedyny egzemplarz w Polsce — podstawa do nowego wydania. Toteż wyjeżdżając do Paryża zostawiłam go pani Zofii Żeleńskiej w Warszawie, a po przygotowaniu nowego wydania otrzymałam z powrotem mego białego kruka z epoki linotypów i maszyn rotacyjnych.



Przez cały czas swego pobytu we Lwowie Boy pracował bardzo intensywnie. Wykładał literaturę francuską na uniwersytecie aż do końca roku akademickiego 1940/1941, to jest aż do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej.

66-letni wówczas, wiecznie młody, niestrudzony Boy wstawał bardzo wcześnie, siedł na wykłady, po wykładach były pół godziny lub dłużej konsultacje dla studentów, którzy zgłaszali się licznie. Młodzi romaniści — a było wśród nich kilku bardzo zdolnych — korzystali z entuzjazmem z okazji słuchania wykładów Boya, zasięgania jego rad i zdawania u niego egzaminów.

W letnim trymestrze 1941 r. Boy wykładał prócz literatury francuskiej także literaturę porównawczą. Pamiętam dokładnie, jak przygotowywał te wykłady; pomagałam mu wtedy trochę w zestawianiu bibliografii i wyszukiwaniu niektórych tekstów oraz danych dotyczących literatury niemieckiej i hiszpańskiej.

Przyjemnie było pracować w zacisznej bibliotece państwa Greków, która była pokojem Boya w czasie jego pobytu we Lwowie. Wspominam ten szczegół, ponieważ wśród innych cennych obrazów znajdował się tam jeden o wyjątkowej wartości. Była to „Madonna z aniołkami”, jedno ze sławniejszych dzieł Wyspiańskiego; ogromnych rozmiarów płótno formatu podłużnego, zawieszona wysoko na ścianie, sięgało prawie podłogi. Posiadało jakiś szczególny, magiczny wdzięk, nie mogłam od niego oderwać wzroku, ilekroć przychodziłam. Po aresztowaniu rodziny Greków i Boya gestapowcy zabrali m.in. i ten obraz, który po wojnie pojawił się w Krakowie w handlu. Kupiec nie chciał go oddać rodzinie, gdyż — jak twierdził — nabył dzieło w dobrej wierze. Dalsze losy „Madonny z aniołkami” Wyspiańskiego nie są mi znane.

Zainteresowania Boya w tym okresie nie ograniczały się wyłącznie do literatury francuskiej. Pracował nadal nad Fredrą, którego bardzo lubił; mówił o nim również w radio lwowskim. Przygotowywał także zamówiony tom artykułów wybranych, pisywał krytyki teatralne do „Czerwonego Sztandaru”. Ostatnia z nich, z przedstawienia „Krakowiaków i Górali”, ukazała się w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej.

Boy ogłosił też później kilka artykułów w „Nowych Widnokręgach”, niechętnie zresztą, widząc nazwisko Zofii Dzierżyńskiej w składzie członków redakcji.

Odpoczywał tylko dwie godziny dziennie, po południu od 6 do 8, które spędzał na spacerze i krótko na kawie; wyjątek stanowiły dni premier, wtedy bowiem wychodził do teatru, dokąd mu przeważnie towarzyszyłam. Wieczorem pracował jeszcze do późna, nieraz nawet po teatrze. Te dwie godziny odprężenia, te „spacery po Lwowie” — jak je nazywał — lubił bardzo. Poznawał bliżej miasto, zaczynał się z nim zaprzyjaźniać. Podały mu się uliczki i zaułki ze starymi domami w okolicy Rynku, wspaniała barokowa kaplica Boimów, ogrody i parki, i niektóre dzielnice podmiejskie o specyficznym charakterze i nastroju.

Na spacerach mówił zawsze o bieżących sprawach, o swej pracy, o wydarzeniach dnia, pytał o nowiny z miasta, interesował się wszystkim. Śmiałam się nieraz mówiąc, że chyba większość tego, co opowiadam, to powtarzanie plotek, a przecież plotek nie należy słuchać. Odpowiadał, że właśnie to go bawi, że ludzie tylko tak udają, plotki wszyscy bardzo lubią, są najzabawniejszym tematem. Ale nie były jedynym. Czułam najwyraźniej, jakkolwiek Boy nigdy się o tym otwarcie i jasno nie wypowiedział — że chce, by ktoś był dokładnie poinformowany o wszystkich jego sprawach, by wiedział zawsze dokąd idzie i kiedy ma wrócić do domu. Pilnował też skrupulatnie pory posiłków u państwa Greków chcąc jak najmniej przeszkadzać, ale może i dlatego, by ich nie niepokoić większym spóźnieniem. Czuł się w jakiś sposób niepewny, był niespokojny.

Przytoczę tu jako przykład bardzo charakterystyczne dla ówczesnej sytuacji wydarzenie, które się dobrze zakończyło.

Pewnego dnia telefonuje Boy do nas o niezwyklej porze, Od razu wiedziałam, że się coś stało, był bowiem niezwykle punktualny i codziennie dzwonił o 15-ej. Otóż powiada, że na godzinę 17-tą ma wezwanie do lokalu Partii w gmachu dawnego Województwa, nie wie absolutnie o co chodzi, ani kiedy wyjdzie stamtąd, na spacer więc już dzisiaj nie pójdziemy. Tyle. Odniosłam oczywiście wrażenie, że Boy jest zaniepokojony.

Naradzamy się z mężem, czy nie byłoby wskazane, żeby wyszedł Boyowi naprzeciw, gdzieś w pobliżu zaczekał i zobaczył, co się dzieje. — Dyskusja długa, decyzja trudna, a to z wielu względów; mieszkamy bardzo blisko, męża tu znają etc. — Pół godziny po oznaczonej porze — telefon. Znowu Boy. Otrzymał nagrodę literacką, 5.000 rubli. Wezwano go w celu jej wręczenia. Możemy zatem pójść na spacer i na kawę z ciastkiem. — Oto niespodzianki systemu. Bywały i inne. Wszystkie dla nas wówczas jeszcze niezrozumiałe, zawsze spadające nagle, zawsze zdumiewające i zawsze jakoś tragikomiczne. Po prostu mieliśmy jeszcze inną optykę. Oto np. sprawa związana z aresztowaniem kilku poetów w lokalu dawnego klubu mieszczańskiego przy ul. Jagiellońskiej 7, o której nie będę tu mówić szerzej, szczegółów jej bowiem nie znam dokładnie, inni wiedzą o tym więcej; mówiono o prowokacji, gubiono się w domysłach, w każdym razie zdziwienie i poruszenie w mieście było ogromne. Nie pamiętam też nazwisk aresztowanych poetów prócz Peipera, Skuzy, Wata i Broniewskiego. Otóż kilka miesięcy po tym wydarzeniu córka Feliksa Kona, Helena Usijewicz, należąca do zespołu redakcyjnego „Nowych Widnokręgów”, przyjechała z Moskwy i zauważyła w rozmowie z Boyem, że brak jest bojowych, rewolucyjnych poetów. Na co Boy: „Przecież aresztowaliście Broniewskiego”. — Odpowiedź: „No to go można wypuścić”. — „Ale jak go wypuszczą, to już przecież nie będzie pisał jak dawniej!” — mówi Boy. — „Dlaczego nie?”, pada lakoniczne — retoryczne pytanie.



Popularność Boya wzrasta we Lwowie z dnia na dzień, mnożą się prośby o odczyty, o udział w zebraniach literackich, o artykuły do pism.

O tym, z jakimi honorami przyjmowano Boya do Związku Pisarzy — przewodniczącym był wtedy Petro Pancz — mówiono i pisano wiele, nie będę więc powtarzać wszystkiego. Przypomnę tylko, że tego wieczora obradom przewodniczył poeta Tudor, Ukrainiec miejscowy (1). — Kiedy Boy wstał, by — jak to było zwyczajem — opowiedzieć swój życiorys, Tudor zbliżył się do Boya mówiąc: „Proszę siadać, mnie trzeba stać, jak Boy-Zeleński mówi. Przetłumaczył on więcej książek, niż niejednen

(1) Pisarz ukraiński Jarosław Galan w wspomnieniach o pisarzu Aleksandrze Hawryluku mówi; „jak zawsze w takich wypadkach przewodniczył Hawryluk”, natomiast Piotr Rawicz, obecny wówczas na zebraniu, na którym przyjmowano Boya i in. do Związku Pisarzy, pamięta dokładnie, że przewodniczył Tudor.

z tu obecnych przeczytał przez całe życie. My Ukraińcy bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mieli, już nie mówię całego, ale połowę, albo ćwierć takiego Boya”.

Na sali panował nastrój patetyczny, napięcie wzrastało w miarę, jak Boy mówił, niektórzy oczekiwali jakiegoś oświadczenia wiernopoddanego, tymczasem Boy powiedział tylko z właściwą sobie prostotą i skromnością, że jeśli idzie o jego światopogląd, to zdaje sobie sprawę z tego, iż w obliczu wojny jego liberalizm dziewiętnastowieczny nie stanowi rozwiązania, że muszą się znaleźć jakieś nowe drogi.

Następca Pancza, młody pisarz ukraiński Desniak, zajął podobne stanowisko, jak jego poprzednik — odnosił się do Boya niemal z adoracją.

Ludzie, skłonni na ogół do przesady i do przeceniania wpływów, sądzili, że Boy potrafi dokonywać cudów i pomóc w najzawilszych sytuacjach. Było to oczywiście fałszywe, gdyż politycznie nie odgrywał najmniejszej roli, komunistą nie był, ani też nie uważano go za takiego; reprezentował tzw. element postępowy, ponieważ był dawniej w opozycji, zawsze pisał śmiało, co myślał, od dawna był sławny nie tylko w Polsce, ale i za granicą — wszystko to w sumie stanowiło więc ogromną atrakcję, wartość propagandową budzącą zaufanie, przekonywującą społeczeństwo.

Jak małe w gruncie rzeczy miało to znaczenie — udowodnił fakt następujący. Pewnego dnia, latem 1940 r., tj. już po wywózkach, zjawił się u Boya jakiś nieznajomy z wiadomością o wywiezieniu kilku osób z rodziny Rydlów: matki — Panny Młodej z „Wesela” — wraz z córką i zięciem. Zięć mianowicie był leśniczym; wiadomo, że Rosjanie, a później Niemcy, aresztowali leśniczych ze względu na możliwość posiadania i ukrywania broni.

Boy nie utrzymywał kontaktu z tą rodziną, był więc zaskoczony wiadomością. — Sprawa delikatna. Przyrzekł jednak zrobić wszystko, co może, dowiedział się też natychmiast, do kogo należy się udać.

Zawiadomił mnie przedtem, że idzie do biura przy ulicy Batorego, do jakiegoś majora, którego nazwiska nawet nie znał. Denerwował się trochę przed tą wizytą. Nie była przyjemna, ale za to bardzo krótka. Major, przystojny i elegancki, wstał, wyprostował się jak struna i powiedział: *Ne myszajte sia w to, Profesor Boy-Zeleński*. Koniec audiencji.



Bywały — w przeciwieństwie do tego — inne, przyjemniejsze wydarzenia świadczące o niezwykłej popularności i sympatii,

jaką lwowiacy darzyli wielkiego pisarza i profesora. I tak np. jesienią zaniósł Boy do krawca materiały na dwa ubrania zimowe; krawca nie znał zupełnie, ani też nie powiedział, kim jest. Gdy zapytał o cenę uszycia ubrań, krawiec oświadczył, że uszycie u niego nic nie kosztuje. Zdumiony Boy pyta, co to ma znaczyć. Otóż krawiec natychmiast poznał swego klienta, którego fotografie w pismach często oglądał, czytał wszystkie jego książki, Boy to jego umiłowany pisarz, szycie dla niego poczytuje sobie za największy zaszczyt, a zatem pieniądze absolutnie nie przyjmie i na tym stanęło.

Ów entuzjasta poznał Boya, mimo, że ten wówczas nie nosił już wąsów, a na wszystkich prawie znanych zdjęciach był z wąsami. Z wąsami było mianowicie tak: Boy zgolił je mniej więcej rok przed wojną z następującego powodu. Syn jego grał w jednej sztuce rolę krytyka; na scenie czterech krytyków zasiadało przy stole. Postanowił więc ucharakteryzować się na ojca, byli do siebie ogromnie podobni. Zamiar swój otoczył głęboką tajemnicą, która, nie wiadomo jak, dotarła do ojca — jak to zwykle z tajemnicami bywa. Otóż ojciec postanowił również zrobić synowi niespodziankę. Wieczór przed premierą zgolił wąsy i usiadł w teatrze na swoim zwykłym miejscu. „Chciałem widzieć minę Staszka, jak zobaczy, że nie jestem podobny do tego na scenie” — powiedział. Dowcip się udał, a Boy od tego czasu wąsów więcej nie nosił.

Wkrótce po przygodzie z krawcem zdarzyło się coś zupełnie podobnego, tym razem u szewca. Przy ul. Akademickiej miał sklep najelegantszy lwowski szewc, Sales. Obuwie od Salesa zostało jednym z moich nigdy nieziszczonych marzeń. Za wystawą widniała błyszcząca mosiężna tabliczka z napisem „Absolwent Szkoły Przemysłowej we Wiedniu” — duma pana Salesa. Wiadomo było, że Sales ma jeszcze dobrą skórę i Boy udał się do niego, by zamówić sobie buciki na zimę. Sales — na widok Boya u siebie w sklepie — wpadł w zachwyty. Poznał go od razu, zaczął recytować „Słówka”, umiał prawie wszystkie na pamięć, a co zapominał — to Boy uzupełniał. W końcu, po dłuższej chwili tej fantastycznej zabawy, Boy miał tego dość i chciał pomówić o butach. I znowu powtórzyła się historia z krawcem. Sales nie tylko nie chciał słyszeć o pieniądzach za robotę, ale nawet za skórę nie chciał nic przyjąć i zrobił Boyowi w prezencie dwie pary najpiękniejszych butów, prześcignawszy nimi samego siebie i swoją sławę. Ale nie na tym koniec — zaprosił Boya na obiad. I Boy zaproszenie przyjął. U szewca na obiedzie było czarujać, mieszkał w ładnej willi gdzieś w okolicy ul. Listopada.

Przy stole recytowali sobie „Słówka” i prowadzili rozmowę o literaturze — w sumie jedno z weselszych przeżyć tego niewesołego okresu, jakże bardzo w stylu humoru Boya. Jak zawsze bawił go koncept, humorystyczna sytuacja, ale był wtedy bardzo przybity, niespokojny o swoich w Warszawie. Bał się Niemców, przewidywał wojnę niemiecko-rosyjską, nie ufał zapewnieniom prasy, a przede wszystkim nie ufał Niemcom.

Mówił o tym ciągle, z niecierpliwością oczekiwał listów z Warszawy, które nadchodziły z ogromnym opóźnieniem, czasem dostawał telegramy. Stale był w poszukiwaniu okazji przekazania rodzinie pieniędzy.

Często mawiał, że jest smutny, że jest melancholikiem i człowiekiem nieśmiałym. Kiedy spojrzałam na niego z niedowierzaniem, dodał: „To przecież jest klasyczne, wszyscy humorysty są melancholikami”.

Pewnego razu otrzymał wezwanie na milicję, gdzie zakomunikowano mu, że znajoma z Ameryki wyraża gotowość wysłania mu papierów. Zapytano Boya, czy pragnie z tego skorzystać i wyjechać. Bez sekundy namysłu odpowiedział, że nie. Po pierwsze nie wierzył w możliwość realizacji podróży, następnie obawiał się następstw ujawnienia chęci wyjazdu do Ameryki, a chyba najsilniej wpłynęła tu na decyzję jakaś dziwna niechęć do zmiany miejsca pobytu, lęk przed bezdomnością, apatia — co miało w niespełna rok później tak tragicznie zaważyć na jego losach.

Sprawy osobiste nie zniechęcały Boya do pracy, wręcz przeciwnie — obowiązków miał coraz więcej, a jak już wspomniałam, miał też swoje ulubione tematy, które go pasjonowały i odrywały od różnych smutków.

Jaka szkoda, że nie ukazał się w druku odczyt pt.: „Balzak na Ukrainie”, wygłoszony we Lwowie trzykrotnie zimą 1940 r. Boy fascynował słuchaczy, porywał dowcipem; jednakowo reagovali nań starzy intelektualści, jak i młodzi robotnicy. Słyszałam go wszystkie trzy razy mówiącego o Balzaku na Ukrainie, za każdym razem przed inną publicznością, w innej sali — efekt był zawsze ten sam. Owacjom na cześć prelegenta nie było końca. Balzak, który jedzie z Paryża przez Kraków, Brody, Berdyczów do Wierchowni, wydał nam się wtedy tak bliski, taki swój, był przecież tutaj, tak niedaleko, czyżby to było tak dawno?

Boy czaruje; pokazuje, czego dotąd nikt nie widział — Balzaka-giganta u schyłku życia jako młodzieńczo zakochanego amanta, który po kilkunastu latach wiernej miłości, jaka mu bynajmniej nie przeszkodziła mieć w tym czasie nieślubne dziec-

ko, leci w niesłychanym pośpiechu do swej ukochanej. — „Na czymże leciał ten grubas?” — zapytuje Boy i odpowiada z całą powagą: „Na skrzydłach miłości”. Przyleciał dwukrotnie na tych skrzydłach do Wierzchowni, zanim doszło do małżeństwa z panią Hańską.

Nie będę tu oczywiście streszczać całego odczytu. Ależ czego ci balzakiści nie wiedzą! Nazajutrz po odczycie zapytałam Boya żartem, czy znając tyle plotek, wie także, kiedy i gdzie została wreszcie uwieńczona miłość Balzaka. Tyle lat nic, tylko listy i listy! — Boy zatrzymał się — było to na ulicy — i poważnie, dobitnie odpowiedział: „tak, w Neuchâtel”. Byłam tak zaskoczona szybkością i ścisłością odpowiedzi, że zapomniałam się roześmiać.

Ale z tym humorystycznym odczytem łączy się jeszcze jedno wydarzenie z rzędu humorystyczno-groteskowych. Otóż po przyjęciu zaproszenia, odczyt należało zgłosić kilkanaście dni wcześniej, jak to wyjaśniono Boyowi. Udaje się więc do sekretariatu w dawnym Kasynie Literackim przy ul. Akademickiej, gdyż tam miał się odbyć odczyt (potem poproszono Boya o dwukrotne powtórzenie, gdyż mnóstwo ludzi odeszło nie mogąc się dostać na zbyt małą salę). Przyjmuje go jakiś ponury żołnierz i każe sobie przedłożyć „autobiografię” i „plan” odczytu. Były to widocznie przepisy obowiązujące prelegentów. Rozgniewany Boy wyszedł bez słowa i nie interesował się więcej całą sprawą. Kilka dni później — telefony, usprawiedliwienia, wyjaśnienia nieporozumienia, prośby o wybaczenie i obeszło się oczywista bez planu i autobiografii.

Z dziedziny faktów groteskowych przytoczę jeszcze jeden. Boy opisał mi pierwszego Sylwestra w Związku Pisarzy, którego lokal mieścił się w pałacyku hr. Bielskiego przy ul. Kopernika. Stary hrabia mieszkał wtedy jeszcze u siebie w kilku pokojach na górze; członków Związku zebranych licznie w wieczór sylwestrowy uważał więc za swych gości i we fraku, w białych rękawiczkach snuł się po pięknych galeriach pałacu, jak mara, zjawą z dawno minionych czasów. W cztery miesiące potem wywieziono go do Kazachstanu.



Niezapomniane dla wszystkich, którzy w 1940 r. byli we Lwowie, pozostaną uroczystości mickiewiczowskie. Rozpoczęły się 23 listopada i trwały 3 dni. Uświetnione obecnością znakomych uczonych polskich i sowieckich były hołdem złożonym geniuszowi Adama Mickiewicza w 85 rocznicę jego śmierci.

Największe wrażenie pozostawiły dwa przemówienia Boya — jedno wygłoszone pierwszego dnia uroczystości w szczelnie wypełnionej sali Teatru Wielkiego, drugie następnego dnia w auli uniwersytetu na zaproszenie Akademii Nauk dla ściślejszego grona uczonych i pisarzy.

Któż potrafi odtworzyć uroczysty nastrój sali od chwili zjawienia się Boya na estradzie? Pierwsze zdania nie docierają jeszcze do świadomości słuchaczy zanim przestrzeń nie wypełni się głosem, następne od razu urzekają. Fascynujący jest ten obraz Mickiewicza, nowego — nie tego znanego ze szkoły i nawet nie tego z uniwersytetu, ale pogłębionego dalszymi studiami i długimi rozważaniami. Nie mogę tu streścić owych dwóch przemówień, ukazały się zresztą drukiem w „Nowych Widnokręgach”, przypomnę tylko słowa kończące przemówienie w teatrze: — „Mickiewicz jest wielki, jest tak wielki, że nie trzeba obawiać się prawdy. Jest tak wielki, że prawda o nim pozwala dopiero ocenić miarę jego wielkości”.

W prostocie leży szlachetność. Prostymi słowami mówił Boy. Język jego jasny i przejrzysty, jak kryształ — zrozumiały był dla wszystkich; z równym przejęciem słuchała młodzież tłumnie zebrana w Teatrze Wielkim, jak elita intelektualistów. Podobne wrażenie wywarł odczyt Boya w auli uniwersytetu. Uczeni sowieccy, wśród nich sławni sławiści z Leningradu i Moskwy, prosili potem Boya o spotkanie, o krótką choćby chwilę rozmowy na tematy naukowe. Jeden z najstarszych profesorów uniwersytetu leningradzkiego, człowiek niezwykle ciekawy, okazał się znakomitym znawcą Mickiewicza. Złożył Boyowi wizytę, by porozmawiać o pisarzach polskich, których twórczość i działalność znał zadziwiająco dokładnie. Podobnie jak inni żałował, że zbyt krótki pobyt we Lwowie nie pozwolił na szerszej zakrojonej dyskusję, na bliższe zapoznanie się z badaniami naukowymi i twórczością Boya.



Jedna jeszcze uroczystość znaczy drogę Boya w tych jego dwu latach lwowskich. Odbyła się ona w Związku Pisarzy w styczniu 1941 roku, zainaugurowała — jakże wesoło — rok, który już tylko do połowy miał przeżyć Boy. Był to mianowicie jubileusz „Słówek”.

Kiedy Desniak nagle oświadczył Boyowi, że w Związku Pisarzy odbędzie się uroczysty wieczór i bankiet z okazji jubileuszu „Słówek”, nikt nie mógł być bardziej zdziwiony od Boya.

Próbował protestować; 35-lecie — to żadna data jubileuszowa, „Słówka” — to żart, „Zielony Balonik” — zabawa, jakąż mogłaby być przyczyna, dla której właśnie teraz należałoby obchodzić jubileusz „Słówek”? W odpowiedzi usłyszał, że „Słówka” to bardzo odważna książka i że autor-bohater ośmielił się podobno kpić nawet z samego cesarza Franciszka Józefa. Boy śmiejąc się serdecznie daremnie próbował przekonać Desniaka, że Franciszka Józefa nic by to nie obchodziło, oraz że satyra i dowcip absolutnie nie były bohaterstwem, tylko rozrywką.

Może wówczas nawet faktycznie nie doceniał roli, jaką odegrały jego „Słówka” w walce z przestarzałymi poglądami czcigodnych przedstawicieli nauki, sztuki, prasy i polityki c.k. Krakowa i w jakim stopniu „Zielony Balonik” i cyganeria krakowska przyczyniły się do zmiany umysłowości epoki. Nie przeczuwał zapewne też, że wybuch śmiechu w Jamie Michalikowej będzie poważnie rozpatrywany na płaszczyźnie socjologicznej przez następną generację. Wystarczy wymienić dobrze udokumentowaną i bogato ilustrowaną pracę Jana-Pawła Gawlika pt. „Powrót do Jamy”, wydaną w Krakowie w 1961 roku przez Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne.

A więc nie pomogły perswazje, jubileusz obchodzono i to ślicznie. Boy sam, uśmiechnięty i zakłopotany recytował wierszyki ze swych „Słówek”, m.in. oczywiście „Krakowski jubileusz”, nie obeszło się bez przemówień i znowu powiedział ktoś na tej wesołej uroczystości, że „Słówka” to bardzo odważna książka.

Po części oficjalnej odbyła się kolacja dla ściślejszego grona zaproszonych gości, na której Boy już niechętnie został. Trochę był zmęczony, nie lubił też tego rodzaju bankietów na swoją cześć, fala emocji i wesołego nastroju opadła szybko, jak gdyby przeczuwał, że z pogodniejszych wydarzeń tego okresu było to ostatnie.



Kilkunastu najwybitniejszych profesorów uniwersytetu i Politechniki Lwowskiej zaproszono do Moskwy, m.in. Boya, który jakoś nie bardzo miał ochotę pojechać; podróże nie interesowały go wtedy wcale, wręcz przeciwnie, miał wyraźną niechęć do zmiany miejsca, nie interesowało go też szczególnie zwiedzanie Moskwy. Sądził, że już i tak nie pojedzie, tygodniami bowiem mówiono o planowanej podróży, ale jej nie realizowano. Doszła jednak do skutku, nagle, jak wszystko, co się wtedy działo.

Nie pamiętam daty wyjazdu profesorów ze Lwowa, było to wiosną 1941 r., podróż trwała tydzień. Boy wysłał z drogi krótki list, w którym wspominał tylko, do jakiej miejscowości właśnie dojechał i że warunki podróży są dobre, ale nastrój tego listu był wyraźnie smutny. Po powrocie opowiadał niewiele. Przywiózł mnóstwo papierosów w ładnych, barwnych opakowaniach, które można było kupić w kiosku luksusowego hotelu „Moskwa”, gdzie mieszkali, a jakich naturalnie nie było ani na wieś, ani we Lwowie. Powiedział, że komfort w mniej ważnych szczegółach też pozostawiał do życzenia, nie zachwycał się sławnym metrem, którego niebywały przepych uważał za zbędny. Było wtedy jeszcze za mało linii, jak na tak ogromne miasto; wolał skromne paryskie metro, którym wszędzie można dojechać. Jakoś czas mu się tam dłużył mimo towarzysztwa kolegów profesorów, spotkań i zwiedzania. Był zadowolony, kiedy znalazł się znowu w swym pokoju na Romanowicza.

Jakże przykre było jego zdziwienie, kiedy kilka tygodni później otrzymał z Warszawy kartkę od znajomego z wiadomością o śmierci Kazimierza Tetmajera jednocześnie z wyrzutami z powodu... wizyty złożonej Stalinowi oraz... przyjęcia funkcji rektora na uniwersytecie. Boy przejął się ogromnie śmiercią Tetmajera, który był nie tylko jego umiłowanym poetą, symbolem całej epoki „Młodej Polski”, ale i jego bratem ciotecznym. O okolicznościach, w jakich zmarł Kazimierz Tetmajer, w kartce nie było ani słowa. Sprawy nieuzasadnionych wyrzutów dotyczących wizyty, której nigdy nie złożył i urzędu, jakiego nigdy nie piastował — w ogóle nie rozumiał. Czuł się dotknięty, zaczął się wtedy domyślać, że krążą o nim w Warszawie nieprawdopodobne wieści. Pamiętam, jak Boy czytał mi tę kartkę w słoneczne wiosenne popołudnie, w głównej alei Wysokiego Zamku, którą tak lubił, a dla której nie miał tego dnia ani jednego spojrzenia. Czytał kartkę jeszcze kilkakrotnie dla siebie, zastanawiał się nad przyczyną śmierci poety, był niepokieszony. Wiele mi wtedy o nim opowiedział.

Potem pytał jeszcze, jak rozumiem uwagi dotyczące jego osoby. Złośliwie przekręcane wiadomości kolportowane są łatwo nawet przez tak dobrze strzeżoną granicę, a w każdym razie należy je natychmiast sprostować. Nie wracaliśmy już więcej do tego tematu.

„Ciemne siły” były jednak słabsze od życzliwości, z jaką inni odnosili się do Boya. Jako dowód niechaj posłuży choćby następujący przykład. Jak już wspomniałam, Boy szukał nieraz okazji przekazania pieniędzy żonie i synowi, a było o to coraz

trudniej. Około sześciu tygodni przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej przyszedł do biura mego męża w Elektrowni Miejskiej jakiś klient. W trakcie rozmowy — chcąc się może odwdziżyć za uprzejme załatwienie jego sprawy — wspomniał, że ma możliwość przekazania pieniędzy do Krakowa. Mąż zapytał więc, czy mógłby także przekazać równowartość 2.000 rubli pani Żeleńskiej w Warszawie. Nieznajomy pan zgodził się natychmiast, poprosił tylko o złożenie sumy u męża — jako jedyne zabezpieczenie. Boy napisał do żony prosząc o natychmiastowe potwierdzenie przesyłki z Krakowa. Tygodnie mijały, Boy się niecierpliwił, a potwierdzenie nie nadchodziło.

Kiedy jednak Niemcy wkroczyli do Lwowa, uważałam, że dom nasz jest na pewno bardziej zagrożony od domu państwa Greków, co na przeciąg kilku tygodni okazało się fałszywe. Zwróciłam więc Boyowi pieniądze i jego ulubioną złotą, kwadratową Omegę, jaką obiecałam dać naprawić u znajomego zegarmistrza, czego już też teraz spełnić nie mogłam. Straszliwie przygnębiony Boy nie chciał o niczym słyszeć; czuł, wiedział, że spotka go coś złego. Ale uparłam się. Oświadczyłam, że jak zginę i Niemcy z domu wszystko zabiorą, nie chcę, by zabrali także i nie naszą własność.

Dosłownie w dwa dni po aresztowaniu Greków i Boya zjawił się w biurze ów pan z wiadomością, że pani Żeleńska pieniądze otrzymała. Gdy dowiedział się, co zaszło, odmówił stanowczo wyrównania przez nas długu. Powiedział, że stać go na to, by w tak ciężkiej chwili pomóc żonie Boya-Żeleńskiego, poczytuje sobie to za zaszczytny obowiązek i życzy sobie, by pani Żeleńska nie dowiedziała się, od kogo pochodziła przesyłka. Nie chciał jej wobec siebie zobowiązywać. Niestety i ja nie znam nazwiska tego człowieka. Może żyje i przypadek zrządzi, że przeczyta te słowa; niechaj przynajmniej one będą dowodem tego, że jego głęboko ludzki gest nie poszedł w niepamięć.



Nic nie zdawało się wskazywać na zasadnicze zmiany, życie szło swym zwykłym trybem, a jednak ponure, zimne przedwiośnie 1941 roku było jakieś złowróżbne.

Podczas ciężkiego zapalenia płuc, na jakie wówczas zapadłam, jeszcze po raz ostatni w życiu Boy okazał się znakomitym lekarzem. Po prostu zabronił kategorycznie wszelkich zastrzyków, naświetlań itp. dodatkowych tortur, co okazało się skuteczną terapią.

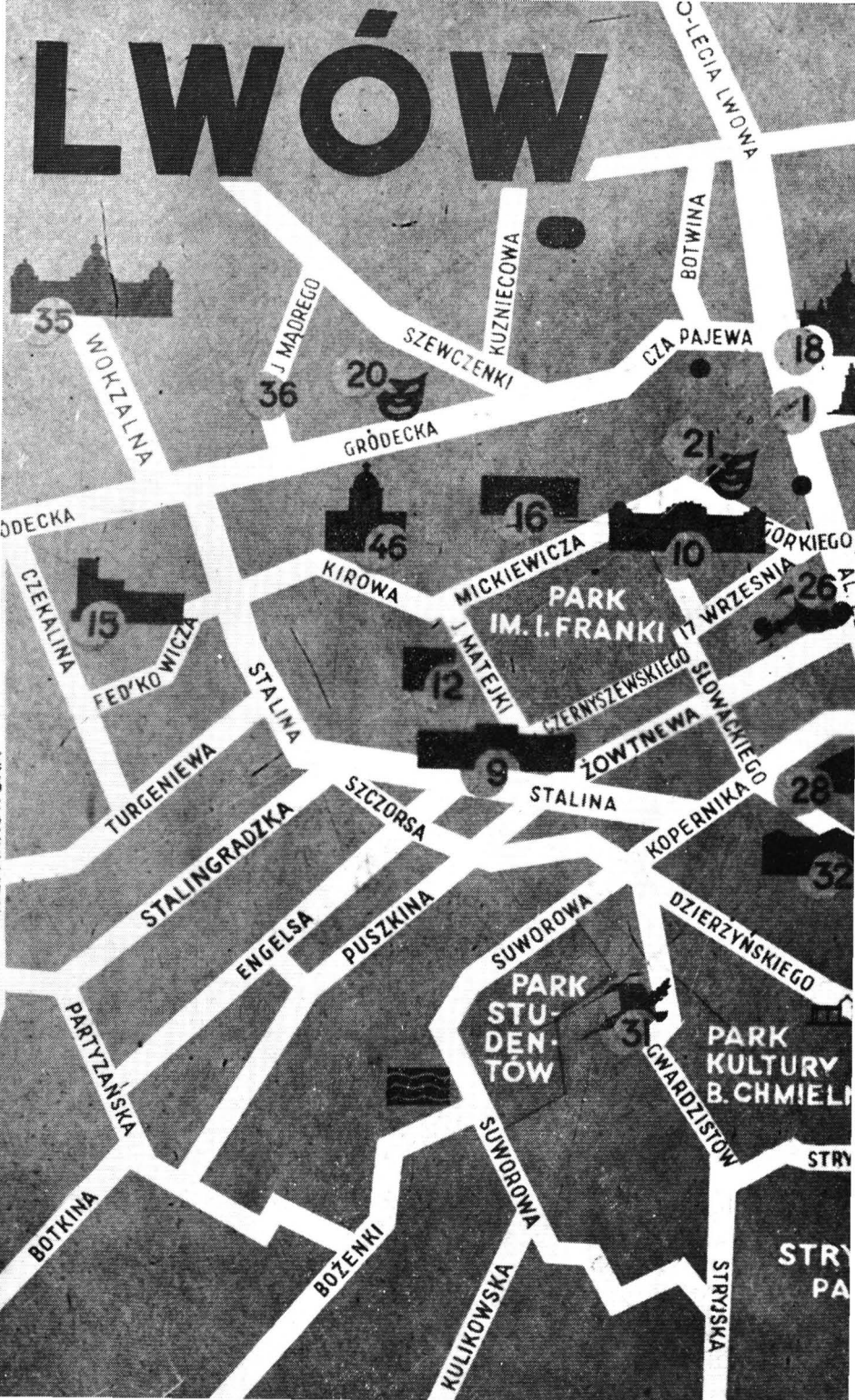
PLAN M. LWOWA 1963 R

OBJAŚNIENIA

(Tekst ściśle według oryginału)

1. Pomnik W.I. Lenina
 2. Pomnik tankistów
 3. Pomnik I. Franki
 4. Pomnik A. Mickiewicza
 5. Kamień pamiątkowy ku czci M. Krywonosa
 6. Chełm Sławy
 7. Gmach Rady Obwodowej deputowanych ludu pracującego
 8. Gmach Rady Miejskiej deputowanych ludu pracującego
 9. Politechnika
 10. Uniwersytet im. I. Franki
 11. Instytut Medyczny
 12. Wyższa Szkoła Rolnicza
 13. Instytut Zooweterynarii
 14. Pałac Kultury szkół Międzyobwodowego Zarządu szkolenia zawodowo-technicznego im. J. Gagarina
 15. Pałac Kultury Kolejarzy
 16. Dom Uczonych
 17. Dom Związków Zawodowych
 18. Teatr Opery i Baletu im. I. Franki
 19. Ukraiński Teatr Dramatyczny im. M. Zańkowieckiej
 20. Rosyjski Teatr Dramatyczny
 21. Teatr Młodego Widza im. M. Gorkiego
 22. Teatr Lalek
 23. Studio Telewizyjne
 24. Filia Centralnego Muzeum W. I. Lenina
 25. Muzeum Historyczne
 26. Muzeum Etnografii i Przemysłu Artystycznego
 27. Muzeum Sztuki Ukraińskiej
 28. Galeria Obrazów
 29. Muzeum Naukowo Przyrodnicze
 30. Muzeum Literacko-Pamiątkowe I. Franki
 31. Muzeum Literacko-Pamiątkowe J. Gałana
 32. Biblioteka Akademii Nauk
 33. Kombinat Sportowy
 34. Szpital Obwodowy
 35. Dworzec Kolejowy Lwów-Główny
 36. Stacja Autobusowa (międzyobwodowa)
 37. Gmach Arsenалу
 38. Baszta Prochowa
 39. Cerkiew św. Mikołaja
 40. Klasztor św. Onufrego
 41. Cerkiew Uszenia (Wołoska)
 42. Kościół Bernardynów
 43. Katedra Ormiańska
 44. Katedra Łacińska
 45. Kościół Dominikanów
 46. Katedra św. Jura
- Hotele
 - ▲ Bazy Turystyczne
 - ≡ Pływalnie sportowe
 - Stadiony

LWÓW



O-LECIA LWOWA

BOTWINA

35
WOKZALNA

J. MADREGO
36

SZEWYCZENKI
KUZNICOWA

CZA PAJEWA

18

20
GRÓDECKA

21

0 DECKA

CZEKALINA
15
FED'KO WICZA

46
KIROWA

16
MICKIEWICZA

PARK
IM. I. FRANKI

10
TORZKIEGO

26
WRZESNIA

STALINA

12
J. MATEJKI

17
CZERNYSZEWSKIEGO

10
SŁOWACKIEGO

TURGENIEWA

9
ŻÓWNIWA

STALINA

28
KOPERNIKA

32

STALINGRADZKA

SZCZORSKA

ENGELSA

PIUSZKINA

SUWOROWA

DZIERZYŃSKIEGO

PARTYZAŃSKA

33
PARK
STU-
DEN-
TÓW

PARK
KULTURY
B. CHMIELNICKIEGO

STRY
PA
GWARDZISTÓW

BOTKINA

BOŻENKI

SUWOROWA

KULIKOWSKA

STRYSKA

STRY
PA



PARK

WYSOKI

ZAMEK

ZAMKOWA

B. CHMIELNICKIEGO

KRYWONOSA

KRYWONOSA

DANIŁY HALICKIEGO

ŁĘSI UKRAINKI

LENINA

TEATRALNA

RUSKA

FRUNZEGO

WAŁOWA

SERBSKA

HALICKA

PL. MICKIEWICZA

PL. D. HALICKIEGO

PL. ZJEDNOCZENIA

LENINA

AL. SZEWCZENKI

WATUTINA

I. FRANKI

PIEKARSKA

MIECZNIKOWA

ORAHOMANOWA

I. FRANKI

MAJAKOWSKIEGO

CMENTARZ
LYCZAKOWSKI

KIEGO

SZ. RUSTAWELLEGO

ZIELONA

KI

I. FRANKI

INSTYTUTSKA

ZIELONA

PARK
POBULANKA

PARK

PARK

Zjawiał się codziennie w południe na chwilę, przynosił swoje książki, które wyszukiwał w kilku pozostałych prywatnych antykwariach; do dzisiaj mam jeszcze cztery tomiki.

Po trzech tygodniach wszystko zdawało się wracać na normalne tory, był już maj, pracy było wiele, zbliżał się bowiem okres egzaminów, ale — nie wiadomo czemu — nie można się było skupić, niepokój i niepewność nie opuszczające przecież nikogo od wybuchu wojny, wzmogły się. Z prasy, ani radia nie można było wnioskować o jakichkolwiek zmianach w stosunkach dyplomatycznych między Z.S.S.R. a Niemcami, a jednak nieomylna intuicja, a prócz niej niesprawdzone pogłoski o ruchu wojsk niemieckich na granicy — wskazywały na zbliżającą się wojnę niemiecko-rosyjską. Nie wiadomo dotąd, dlaczego właśnie w ostatnich dniach przed katastrofą ton prasy był tak optymistyczny.

Boy brał bardzo za złe takie — jak uważał — wprowadzanie ludzi w błąd. Istotnie jednak zarówno wojskowi jak i ludność cywilna, która napłynęła masowo z Z.S.S.R. do Lwowa, byli bardziej jeszcze zaskoczeni wypadkami od nas.

W przeddzień wojny odbyła się jeszcze w Związku Pisarzy akademia ku czci niemieckiej działaczki komunistycznej, Klary Zetkin. Odprowadziłam Boya do Związku, szliśmy ulicą Kopernika w dół, wracając z dalekiego spaceru przez Wólkę i park Stryjski, słońce zachodziło krwawo, nastrój wczesnego wieczoru był wręcz niesamowity. Boy, bardzo zdeprymowany, żegnając się u bramy pałacyku Bielskich, najwyraźniej nie miał ochoty ani cierpliwości na wysłuchiwanie referatów, obiecał jednak przyjść, a był słowny aż do przesady. Zauważył później, że wieczór był nieprzyjemny, mówiono tyle o Niemcach, Niemcach, nawet ktoś tam przemawiał po niemiecku, to wszystko jakby zbliżało katastrofę. I rzeczywiście miał to być ostatni wieczór w Związku Pisarzy.



22 czerwca 1941 około 4-ej nad ranem obudziły nas detonacje. Przystąpiliśmy do okna, nie było niestety wątpliwości — to samoloty niemieckie bombardowały miasto. Koszmar stał się rzeczywistością.

Około 10-ej, o tej niezwykłej porze, zjawił się Boy. Przyniósł kilka paczek papierosów, które po drodze jeszcze zdobył; sam nie palił, ale jak zwykle myślał o drugich. Toteż mówił wtedy przede wszystkim o tym, że przykro mu wobec państwa Greków, gdyż może boją się nieprzyjemności ze strony Niemców

ze względu na jego obecność w mieszkaniu, jakkolwiek tego nie okazują, ani też o tym nie wspominają. Nie przyszło mu wówczas nawet na myśl, że sytuacja ułoży się właśnie wręcz odwrotnie i że Niemcy poszukiwać będą prof. Greka, przy czym Boy padnie ich ofiarą.

Nazajutrz, w drugi dzień po wybuchu wojny, Boy opowiedział mi, że władze uniwersyteckie postawiły samochód do dyspozycji, jemu i kilku jeszcze pisarzom i profesorom, aby mogli ewakuować się w głąb Z.S.S.R.

— Czy skorzysta Pan z tej możliwości?

— Takie imię synowi zostawię?

Nawiasem mówiąc, według relacji jednej z osób, która chciała z samochodu skorzystać, samochodu o oznaczonej godzinie w ogóle nie było.

Niemcy bombardowali miasto, szczególnie celnie nocą dzięki sygnałom świetlnym dawanym przez niektórych miejscowych nacjonalistów ukraińskich, ale i za dnia nie było spokoju. I tak to o mało nie zginął Boy od odłamka bomby, który wpadł o 12 w południe do naszego mieszkania i utkwiał w drzwiach otwartej szafy w chwili, kiedy wyprowadziłam Boya do przedpokoju.

Nie było już wtedy elektryczności, telefon nie funkcjonował, co Boya ogromnie przygnębiało.

Niemcy wkroczyli do miasta w poniedziałek, 30 czerwca.

We wtorek przed południem wyszłam z Boyem na miasto, szliśmy z Kurkowej w kierunku Rynku.

Tu przedstawił się naszym oczom widok wręcz niesamowity: dwie olbrzymie chorągwie ze swastyką, sięgające ziemi powiewały u bram ratusza, przez Rynek maszerowały oddziały wojsk niemieckich, przejeżdżały czołgi, a tłum Ukraińców rozbiegany, rozhisteryzowany, wznoszący okrzyki na cześć zwycięskiej armii hitlerowskiej i jej wodza, obrzucał białymi kwiatami dumnych żołnierzy i wieńczył girlandami tanki. Wśród tej gawiedzi znaleźli się także tu i ówdzie Polacy.

Boy był złamany. Blady, powtarzał drżącymi wargami, jakby do siebie: „To straszne. Czy to możliwe? Co oni robią? Hitlerowska armia kwiatami witają? Co ci ludzie robią?”

Widzieliśmy na ulicach skrwawionych Żydów, ofiary pierwszego pogromu. Boy, przerażony, poruszony do głębi przejawami ludzkiego okrucieństwa, powtarzał: „Co ci ludzie robią?”

Epoka pieców zaczęła się.

W milczeniu odbyliśmy drogę powrotną. Po drodze kilkakrotnie zażądano od nas papierów, po czym puszczano nas dalej swobodnie, bo z sowieckiego paszportu Boya wynikało jedno-

znacznie, że jest „aryjczykiem”. Przy ul. Fredry przystąpił do nas młody Ukrainiec z niebiesko-żółtą opaską na ramieniu i trójzębem w klapie; był to asystent przy katedrze romanistyki. Bardzo uprzejmie zapytał Boya, czy nie może mu być w czymś pomocny, czy nie życzy sobie, by nas odprowadził. Boy chłodno odmówił, a zaraz potem zwrócił się do mnie: „Ależ chłopak szybko zmienił skórę. Dopiero co widziałem go z czerwoną gwiazdą w klapie”.



Dalsze wypadki potoczyły się z zawrotną szybkością.

2 lipca przyszedł Boy bardzo zdenerwowany złą wiadomością. — Aresztowano prof. Bartla.

Do dziś nie mogę sobie zdać z tego sprawy, jak wiadomość ta lotem błyskawicy dotarła do Boya, jako że komunikacja telefoniczna była nadal przerwana. Nie ma już też chyba nikogo z żyjących, kto by potrafił wyjaśnić zagadkę aresztowania prof. Kazimierza Bartla jako pierwszego spośród profesorów już w ciągu dnia, według relacji Boya około 3-ej po południu, a może nawet nieco wcześniej, a nie w nocy, jak innych. Być może odegrało tu rolę stanowisko Bartla jako byłego premiera.

Aresztowanie Bartla wzmogło jeszcze niepokój Boya. Przykro uderzyło mnie wtedy, że Boy przyniósł ze sobą kilka moich książek i nawet jakąś chusteczkę, którą kiedyś ode mnie pożyczył — spodziewał się więc aresztowania.

Ponownie starałam się namówić go do zamieszkania na razie w świetnie zakonspirowanym pokoju przy ul. Chopina 3; mógł tam pójść natychmiast, a po kilku dniach ewentualnie wyjechać do Warszawy, zresztą planów na dalszą metę i tak nie można było robić w danej chwili. Odmówił. Jak znajdzie się z walizczką na ulicy, będzie od razu bezdomny, zagubiony.

Wypowiedział potem słowa — cytuję je z pewnym żałowaniem — jakże charakterystyczne dla jego ciągłej troski o człowieka: „Tak mi ciebie żal, dziecko, będziesz miała złamane życie, szkoda, a taki masz ładny charakter”.

Pamiętam jeszcze, że siedzieliśmy wtedy naprzeciw siebie blisko okna, promienny dzień wczesnego lata, słodki, odurzający zapach lip były najbardziej wyrafinowaną ironią.. Jak to zwykle bywa w chwilach najgroźniejszych — nagle zaczynają zaprzętać uwagę rzeczy najmniej ważne. I tak denerwował mnie brak wszystkich szyb w oknach i chrzęst pod stopami drobnych odłamków szkła, które lśniły w słońcu na dywanie.

Boy posiedział jeszcze chwilę, pochodził swoim zwyczajem

po pokoju, lekko pochylony, w ciemno popielatym ubraniu, pożegnał się; chciał być wcześniej w domu.

Widziałam go wtedy po raz ostatni.



Nazajutrz nie przyszedł. Popołudnie mijało. Domyślałam się, że stało się coś złego. Telefon nadal nie funkcjonował, postanowiliśmy więc posłać na Romanowicza służącą. Nie nadawała się ona do roli posłańca w takiej misji, ale nie było wyboru. Była to starsza osoba, bardzo dziwna, trudno się z nią było porozumieć. Napisałam jej zatem na karteczce tylko adres Romanowicza 7 bez nazwiska, pierwsze piętro miała zapamiętać. Wyjaśniłam dokładnie, któredy ma iść oraz prosiłam, by nikogo obcego o nic nie pytała.

Nie wracała długo; kiedy się wreszcie zjawiła, opowiedziała, że trafiła do tego mieszkania, dzwoniła kilkakrotnie, ale nikt nie otwierał, a na drzwiach ponaklejanych było mnóstwo białych karteczek. Stała więc dość długo pod drzwiami czekając aż ktoś nadejdzie, dzwoniła jeszcze — daremnie; odeszła więc, nikogo na schodach nie spotkała i nikt jej nie widział.

W pierwszej chwili myślałam, że to znowu jedna z jej nieprawdopodobnych historii, miewała mianowicie wizje w biały dzień i wtedy rozmawiała z aniołami i duszyczkami. Prosiłszy wobec tego, żeby jeszcze raz dokładnie powtórzyła, jak to było, ale uparcie twierdziła, że właśnie tak. Trudno było temu uwierzyć przede wszystkim dlatego, że u państwa Greków było dwoje służby, kucharka i pokojowa Stefcia, która w Warszawie służyła u państwa Żeleńskich. Wiedziałam także, że pani Grekowa bywała zwykle o tej porze w domu. Dlaczego więc właśnie tego dnia nikogo nie było? Co oznaczały białe karteczki ponaklejane na drzwiach? Powoli zaczęliśmy dochodzić do wniosku, że mieszkanie zostało opieczętowne. Ale gdzie byli mieszkańcy?

Nazajutrz zebrałam się na odwagę i poszłam sama na Romanowicza. Weszłam do stróżki. I oto co usłyszałam: 2 lipca między 10 a 11-tą w nocy Niemcy zabrali wszystkich z mieszkania prof. Greka — kucharkę i pokojową Stefcię wypuścili nad ranem. Obie przyszły do niej, gdyż mieszkanie zostało opieczętowne.

Właśnie kiedy miałam już odejść, zjawiła się Stefcia. Była jeszcze pół-przytomna po doznanym wstrząsie, wzruszyła się do łez na mój widok i opowiedziała o przebiegu koszmarnej nocy. Otóż Boy był już w swoim pokoju, przez cały wieczór był bardzo smutny, wchodziła do niego kilkakrotnie, pytała, czy mu

nie podać jeszcze herbaty, czy nie chce zadzwonić do nas, porozmawia i będzie mu raźniej. Odpowiedział, że telefonów jeszcze nie naprawiono, położy się zaraz i niczego mu nie potrzeba.

Wtem odezwał się dzwonek. Weszli Niemcy, byli to oficerowie; zapytali o prof. Greka, a kiedy do nich wyszedł, pytali, kto jeszcze tu mieszka. Odpowiedział, że żona; zażądali, żeby także wyszła do przedpokoju, kazali obojgu usiąść obok siebie na ławce przy ścianie. Następnie pytali, kto prócz żony jest w mieszkaniu. Prof. Grek odpowiedział, że szwagier nie podając nazwiska. Kazali go zawołać. Wtedy Boy wyszedł z biblioteki, musiał również usiąść na ławce. Niemcy nie wiedzieli więc wcale, kim jest i o nazwisko nie pytali. Wszyscy milczeli. Boy był blady, drżał, podobnie, jak prof. Grek.

Kucharka i Stefcia stały również w przedpokoju — po chwili Niemcy kazali wszystkim wyjść, także służbie. Na dole czekały samochody, byli w nich już jacyś ludzie. Wsiedli, kobiety osobno, samochody ruszyły, było tak ciemno, że absolutnie nie orientowały się, któredy jadą. Wreszcie samochody zatrzymały się przed jakimś dużym gmachem, kazano im wsiąść, przeszli przez podwórze, następnie dokąds po schodach, rozłączono potem kucharkę i Stefcię z panią Grekową, pana Greka i Boya już więcej nie widziały, gdyż polecono im zejść na podwórze. Tam stali jacyś ludzie odwrócenii twarzami do muru. Nad ranem kazano kucharce i Stefci znowu wsiąść do samochodu, zawiązano im oczy, przywieziono przed dom na Romanowicza 7, tam wysiadły. Do mieszkania wejść nie wolno im było, ponieważ było opieczetowane. Nie mogły się w żaden sposób zorientować, gdzie były w nocy i jakimi ulicami wieziono je rano. Kiedy gestapowcy w kilka godzin po ich zwolnieniu zaczęli wynosić meble, obrazy i dywany z mieszkania — wtedy to właśnie zabrali słynną „Madonnę z aniołkami” Wyspiańskiego — pozwolili kucharce i Stefci zabrać najważniejsze rzeczy osobiste, tj. płaszcz i zmianę bielizny. — To wszystko. Kucharka poszła do znajomych, Stefcia, nie znając we Lwowie nikogo, nocowała u stróżowej i — jak się dowiedziałam po wojnie od pani Żeleńskiej — wyjechała wkrótce do Warszawy.

Wróciłam do domu i tu dowiedziałam się od męża o dalszych aresztowaniach profesorów. Wiadomość — mimo braku prasy i telefonów — rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Podawano sobie coraz to inne nazwiska, wiedziano już o prof. Bartlu, o aresztowaniu prof. Politechniki Stanisława Pilata z synami, największego wówczas w Europie technologa nafty, prof. chirurgii Tadeusza Ostrowskiego z żoną oraz chirurgiem drem

Ruffem, jego żoną i synem, młodym inżynierem, którzy mieszkali wtedy u Ostrowskich, obok Greków, na Romanowicza 5. Biednego Adasia Ruffa, z którym bawiłam się jeszcze w piasku w ogrodzie Jezuickim, zabili pierwszego, gdy dostał ataku epileptycznego, a matka i pani Ostrowska musiały zmywać jego krew ze schodów. (Relacja prof. Groera). Też samej nocy zabrano prof. prawa Romana Longchamps de Berier z rodziną, staruszka prof. medycyny Renckiego, znakomitego stomatologa prof. Antoniego Cieszyńskiego, słynnego matematyka prof. dra Włodzimierza Stożka. — Wspominam tu tylko kilka nazwisk, które wymieniano natychmiast po aresztowaniach.

Cios był wymierzony celnie. Sicherheitsdienst niemiecki wybrał najwybitniejszych lwowskich uczonych, a wśród nich wielkości w skali międzynarodowej. — Jaki los spotkał ich? Ludzie wierzyli wówczas wszelkim pogłoskom, a zatem nie ulegało dla nas wątpliwości, że wzięto ich jako zakładników, że żyją w niezłych warunkach, wymieniano nawet jako miejsce internowania willę w Brzuchowicach pod Lwowem. Nikomu nawet wtedy przez myśl nie przeszło, że wszystkich, z wyjątkiem prof. Groera, wymordowano tej samej nocy. Poszukiwania ani starania rodzin nie ustawały. O Boya i Greków dopytywał się u władz daremnie syn pani Grekowej, który w tym celu przyjechał z Warszawy.

Mniej więcej półtora roku później panią Żeleńską Gestapo zaważwało w Warszawie na Al. Szucha zawiadamiając ją, że mąż jej „zmarł”.



Nikt by się nigdy nie dowiedział, w jaki sposób wymordowano lwowskich profesorów, gdyby w dniu 19 listopada 1943 r. nie wybuchł bunt Brygady Śmierci i nie udała się ucieczka kilku zaledwie jej członków, m.in. najmłodszego z nich, bo zaledwie 18-letniego „Schleppera”, Leona Weliczker. Okazało się więc, że i ta zbrodnia Sicherheitsdienstowi nie była zbrodnią doskonałą. Rzecz zdumiewająca — Leonowi Weliczkerowi udało się mianowicie uratować swój pamiętnik. Już w 1946 r. ogłosił go pt. „Brygada Śmierci” (2), w 1961 r. zeznawał jako jeden z koronnych świadków w procesie Eichmana, a w marcu 1962 r. wyszedł w całości jego pamiętnik (3), którego III część stanowi „Brygada Śmierci” — „La Brigade de la Mort”.

(2) Wydawn. Żydowskiej Komisji Historycznej, Łódź, 1946 r.

(3) Léon W. Wells, *Pour que la terre se souvienne*, Edition Albin Michel, Paris, 1962.

Dowiadujemy się od Weliczker-Wellsa, obecnie profesora fizyki w Nowym Jorku, o grobie zbiorowym w niewielkim wąwozie na Wólce, zasłoniętym od parku Stryjskiego zboczami wzgórz, skąd 8 października 1943 r. „Brygada Śmierci” złożona z więźniów żydowskich wykopała na rozkaz Niemców dla zatarcia śladów zwłoki celem spalenia ich na stosie na Piaskach.

Po wycofaniu się Niemców młody Weliczker zaprowadził na to miejsce członków sowieckiej komisji dla badania zbrodni niemieckich i miejsce kaźni bez trudności zidentyfikowano, gmach, w którym aresztowani profesorowie spędzili noc przed śmiercią, okazał się Bursą Abrahamowiczów.

Mówią o tym w książce pt. „Pod obcymi sztandarami”, Włodzimierz Bielajew i Michał Rudnicki w rozdziale pt. „Tajemnica wóleckich wzgórz” (4). Rozmawiali oni latem 1945 r. z Marią Łomnicką, żoną zamordowanego prof. matematyki Politechniki Lwowskiej, Antoniego Łomnickiego. Rodzina Łomnickich mieszkała przy ul. Kotlarewskiego, jak większość profesorów Politechniki; naprzeciw rozciągały się wzgórza wóleckie. Oto co m.in. opowiedziała Maria Łomnicka: „W tę straszną noc, po aresztowaniu męża chodziła do samego świtu po pustym mieszkaniu męczona strasznym przecuciem, a potem, kiedy pierwsze zapowiedzi dnia zaczęły przesiąkać przez niebieskie story do pokoju, podniosła je i otworzyła okno skierowane w stronę wzgórz wóleckich. Zarośnięte gęstą zieloną trawą wzgórza coraz wyraźniej ukazywały swoje kontury. Gdy zrobiło się już całkiem widno Maria Łomnicka zobaczyła grupę ludzi w ciemnych ubraniach schodzącą ścieżynką do wąwozu, gdzie była wykopana świeża, gliniasta jama. Jeden z idących w dół po ścieżce od Bursy Abrahamowiczów w dół do ul. Wóleckiej miał na sobie czarną sutannę. Później zostało wyjaśnione, że był to ksiądz Komarnicki, gość prof. Tadeusza Ostrowskiego.

— Grupa cywilów była otoczona ze wszystkich stron przez gestapowców uzbrojonych w automaty. Gestapowcy zaprowadzili ich do wąwozu i ustawili nad brzegiem jamy, wydawszy polecenie zwrócenia się twarzą w kierunku Bursy Abrahamowiczów, zasłoniętej przez pasmo wzgórz. Dopiero kiedy pierwsza salwa z automatów wstrząsnęła powietrzem i przerwała ciszę wczesnego poranka, Maria Łomnicka widząc, jak padają do jamy ludzie w cywilnych ubraniach, zrozumiała, co odbywa się na jej oczach.

(4) Książka wydana po wojnie we Lwowie przez wydawnictwo „Młoda Gwardia”, daty wydania nie znam; rozdział pt. „Tajemnica wóleckich wzgórz” przedrukowany był w „Gazecie Krakowskiej” w 1956 r. w przekładzie Mikołaja Kuplowskiego.

Przygnębiona na skutek nagłego aresztowania męża, wstrząśnięta okrzykami gestapowców i w końcu straszonym widokiem, jaki obserwowała, nie mogła odejść od okna. Widziała, jak naziści przyprowadzili nową partię aresztowanych i powtórzyli to samo, co zrobili z pierwszą grupą.

„Oczywiście, w tę noc nie mogłam jeszcze przypuszczać, że obserwuję rozstrzelanie mego własnego męża — powiedziała autorom książki”.



Więźniowie „Brygady Śmierci” — *Totenkommando*, względnie *Sonderkommando 1005*, jak ją nazywano oficjalnie (szefem jej był Untersturmführer SS. Scherlack), chcąc rozpoznać zwłoki, szukali dokumentów w ubraniach — znaleźli niektóre, a także dwa złote pióra z wrytymi nazwiskami. Weliczker wymienia: „Profesor Kazimierz Bartel, światowej sławy matematyk i były premier Polski, dr Tadeusz Ostrowski, profesor Stożek, Tadeusz Boy-Żeleński. Zwłoki tych 38 stanowiły elitę społeczeństwa polskiego”.

Boy zginął więc na trasie swego ostatniego „spaceru po Lwowie”.



Nie powtarzałabym tutaj faktów już ogólnie znanych z wymienionych książek, ani też listy zamordowanych podanej od dawna do wiadomości, gdyby nie to, że w liczbie 38 rozstrzelanych i pochowanych w zbiorowym grobie na Wólce podaje się trzy kobiety, których nazwisk dotychczas nikt nie ustalił. Nie ulega wątpliwości, że były to zwłoki żon prof. dra Ostrowskiego, dra Ruffa i prof. dra Greka.

Piękna Maria Grekowa z domu Pareńska, Maryna z „Wesela”, siostra Zofii Żeleńskiej — Zosi z „Wesela” — znalazła śmierć bardziej dramatyczną, niż najfantastyczniejsze wizje Wyspiańskiego.

Paryż, we wrześniu 1962.

Wanda ŁADNIEWSKA-BLANKENHEIMOWA

HISTORIOGRAFIA SOWIECKA

„POCHÓD ZA WISŁĘ”

„Pochód za Wisłę” jest rozdziałem z książki L. Nikulina pt. „Marszałek Tuchaczewski. Opowieść dokumentarna”, zamieszczona w nrze 4-ym Oktiabra z 1963 r. Rozdział ten nie wymaga komentarza dla czytelnika polskiego. Zamieszczamy go jako typowy dla historiografii sowieckiej.

REDAKCJA

Operacje, zmierzające do rozgromienia Denikina, tylko co były zakończone, gdy nadciągnęło nowe niebezpieczeństwo.

„Polacy niewątpliwie doprowadzą do tego, że wojna z nimi stanie się nieuchronna” — telegrafował Lenin do członka Rewolucyjnej Rady Wojennej Kaukaskiego Frontu, G.K. Ordżonikidze, dnia 11 marca 1920 roku.

Dla wrogów Sowieckiego państwa do dziś dnia jest zagadką, skąd naród, wymęczony pierwszą wojną światową, wojną cywilną głodem i blokadą, czerpał siły, aby przeciwstawić się co raz to nowym i nowym niebezpieczeństwom, które wyrastały literalnie z dnia na dzień.

Tylko co rozgromiono kontrrewolucję na Północnym Kaukazie, kiedy zebrały się gęste chmury na Zachodzie.

W owym czasie rozklejano gazety na ścianach domów. I oto przy każdym numerze, wydrukowanym na brązowym papierze pakunkowym, zbierały się grupy wyczerpanych ludzi o pochmurnych obliczach i czytały o groźbie nowej wojny, tym razem z państwem polskim.

W różny sposób ludzie przyjmowali te wiadomości. Byli tacy którzy skrycie uśmiechali się złośliwie, oczekując upadku władzy sowieckiej, u większości jednak ludu pracującego wieść ta wywoływała bardzo silną wolę walki aż do końca.

Niewielu wierzyło w możliwość pokojowego ułożenia stosunków z burżuazyjną Polską, a szczególnie od dnia 1 marca 1920 roku, kiedy to Lenin wystąpił z przemówieniem na zjeździe robotników-kozaków. Lenin powiedział:

„Polscy właściciele ziemscy i kapitaliści wrą, rzucają groźby, że domagają się terytorium z roku 1772 i że zamierzają podpozardkować sobie Ukrainę... Wiemy, że Francja podszczuwa Polskę, rzucając w tym celu miliony... A my mówimy naszym towarzyszom w Polsce, że my jej wolność ochramiamy, jak wolność każdego innego narodu, że rosyjski chłop i robotnik, doświadczony ucisku caryzmu, bardzo dobrze wie, czym był ten ucisk. Wiemy, że jednym z największych przestępstw było to, że Polska była podzielona między niemieckich, austriackich i rosyjskich kapitalistów, że rozdział ten skazał naród polski na długie lata ucisku, kiedy to używanie ojczyźnego języka polskiego uważane było za przestępstwo, kiedy naród polski wychowywany był tylko w jednym duchu — uwolnić się od potrójnego jarzma. Rozumiemy więc tę nienawiść, jaka przeniknęła duszę polską... Nie chcemy wojny, której powodem byłaby granica w terenie, bo chcemy ogniem wypalić tę przeklętą przeszłość, gdy każdy Wielkorosjanin uważany był za ciemieźcę”.

Jak zwykle, w sposób zwarty, przekonywujący, Lenin opisał rosyjsko-polskie stosunki tak, jak się układały na przestrzeni prawie dwóch stuleci; mówił o tej przemianie historycznej, jaka zaszła w stosunkach pomiędzy nową, Sowiecką już, Rosją a narodem polskim. Naród rosyjski, podobnie jak polski, ukraiński i białoruski, cierpiał pod jarzmem caryzmu. Czołowi ludzie Rosji rozumieli to dobrze. Już Dekabryści: Pestel, Murawiew-Apostoł, Bestużew-Riumin — w roku 1824 zawarli umowę z „polskim tajnym towarzystwem” — na temat powstania, i to nie w sposób abstrakcyjny, ale dowodząc swoich przekonań czynem. Powstanie Dekabrystów zostało jednak zdławione i Rosjanie, podobnie jak Polacy, pozostali nadal pod jarzmem caryzmu.

Hasło „za naszą wolność i waszą” było hasłem Hercena w roku 1863, a więc w roku nowego powstania w Polsce. W roku 1905 walkę rewolucyjną z rządem carskim prowadzili rosyjscy i polscy chłopcy i robotnicy. Zdawalioby się, że na koniec męczeńska Polska odzyskała wolność i niepodległość. Ale „niepodległość” była pozorna: burżuazyjna Polska była w kompletnej zależ-

ności od Francji i Anglii. A jeśli chodzi o wolność, to tej w państwie Piłsudskiego nie było nawet cienia. Obozy koncentracyjne i więzienia wypełnione były komunistami, bądź też tymi, których podejrzewano o komunistyczne sympatie. Rząd Piłsudskiego nie martwił się o naród, był całkowicie pochłonięty manią wielkomocarstwową — marzeniem o Polsce w granicach z 1772 r.

Już dnia 8 marca 1920 roku rząd sowiecki ostatecznie przekonał się o beznadziejności pertraktacji z Polską. Spierano się o miejsce rokowań. Polacy proponowali, aby dla rokowań wybrać Borysów, przy czym domagali się, aby działania wojskowe zostały wstrzymane tylko w rejonie Borysowa, a nie na całym froncie. Było więc zupełnie jasne, że zamierzali związać nasze siły w rejonie Borysowa, aby w tym czasie skoncentrować na południowo-zachodzie uderzeniowy kułak dla zagarnięcia Ukrainy.

Awanturnik, ataman Petlura, leader ukraińskiej kontrrewolucji, zaproponował polskiemu szwiniestom sojusz, co Piłsudski i jego otoczenie wojskowe przyjęli z zachwytem.

Rządowe koła polskie liczyły na to, że Ukraina z marionetkowym petlurowskim rządem na czele, stałaby się pokornym wasalem Polski.

Za plecami Polski stali imperialiści francuscy, pragnący zguby młodej republiki sowieckiej. 25 kwietnia rozpoczęła się ogólna ofensywa białopolskiej armii na odcinku od Prypeci do Dniestru.

29 kwietnia, a więc już po rozpoczęciu działań wojennych białopolskiej armii przeciwko Sowieckiej Ukrainie, Lenin mówił:

„Wojna z Polską została nam narzucona: żadnych zamiarów, skierowanych przeciwko niepodległości Polski nie mamy tak jak nie mamy ich przeciwko niepodległości Litwy i Białorusi ale nie bacząc na naszą ustępliwość narzuca się nam wojnę, a jeśli tak, tedy powinniśmy powstać wszyscy, jak jeden mąż, aby bronić siebie i Ukrainy od napaści polskich imperialistów”.



6 maja armia polska zajęła Kijów. Razem z Polakami wkroczyły do miasta oddziały „głównego atamana” Petlury. Charakterystyczne było, że Polacy i Ukraińcy unikali zbytniego wzajemnego zbliżenia; rozlokowali się w różnych miejscach miasta, z dala od siebie. Polacy odnosili się do petlurowców z najwyższą pogardą.

Tak więc, wojna zaczęła się. Przeciwko Polakom działały dwa fronty — Południowo-Zachodni (głównodowodzący A.I. Jegorow, członkowie Rewolucyjnej Rady Wojennej R.I. Berzin

i I.W. Stalin) i Zachodni, którym dowodził Tuchaczewski (członek Rewolucyjnej Rady Wojennej i I.S. Unszticht).

O działaniach frontu Zachodniego możemy sądzić na podstawie książki Tuchaczewskiego „Pochód za Wisłę”. Książka ta składa się z wykładów, jakie miał Michał Mikołajewicz w lutym 1933 r. w Wojennej Akademii Armii Czerwonej. Rejon działań wojennych rozdzielony był południkowo rzeką Berezyną. Błotniste i lesiste brzegi tej rzeki stanowiły znaczną przeszkodę przy jej forsowaniu. Pomiędzy Leplem i Dźwiną Zachodnią znajdowała się przestrzeń sucha, nadająca się dla ruchów i działań wielkich zgrupowań wojskowych. Rejon ten Polacy nazywali „Wrotami Smoleńskimi”. Właśnie te „Wrota” miało na uwadze dowództwo Zachodniego Frontu przy opracowywaniu planu głównego uderzenia.

15-a armia, którą dowodził Kork, dokonała manewru we „Wrotach Smoleńskich” i posuwała się dalej w kierunku na Mołodeczno.

Co dała majowa ofensywa?

Tuchaczewski na to pytanie odpowiada następująco:

Wojska nasze zobaczyły, że mogą bić Polaków. Położenie na Południowo-Zachodnim Froncie zezwalało, bo zmusiliśmy Polaków do zabrania części swoich sił z kierunku południowo-zachodniego. Zajęcie „Wrót Smoleńskich” oznaczało, że kolej żelazna Połock-Mołodeczno — może być wykorzystana przez wojska sowieckie.

Najważniejsze było to, że nasze źle zaopatrzone w prowiant i uzbrojenie siły pomyślnie nacierały na doskonale zaopatrzone i przez francuskich instruktorów wyszkolone oddziały Polaków.

Co się w tym czasie działo w Polsce, w jej stolicy Warszawie?

Zrozumiałe, że wojna białej Polski z Sowiecką Republiką obudziła nadzieje rosyjskich białogwardystów. W owym czasie przebywali w Warszawie zapamiętali wrogowie władzy sowieckiej D.S. Merezkowski i poetka Zinaida Gippius. Na ich wezwanie przybył do Warszawy wódz kontrrewolucyjnej organizacji terrorystycznej — Borys Sawinkow. Pomiędzy Piłsudskim i rosyjskimi „leaderami” rozpoczęły się pertraktacje. Chodziło o sformowanie „oddziałów rosyjskich” z białogwardystów. Oddziały te miały walczyć po stronie Polski. Generał Żeligowski, zajmujący wysokie stanowisko w okupowanym przez Polaków Mińsku, proponował, aby w Warszawie powołać do życia „rząd rosyjski”, jaki Polska chciałaby widzieć w Rosji po obaleniu

władzy sowieckiej. Białobandyta Bułak-Bałachowicz podporządkował swoich zabijaków dowództwu polskiemu.

„Ja przecież jestem zielonym generałem — mówił. Powie ktoś może — awanturnik? Ale przecież walka z bolszewikami jest w istocie rzeczy awanturą. Mam swoje sposoby... Polacy mnie przyjmą”.

Rzeczywiście wzięli go. Do białych Rosjan Polacy odnosili się nieufnie, wiedząc, że wśród nich jest wielu zwolenników „jedynnej i niepodzielnej” Rosji, nie zapominających, że nie tak dawno Warszawa była miastem gubernialnym rosyjskiego imperium.

Uгода z Petlurą była dla białych Rosjan nieprzewidzianą niespodzianką. Monarchiści marzyli o tym, aby Kijów był pod władzą carskiego generał-gubernatora.

Plany ich jednak zostały obalone zwycięską ofensywą wojsk sowieckich.

Na Południowo-Zachodnim Froncie pojawiła się z dawna wyczekiwana Pierwsza Konna Armia, która w nieustannych bojach z machnowskimi bandami dokonała tysięciorstowego pochodu z Północnego Kaukazu na Południo-Zachodni Front.

26 maja Pierwsza Konna Armia, 12-a armia Jakira i 14-a armia przeszły do natarcia. Konna armia skierowała główne swe uderzenie na Koziatyn i 5 lipca przerwała front przeciwnika pomiędzy 6-ą i 3-ą armią polską; wyszła na tyły białopolaków, zajmując Berdyczów i Żytomierz.

Piłsudski początkowo nie przywiązywał większego znaczenia do czerwonej kawalerii. Zmuszony był jednak wkrótce swój pogląd zmienić. Konna armia działała na głębokich tyłach polskiego frontu, przeciąwszy komunikację kolejową między Koziatynem a Kijowem. Moralne znaczenie tego przerwania frontu było ogromne. W swoich wspomnieniach o roku 1920 nie pisze już Piłsudski o czerwonej kawalerii, jak o „jakiejś strategicznej niedorzeczności” i jadowicie zauważa, że jeden z jego generałów, Rydz-Śmigły, starannie unikał jakiegokolwiek możliwości starcia z konnicą Budiennego¹.

1. Przeglądając strannie „Rok 1920” Marszałka Piłsudskiego znaleźliśmy następujący ustęp, dotyczący tej sprawy: „Najbardziej izolowaną i na pół odciętą wydawała się Armia 3-cia, stojąca w Kijowie i okolicach, gdzie dowodzący nią wtedy Rydz-Śmigły, neglżując tak, jak w owym czasie prawie wszyscy, działania jazdy nieprzyjacielskiej, upierał się wciąż przy żądaniu, aby łatwe, jak mu się zdawało zadanie zlikwidowania jazdy, będącej na jego tyłach, zostało dokonane, bez potrzeby wycofywania go znad Dniepru. Dałem wyraźny rozkaz do gen. Śmigłego, aby porzucił niepotrzebne stanie w Kijowie i odwrót swój skierował głównymi siłami wzdłuż szosy Kijów — Żytomierz, uderzając w ten sposób na główne siły Budiennego koło Żytomierza. W niewytłumaczo-

W rezultacie Polacy przebywali w Kijowie niewiele ponad miesiąc. Dnia 12 lipca 1920 roku grupa Jakira i Pierwsza Armia Konna oswoobodziły Kijów.

6 lipca rozpoczął natarcie ze swego legowiska krymskiego baron Wrangiel. Posuwanie się jego wojsk udało się powstrzymać dopiero 24 lipca. Mimo, że wojska sowieckie zmuszone były walczyć równocześnie przeciwko wranglowcom i białopolakom, 4 lipca Front Zachodni podjął nową, starannie przez Tuchaczewskiego przygotowaną, ofensywę.

Od razu pierwszego dnia została rozbita pierwsza polska armia. Po jej rozbiciu bitwa generalna na Białorusi zamieniła się w bezładny odwrót przeciwnika. 11 lipca uwolniono Mińsk. Konny korpus Gaja, działając na północ od pełnego jezior i błot rejonu rzeki Dżisny, wyszedł na głębokie tyły białopolaków i 9 lipca zajął Święciany, posuwając się w kierunku na Wilno.

Te zdumiewające sukcesy Czerwonej Armii pobudziły aktywność dyplomatów Ententy. 12 lipca lord Curzon w imieniu rządu brytyjskiego zwrócił się do rządu sowieckiego z propozycją zawieszenia broni w terminie jednego tygodnia. Propozycja ta, mająca na celu jedynie przyniesienie ulgi w położeniu Polski, została przed rząd sowiecki odrzucona.

14 lipca konnica Gaja z pomocą 164-ej brygady zajęła Wilno, a dnia 19 lipca, a więc w dniu otwarcia Drugiego Kongresu Kominternu, wojska Zachodniego Frontu wkroczyły do Grodna.

...Przenieśmy się na pewien czas do Piotrogradu, gdzie w tym samym czasie, w Pałacu Taurydzkim, Włodzimierz Iljicz Lenin składał sprawozdanie wobec Delegatów Drugiego Kongresu Kominternu. Z zachodu szły wiadomości dobre, ale Wrangiel naciskał w Północnej Taurydzie, szajki bat'ka Machno nękały Ukrainę; Anglia i Francja śpieszyły na pomoc Piłsudskiemu, grożąc zbrojną interwencją. Na Bałtyku spodziewano się pojawienia floty brytyjskiej. Delegaci Drugiego Kongresu Kominternu zdumiewali się i zachwycali nieugiętym duchem rewolucyjnym piotrogrodzkiego proletariatu. Robotnicy, marynarze, czerwonoarmiści witali delegatów Kongresu. Robotnicy zdawali sobie sprawę, jak trudno było delegatom przybyć na Kongres, jak trudno było przezwyciężyć pierścień blokady, fronty wojny cywilnej i przyjechać do Związku Sowieckiego.

ny dotąd dla mnie sposób depesza moja do gen. Śmigłego nie dotarła i wycofał on swoje wojsko w kierunku północno-zachodnim wzdłuż kolei Kijów-Korosteń-Sarny to jest wzdłuż Polesia południowego, jak gdyby staranie omijając możliwość zetknięcia się z konnicą Budiennego”.

W dniu otwarcia Kongresu ulicą Szpalerną posuwały się w kierunku Pałacu Tauryzdzkiego kolumny pietrogrodzkich robotników, grzmiała muzyka, na brzegu Newy miało miejsce oszałamiające misterium — widowisko ludowe. Brało w nim udział tysiące robotników, robotnic, czerwonoarmistów. To rewolucyjne misterium przedstawiało symbolicznie zwycięstwo burżuazji nad średniowiecznymi feudałami a następnie zwycięstwo proletariatu nad światową burżuazją. Zakończono było symboliczną apoteozą, fajerwerkami i salwą honorową.

Ale najważniejszym punktem programu, na który czekał cały kraj, było sprawozdanie Lenina. Ten, kto miał szczęście być tego dnia w sali Pałacu Tauryzdzkiego, pamięta, jaką burzą oklasków przywitali Lenina delegaci i goście na galerii. Z góry widzieli ogromną salę, prezydium i Włodzimierza Iljicza, który był wyraźnie niezadowolony z przeciągającej się owacji. Wobec delegatów, którzy zjechali się z całego świata, stał wielki człowiek, który zrealizował śmiałą myśl ludzkości, wódz rewolucji socjalistycznej, założyciel państwa robotników i chłopów.

Goście z Piotrogradu ogłuszająco bili oklaski, witając Włodzimierza Iljicza.

— „Zatęskniliśmy za Iljiczem! — krzychał ktoś obok. — Dawno nie byłeś w Piotrogradzie! W Pitrze!”.

— Wreszcie Lenin mógł zacząć sprawozdanie. Przed słuchaczami przewijał się obraz powojennej Europy i całego świata. Włodzimierz Iljicz mówił, przekonywując, dowodząc, spierając się, argumentując; mówił z ujmującą szczerością i głębią analizy. Czasami opuszczał trybunę, odchodził na bok, wracał, przeglądał swoje notatki. Kiedy mówił o oportunistach, w głosie jego zadźwięczały nutki humoru i ironii. „Być może przykład mój wydał się trochę humorystyczny. Ale taki już jest charakter obecnego oportunistów, że jego walka z bolszewizmem staje się humorystyczna”. W tej ogromnej sali byli wśród słuchaczy ludzie, którzy powątpiewali w słuszność sprawy, nie podzielali poglądów Lenina, ale i ci byli zdumieni i oszołomieni. Niewątpliwie najbardziej wstrząsnęła nimi pewność Lenina jeśli idzie o ostateczne zwycięstwo rewolucji socjalistycznej, pomimo pogroźek rządów angielskiego i francuskiego, pomimo wojny cywilnej na południu, machnowskich szajek na Ukrainie i wojny z białopolakami.

W owym czasie Armia Czerwona gwałtownie posuwała się naprzód, na Zachód. Lipcowa ofensywa tego frontu, którym dowodził Tuchaczewski, wywarła ogromne wrażenie zagranicą.

Jeżeli w następstwie kontrofensywy na Wiśle Polacy nazwali „cudem”, to niewątpliwie cudem był atak wojsk sowieckich.

Bez umundurowania i bez butów, doświadczywszy ciężkich trudów w latach wojny cywilnej, w trudnych do opisanego warunkach zdołali zachować ducha walki i bić dobrze zaopatrzone i dobrze wyszkolone wojska polskie.

W sztabach Francji i Anglii znów zaczęto mówić o Tuchaczewskim, którego imię stało się już znane po zwycięstwach nad Denikinem i Kołczakiem. Oddziały Armii Czerwonej zbliżały się do Warszawy. W końcu lipca panika ogarnęła burżuazję i rząd polski.

Piłsudski w swojej książce „Rok 1920” pisał: „pod wrażeniem nadciągającej groźnej chmury, zaczęły chwiać się umysły, miękły serca żołnierzy. Państwo trzeszczało we wszystkich szwach”.

Równocześnie w miarę posuwania się Armii Zachodniego Frontu ku Warszawie, tym wścieklej rozpętywała się agitacja przeciwko nam, i — trzeba przyznać — miała ona sukcesy, szczególnie wśród chłopów i młodzieży. Księża w sutannach szli w pierwszych szeregach kontratakujących wojsk polskich, wywołując u krasnoarmiejców wrogię uczucia przeciwko katolikom.

Weterani polskiego ruchu robotniczego, rewolucjoniści-bolszewicy byli tym nie mało zaniepokojeni i przestrzegali, że atak naszych wojsk może wśród Polaków wywołać wzmożenie uczuć narodowych, z czym należy się liczyć.

Komunistyczna partia Polski od samego początku wojny sprzeciwiała się agresywnym działaniom polskich imperialistów, starała się przekonać robotników polskich, że wojna przeciwko Związkowi Sowieckiemu jest wojną również przeciwko polskim robotnikom i chłopom. Część jednak robotników polskich dała się uwieść, gdy koła rządzące Polską przedstawiły wyzwolenczą walkę Armii Czerwonej jako wrogi najazd.

Piłsudski porównywał ofensywę Tuchaczewskiego na Zachodnim Froncie z pochodem carskiego generała Paszkiewicza w r. 1831. Tymczasem czasy się zmieniły i teraz właśnie biała Polska była spadkobiercą zaborczej polityki carskiej Rosji.

Nie można się więc dziwić, że nastroje wielu robotników polskich były zupełnie inne, niewielki wpływ wywierała na nich wyuzdana demagogia szowinistów. Nawet białogwardziści w swoich pamiętnikach przyznają, że w Warszawie nieustannie wynikały niespodziewane strajki. Było to zrozumiałe: proletariat

polski miał dawne tradycje rewolucyjne — tradycje Dzierżyńskiego, Marchlewskiego.

Po piętnastu latach autor niniejszego widział w Warszawie w dzielnicach robotniczych czerwone flagi na przewodach tramwajowych, widział jak rozpędzono demonstrację robotniczą przy pomocy policji konnej. W tych dniach spadkobiercy Piłsudskiego uważali się za pełnoprawnych gospodarzy kraju i prowadzili go do katastrofy. W niewiele lat później ci panowie szczylic się, że nie przepuszczą wojsk sowieckich przez terytorium Polski, jeśli wybuchnie wojna między Związkiem Sowieckim i hitlerowskim Reichem.

Ale wróćmy do roku 1920. Dowództwo Zachodniego Frontu opracowało plan natarcia na Warszawę. 10 sierpnia Tuchaczewski podpisał rozkazy sforsowania Wisły.

Walka nad Wisłą miała dwa etapy. Pierwszy od 13 do 15 sierpnia, kiedy wojska sowieckie prowadziły zaciekle boje na podejściach do Warszawy i miały sukcesy. I drugi, kiedy przeciwnik przystąpił do kontruderzenia i zmusił wojska sowieckie do cofania się na wschód. Natarcie armii polskich na wschód i północny wschód stworzyło bardzo ciężkie położenie dla 4-ej armii sowieckiej, którą przeciwnik usiłował odciąć w korytarzu gdańskim. W książce Tuchaczewskiego czytamy: „Pięć tygodni trwało nasze nieustające natarcie. Przez pięć tygodni Polacy niezmiennie unikali bezpośredniego starcia wskutek rozbitcia swojej armii i zaryzykowali je dopiero na Wiśle. Nasza 4-a Armia rozrzuciła swoje główne siły, dowódca Armii stracił łączność ze sztabem frontu; pomogło to Polakom”.

16 sierpnia białopolacy przeszli do kontrnatarcia z rejonu Iwan-gorodu² i rzeki Wkry, aby odciąć naszą 4-ą Armię, która zagłębiła się w korytarz gdański.

3-ci Konny Korpus Gaja, towarzysza bojów Tuchaczewskiego w pierwszej rewolucyjnej armii, dowódcy Simbirskiej żelaznej dywizji, został podporządkowany 4-ej Armii i usiłował przebić dla niej drogę wycofania się na wschód. Tuchaczewski bez obstrukcji mówi o nonsensownych działaniach 4-ej Armii, które wyrwały zwycięstwo z naszych rąk.

3-a i 15-a Armie wytrzymały z trudem natarcie przeciwnika, wyczerpując wszystkie siły, aby pomóc 4-ej Armii przejść na wschód wąskim korytarzem między Narwią i Prusami Wschodnimi. Ale uratowanie 4-ej Armii było już niemożliwe; została

2. Autor używa tutaj starej carskiej nazwy: Iwanogrod zamiast Dęblin (przyp. tłumacza).

zmuszona do przekroczenia granicy Prus Wschodnich, gdzie ją internowano.

Jednakże i przeciwnik nie był już w stanie prowadzić dalej natarcia.

Piłsudski w swojej książce „Rok 1920” oddaje należne uznanie 15-ej Armii, która przez dwa dni wytrzymywała uderzenia polskich armii z zachodu i z południa, i 4-ej Armii, która według jego słów „walczyła jak lew”.

Gaj w swoich wspomnieniach rozróżnia dwa okresy w pochodzie swego korpusu: przerwanie frontu białopolaków i wspomniały marsz naprzód, oraz drugi — początek przymusowego cofania się, pięciokrotne przerwanie okrążenia, kiedy to „głodni, obdarci, bosy, nie widzący po kilka dni chleba, bez amunicji, jedynie z szablami w rękach usiłują przedrzeć się przez linię polskich wojsk, aby uciec do swojej rodziny, Armii Czerwonej”.

„Obszedłem wszystkie pułki, należące do korpusu — pisze Gaj — wzywałem ich do wiary w zwycięstwo i aby pod dźwięki Międzynarodówki ruszyli na wroga”. „Zgadzamy się na przebiecie się, ale nie mamy czym strzelać”. „Konie już nie chcą iść — pójdziemy pieszo” — odpowiedziałem.

Gaj opowiada również o próbach nawiązania kontaktu radiowego z dowództwem frontu albo z innymi armiami:

„Całą noc wywoływali przez radio, ale odpowiedzi nie dostaliśmy. O czwartej rano rozkazałem naczelnikowi sztabu armii, aby spalono wszystkie papiery operacyjne, rozkazy i zniszczono radio. O godzinie 4,20 dnia 26 sierpnia spalono radio i z ciężkim sercem, a wielu ze łzami w oczach, pod silnym ogniem baterii przeciwnika, przeszliśmy granicę”.

Byli to ludzie żelazni, legendarne pokolenie. Z uczuciem oburzenia i z goryczą myśli się o tym, że wielu z nich później oszkalowano i że padli ofiarą bezprawia w latach kultu Stalina.

Kawalerzyści z korpusu Gaja — jak sam o tym pisze — z pełnym poświęceniem zastępowali piechotę „łącząc swoje działania z innymi dywizjami piechoty, ratując uciekające oddziały armii”. Korpus w rezultacie zginął, chociaż najpóźniej ze wszystkich. Zginął z honorem, zadając przeciwnikowi ogromne straty.

Obecnie, po drugiej wojnie światowej, ze zdumieniem czyta się, że naszym ówczesnym „wojenletem” (tak nazywano w czasie wojny cywilnej lotników) z największym tylko trudem udawało się bronić znaczenia lotnictwa. Wtedy powszechnie powtarzano czyjeś powiedzonko: „Mydło, perfumy i awiacja — to rzeczy luksusowe”.

W artykule Tatarczenki: „Czerwone lotnictwo na Zachodnim Froncie” przytacza się inne, dające wiele do myślenia, powiedzenie: „Dać obecnie Armii Czerwonej potężne lotnictwo, w dodatku kosztem wydatków na inne rodzaje broni — to to samo, co ubrać proletariusza w cylinder”. Trzeba było przekonywać Naczelne Dowództwo i Rewolucyjną Radę Wojenną, że wszelkie wydatki na lotnictwo, choćby były największe, opłaca się stokrotnie. Trzeba zresztą powiedzieć, że w rozkazach polskiego dowództwa mówiło się o wielkich sukcesach naszego lotnictwa.

Tuchaczewski również doceniał znaczenie lotnictwa: „Lotnictwo naciera pierwsze, cofa się ostatnie”.

Przewaga polskiego lotnictwa, któremu dostarczali samoloty Francuzi, odegrała niemałą rolę w rosyjsko-polskiej kampanii.

Przeglądając artykuły i wspomnienia uczestników wojny 1920 roku, poznajemy niektóre przyczyny klęski na Wiśle, klęski, którą polscy historycy i sojusznicy Białej Polski nazwali „cudem nad Wisłą”.

„Cud” ten można wyjaśnić w pierwszym rzędzie brakiem u nas odpowiedniego zaopatrzenia i odpowiednich strategicznych rezerw, o czym świadczą dzieła wojskowych specjalistów i uczestników wojny.

„Przyszli historycy wojskowi... ze zdumieniem, jak na strategiczny paradoks, spojrzą na sześciotygodniowy, nieprzerwany pochód na przestrzeni 600 wiorst, z niepracującą koleją na tyłach, z bardzo słabo zorganizowanym transportem i niedostatecznymi zapasami ogniowymi”. (N. Kakurin).

Żołnierze Armii Czerwonej pokonywali niezwykle wprost trudności. Pod Radzyminem, nie bacząc na olbrzymie straty, Czerwonoarmiści dosłownie szli na zapory z drutu kolczastego i samą tylko odwagą zmuszali przeciwnika do opuszczania okopów.

Nawet wrogowie musieli przyznawać męstwo i wytrwałość wojskom sowieckim. „Patrzcie, oto prawdziwi Spartanie!” — wykrzyknął jeden z polskich generałów, obserwujących walkę. Nadludzkie wprost energia, siła i wytrzymałość żołnierzy, czysto rewolucyjny temperament — oto co jednomyślnie podkreślają uczestnicy tej zakończonej niepowodzeniem kampanii.

Nie darmo słowo „energia” tak często powtarza się w zapisach współczesnych i uczestników tej wojny. Wymuszone cofanie się naszych wojsk, nie zachwiało stanowczości dowództwa Zachodniego Frontu i samego Tuchaczewskiego. Słowo „energia” znajdujemy i w odezwaniu się jego głównego przeciwnika, Pił-

sudskiego. Oto co powiedział on o dowódcy Frontu Zachodniego:

„Takie długie marsze, przerywane jednak bojami, stanowić mogą zaszczyt zarówno dla armii jak i dla dowódców. Specjalnie zaś głównodowodzący, który ma dość sił i energii, woli i umiejętności, by podobnych zadań wojennych dokonać, nie należy do miernot i przeciętnych... Takiego pięknego marszu powinszuje mu każdy historyk i każdy analityk”.

Od tych czasów minęło już więcej niż czterdzieści lat. Można sobie wyobrazić jakie znaczenie mogło mieć zwycięstwo: los polskiego narodu potoczyłby się zupełnie inaczej, Pokój Wersalski byłby zachwiany a historia Europy, być może, byłaby zupełnie inna.

Te przesłanki polityczne niewątpliwie zagrzewały Tuchaczewskiego. On jednak — rozumie się — lepiej, niż ktokolwiek inny widział osłabienie naszych wojsk, oderwanie ich od zaplecza bardzo złe funkcjonowanie, a raczej paraliż transportu kolejowego, brak uzupełnień — ale tym niemniej szedł naprzód.

Operacje na Zachodnim Froncie w czasie kampanii polskiej, zrodziły całą serię prac drukowanych. Książka Tuchaczewskiego „Pochód za Wisłę” wywołała ukazanie się książki „Na Wisłę” jednego z naszych poważnych wojskowych, B.M. Szaposznikowa, Marszałka Związku Sowieckiego, a następnie książki dowódcy Frontu Południowo-Zachodniego w roku 1920, A.J. Jegerowa: „Lwów-Warszawa”.

W książkach tych wykładano najrozmaitsze oceny działań na naszym Froncie Zachodnim. Szaposznikow pisze, że Tuchaczewski dał olbrzymi wkład do historii wojny na Zachodnim Froncie, wyjaśniając jak pojmował on operacje wojenne, ale Szaposznikow zauważa, że front ten był tylko częścią — prawdą że główną — całego tego frontu, na którym rozwijały się działania wojenne przeciwko białopolakom... Niezbędna jest, jego zdaniem, ocena sytuacji na Froncie Zachodnim z punktu widzenia wyższego dowodzenia wojną, jako całością i działań wojennych na innych frontach. „Dlatego też nie w imię krytyki dla krytyki, nie w celu pomniejszenia wartości dzieła Tuchaczewskiego chwyciłem za pióro” — pisze Szaposznikow. „Zawsze jest przyjemnie odpowiedzieć na głos swego bojowego towarzysza”.

Książka Szaposznikowa ukazała się w roku 1924. Odbija się już w niej ta różnica zdań w ocenie operacji wojennych, jaka wynikała zarówno w czasie wojny z białopolakami, jak i po niej.

Tuchaczewski tak pisał o majowym natarciu w roku 1920: „Wszystko przemawiało za tym, że Polacy są w przede dniu

przejścia do nowego natarcia”. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy w przede dniu rozpoczęcia przez Polaków ofensywy. Aby utrzymać nasze pozycje i nie dać Polakom możliwości wciągnięcia naszego zasadniczego ugrupowania w narzucone działania, stało się koniecznością przejście od obrony do natarcia”.

B.M. Szaposznikow uważa, że prawdziwej przyczyny należy szukać w „dziedzinie moralnej” — w braku wiary w wytrzymałość swoich wojsk w obronie i stąd dążenie do zaatakowania pierwszemu. Uważa również, że natarcie zachłysnęło się, że wielkiego osłabienia naporu białopolaków na Ukrainiskim Froncie nie dało się odczuć. Dalej B.M. Szaposznikow robi Tuchaczewskiemu zarzut nieumiejętnego wykorzystania rezerw 15-ej Armii i nie posiadania dostatecznych sił dla tak wielkiej operacji.

Tutaj między Tuchaczewskim i Szaposznikowem powstaje spór na temat tzw. „strategii taranowej”.

„Przy ówczesnych szerokich frontach — twierdzi Tuchaczewski — staje się zupełnie niemożliwe prowadzenie natarcia całym frontem, wszędzie z jednakową uporczywością. Śmiałe prowadzenie operacji powinno mieć przede wszystkim na względzie skoncentrowanie wielkich grup wojska na kierunku decydującym i pozostawienie minimalnych sił na odcinkach drugorzędnych.

Niemożliwość — przy obecnych szerokich frontach — zniszczenia armii przeciwnika jednym uderzeniem, zmusza do osiągnięcia tego szeregiem następujących po sobie operacji, które by kosztowały przeciwnika więcej niż nas... Im gwałtowniej będziemy go ścigać, tym damy mu mniej szans na zorganizowane oderwanie się... Słowem, szereg konsekwentnie prowadzonych, a niszczących siły przeciwnika operacji, połączonych z nieustającym pościgiem, może zastąpić tę niszczącą walkę, jaka była najlepszym sposobem starcia w armiach poprzednich, które nie miały tak szerokich frontów.

...Jeżeli taranowe zgrupowanie znajduje się na właściwym kierunku, to każde przejście przeciwnika do przeciwnatarcia staje się dla zgrupowania nie przykrością, a właśnie pożądanym, wypełniającym się marzeniem.

...U każdego atakującego zwycięzcy każde aktywne działanie ze strony przeciwnika może wywołać tylko radość, gdyż daje mu to okazję dogonienia głównych, zachwianych już sił przeciwnika i wymierzenia im ostatecznego ciosu”.

Taka jest idea „taranowej strategii” Tuchaczewskiego.

Zgromadzenie mas taranowych... „staje się nieuniknionym następstwem charakteru współczesnej wojny”. Tuchaczewski po-

wołuje się tutaj na przykłady wojny cywilnej i bitwy na Marnie w roku 1914, a także na przykład naszej wojny z białopolakami.

B.M. Szaposznikow sprzeciwia się temu, przypuszczając, że w roku 1914 na Marnie Niemcy zapłaciły za swoją frontalność uderzenia, za brak możliwości manewru: „Współczesne masy wojska są stale zdolne do ruchu, mogą więc sprostać i manewrowi, a nie tylko ruchowi w jednym kierunku”. Borys Michajłowicz Szaposznikow był w roku 1920 Naczelnikiem Wydziału Operacyjnego Armii Czerwonej. Spór tedy, kto był winien niepowodzenia operacji na Wiśle nie był dla niego tylko sporem czysto akademickim. Chociaż uważa, że „element namiętny” nie jest u Tuchaczewskiego szczególną wadą, bowiem nie wojuje się według sprawozdań, to jednak starał się udowodnić, że Tuchaczewski nie wyczuł na czas „szczytowego punktu natarcia”.

Tuchaczewski przyznaje, że wojska Frontu Zachodniego były wyczerpane fizycznie i osłabione, ale za to były silne duchem i nie bały się przeciwnika. „Nieustanność naszego natarcia demoralizowała polskie wojska... Nie zostawało żadnej nadziei ratunku. Wszyscy uciekali do tyłu, nie wytrzymując żadnej poważniejszej walki... Gdybyśmy zatrzymali się na granicy Polski i umocnili swoje tyły, doprowadzilibyśmy do porządku nacierającą armię — ale Polacy mieliby możliwości większe”. Dalej mówi Tuchaczewski o pomocy Polsce ze strony krajów kapitalistycznych: „Za dwa-trzy tygodnie, niezbędne do zorganizowania naszych spraw, napotkalibyśmy na siły znacznie większe, niż nasza armia... Przy tym wstrząsie, jakiemu uległa polska armia, mieliśmy prawo i musieliśmy kontynuować natarcie”.

Trzeba powiedzieć, że „taranowa strategia” zdała egzamin do Bugu, ale nie dalej.

B.M. Szaposznikow zgadzał się z takimi przyczynami niepowodzenia, jak niedostatek środków technicznych i wreszcie „rozejście się w czasie decydującego starcia — prawie pod kątem prostym — głównych sił Południowego i Zachodniego frontów, co przesądziło o zawaleniu się operacji akurat w momencie, gdy Front Zachodni był skierowany za Wisłę”.

Tu właśnie podchodzimy do bardzo ważnego epizodu wojny z burżuazyjną Polską, który stał się przyczyną długiego sporu i, jak mnie się wydaje, wpłynął na późniejsze losy Marszałka Tuchaczewskiego.

Idzie tu o jedną z tez odczytów dowódcy „Pochodu za Wisłę”, która to teza dotkliwie uraziła J.W. Stalina. A wiadomo, że w roku 1920 był on członkiem Rewolucyjnej Rady Wojskowej Południowo-Zachodniego Frontu.

Kiedy Front Zachodni w swym głównym zgrupowaniu był skierowany za Wisłę, Naczelne Dowództwo dało polecenie dowództwu Południowo-Zachodniego Frontu oddania Pierwszej Armii Konnej pod dowództwo Frontu Zachodniego, — nacierania Pierwszą Armią Konną w rejon Zamościa-Tomaszowa-Hrubieszowa, a 12-ą Armią w ogólnym kierunku Lublina. Gdyby dyrektywa ta była wykonana na czas, żadne przeciwnatarcie białopolaków z rejonu Lublina nie mogłoby mieć miejsca. Ale wbrew rozkazom Naczelnego Dowództwa, Pierwsza Konna Armia dalej prowadziła walki, zmierzające do opanowania Lwowa.

Tuchaczewski twierdzi, że rozkaz Naczelnego dowództwa mógł być bezwarunkowo wykonany, ale walki o Lwów całkowicie pochłonęły Pierwszą Armię, która do wykonania przegrupowania przystąpiła zbyt późno, więc nic pożytecznego w kierunku na Lublin zdziałać już nie mogła.

W roku 1922 w 12-tym numerze miesięcznika „Goniec Wojskowy” (*Wojennyj Wiestnik*) wódz Naczelny, Siergiej Siergiejewicz Kamieniew w artykule swoim skłaniał się do poglądu, że Pierwsza Armia była całkowicie wykorzystana dla drugorzędnego celu w ogólnym przebiegu kampanii (tj. w bojach o opanowanie Lwowa).

Zrozumiałe, że Stalinowi, przy jego chorobliwej wprost ambicji, nie mogło odpowiadać twierdzenie Tuchaczewskiego, że niepowodzenie operacji pod Warszawą tłumaczyło się tym, że Pierwsza Konna Armia nie wypełniła dyrektywy Naczelnego Dowództwa i nie wzmocniła swoimi oddziałami lewego skrzydła Zachodniego Frontu.

W roku 1929 wyszła książka A.I. Jegorowa. Zgodnie z zamierzeniem tego autora jego praca miała rozwiązać legendę o „fatalnej roli” Południowo-Zachodniego Frontu w niepowodzeniu warszawskiej operacji. Prócz tego autor postawił sobie za cel udowodnienie, że zdobycie Lwowa nie było zadaniem drugorzędnym, bowiem w wypadku sukcesu Pierwsza Konna Armia wychodziłaby na tyły Warszawy.

Aż do samego XX Zjazdu Partii działania dowództwa Południowo-Zachodniego Frontu uważane były za całkowicie słuszne. Wdzieranie się do Galicji poczytywano za całkowitą zasługę Stalina, a niepowodzenie Warszawskiej operacji — jako wynik zdrady stronników Trockiego. W okresie kultu osoby Stalina zachęcano do napaści na Marszałka Tuchaczewskiego i jego tylko oskarżano o niepowodzenie Warszawskiej operacji.

Jednakże w roku 1936 Michał Kolcow, utalentowany pisarz, który zginął w pełnym rozkwicie swego talentu w okresie

kultu osoby Stalina, miał odwagę napisać o Tuchaczewskim, w artykule pod tytułem: „Nasi Marszałkowie”.

„Michał Tuchaczewski — ten w czasach wojny światowej zamysłony i niemal stale roztargniony młodzieniec w tużurku khaki — znalazł się na czele pułków, broniących socjalizmu i rozwinął swój wspaniały talent jednego z największych strategów-dowodców w głośnych pochodach, odpędził białopolską armię aż do samych wrót Warszawy, ku przerażeniu i rozpacz polskiego marszałka i pełnemu uznania zachwyтови europejskich luminarzy wojskowych”.

I.W. Stalin, odznaczający się rzadką zdolnością zapamiętywania wszystkiego, co mu było nieprzyjemne, nie zapomniał tej charakterystyki Tuchaczewskiego i bardzo możliwe, że właśnie ten artykuł przeważył szalę wagi, którą zdecydowała o losie utalentowanego pisarza i publicysty.

Tymczasem właśnie Stalin był winien temu, że oddanie pierwszej Konnej Armii i 12-ej armii nastąpiło z wielkim opóźnieniem, wbrew dyrektywie Naczelnego Dowództwa i nie bacząc na to, że dyrektywa ta była zaaprobowana przez Biuro Polityczne Centralnego Komitetu Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), przez Lenina i przez Plenum Centralnego Komitetu 5 sierpnia 1920 roku.

Dlaczego dyrektywa ta nie była wykonana i jak się to stało?

Już 2 sierpnia 1920 roku Politbiuro CK RKP(b)³ postanowiło zjednoczyć sowieckie armie, działające przeciwko białopolakom w organizacji Zachodniego Frontu — a stworzyć zupełnie samodzielny front przeciwko przybierającemu na siłach Wranglowi.

W.I. Lenin zawiadomił depeszą Stalina o rozdzieleniu frontów i zaproponował mu zajęcie się wyłącznie Wranglem.

Na Plenum CK RKP(b), 5 sierpnia, Rewolucyjna Rada Wojenna stwierdziła, że wojska sowieckie wkroczą do Warszawy 16 sierpnia. Tu właśnie wypowiedziała się awanturniczność przewodniczącego Rady Wojennej Trockiego. Wiedział on dobrze, że wojska sowieckie poniosły wielkie straty, oderwały się od swoich tyłów o setki wiorst. Chociaż Tuchaczewski wiedział, że wkroczenie do Warszawy było zdecydowane, tym niemniej niepokoiło go bardzo położenie na lewym skrzydle, i dlatego nalegał na oddanie Frontowi Zachodniemu Pierwszej Konnej Armii oraz 1-ej i 14-ej armii. Z przechwyconych rozkazów przeciwnika wiedział, że trzecia armia polska koncentruje się w rejonie

3. CK RKP(b) — Centralny Komitet Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików).

Lublina, że Iwan-gorodzki kierunek nie był zabezpieczony, i że lewe skrzydło jest osłaniane tylko słabą Mozyrską grupą. Domagał się tedy, aby skierować ku północy Pierwszą Konną Armię i 12-ą Armie dla podtrzymania lewego skrzydła swego natarcia.

12 i 13 sierpnia były dniami decydującymi. Pierwszy rozkaz o oddaniu Pierwszej Konnej Armii i 12-ej Armii był wydany o trzeciej godzinie 13-go sierpnia; przy wydawaniu tego rozkazu Dowództwo Zachodniego Frontu było zapytywane o opinię, a o godzinie 13 minut 35 rozkaz ten został powtórzony już w formie kategorycznej i zdecydowanej.

Były to istotnie „chwile rozstrzygające!” 13 sierpnia Tuchaczewski komunikuje Naczelnemu Dowództwu:

„Nie możemy się obejść bez Konnej Armii... Położenie zmusza do przejęcia przeze mnie armii południowych i zwłoka mnie niepokoi...”.

Zawsze opanowany, zahartowany doświadczeniem wojny cywilnej, wódz mówi o tym, że niepokoi go zwłoka, przewiduje kontruderzenie przeciwnika na lewym skrzydle. Czas uchodzi, każda godzina jest droga!

Dyrektywy Naczelnego Dowództwa z przyczyn technicznych zostały odcyfrowane dopiero wieczorem 13 sierpnia. I oto, co jest zdumiewające: Stalin i Jegorow, znajdujący się w Aleksandrowsku, odpowiadają na ten rozkaz swoimi propozycjami:

„Całą Konną Armie z wyjątkiem jednej dywizji, skoncentrować w Proskurowie, gdzie pozostając w ogólnej rezerwie Frontu, będzie ona równocześnie stanowić grupę odwodową na wypadek wystąpienia Rumunii. Z drugiej strony skoncentrowanie Pierwszej Konnej Armii pozwala oprzeć się na niej jak na bazie z której będzie można czerpać posiłki dla kawalerii na odcinku Krymskim”. Tą odpowiedzią dowództwo Południowo-Zachodniego Frontu całkowicie zignorowało ostatnią dyrektywę Naczelnego Dowództwa, przeciwstawiało się decyzji Plenu CK RKP(b), o której mógł nie wiedzieć Jegorow, ale wiedział Stalin. I tego samego dnia, nie czekając na zgodę Naczelnego Dowództwa, Rewolucyjna Rada Wojenna Południowo-Zachodniego Frontu daje rozkaz forsowania Bugu i zajęcia Lwowa, Kiedy wreszcie Jegorow wydał rozkaz przekazania trzech armii Frontowi Zachodniemu, członek Rady Wojennej, Stalin, demonstracyjnie odmówił podpisania tego rozkazu i zawiadomił o tym Naczelnemu Dowództwu.

W ten sposób Stalin nie tylko nie wykonał dyrektywy Naczelnego Dowództwa ale wprost przeciwstawił się linii Centralnego Komitetu Partii.

(Warto tutaj powiedzieć, że depeza do Naczelnego dowództwa o odmowie Stalina podpisania rozkazu o oddaniu trzech armii Frontowi Zachodniemu, nigdy przedtem nie była opublikowana).

Czym można objaśnić postępowanie Stalina? Widocznie wydząc z założenia korzyści dla interesów miejscowych, lokalnych, pragnął, aby armie Frontu Południowo-Zachodniego zajęły Lwów, kontynuując natarcie na tyły Warszawy. Wtedy zasługę sukcesu Warszawskiej operacji Front Zachodni musiałby dzielić z Frontem Południowo-zachodnim.

Te ambitne zamierzenia zawaliły się jednak w chwili, gdy Konna Armia została „wessana” w boje pod Lwowem.

Tak więc rozkaz operacyjny Naczelnego Dowództwa nie został wykonany. W sztabie Frontu Południowo-Zachodniego atmosfera stała się ciężka.

Koniec końców, po telegraficznej korespondencji, rozkaz został podpisany przez innego członka Rewolucyjnej Rady Wojennej, Bierzina. Dopiero wieczorem 16 sierpnia otrzymała go Pierwsza Konna Armia. Rewolucyjna Rada tej Armii zawiadomiła Tuchaczewskiego, że armia nie może wycofać się z walk, bowiem linia Bugu została przewyżczona, oddziały znajdują się pod Lwowem i armii dano polecenie zajęcia Lwowa 17 sierpnia. 16 i 17 sierpnia przeciwnik przeszedł do natarcia: szturmowa grupa jego wojsk, skoncentrowana w rejonie Lublina, przerwała front grupy Mozyrskiej i stworzyła zagrożenie dla tyłów Zachodniego Frontu. Dowództwu Pierwszej Konnej Armii nie udało się zająć Lwowa 17 sierpnia. Tuchaczewski, aby paraliżować natarcie przeciwnika wydał rozkaz 1-ej Armii kontynuowania uderzenia w rejonie Chełma, a Pierwszej Konnej Armii kazał dokonać najwyższego wysiłku, aby skoncentrować się w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego i uderzyć na tyły nacierającej grupy przeciwnika.

Ale i obecnie, kiedy polskie natarcie groziło zawaleniem całej Warszawskiej Operacji, dowództwo Pierwszej Konnej Armii nie zaprzestało swoich działań pod Lwowem.

Dopiero 20 sierpnia Pierwsza Konna Armia z rozkazu Rewolucyjnej Rady Wojennej Republiki rozpoczęła ruch ku Włodzimierzowi Wołyńskiemu. Ale już było za późno. Pierwsza Konna Armia nie mogła już zmienić sytuacji, jaka powstała na Zachodnim Froncie. Inicjatywę przeciwnik już nam wyrwał, wojska sowieckie rozpoczęły odwrót na całym froncie.

Europa wstrząśnięta wspaniałym pochodem wojsk sowieckich do Wisły, triumfowała, francuski sztab Generalny, generał

Weygand nazywając odwrót Czerwonej Armii nową Marną, przypisał odniesienie zwycięstwa sobie i francuskim instruktorom.

W tym bardzo trudnym okresie Dowódca Zachodniego Frontu zachowuje zadziwiającą równowagę ducha. Rozumie dobrze, że przeciwnik opadł z sił, że nie ma już możliwości prowadzenia bardziej szerokiego natarcia i, jeśli atakuje, to według wyrażenia Clausewitza, usiłuje tylko zdobyć „przedmioty cenne dla późniejszych pertraktacji”.

Takim właśnie cennym dla pertraktacji przedmiotem był Wołkowysk.

27-a Omska dywizja stawia tutaj zdecydowany opór natarciu przeciwnika, który usiłuje zdobyć wołkowyski odcinek frontu w nadziei, że zajęta w ten sposób linia posłuży w chwili podpisywania pokoju za punkt wyjścia przy ustalaniu granicy.

2 października Włodzimierz Iljicz tak mówił o niepomysłnej operacji pod Warszawą.

„Kiedyśmy podeszli do Warszawy wojska nasze okazały się już tak wyczerpane, że nie miały siły odnosić dalszych zwycięstw, a wojska polskie, podniesione na duchu patriotycznym zrywem w Warszawie, czując się u siebie w kraju, znalazły poparcie, znalazły nowe możliwości pójścia naprzód. Okazało się, że wojna mogła doprowadzić do prawie zupełnego rozgromienia Polski, ale w decydującej chwili zabrakło nam sił”.

Nie starczyło sił, gdyż trzeba było prowadzić równoczesną walkę na trzech frontach — Zachodnim, Południowo-Zachodnim i Krymskim.

12 października została podpisana umowa o zawieszeniu broni, a następnie i umowa pokojowa, ta ostatnia na warunkach o wiele mniej korzystnych dla Polaków od tych, na jakie Związek Sowiecki zgadzał się jeszcze przed napaścią białopolaków na Ukrainę.

Broniąc swego terytorium „strategią taranową” Tuchaczewski twierdził, że na Wiśle nie było „zasadniczego błędu w ugrupowaniu”, przyczynę niepowodzenia widział w braku dostatecznego ubezpieczenia skrzydłowego.

W działaniach wielkich wodzów zasługują na głęboką uwagę nie tylko ich olśniewające zwycięstwa, ale i niepowodzenia. Najbardziej doniosłe przyczyny niepowodzenia pod Warszawą były wyjaśnione przez Lenina i to w tym czasie, kiedy nasza sytuacja pod Warszawą była przeżywana szczególnie mocno. Włodzimierz Iljicz podsumował rezultaty współczesnych i przyszłych sporów dotyczących wojny z białopolakami, bez względu

na to z jakiego punktu widzenia osądzać się będzie działalność dowódcy frontu Zachodniego.

Na X Zjeździe WKP(b) Lenin wrócił do tego zagadnienia i mówił tak:

„Przy naszej ofensywie, przy zbyt szybkim posuwaniu się naprzód do samej Warszawy, popełniono błąd. Nie będę w tej chwili rozważał, czy był to błąd strategiczny czy polityczny, gdyż zaprowadziłoby to mnie za daleko — myślę jednak, że sprawa musi być zostawiona przyszłym historykom, bo ci ludzie, którzy muszą w ciężkiej walce bronić się przed wszystkimi wrogami nie mają na to czasu, by zajmować się badaniami historycznymi”.

Tuchaczewski w swoich wykładach „Pochód za Wisłę” odważnie przyznawał, że wojnę z Polską przegrała nie polityka, a strategia. Polityka postawiła przed Armią Czerwoną zadanie trudne, ryzykowne i śmiałe... Czy to jednak było błędem? „Nie było ani jednego wielkiego dzieła, które by nie było śmiałe i zdecydowane”.

Niepowodzeniu pod Warszawą winne jest Dowództwo Zachodniego i Południowo-Zachodniego Frontów.

Czyż można z tego powodu stawiać zarzut tylko Tuchaczewskiemu?

Ukraina została napadnięta, nieprzyjaciół zajął Kijów. W tych warunkach ofensywa Zachodniego Frontu była najlepszym sposobem obrony.

Armia Czerwona zwyciężała, zwycięsko szła naprzód, odrzucając dobrze zaopatrzonego przeciwnika, którym kierowali wczorajsi zwycięzcy — Francuzi i ich instruktorzy. Była jednak granica dla jej sił: trzeba było walczyć na Zachodnim, Południowo-Zachodnim i Krymskim frontach, trzeba było walczyć z szajkami Machno na tyłach — prawie bez zaopatrzenia, o głodzie i bez butów.

Można by na tym zakończyć rozdział o wojnie z białopolakami, gdyby nie ta okoliczność, że badania historyczne na przestrzeni długich lat na temat niepowodzenia pod Warszawą były skierowane przeciwko Tuchaczewskiemu i po jego śmierci zamieniły się w oszczerstwa, hańbiąc jego pamięć. Dopiero po XX i XXII Zjazdach Partii stała się możliwa obiektywna ocena zasług i błędów Marszałka, w wojnie z burżuazyjną Polską.

Miał miejsce jeszcze jeden poważny wypadek, który, moim zdaniem, odegrał niemałą rolę w losach Michała Mikołajewicza Tuchaczewskiego.

1 września 1920 roku Biuro Polityczne CK RKP(b) zwolniło Stalina ze stanowiska członka Rewolucyjnej Rady Wojennej Południowo-Zachodniego Frontu. I chociaż Stalin został nadal członkiem Rady Rewolucyjnej Republiki, odwołanie go z Rady Rewolucyjnej Południowo-Zachodniego Frontu znaczyło, że nie puszczono mu płazem niepodporządkowania się nakazom wyższych organów wojskowych i partyjnych.

Do pewnego stopnia Tuchaczewski, jego upór w domaganiu się oddania mu Pierwszej Konnej Armii i 12-ej Armii, stał się przyczyną odwołania Stalina. W wojnie tej ujawniła się chorobliwa ambicja Stalina, dojrzał on w Tuchaczewskim rywala, na którego spadnie cała sława zwycięzcy w polskiej kampanii. Zwycięstwa nie osiągnięto, ale niezycżliwe, a następnie wrogie choć tajone uczucia, zostały. W latach, kiedy kult osoby Stalina ciągle rósł, ludzie, którzy w swoim czasie mieli nieszczęście wywołać niezadowolenie Stalina, odczuwali jego niechęć. Odczuwał to i Tuchaczewski.

Tuchaczewski z natury swojej należał do ludzi, którzy zapominali swoich uraz. Nie obraził się i na A.I. Jegorowa za jego książkę „Lwów-Warszawa” i w dniu 50-lecia tego marszałka złożył mu życzenia „jak największego szczęścia wojennego w wypadku napaści wroga na granice Związku Sowieckiego”.

Ale ani Jegorow ani Tuchaczewski nie doczekali tego, aby móc wypróbować swoje szczęście wojenne: obaj stali się ofiarami samowoli w latach kultu osobowości Stalina.

Semen Iwanowicz Arałow w jednej ze swoich pogadanek z pisarzami opowiadał o swojej rozmowie ze Stalinem.

„Co sądzicie o Aleksandrze Iljczu? Prawda, morowy chłop? — rzekł Stalin.

I on to właśnie zgładził tego „morowego chłopca” tak, jak zgładził Tuchaczewskiego, pozbawiając kraj sowiecki dwóch najbardziej wypróbowanych, utalentowanych i oddanych swej ojczyźnie wodzów.

Niepowodzenie w Warszawskiej kampanii nie pozbawiło zaufania do jej dowódcy ze strony partii. Co więcej, kiedy wybuchnął rokosz Kronsztadzki, Włodzimierz Iljcz, właśnie Tuchaczewskiego wyznaczył na dowódcę 7-ej armii, która zdruzgotała rokoszan, a następnie polecił mu likwidację Antonowszczyzny — najbardziej niebezpiecznego wrzodu w centrum Rosji.

Była to ostatnia operacja bojowa Michała Mikołajewicza Tuchaczewskiego.

Pozostałe lata swego niezbyt długiego, ale kipiącego niezmiennie energiczną działalnością życia, poświęcił pełnej zaparcia się pracy nad umacnianiem zdolności obronnej Związku Sowieckiego, w okresie kiedy zakładano zręby współczesnych Sowieckich Sił Zbrojnych.

L. NIKULIN

Tłumaczył Zdzisław MIŁOSZEWSKI

MASONERIA W POLSCE

„444,, CZYLI „CZYSTA RĘKA”

Było to w lutym lub marcu roku 1918-go. Pewnego popołudnia, gdy właśnie wybierałem się do redakcji (byłem wtedy sekretarzem „Gazety Nowej”), ktoś zastukał do drzwi mego mieszkania. Otworzyłem je i zobaczyłem dwóch panów, z którymi spotykałem się niejednokrotnie u mego brata ciotecznego, adwokata Franciszka Paschalskiego. Byli to: znany bardzo adwokat i świetny mówca, Eugeniusz Śmiarowski oraz — były ziemianin (zdaje się z łomżyńskiego) przedwojenny działacz oświatowy z kółek Mieczysława Brzezińskiego, a późniejszy szef nadzwyczajnej komisji do walki ze spekulacją — Mieczysław Dębski.

Obaj panowie oświadczyli, że przychodzą w imieniu pewnego koła przyjaciół, by zaproponować mi przyłączenie się do nich. Jest to organizacja poufna, która odbywa swe zebrania w bibliotece publicznej im. Kierbedzia przy ulicy Koszykowej, u kierowników tej biblioteki Henryka Kołodziejskiego i Faustyna Czerwijowskiego. Należenie do organizacji nie nakłada żadnych specjalnych obowiązków. Gdy na zebraniach ktoś występuje z jakąś inicjatywą, to tylko ci, którzy się z tą inicjatywą zgadzają, mają obowiązek z nią współdziałać — ci zaś, co się z nią nie solidaryzują — nie są zobowiązani do niczego. Jako jedną z akcji, przeprowadzonych na terenie kraju z inicjatywy tego koła, przytoczyli mi goście „deklarację stu rad miejskich i stowarzyszeń społecznych”, która wywołała w swoim czasie duże wrażenie w kraju, deklarację, która wysunęła hasło „Polski niepodległej i zjednoczonej”, a więc po raz pierwszy połączyła w uroczystym niejako manifestie ideę niepodległości, głoszoną przez lewicę, z ideą zjednoczenia trzech zaborów, którą reprezentowała prawica.

Nowi członkowie są kooptowani na zasadzie jednomyślnej uchwały wszystkich stowarzyszonych i zapraszani następnie do

brania udziału w ich obradach. Nie ma żadnych obrzędów i składania ślubów, obowiązuje tylko pod słowem honoru zachowywanie tajemnicy co do istnienia organizacji.

Niezwykła wizyta tych dwóch, tak wybitnych i o tyle starszych ode mnie panów (miałem wtedy niespełna 25 lat) oraz okazane mi zaufanie, zrobiły na mnie ogromne wrażenie. To co mi powiedzieli o charakterze i zadaniach organizacji odpowiadało mi całkowicie. Bez chwili wahania więc zgłosiłem z radością swój akces.

Powiedziano mi wtedy, że organizacja przybrała nazwę „444”, albo „Czysta Ręka” i że mam przyjść w najbliższą niedzielę o godzinie 8-ej wieczorem do Biblioteki Publicznej.

Z dużym zainteresowaniem i z pewnym — przyznam się — przejęciem poszedłem na to pierwsze moje zebranie „444”. Do sali bibliotecznej, gdzie się zebranie odbywało, wprowadzili mnie Śmiarowski i Dębski przedstawiając zebranym już jako nowego członka. Nie było żadnych przemówień i ceremonii, tylko przywitanie się z tymi, których już dawniej znałem i spotykałem, i zapoznanie się z tymi uczestnikami, których dotąd nie znałem osobiście.

O czym toczyła się wtedy dyskusja? Przyznam się, że już dzisiaj nic a nic nie pamiętam. Pamiętam za to bardzo wyraźnie cały szereg postaci, które tam wówczas spotkałem. A więc przede wszystkim, obok Kołodziejskiego i Czerwijowskiego, których znałem już przez Franka Paschalskiego (on sam witając się ze mną mrugnął do mnie porozumiewawczo i podejrzewam do dziś że to on właśnie zaproponował mnie na członka), byli tam dobrze mi znani wybitni działacze z kół ówczesnej „Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Niepodległościowych”, a więc Andrzej Strug, Bronisław Ziemięcki, Norbert Barlicki i Tadeusz Tomaszewski z PPS, Stanisław Thugutt i Juliusz Poniatowski z lewicowego stronnictwa ludowego „Wyzwolenie”, Maciej Rataj i Jan Dębski z „Piasta” i — ze stronnictwa radykalno-narodowego (czyli tzw. „Radków”) obok Śmiarowskiego i Paschalskiego, adwokat Mieczysław Rudziński (zwany przez przyjaciół Mieczysław Bej, ponieważ w pierwszym okresie rewolucji rosyjskiej był on jako Mieczysław Bej członkiem rządu rewolucyjnego w niepodległej przez pewien czas Republice Azerbejdżanu na Kaukazie). Był tam wreszcie — co zrobiło na mnie największe wrażenie — obok Mieczysława Dębskiego, zbliżonego do koła międzypartyjnego, jeden z najwybitniejszych i najbardziej szanowanych działaczy tego koła, związany z narodową demokracją — Zygmunt Chrzanowski. Zrozumiałem, że zostałem niejako adop-

towani przez zespół ludzi nieprzeciętnych i o wysokiej wartości intelektualnej i moralnej.



Zebrania „Czystej Ręki” odbywały się mniej więcej raz na miesiąc. Wszystkie dyskusje i inicjatywy zmierzały zawsze do jednego: do wyszukiwania wszystkiego, co — zamiast dzielić — mogłoby jednoczyć istniejące w Polsce ugrupowania i obozy polityczne i co mogłoby pozwolić na stworzenie jakiejś wspólnej, ogólnonarodowej płaszczyzny działania. Odbywało się to nie tylko na zebraniach ogólnych, ale i przez bezpośrednie osobiste kontakty. Był w tym specjalnie czynny Mieczysław Dębski, który stał się niejako łącznikiem między polską prawicą i lewicą. Z chwilą utworzenia rządu Świeżyńskiego w październiku 1918 r., w którym Zygmunt Chrzanowski został ministrem spraw wewnętrznych, powołał on Dębskiego na dyrektora departamentu politycznego w swym ministerstwie. Pamiętam, że w ostatnich dniach października 1918 roku Dębski zwrócił się do mnie z tym, że Chrzanowski chciałby się spotkać ze Śmigłym i że trzeba, abym pomógł mu w nawiązaniu tego kontaktu. Wiadomość tę przekazałem natychmiast komu należy. Wreszcie dnia 3-go listopada wieczorem, gdy właśnie wychodziłem z redakcji na decydujące posiedzenie Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Niepodległościowych, które miało się odbyć u Artura Śliwińskiego na ulicy Pięknej, wpadł do mnie Dębski, by mi zakomunikować, że gabinet Świeżyńskiego powziął przed godziną uchwałę, proklamującą że konieczne jest utworzenie rządu, w którym większość stanowiliby przedstawiciele warstw pracujących. Chrzanowskiemu i Dębskiemu chodziło o to, by na podstawie tej uchwały podjąć nowe rokowania z przedstawicielami lewicy.

Inicjatywa ta spaliła na panewce. Było już za późno, lewica bowiem już zdecydowała utworzenie własnego rządu pod okupacją austriacką. Stał się nim „Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej”, czyli tzw. „rząd lubelski” Daszyńskiego.

Na zebraniu u pana Artura uznali jednak wszyscy, że trzeba o tej uchwale gabinetu Świeżyńskiego zawiadomić Daszyńskiego i Moraczewskiego w Krakowie, że ktoś musi więc pojechać z tym natychmiast do Krakowa. W rozgwarze dyskusji, gdy nikt nie kwapił się z opuszczaniem Warszawy w tych przełomowych momentach, skończyło się na tym, że tym kimś zostałem właśnie ja. Tak jak stałem, prosto z zebrania pobiegłem na dworzec i przyjechałem do Krakowa pierwszym pociągiem, w którym Niemcy już nie sprawdzali żadnych przepustek granicznych.

Komisja Likwidacyjna obradowała właśnie na krakowskim ratuszu. Poszedłem tam zasięgnąwszy języka na ulicy Floriańskiej, gdzie mieściła się redakcja „Kultury Polskiej”, którą prowadziła Helena Radlińska. Na ratuszu wywołałem z posiedzenia Daszyńskiego i Moraczewskiego i zakomunikowałem im przywiezione przez siebie wiadomości. Przyjęli je z dużym sceptycyzmem, szczególnie Daszyński. Wieczorem, przed odjazdem powrotnym do Warszawy, miałem się spotkać ponownie z Daszyńskim u Michalika. Daszyński podszedł do mnie do stolika ze słowami: „wasze wiadomości były prawdziwe, ale już nimi nie są. Rząd Świeżyńskiego taką uchwałę powziął, ale już go nie ma. Regenci dali mu z miejsca dymisję i Świeżyński sam swoją dymisję kontrasygnował”.

Tak więc ta w ostatniej chwili zamierzona inicjatywa wybitnego druha z „444” nie dała żadnego wyniku.



W gorączkowych i pełnych zamętu pierwszych tygodniach niepodległości „Czysta Ręka” dość rzadko odbywała swe zebrania. Dyskusje i kontakty odbywały się już na innych terenach. 10 lutego 1919 roku zebrał się Sejm. W dwa tygodnie po zebraniu się Sejmu, po posiedzeniu „Czystej Ręki”, na którym nie mogłem być obecny, Henryk Kołodziejwski zakomunikował mi, że obarczono mnie misją abym poinformował Naczelnika Państwa o tym, że „444” istnieje i że staje do jego dyspozycji jeśli chodziłoby o wszelkie akcje zmierzające do konsolidacji społecznej w Polsce. Dlaczego delegowano mnie — najmłodszego? Prawdopodobnie dlatego, że bezpośrednio po powrocie Komendanta z Magdeburga od rana 10 listopada aż do końca tego miesiąca byłem niejako jego referentem prasowym i pętałem się w otoczeniu czy też adiutanturze Komendanta i że Komendant znał mnie dość dobrze. Niesposób było się wymawiać. Zgłosiłem się więc o audiencję do Belwederu. Nałęcz-Korzeniowski zawiadomił mnie, że Komendant wyznaczył mi godzinę 10 wieczorem 1-go marca. Naturalnie, że byłem w Belwederze już na pół godziny wcześniej. Musiałem jednak czekać aż do pół do pierwszej w nocy. Komendant był bowiem bardzo zajęty: grał w szachy z ówczesnym nuncjuszem monsignorem Ratti, późniejszym papieżem Piusem XI-tym.

O wpół do pierwszej w nocy Wieniawa zaprowadził mnie po wąskich schodkach na pierwsze piętro do sypialni Komendanta. Wieniawa zameldował, że zapewniłem go, iż nie zajmę Komendantowi dłużej niż 5 minut. „Jak będzie chciał dłużej

gadać, to niech Komendant do niego strzela” — dodał zartobliwie Wieniawa. Komendant roześmiał się: „No to daj mi rewolwer”. Wieniawa wyjął z szuflady stolika brauning, położył go na stoliku, roześmiał się i wyszedł.

Komendant chodził po pokoju. Zameldowałem mu to, co mi zlecono. Komendant pomyślał chwilę, potem zaczął mnie rozpytywać co „444” zrobiło i kto należy do tego grona. Odpowiedziałem wyczerpująco, lecz zwięźle, bo miałem przecież tylko 5 minut. Komendant chwilę pomilczał i odpowiedział: „Zastanowię się nad tym i dam im odpowiedź. Komu mam ją zakomunikować? Wam?”. Odpowiedziałem, że może lepiej, aby Komendant porozmawiał raczej z Kołodziejskim albo Strugiem, bo przecież oni w tym gronie znaczą przecież więcej niż ja.

Na tym rozmowa na ten temat się skończyła. Chciałem odejść, jak to przyrzekłem Wieniawie, lecz to Komendant zatrzymał mnie ku wielkiemu niezadowoleniu Wieniawy, który czekał w adiutanturze na dole. Wyszedłem z sypialni Komendanta dopiero po pół godzinie. Ale tę drugą część rozmowy opowiem przy innej okazji.



Czy Komendant skontaktował się potem z kierownikami „444”? Przyznam się, że nie wiedziałem. Moje kontakty z tym zespołem osłabły dość szybko*). „Gazeta Nowa”, która od 1 stycznia przemianowana była na „Gazetę Polską”, upadła. Wyjechałem do Poznania. Potem przyszedł rok 1920 i służba żołnierska na froncie w 64 pułku grudziądzkim pod dowództwem ówczesnego kapitana Bociańskiego. Znowu Poznań i kierownictwo „Przeglądu Porannego”, pierwszego dziennika lewicowego w stolicy Wielkopolski i wreszcie, w roku 1923 — Kraków.

Tam w roku 1923, w Krakowie, musiałem sobie przypomnieć tajemniczą cyfrę „444” i tam przekonałem się osta-

*) Czasopismo „Niepodległość” (tom siódmy po wznowieniu. Londyn-Newy Jork 1962) ogłosiło listy Józefa Piłsudskiego z lat 1919-1922 w opracowaniu Kazimierza Świtalskiego. List z dn. 26 kwietnia 1920 r. zawiera wzmiankę o „Czystej Ręce”. Świtalski w odsyłaczu pisze: „Zdaje się, że Piłsudski ma tu na myśli trochę luźny konspiracyjny zespół, który zbierał się od czasu do czasu u bibliotekarza Biblioteki Publicznej (na ul. Koszykowej) Czerwijowskiego. Należeli oprócz niego do tego zespołu Maciej Rataj, Kołodziejski i inni. Byłem zapraszany na zebrania tego zespołu”.

Z tych komentarzy K. Świtalskiego pisanych w czterdzieści lat po wydarzeniach wnoszę, że to jego Komendant wyznaczył po dn. 1 marca 1919 r. do kontaktów z „Czystą Ręką” (T.S.).

tecnie, że była to organizacja przygotowawcza, czyli tak zwane „podkółko” masonerii. Bo oto jesienią 1922 roku zadzwonił do mnie w redakcji krakowskiego „PAT’a”, gdzie wtedy pracowałem, telefon. Dzwonił Andrzej Strug. Był w Krakowie przejazdem i chciał się ze mną zobaczyć. Naturalnie że pobiegłem na to spotkanie z radością. Strug, po wstępnej przyjacielskiej rozmowie, oświadczył mi, że chce mi zrobić propozycję: abym przystąpił do masonerii. On wraca właśnie ze Szwajcarii, gdzie jako przedstawiciel wskrzeszonego i zreorganizowanego wolnomularstwa polskiego brał udział w zjeździe międzynarodowym, który przyjął do swego łona polską Wielką Lożę Narodową. Jest to wolnomularstwo tak zwanego „pradawnego i uznanego obrządku szkockiego”. Ma ono charakter zdecydowanie chrześcijański. Na terenie loży spotkam wielu dawnych znajomych czy przyjaciół z zespołu „444”.

Propozycja Struga zaskoczyła mnie i zakłopotana. Znałem co prawda piękne tradycje historyczne wolnomularstwa polskiego. Jego rolę w konstytucji 3-go Maja. Nazwiska wielkich mistrzów Ignacego i Stanisława Potockich. Miałem po dziadku moim, Walentym Wilkoszewskim, pewne druki i papiery „Wielkiej Loży Narodowej pod wezwaniem św. Jana”, które między innymi w spisie członków za rok 1914 podawały wśród „członków przeszłych do światłości wiecznej”: „księcia Józefa Poniatowskiego, naczelnego wodza wojsk polskich, marszałka państwa francuskiego”. Ale z czasów wojny 1914-1918 roku wśród mych przyjaciół politycznych panowało przekonanie, że masoneria zwalczała namiętnie Komendanta. Politycy, którzy uchodzili za masonów, jak Sikorski, Stanisław Downarowicz, Michał Łempicki, koła Departamentu Wojskowego i Ligi Państwowości nie były mi zbyt sympatyczne. Nie zdecydowałem się więc od razu i prosiłem Struga, aby dał mi czas do namysłu, bo sprawy tej nie traktuję lekko.

Nie zdecydowałem się i „bratem” nie zostałem. W kilka lat później, w Berlinie, miałem zresztą w związku z tym dość zabawny incydent. Przyjechał do Berlina na specjalne studia lekarskie młody, ale znany już kardiolog warszawski, dr Józef Hochsinger. Odwiedził mnie w redakcji berlińskiej „PAT’a”, przyniósł mi pozdrowienia od Struga, prosił o ułatwienie pewnych spraw i — zaczął prowadzić rozmowę jakby to była rozmowa między „braćmi” wtajemniczonymi. Zakłopotany przerwałem mu przestrzegając, że „bratem” nie jestem. W doktora jakby piorun trzasł. Złamał bowiem jedno z naczelnych przykazań masońskich. „Ale przecież Strug powiedział mi, że mogę

z wami mówić jak z „bratem”! — zawołał. „Może tak jak z „bratem”, ale tym niemniej nie z „bratem”.

Biedny doktorok był niepocieszony.



W latach 1925-1929, gdy mieszkałem w Berlinie, przyjeżdżałem raz — dwa razy do roku do Warszawy. W Warszawie zatrzymywałem się zawsze u mego brata ciotecznego, adwokata Franciszka Paschalskiego; sypiałem na kanapie w jego gabinecie, gdzie stała szafa biblioteczna z książkami. Któregoś wieczoru, przed położeniem się spać chciałem jeszcze coś poczytać. Otworzyłem szafkę biblioteczną, wyciągnąłem jedną z książek i — zza książek wysunęła się jakaś wstążka. Pociągnąłem ją i wydobyłem na jaw ukryty za książkami fartuszek wolnomularski, opatrzony masońskimi emblematami.

Nie było żadnych wątpliwości. Franek, który w swoim czasie uczestniczył w zebraniach w Bibliotece Publicznej, był oczywiście „bratem”.

W kilka dni później, gdy przyszedłem na kolację do domu, drzwi do gabinetu Franka były zamknięte. Odbywało się jakieś zebranie. Siedzieliśmy z Hanią, pierwszą żoną Franka i jego synem Rysiem, przy stole w pokoju stołowym. Drzwi do przedpokoju były otwarte i widać było dalej drzwi od gabinetu. W pewnej chwili te drzwi się otwarły dość szeroko, bo paru uczestników zebrania wychodziło. Zobaczyłem w gabinecie stojących naprzeciwko drzwi kilka dobrze mi znanych postaci: Henryka Kołodziejskiego, Eugeniusza Śmiarowskiego i — co było dla mnie niespodzianką — Edwarda Wittiga i Juliusza Osterwę.

Pomyślałem, że lepiej nie pytać Franka co to za zebranie.

Tadeusz ŚWIĘCICKI



Paryż, 14 maja 1963 r.

Drogi Redaktorze!

W trzecim „Zeszytcie Historycznym” p. Tadeusz Katelbach wymienia Andrzeja Struga jako wielkiego mistrza Łoży „Wschodniej”, czyli zwią-

zanej z francuskim Wielkim Wschodem (*Grand Orient*). Jest to oczywiście informacja mylna. Andrzej Strug, może tak samo jak Żeromski, związany był z obrządkiem tak zwanym symbolicznym Wielkiego Wschodu przed pierwszą wojną światową, w czasie swego pobytu w Paryżu, ale po wskrzeszeniu wolnomularstwa polskiego w Polsce niepodległej był czołowym przedstawicielem obrządku szkockiego związanego z francuską *Grande Loge de France*. Wiem to na pewno, bo sam Strug mi to powiedział w roku 1922, gdy proponował mi wstąpienie do wolnomularstwa. Od chwili zorganizowania „Najwyższej Rady Polski „Obrządku Szkockiego, Andrzej Strug był przez szereg lat Wielkim Komandorem tej Rady. Szwagier Andrzeja Struga, pułkownik January Grzędziński opublikował w zeszłym roku w Warszawskim „Świecie” (nr 35.580 z dn. 2.9. 1962) fotografię grupową ze zjazdu Wielkich Komandorów Obrządku Szkockiego w Paryżu w roku 1929. Widać na niej Andrzeja Struga w insygniach Wielkiego Komandora.

Mniej więcej od roku stało się rzeczą znaną powszechnie, że w Paryżu istnieje Polska Loża Macierzysta Obrządku Szkockiego „Kopernik”, której udzieliła gościnnej opieki Wielka Loża Francji. Adres tej *Grande Loge de France* i numer telefonu znaleźć można w każdej książce telefonicznej. Gdy starałem się sprawdzać pewne posiadane już poprzednio informacje o wolnomularstwie polskim w okresie XX-tego wieka, przekonałem się, że rzeczywistość dość dużo prawdy jest w tym, co napisał dr Emil Kipa, że na Zachodzie „w Masonerii tajne są tylko obrzędy, rytuał — ale poza tym wszystko jest jawne, od jej istnienia poczynając”.

Opierając się zatem na sprawdzonych informacjach, mogę stwierdzić następujące dane: — „Wielka Loża Narodowa Polski”, odtworzona w roku 1920, została uznana patentem Wielkiej Loży Włoskiej Obrządku Szkockiego z daty I.X.1921, a przyjęta przez Kongres Federacji Rad Najwyższych w Lozannie, w dniu 7.X.1922. Jednym z kolejnych wielkich mistrzów Wielkiej Loży Narodowej Polski był Henryk Kołodziejcki, innym — Stanisław Stempowski, i — ostatnim przed wojną znany lekarz psychiatra dr Łuniewski.

Wielu działaczy, tak zwanych postępowych, należało w Polsce do masonerii. Najbardziej znane może były nazwiska dr. Rafała Radziwiłłowicza, historyka Józefa Grabca, mecenasa a potem ambasadora Stanisława Patka i Stanisława Thugutta. Z mniej często wymienianych nazwisk mogłem stwierdzić, że wolnomularzami Obrządku Szkockiego byli m.in. prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Mieczysław Michałowicz, parokrotny premier prof. Kazimierz Bartel, minister pracy w rządzie Kucharzewskiego Stanisław Staniszewski i poseł na sejm dr Tadeusz Dyboski.

Dr Emil Kipa opracowywał przed śmiercią „Rzut oka na dzieje masonerii”. Tekst nieukończony tej pracy wydrukowany został w roku 1959 we Wrocławiu, w pośmiertnych „Studiach i szkicach historycznych” tego badacza, który sam stwierdza o sobie, że „z Lożą zetknąłem się osobiście dopiero w roku 1924”. Podaje on niewiele nazwisk, dla każdego interesującego się masonerią musi być rzeczą ciekawą, że okrzyczany jako mason Szymon Askenazy według dr. Emila Kipy bynajmniej do masonerii nie należał. Natomiast dr Kipa pisze w swej rozprawie:

„W latach 1890 i następnych, spotykamy Polaków w Lożach szwajcarskich i francuskich. Do masonerii należał twórca teorii o egoizmie narodowym i filar narodowej demokracji, Zygmunt Balicki, który w „Pobudce” paryskiej ogłosił nawet płomienny hymn, wypowiadający walkę Bogu. W każdym razie ściśle lożową organizacją była ekspozytura Narodowej Demokracji, organizacja „Zetu”, którego zarówno statut jak i organizacja trzystopniowa były kopią masonerii. Nie ulega dla mnie wątpliwości (pisze

dr Emil Kipa) że założyciel Stronnictwa Narodowo-demokratycznego, Roman Dmowski rozpoczął swą karierę w masonerii...

Świat się kończy! Nie był masonem Askenazy, natomiast miał za sobą przeszłość masonską Dmowski, a nad źródłem ideologii narodowo-demokratycznej wznosiły się kolumny świątyni masonskiej: Jachin i Bocz!

Do jakich to nieoczekiwanych nawarstwień dokopują się historycy!

Mając nadzieję, że te kilka informacji i cytaty zainteresuje Pana czytelników, przesyłam je Panu wraz z wyrazami szacunku i serdecznym uściskiem dłoni.

Tadeusz SWIĘCICKI



Szanowny Panie Redaktorze!

W trzecim z bardzo interesujących „Zeszytów Historycznych” jest artykuł p. Tadeusza Katelbacha pod tytułem „Łoże”. Treścią jest historia „najnowsza” (to jest za okres dwudziestolecia niepodległości) wznowionego mularstwa polskiego, dwu jakoby obrządków: „szkockiego” i francuskiego Grand Orient. Co w tym co pisze on jest prawdą, co pogłoską lub domysłem, niech powiedzą lepiej poinformowani ode mnie zupełnego profana. Jako historyk mógłbym tylko zwrócić uwagę na potrzebę konfrontacji tego artykułu z artykułami Grzędzińskiego w „Świecie”, ważnymi o tyle że jego informacje pochodzą po części od Andrzeja Struga, oraz na zasadniczą sprzeczność między tym, co pisze p. Katelbach o stosunku Piłsudskiego do masonerii, a tym, co pisał o nim w obu tomach swych wspomnień Sokolnicki. Co do rzekomej zależności Sikorskiego od Wielkiego Wschodu Francji (pośredniej czy bezpośredniej) mogę tylko wskazać na fakt, że czynił on w roku 1925 w Paryżu największe wysiłki, by zrewoltować w porę opinię francuską przeciw lokarneńskiej polityce Brianda, za którą były wszystkie bodaj masonerie świata. To odbiło się pono na stosunku do niego także i wolnomularstwa polskiego, które dotąd nie było mu wrogiem.

Pragnę natomiast sprostować jeden szczegół: p. Katelbach pisze (str. 204), że Sikorski „walcząc z Piłsudskim nie mógł na gruncie rodzinnym szukać kontaktów w środowisku wolnomularzy”; zatem „orientując się że Wielka Narodowa Łoża Polski, ma silne oparcie w wojsku... zaczął organizować własną konspirację oficerską. Nazywała się „Strażnica” i uchodziła za teren wpływów masonerii francuskiej nie „szkockiego”, lecz „wschodniego” obrządku”.

Tu już wkracza Autor w rzeczy, o których coś wiem, będąc — obok Sikorskiego — współtwórcą tej organizacji; a zacząć muszę od poinformowania go, że nazwą jej było Związek „Honor i Ojczyzna”, że strażnicami nazywały się koła organizacyjne (jak łoże w wolnomularstwie, wenty u węglarzy, gminy w Towarzystwie Patriotycznym etc.). Powstała zaś późną jesienią 1921, kiedy stosunki między Sikorskim (szefem Sztabu Generalnego) a Piłsudskim (Naczelnikiem Państwa i Wodzą Naczelnego) były jak najlepsze, o żadnej walce nie było mowy, a projekt jej uzyskał zgodę zarówno Naczelnego Wodza jak Ministra, gen. Sosnkowskiego. Do najwyższego ciała, Strażnicy Rzeczypospolitej „Chrobry”, należeli z najwybitniejszych piłsudczyków gen. Rydz-Śmigły, płk. Adam Koc, płk Roman Górecki, płk Jakub Krzemieński, płk Dąbrowa-Młodzianowski i inni, których trudno mi wyliczyć bez możliwych omyłek, gdyż pamięć zawodzi.

Organizacja ta od żadnej masonerii nie była zależną. Na pierwszym bodaj zebraniu założycieli, którzy utworzyli strażnicę „Chrobry” i wyłonili

Kapitułę, bracia związkowi: Koc, Górecki, a może i Józef Dąbrowski, wysunęli wniosek by włączyć się do odradzającego się wolnomularstwa polskiego. Ogromna większość była przeciw temu, nie dlatego że szkockie i że tam pilsudczycy, tylko dlatego, że organizacja nasza miała łączyć wojskowych polskich różnych poglądów, różnych przekonań, różnej wiary ideowej i religijnej (mieliśmy i księży i wolnomularzy w naszym gronie, i narodowców i socjalistów), na jednym gruncie: pogłębionej i wysublimowanej świadomości swego powołania żołnierskiego, ogromu odpowiedzialności korpusu oficerskiego za przyszłość Rzeczypospolitej, wielkości zadań. Przedziały „proweniencyjne”, tradycje formacyjne czy armii trzech cesarzy miały się stopić w jedną tradycję: przebytych wspólnie walk, opromienionych zwycięstwa, a ponad wszystkim przywiązaniami stanąć miał honor służby Polsce, wierność do upadłego przywróconemu państwu i jego prawom. Taka to była „konspiracja” i taki „Grand Orient”.

Nie idę już dalej w gąszcz „masońskich” dochodzeń p. Katelbacha. Obawiam się że równie jak te o „Strażnicy” błędzą w maticzniku plotek.

Z wyrazami prawdziwego szacunku.

Marian KUKIEL

W SPRAWIE APOLOGETYKI A. LEDNICKIEGO

Rozprawy profesorów Z. Nagórskiego i W. Lednickiego poświęcone Aleksandrowi Lednickiemu w 1-ym numerze „Zeszytów Historycznych” z roku ubiegłego, a wywołane uwagami Zygmunta Wasilewskiego w jego autobiografii (londyńska „Myśl Polska”, 1959) wymagają sprostowania w wielu punktach. Czynię to na razie w formie skróconej bez powoływania się na dowody, ponieważ pełny tekst mojej udokumentowanej odpowiedzi okazał się dla redaktora „Zeszytów” za obszerny. Odkładając zatem ogłoszenie pełniejszej repliki do innego czasu i miejsca, zajmę się przede wszystkim odparciem ataków osobistych na Zygmunta Wasilewskiego. Wiem wprawdzie, że imię to, dostatecznie dobrze znane oświeconym Polakom, obroniłoby się samo, jednakże jako syn mam obowiązek dać świadectwo prawdzie.

Postaram się zrobić to ze spokojem, choć nie będzie to łatwe wobec tak niezwykle ciężkiej prowokacji, jak ta z którą występuje p. Nagórski, osiągając w niej szczyt braku kultury, szczyt grubiaństwa i lekceważenia prawdy.

Przypisuje on m.in. Wasilewskiemu „stworzenie złośliwej bajki o krzątaniu się Lednickiego w Sztokholmie około odrębnego pokoju pomiędzy Rosją a Niemcami”, a o Tereszczence, ministrze rosyjskim, który tę poszlakę na piśmie wysunął przeciw swojemu koledze, ministrowi A. Lednickiemu — nie wspomina ani słowem; wmawia czytelnikowi, że Wasilewski był „doskonale świadom swej nierzetelnej akcji”, a o wyroku sądowym pierwszej instancji, który uznał — właśnie na odwrót — że Wasilewski miał dostateczne podstawy do uważania zarzutu zdrady za prawdziwy — wyraża się z lekceważeniem. Nagórski kładzie nacisk na to, że w dalszej akcji sądowej Wasilewski proces przegrał. Przegrał — i nikt temu nie przeczy.

Mówię: „nikt nie przeczy” specjalnie pod adresem p. W. Lednickiego, który w swojej rozprawie oświadcza, że „p. Wasilewski

powiada, że to on, a nie Lednicki proces ten wygrał". Oświadczenie zdumiewające, bo tego Wasilewski wcale nie powiedział. W tekście Wasilewskiego, wydrukowanym w „Myśli Polskiej” czytamy: „...Sąd Okręgowy uniewinnił mnie”, dalej o kilkanaście wierszy: „...w Sądzie Apelacyjnym... wyrok potępił mnie”, a jeszcze dalej: „Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok Sądu Apelacyjnego”. Trudno o ściślejsze zreferowanie stanu faktycznego, niż to zrobił Wasilewski. Przekonamy się dalej, że błędne cytowanie nie jest czymś wyjątkowym u pana profesora Lednickiego, lecz bodaj regułą, przynajmniej w jego polemice z Wasilewskim.

Wasilewski w wyższych instancjach proces przegrał, ale i te instancje bynajmniej nie orzekły, że Wasilewski działał będąc „doskonale świadom swej nierzetelnej akcji”, lecz stanęły na stanowisku:

1) Sąd Apelacyjny, że Wasilewski jest winny zniewagi (a nie zniesławienia), bo nie można było stawiać zarzutu zdrady stanu, skoro podczas wojny Polska jako państwo jeszcze nie istniała;

2) Sąd Najwyższy, że Wasilewski jest winny zniewagi, ponieważ różnica poglądów między nim a Lednickim nie upoważniała do obrażania przeciwnika.

Taka jest prawda — zaiste daleka od wymysłów p. Nagórskiego i znacznie redukująca triumf sądowy Aleksandra Lednickiego.

Chybia p. Nagórski, gdy mówi, że Wasilewski „starał się tak prowadzić proces, by zmusić Lednickiego do obrony przed fantastycznymi zarzutami i przez to osłabić siłę oskarżenia o pospolite oszczerstwo, za które stanął przed sądem”. Chybia, bo role głównych figur procesu z samej jego natury były odwrócone od początku i takimi pozostały do końca. Tego też zdania był kolega p. Nagórskiego, mec. Śmiarowski, który na rozprawie oświadczył: „Aczkolwiek Wasilewski zasiada na ławie oskarżonych i jeżeli kto może być w tej sprawie ukarany to tylko p. Wasilewski, to jednak istota rzeczy, poza formalnym podziałem na oskarżonych i obronę, jest taka, że właściwie p. A. Lednicki jest oskarżonym, a oskarżycielem jest p. Wasilewski. To jest logiką procesu i przeciwko temu nic się nie da zarzucić”.

To nie Wasilewski stał pod pręgierzem w roku 1924 w Warszawie i na to nie poradzą protesty ani apologetyki.

Powiada p. W. Lednicki, że bankiet urządzony w warszawskim Bristolu po wyroku pierwszej instancji przez zwolenników A. Lednickiego nie był manifestacją protestu przeciw wyrokowi, jak to zebranie określił Wasilewski, lecz manifestacją na cześć A. Lednickiego. Zarzuca przy tym Wasilewskiemu kłamstwo. Otóż prezes „Wyzwolenia”, poseł Thugutt, powiedział w swej mowie bankietowej m.in.: „Wyroki (naszych sądów) niestety nie są bezwzględnie sprawiedliwe, wpływa na nie zacietrizwienie partyjne, brak odwagi cywilnej. W tym wypadku obawa przed

terrorem złej opinii jako wynik ostateczny miała krzywdę obywatela, którego gościmy". Nie, nie kłamał Wasilewski. Po prostu dopuszczono się w Sali Malinowej znieważenia Sądu Rzeczypospolitej, próbując podważyć zaufanie do sądownictwa polskiego w ogóle. Jeśli to miał być hołd, to doprawdy szczególnego rodzaju.

Wasilewski określił ten rodzaj jako wystąpienie „rozzuchwalonej i zdemaskowanej masonerii”, która według niego bankiet organizowała. Według p. Lednickiego znów: „co słowo — to nieprawda”; „insynuacja na temat masonerii — dodaje on — jest chwytem typowym, obliczonym na efekt w ciemnych masach” i dalej stwierdza kategorycznie, że A. Lednicki masonem nie był. P. Nagórski również drwi ze „zбочzenia umysłowego” Wasilewskiego na punkcie masonów, których „widział wszędzie”.

Ferwor, z jakim obaj panowie apologetycy występują w negacji wszelkich związków A. Lednickiego z masonerią, jest zrozumiałą, choć i dziwną wobec tak wielu wskazówek związek ten potwierdzających, dość wspomnieć o charakterystycznych cechach ideologii Al. Lednickiego, o środowisku, w którym się obracał itd. Mówię o wskazówkach, boć o dowody, gdy się ma do czynienia z organizacją tajną — nie łatwo. Ale i takie się zdarzają, choćby przypomnieć identyfikację nazwisk masonów, ujawnioną przez korespondentów „Wiadomości” londyńskich w latach 1961/1962, numery: 813, 820, 836, 838/839, 853.

Otóż w oparciu o tę jedynie identyfikację naliczyłem wśród uczestników bankietu dwunastu masonów, wśród nich naturalnie wspomnianego posła Thugutta. Liczbę tę, sądząc po nazwiskach wielu innych biesiadników, nazwiskach o ustalonej aurze masonowskiej, można by zapewne co najmniej podwoić. Fakt ten wystarczająco uzasadnia twierdzenia Wasilewskiego. Udział w manifestacji kilku purpuratów kościoła, na co powołuje się p. Lednicki, zaznaczając z uciechą, że „nie będzie ich bronić” przed insynuacjami Wasilewskiego, wcale twierdzenia nie podważa, lecz ukazuje jedynie typowy sposób masonowskiej mimikry.



Podobnie „prawdziwie” jak z Wasilewskim obszedł się p. Nagórski z tłem historycznym i problematyką polityczną swego tematu. Aż dziw, że redakcja „Zeszytów” uprzywilejowała p. Nagórskiego z krzywdą dla artykułu p. Lednickiego, który — jak przyznaje — skróciła. Praca tego ostatniego, acz ostra w języku i mało obiektywna, rzuca wiele nowego światła i nie może nie budzić sympatii przez zrozumiałą pasję, z jaką została napisana.

P. Nagórski pod żadnym względem nie wywiązał się z zadania. Dość powiedzieć, że jako biograf np. potrafił załatwić się z dziesięcioleciem 1905-1914, w pięciu wierszach!

Jako „historyk” popisał się równie niedołąźnie. Sprawę różnic orientacyjnych między Polakami w dobie pierwszej wojny skarykатуrował, napłócił wiele o sprawach trzeciorzędnych, a nie powiedziałszy ani słowa o jej istocie: czy dążyć do odbudowy państwa na zasadzie zjednoczenia wszystkich ziem polskich, czy też zadowolić się niepodległością na części obszaru polskiego, rezygnując za jej cenę z zaboru pruskiego, a w konsekwencji czy stanąć po stronie koalicji antyniemieckiej, czy po stronie państw niemieckich. Według krętych wywodów p. Nagórskiego — Al. Lednicki stał zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Lednicki odmawiał wprawdzie Komitetowi Narodowemu miana reprezentacji narodowej, za którą mógłby uznać jedynie przedstawicielstwo uwierzytelnione przez warszawską Radę Stanu; zwalczał wprawdzie tworzenie wojska polskiego w Rosji przeciw Niemcom; objął wprawdzie funkcje przedstawiciela Rady Regencyjnej w Rosji po przewrocie bolszewickim — ale wszystko to, według Nagórskiego, bynajmniej nie dowodzi, aby Lednicki działał na rzecz niemieckiej koncepcji rozwiązania sprawy polskiej. P. Nagórski upiera się, że Lednicki był szczerym ententofilem.

Do grona świadczących na tę okoliczność p. Nagórski stara się powołać nawet... Paderewskiego. Paderewskiego, który oceniał działalność A. Lednickiego w istocie tak: „Przed miesiącem — pisze Paderewski do prezesa Komitetu Narodowego w liście z dnia 2 listopada 1917 — zapewniono mnie stanowczo, że Komitet nasz niebawem zostanie uznany. Jeżeli to dotychczas nie nastąpiło, to tylko dzięki Rosji, a właściwie dzięki Lednickiemu. Gorliwy ten trój-łojalista pracuje przeciw Polsce wolnej zawzięcie i jak dotychczas dość skutecznie”.

Sprawę tworzenia wojska polskiego w Rosji przedstawił p. Nagórski z punktu widzenia małego kauzypierdy (podobnie zresztą jak i na procesie w r. 1924) w stylu: „...Żaden przytomny wojskowy Polak nie wpadł na myśl, że oto Polacy powinni front rosyjski ratować przez utworzenie armii narodowej...” itd. Odsyłam p. Nagórskiego w tej materii do generała Kukiela, niechże go po bratersku pouczy, że byli tacy przytomni Polacy, a pierwszy wśród nich — Piłsudski.

Odłożyć jednak muszę dalszy pościg za p. Nagórskim. Jeszcze tylko słowo w sprawie jego końcowej paraleli Lednicki-Narutowicz: brzydzą się umysłowością, której intencja tej paraleli była potrzebna.



Osią pracy prof. W. Lednickiego jest wyniesienie postaci i dzieła A. Lednickiego na tak wysoki piedestał, aby wszelkie przeciw niemu zarzuty upadły same przez się, a „proces Lednickiego” okazał się jednym z aktów martyrologii człowieka i Polaka

wielkiego formatu. Prof. Lednicki wywodzi, że skoro manifest Tymczasowego rządu rosyjskiego stał się jedną z podwalin prawnych dla ustanowienia niepodległego państwa polskiego, to tym samym twórcą manifestu powinien być zaliczony do zastępu budowniczych państwa polskiego i jako taki znaleźć odpowiednie miejsce w historii swego narodu.

To prawda, że Traktaty Wersalskie powołują się na manifest, ale prawda także, że Traktaty doszły do skutku właśnie wbrew usilnej działalności Lednickiego, który robił wszystko co mógł aby sparaliżować pracę negocjatorów, tj. Komitetu Narodowego. Wniosek stąd, że jeśli już Lednickiego uznać za budowniczego Polski, to najwyżej za budowniczego mimo woli. Nie jest to podwyższenie, o które prof. Lednickiemu chodzi.



Polskość Lednickiego. Prof. W. L. uzasadnia ją, trafnie wyuczując tę potrzebę, na trzynastu stronach (blisko połowa całej rozprawy). Wątpliwości Wasilewskiego nie były widać tak bezsensowne.

Wasilewski nie napisał, jak twierdzi p. W.L., że Lednicki „występował w procesie Bejlisa”; napisał: „obrońca Bejlisa” — a to różnica. A dlaczego tak napisał (na podstawie wywiadu z Lednickim, zamieszczonego w dzienniku „Rannieje Utro”, Moskwa nr 250 z dnia 0 października 1913) — lepiej przemilczę.

Wasilewski nie nazwał, jak twierdzi p. W.L., A. Lednickiego „ministrem do spraw rosyjskich”, lecz „ministrem rosyjskim do spraw polskich”, a to przecież odpowiadało istocie rzeczy.

Wasilewski nie napisał, jak twierdzi p. W.L., że „Komisja Likwidacyjna powstała po to, aby Rosja sprawy polskiej ze swej ręki nie wypuszczała i zawarłszy pokój osobny ze zwycięskimi Niemcami podzieliła się z nimi wpływami na dalsze losy Polski”. Wasilewski napisał: „Komitet Demokratyczny i socjaliści odrzucili ten projekt (Mariana Lutosławskiego oparcia przedstawicielstwa polskiego w Rosji o szerszą podstawę demokratyczną za pomocą rozpisania wyborów), bali się bowiem przegranej. Dla nich jedyną formą przedstawicielstwa mogła być Komisja Likwidacyjna Lednickiego, będąca instytucją państwową rosyjską. Pokazało się potem z procesu Lednickiego w Warszawie, że był w tym plan, aby Rosja nie wypuszczała sprawy polskiej ze swej ręki i żeby, zawarłszy pokój osobny ze zwycięskimi Niemcami, podzieliła się z nimi wpływami na dalsze losy Polski”. Więc nie to powiedział Wasilewski, co pan profesor wkłada mu w usta za pomocą dowolnie przykrajanej przez siebie cytaty.

Wasilewski nie napisał, jak twierdzi p. W.L., „komisarz bolszewicki do spraw polskich”, lecz „komisarz do spraw polskich przy bolszewikach”, tj. „za czasów bolszewickich”. To różnica. Oczywiście, jeśli chodzi o protokół, powinno tu być

„przedstawiciel Rady Regencyjnej w Rosji”. Ale licencją komi-sarską posłużył się Wasilewski, co jasno wynika z kontekstu, nie dla uchybienia działalności ratowniczej Lednickiego, którą się nie zajmował, lecz dla podkreślenia jego metamorfoz poli-tycznych, które wytykał.

Na tym moją odpowiedź na razie urywam.

Tadeusz WASILEWSKI

NA MARGINESIE „HISTORII” GEN. KUKIELA

Jestem pod wrażeniem „Dziejów Polski Porozbiorowych” prof. Mariana Kukieła. Czyta się je jednym tchem, przeżywając te wielkie wydarzenia historyczne. Za chwile te jesteście Autorowi serdecznie wdzięczni.

Ale w miarę, gdy czytając, zbliżamy się do lat, w których już i my działaliśmy, spostrzegamy te olbrzymie trudności, z jakimi Autor musiał walczyć wobec braku źródeł, z których jedno zostało przez wojnę zniszczone, a inne — w ogóle nie istniały, bo nie wszyscy z nas swoje przeżycia opisali.

Do tej drugiej kategorii ja należę.

Ponadto — jak pisze Autor w przedmowie, „książka ta jest podręcznikiem” i jest wydana przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie. To jeszcze bardziej podkreśla obowiązek świadków i uczestników tych wydarzeń.

Będą to więc przyczynki i uzupełnienia lub inne oświetlenia pewnych zjawisk.

Od tego też muszę rozpocząć.

Jako wiekiem młodszy od Autora (około 10 lat różnicy) łatwiej mi jest opowiedzieć niektóre zdarzenia tak, jak one się przedstawiały wówczas moim rówieśnikom, tj. właśnie tym rocznikom, które liczbowo przeważały później w armiach walczących w pierwszej wojnie światowej, a w szczególności w Legionach.

Następstwa tej różnicy wieku występują szczególnie wyraźnie w latach, poprzedzających wojnę 1914 roku.

Na pierwszy plan wysuwa się sprawa zasadnicza: postawa idea naszego ruchu niepodległościowego.

Muszę więc zacytować ze str. 494:

„Wielkie swe zadanie stworzenia na razie w konspiracji zawiązku tej siły (wojskowej), podjął (Józef Piłsudski) zupełnie niezależnie od zadania, powierzonego w r. 1908 (przez cesarza Austro-Węgier) Bobrzyńskiemu.

Równoległe, w różnych dziedzinach było to działanie wielkiego rewolucjonisty „— i twardego przedstawiciela swoistej polsko-austriackiej racji stanu,...

O tym zadaniu powierzonym Bobrzyńskiemu w r. 1908 prof. Kukiel pisze na str. 490:

„Jedynym w tym czasie mężem stanu w Europie — poza Polakami — który myślał poważnie o odbudowie państwa polskiego w razie wojny i czynnym w niej udziale Polaków, był 80-letni Franciszek Józef I. Od pojednania się w 1866 z Polakami było to dlań oczywiste, a zarazem było to jego tajemnicą, jakby nowym „secret du Roi”, nie zawsze zwierzanym ministrom, ani wiadomym Polakom”. A na str. 491: „Powiernikiem nowym „sekretu” został w r. 1908 namiestnik Bobrzyński, gdy miał Galicję „przygotować do wojny” z polecenia cesarza”.

Jeżeli książka ta ma być podręcznikiem, to każdy wychowawca — a przecież historia jest jednym z głównych przedmiotów wychowujących — musi mieć zastrzeżenia co do tych ustępów. Zestawienie niezależnego polityka i żołnierza, walczącego o niepodległość Polski z namiestnikiem cesarskim (choćby najbardziej życzliwym dla Polaków) razi wychowawcę i razić będzie czytelnika czy słuchacza uniwersytetu, jeżeli był wychowywany tak, jak nas wtedy wychowywał Józef Piłsudski w duchu niezależności polskiej myśli politycznej.

Przy sposobności recenzji książki Michała Sokolnickiego „Rok Czernasty” zabrali w tej sprawie głos prof. Kukiel i ambasador Sokolnicki.

Prof. Kukiel (*Bellona* zeszyt I i II 1961) pisze, że Bobrzyński:

„tolerował i osłaniał ruch wojskowy, choć przykro odczuwał, że jego kierownicy wolą kontakty z austriackimi sztabowcami, niż z polskim politykiem, mającym rządy kraju w rękę” (str. 75).

Na to amb. Sokolnicki (*Bellona*, III i IV 1961, str. 262) cytuje z publikacji Bobrzyńskiego, wydanych po 18 latach, opinie jego o naszej dawnej organizacji wojskowej jako o „bojówkach”, o pogotowiu powstańczym jako o „niebezpieczeństwie” „rewolucji socjalnej”, itd. W dalszym ciągu amb. Sokolnicki pisze:

„Kukiel nie może powstrzymać żalu, że dowództwo strzeleckie nie „interesowało” się dość Galicją, że „nie dostrzegło” misji Bobrzyńskiego „przygotowania do wojny”.

Nasuwa się mimo woli pytanie, czy wówczas, w 1908-1913, ob. Marian Kukiel, który był członkiem ZWC., a w r. 1906-1907 członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego PPS Frakcji Rew., a więc miał wszelkie możliwości, poczynił odpowiednie kroki, by do tej współpracy doprowadzić. Nie wspomina o tym w swojej książce, z czego należałoby wnioskować, że tego nie uczynił. Nie można się temu dziwić. W sferach bowiem tzw. poważnych byliśmy uważani — w najlepszym razie — za wariatów, z któ-

rymi mówić poważnie nie wypada. Byliśmy nadto tym niebezpieczeństwem, przed którym — w rozumieniu takich, jak Bobrzyński — obowiązkiem narodowym było chronić polskie społeczeństwo. Najlepszym przykładem jest stosunek do młodzieży, do skautingu (harcerstwa). Rada Szkolna Krajowa (najwyższa władza szkolna w Galicji) zezwoliła — naturalnie za zgodą namiestnika Bobrzyńskiego — w r. 1911 na organizowanie skautingu wyłącznie tylko „Sokołowi” (który, jak wiadomo, był pod wpływem stronnictwa narodowo-demokratycznego i — moskalofilów). Drużynowymi, instruktorami, a więc wychowawcami, mogli być jedynie tylko członkowie „Sokoła”. Naczelnik „Sokoła” z urzędu był przełożonym wszystkich oddziałów skautingu na swoim terenie. Jednym z zadań „Sokoła” w stosunku do skautingu było ochronienie młodzieży od wpływów tego „niebezpieczeństwa” tj. od zaangażowania się w akcję niepodległościową. Ale — polska młodzież jest zawsze wspaniała! I wtedy też nie zawiodła. Następstwem były rozłamy w harcerstwie (Kraków, Podgórze, Lwów, Trembowla, o których wiem. Podobno były też i w innych miejscowościach). Powstały drużyny i hufce skautingu niezależne od „Sokoła”. Następstwem były represje szkolne w stosunku do członków tych oddziałów. To też jednak nie pomogło; powstały oddziały tajne. W r. 1913 Związek Strzelecki przyjął do swoich szeregów jako odrębną organizację te niezależne oddziały skautowe i oddał je pod rozkazy specjalnie do tego zadania wyznaczonego oficera jako II zastępcy komendanta Okręgu Krakowskiego.

Po pewnym wahaniu „Sokół” zmienił swój program pracy w skautingu — podobnie, jak poprzednio już zgodził się na tworzenie Stałych Drużyn Sokolich. Ale w stosunku do sokolego skautingu zmiana nastąpiła dopiero tuż przed wybuchem wojny 1914.

Zmiany te zostały spowodowane koniecznością; w przeciwnym bowiem razie członkowie jego odeszliby do organizacji wojskowych, lub z nimi związanych.

Inicjatywę do powstania „Sokoła”, o ile sobie przypominam — dali żołnierze Powstania 1863 roku, zamieszkali we Lwowie po Powstaniu. Nazwa tego towarzystwa miała brzmieć według inicjatorów „Towarzystwo Orła Białego”. Ten tytuł jednak nie uzyskał zgody władz austriackich. Statut jego (z 1867 r.) przewidywał centralę we Lwowie „Sokół Macierz” i oddziały, zwane „gniazdami”, które ta centrala miała prawo otwierać na terenie całej Galicji, względnie w razie potrzeby rozwiązywać. Dawało to spójność organizacyjną i zapewniało wewnętrzną dyscyplinę.

Inaczej było ze Związkiem Strzeleckim względnie Strzelcem. Tu każdy oddział musiał być rejestrowany w odpowiednim starostwie oddzielnie, co nie tylko utrudniało pracę organizatorów, ale przede wszystkim przekreślało spójność organizacyjną; każdy bowiem oddział był samodzielną organizacją, nie było żadnego formalnego związku między nimi ani żadnych organizacyjnych

instancji nadrzędnych. Pierwsze takie statuty zatwierdzone zostały w 1910 r., a więc w czasie urzędowania Bobrzyńskiego jako namiestnika. Czytając słowa Bobrzyńskiego, cytowane przez prof. Kukiela na str. 499, iż „próbom wytworzenia spośród nich rządu i władzy w kraju przeszkadzał”, dochodzi się do wniosku, że ta metoda w stosunku do Związku Strzeleckiego była stosowana rozmyślnie i — celowo.

Na szczęście te formy legalne pokrywały jedynie istotną treść; ZWC bowiem pozostawał tajną organizacją i władzą kierowniczą (str. 496). Członków ZWC jednakże było zbyt mało, by można było nimi obsadzić wszystkie kierownicze funkcje w szybko rozwijającej się organizacji Związku Strzeleckiego. Tylko dzięki wysokiemu poziomowi ideowemu, dyscypliny organizacyjnej i karności wojskowej — takiej karności, jakiej mogą pozazdrościć wszystkie armie świata — możliwe było utrzymanie jednolitości organizacyjnej i kierowanie całością. Nie było wypadków nieposłuszeństwa lub niewykonywania rozkazu — z wyjątkiem jednego. Przypominam sobie, jakie wrażenie wywarł rozkaz wykluczenia z organizacji za niesubordynację jednego z komendantów obwodu, ob. Wacława (Minkiewicza). A więc i ten wypadek, a szczególnie jego załatwienie podziało na organizację dodatnio. (Rozkaz ten był podpisany przez p.o. Komendanta Głównego, ob. Józefa-Kazimierza Sosnkowskiego).

Reasumując powyższe można stwierdzić, że namiestnik Bobrzyński „przygotowywał kraj i jego administrację do wojny z Rosją” w dość niezwykły sposób: oddawał bowiem młodzież — przez skauting — pod wpływ moskalofilów, a tym, którzy postawili sobie za cel przygotowanie dorosłych do walki z Rosją uniemożliwiał normalną pracę organizacyjną i wychowawczą.

Przewidywania Józefa Piłsudskiego z 1913 r. i Jego plan działania podczas pierwszej wojny światowej

„Tydzień Polski” z dnia 9.9.1961 r. ogłosił artykuł marsz. Bogusława Miedzińskiego pt. „Rok czternasty”, w którym znajdujemy źródła z 1913 i 1914 roku, dotyczące tego niezmiernie ważnego tematu, oraz wyjątek ze wspomnień Autora artykułu.

„Tak więc zarysowały się przewidywania Piłsudskiego już w styczniu 1913 roku (wywiad w „Kurierze Litewskim”, uzupełnienie moje). Zaś w rok później, w styczniu 1914 Piłsudski doszedł w swoich rozważaniach do znacznie dalej idących precyzji i do takiej co do nich pewności, że wypowiedział je na zjeździe socjalistycznym w Paryżu, wygłaszając referat o sytuacji międzynarodowej w sali Towarzystwa Geograficznego. Mamy na to świadectwo cudzoziemca, tym ciekawsze, że nie podzielał on bynajmniej przewidywań Piłsudskiego, ani też nie godził się na powzięty na ich podstawie plan działań jego w czasie wojny, zawierony mu za pośrednictwem Witolda Jodka-Narkiewicza.

Oto co czytamy we wspomnieniach W. Czernowa, wybitnego rewolucjonisty rosyjskiego, jednego z przywódców S.R.:

„Prelegent (Piłsudski) z pełnym przekonaniem zapowiadał w bliskiej przyszłości austro-rosyjską wojnę z powodu Bałkanów. Nie miał wątpliwości co do tego, że za Austrią staną — a już i teraz w rzeczywistości stoją — Niemcy. Wyraził następnie pewność, że Francja nie będzie mogła zostać biernym obserwatorem tego konfliktu: dzień, w którym Niemcy wystąpią otwarcie po stronie Austrii, spowoduje nazajutrz dla Francji konieczność, z mocy obowiązującego ją układu, interwencji po stronie Rosji. Wreszcie — twierdzi on — Anglia nie będzie mogła pozostawić Francji na łasce losu. Jeżeli zaś połączone siły Anglii i Francji będą niedostateczne, wciągnięta będzie wcześniej czy później do wojny po ich stronie Ameryka”. — „Analizując następnie potencjał wojenny wszystkich tych mocarstw, Piłsudski postawił wyraźnie pytanie: Jaki będzie przebieg i czym zwycięstwem zakończy się wojna? Jego odpowiedź brzmiała: zwycięstwo pójdzie z zachodu na wschód. Co to znaczy? To znaczy, że Rosja będzie pobita przez Austrię i Niemcy, a te z kolei będą pobite przez siły anglo-francuskie, lub anglo-amerykańsko-francuskie. Wschodnia Europa poniesie klęskę od Europy centralnej, a centralna potem — od zachodniej”. „To wskazuje Polakom kierunek ich działań” (*Nowy Żurnal*, nr 28, r. 1952, str. 229).

W dalszym ciągu swych wspomnień pisze W. Czernow, że Piłsudski skierował do niego delegata PPS na ten zjazd, dra W. Jodko-Narkiewicza, aby — z zastrzeżeniem „absolutnej poufności” — rozwinął i szczegółowo przedstawił jego plany działania w czasie ewentualnej wojny...

Jodko powiadomił Czernowa, że w pierwszej fazie wojny Piłsudski poprowadzi stworzone przez siebie siły wojskowe po stronie Austrii, przeciwko carskiej Rosji. Że jednak trwać to będzie tylko do chwili pobicia armii rosyjskiej i obalenia caratu”.... „Na to (na zapytania Czernowa uzup. moje) odpowiedział Jodko: ...Niech Pan nie zapomina, że po rozbiću armii carskiej Europa zachodnia nie złoży broni i blok niemiecki prędzej czy później podzieli z kolei losy Rosji. Wtedy to przyjdzie czas dla uwolnienia i pruskiej i austriackiej części Polski.

Czernow: „To znaczy, że pańskie słowa o zmianie orientacji na francuską są zawsze przewidzianym i planowanym manewrem?”.

Jodko: „Święta prawda... Pierwsza faza wojny — jesteśmy z Niemcami przeciw Rosji. Druga i końcowa faza wojny — jesteśmy z Anglią i Francją przeciwko Niemcom”. (*Nowy Żurnal*, nr 28, r. 1952, str. 233).

W zakończeniu swego sprawozdania o rozmowie z Jodką, pisze Czernow, że mimo przyjaznego i kurtuazyjnego roztania, porozumienie nie nastąpiło. Nie mógł on ze swej strony dać akceptacji ani na przewidywania ani na plany Piłsudskiego”.

W drugiej części swego artykułu marsz. B. Miedziński opisuje odprawę w Otwocku w dniu 28 sierpnia 1915.

Streszczenie tej części jest prawie niemożliwe: każde słowo Komendanta ma doniosłe znaczenie. Konieczne jest przeczytanie go w oryginale. Tutaj zacytuję jedynie końcowe wypowiedzi Komendanta:

„...Na żadne ofiarowywanie polskiego żołnierza za darmo — ja godzić się nie mogę... Zdaniem moim, Rosja jest już na drodze do nieodwołalnej klęski; następny etap, którego oczekuję, to rewolucja i upadek caratu. To tylko kwestia czasu... W sprawie legionowej będę musiał, może i niedługo, pójść na drastyczne rzeczy... Macie mi więc rozbudować, a nie likwidować POW..., a poza tym musicie mi pomóc w wytworzeniu

poważnego oparcia politycznego w Warszawie, które mi jest niezbędne jako przeciwwaga w stosunku do Wiednia i krakowskiego NKN-u”.

A teraz kilka szczegółów z moich własnych wspomnień:

Na wiosnę 1914 r. w jednym z wykładów w wyższej szkole oficerskiej Komendant mówił o swojej ocenie sytuacji, swych przewidywaniach i planach. Treść była ta sama, jak podana powyżej.

W 1915 r. spotkałem się z akcją, aranżowaną przez przeciwników Komendanta, w której przewidywania i plan ten był ironizowany; nazywano go „orientacją trójfrontową”.

Na wiosnę 1916 r. meldowałem się u Komendanta w Lesznie na Wołyniu. Już po wyjściu spotkałem przed domem Maksymiliana Malinowskiego (Wojtka), działacza PPS, później posła na Sejm, który przyjechał z raportem. Było już ciemno. Rozmawiając usiedliśmy na ławce przed domem. Wtedy dopiero spostrzegliśmy, że znajdujemy się naprzeciw otwartego okna pokoju Komendanta. Lampa naftowa, stojąca na stole oświetlała wnętrze. Okno było dość wysoko tak, że widzieliśmy tylko sufit, po którym przesuwał się cień Komendanta, przechadzającego się po pokoju. Naturalnie — nasza rozmowa przerwała się. Za chwilę Komendant zatrzymał się w oknie, zamyślony, zapatrzony w dal. Usłyszeliśmy Jego słowa: „Już wiosna szesnastego — a tam rewolucji nie ma i nie ma! Chyba trzeba będzie sobie w łeb palnąć!”.

Miarą, jakie wrażenie na nas obu zrobiły te słowa wtedy wypowiedziane, może być fakt, iż — spotkawszy się w Bukareszcie w 1940 r. — wspominaliśmy ten wieczór wiosenny.

Tego tak bardzo ważnego dla historii dokumentu (wspomnień W. Czernowa) brak w książce prof. Kukiela.

Ponieważ nie można przypuszczać, że jest mu nieznanym, a więc — jedynym wniosek: prof. Kukiel ma doń swoje zastrzeżenia.

W pamięci kolegów z owych czasów pozostało niewątpliwie wiele szczegółów, dotyczących tego tak bardzo ważnego tematu. Proszę o ogłoszenie ich.

Pomóżmy prof. Kukielowi i czytelnikom jego „Dziejów”. O ileż łatwiej będzie zrozumieć wiele zdarzeń z tych lat, gdy się uwzględni te przewidywania i plany Piłsudskiego.

I znikną może błędne naświetlenia jak np. w BBC w pogadance dla kraju lub w prasie, np. płk. Romeyko, *Kultura* 12/170 z 1961 r., str. 104 i 105.

Przed wojną 1914 r.

Wyszkolenie wojskowe było prowadzone systematycznie tylko przez ZWC (Związek Strzelecki, Strzelec) i Drużyny Strzeleckie.

Związek Strzelecki został w r. 1912 przeorganizowany na szkoły wojskowe według poziomów: szkoła strzelca, podoficerska,

oficerska niższa i wyższa, które zostały obsadzone przez wyszkolonych instruktorów. Został zatwierdzony program wyszkolenia dla każdego z poziomów i ogłoszony drukiem. Trudności w pracy były olbrzymie, przede wszystkim brak broni, strzelnic i innych pomocy wyszkoleniowych. Pomoce, udzielane przez władze austriackie, były minimalne, zupełnie niewystarczające w stosunku do szybko rozwijającej się organizacji. Broń musieliśmy kupować ze składowe pieniądze. Dostęp do strzelnic wojskowych był wyjątkiem.

Rada Główna ZWC 1914 r. (str. 506) trwała dwa dni: 28 i 29 czerwca. Z punktu widzenia austriackich przepisów prawnych był to zjazd nielegalny. Musieliśmy więc zmieniać kilkakrotnie miejsce naszych obrad.

Niedokładna jest informacja na str. 506, że „zacznęły się urlopy wakacyjne, organizacja (poza szkołą letnią) przechodziła w stan częściowego uśpienia”. Przeciwnie. Z wyjątkiem jednostek organizacyjnych, związanych ze szkołami ogólnymi, cała organizacja pracowała intensywnie w czasie każdych wakacji, szczególnie w oddziałach wiejskich, małych miastach. Wtedy słuchacze uczelni wyższych mieli więcej czasu i mogli go więcej poświęcić organizacji. Odbywały się wtedy między-obwodowe ćwiczenia. W tym roku nadto żyliśmy pod wrażeniem wydarzeń europejskich. Byłem wtedy komendantem obwodu Lanckorona-Kalwaria. Na początku lipca otrzymałem rozkaz podniesienia poziomu gotowości alarmowej. Dnia 20 lipca otrzymałem rozkaz przygotowawczy do mobilizacji.

Brak w „Dziejach” opisu nastrojów społeczeństwa galicyjskiego i jego ustosunkowania się do wojskowego ruchu niepodległościowego. Może było to krępujące dla Autora — niechętnie bowiem pisze się o sobie — trzeba bowiem pamiętać, że prof. Kukiel już w latach 1906-1908 był członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego PPS Frakcji Rewolucyjnej i sam był narażony na różne przykrości. Dziś trudno sobie wyobrazić, ile wtedy trzeba było odwagi cywilnej, by należeć do PPS, a cóż dopiero być członkiem jej CKR.

Brak również opisu metody, stosowanej przez administrację austriacką, by wychować wiernych dla „tronu” poddanych. Metoda ta była stosowana wszędzie: w szkołach, w urzędach, w wojsku, w mieście i na wsi, przez odpowiednio przygotowany i starannie kierowany zespół urzędniczy. Dla dzisiejszego czytelnika opis taki jest szczególnie ważny dla zrozumienia ówczesnej sytuacji ogólnej akcji niepodległościowej w Galicji i trudności, na jakie natrafiała.

POW i inne organizacje pokrewne

Prof. Kukiel podaje wiele szczegółów, dotyczących POW (w indeksie jest 9 pozycji, niektóre z nich po kilka stron).

Gdyby więc ogłoszone już listy do Redakcji *Kultury* nie przekonały płk. Romeyki to te dane może wystarczą, by zgodził się, że POW nie było — legendą. W związku z tym samym artykułem (*Kultura* 12/170, str. 103) trzeba przypomnieć, że POW skupiała ludzi różnych przekonań. Celem POW było zdobycie niepodległości polskiej drogą walki zbrojnej — jak głosiła deklaracja, podpisywana przez każdego nowowstępującego członka.

POW poza tym było wzorem dla innych później powstałych organizacji. Już w r. 1919 powstał Związek Strzelecki, który później, w czasie pokoju, stał się podstawową organizacją przysposobienia wojskowego. W 1921 okręg lwowski Związku Strzeleckiego organizował wysyłanie ochotników i sprzętu wojskowego dla III Powstania śląskiego. Była to akcja masowa.

W r. 1920 na terenie Lubelszczyzny i Wołynia powstała wzorowana na POW organizacja „Związek Obrony Ojczyzny” (Z.O.O.). Organizatorem i komendantem był kpt. Sowa, ten sam, o którym tak nieprzychylnie — powiedzmy — wyraża się płk Grobicki w swoim liście (*Kultura* 9/167 z 1961). Kpt. Sowa był nie tylko jej organizatorem — on był duszą tej organizacji. Dzięki jego wysiłkom została wyekwipowana. Działał po obu stronach frontu bojowego w tym szczególnie trudnym dla 3 Armii okresie, od lipca do września 1920. Z.O.O. składał się z mieszkańców tamtejszych osiedli, co poważnie ułatwiało działanie, a utrudniało nieprzyjacielowi likwidację. Do szeregów ZOO należeli przeważnie członkowie PPS (Polacy i Ukraińcy), a było również wielu innych. Zadaniem ZOO była dywersja na tyłach nieprzyjaciela: przerywanie komunikacji — przede wszystkim telefonicznej i telegraficznej, co zmuszało nieprzyjaciela do posługiwania się radiotelegrafią, a jego szyfrowane depesze były przez nas czytane. Poza tym — szeptana propaganda i łączność w szczególnych okolicznościach (np. z oblężonym Zamościem). Trudno mi więc przyjąć ujemne sądy o kpt. Sowie; przypuszczam, że przyczyną wszystkiego były — trudności językowe (co się zdarzało w 1919 r.) — z jednej strony, a nietolerancja przekonań innych — z drugiej.

Milicja Ludowa

Jako odpowiedź płk. Romeyko (*Kultura* 12/170, str. 99). można przytoczyć słowa prof. Kukiela (str. 550), w których podaje genezę Milicji Ludowej. Rząd Moraczewskiego bowiem przeciwstawia regularną „milicję ludową” — „czerwonej gwardii”, stworzonej przez Komunistyczną Robotniczą Partię Polski, której celem było opanowanie władzy zbrojnym zamachem.

Płk Grobicki nie był komunistą. Jasne jest więc, że negatywne ustosunkowanie się władz wojskowych grupy gen. Listowskiego i jego samego pochodziło z tego samego ośrodka, który organizował zamach w styczniu 1919: Żurawia 2.

W grudniu 1918 i styczniu 1919 r. pełniłem dwukrotnie służbę oficera inspekcyjnego (służbowego) garnizonu Warszawa i w tym charakterze miałem możliwość stwierdzić postawę służbową Milicji Ludowej; była bez zarzutu. Raczej można się było dziwić, że w tak krótkim okresie czasu zostali milicjanci tak dobrze wyszkoleni i wychowani. Nie mogę więc zgodzić się z opinią płk. Grobickiego, który zresztą, będąc szefem sztabu grupy gen. Listowskiego w rej. Brześć-Pińsk nie miał służbowego kontaktu z Milicją Ludową, a nie mogę sobie wyobrazić, jakie — w wypadku np. pobytu jego na urlopie w Warszawie — mógł mieć kontakty nie-służbowe, czy spotkania, na których mógłby opierać swoje obserwacje. Opinia płk. Romeyki, który był w Warszawie, jest także dodatnia. Nie mogę również zrozumieć, jak było możliwe to „wrogie” odnoszenie się Milicji Ludowej do wojska RP., skoro dowódcami w Milicji Ludowej byli oficerowie, odkomenderowani z wojska.

Umundurowanie i wyekwipowanie wojskowe wówczas pochodziło ze składów okupantów i zostało przejęte przez Ministerstwo Spraw Wojskowych. W razie potrzeby było przekazywane w odpowiednich ilościach w ramach współpracy między-ministerialnej innym ministrom.

Natomiast (jak twierdzi płk Romeyko, *Kultura* 12/170, str. 99) to „bardziej do prawdy zbliżone... przypuszczenie, że Milicja Ludowa od dawna miała przygotowane zapasy umundurowania, chociażby ze składów „Polskiego Wehrmachtu”...” — jest bardzo ryzykowne. Milicja Ludowa bowiem przed 11 listopada 1918 nie istniała, a po tej dacie nie istniał „Polski Wehrmacht” — A jak „tej pomocy” mogła udzielić „właśnie POW”, która — zdaniem płk. Romeyki — była legendą — to już chyba nikt nie zrozumie.

Troska o należyte wyekwipowanie Milicji Ludowej była zupełnie zrozumiała; przecież pełniła służbę bezpieczeństwa publicznego i była — równocześnie — przeciwstawieniem „czerwonej gwardii”.

Milicja Ludowa nie była formacją wojskową, a milicjanci nie byli żołnierzami. Gdy więc milicjanci zgłosili się do wojska, winni byli być wcieleni do wojska, zaprzysiężeni, przeszkoleni i dopiero wtedy wysłani przez batalion zapasowy do formacji bojowych na froncie. Wiosną 1919 r. stało się inaczej: bataliony Milicji Ludowej zostały wprost wysłane na front, co było niezgodne z obowiązującymi także i wtedy przepisami i organizacją. Batalion taki jednak nie mógł być wysłany na linię bojową; nie był bowiem taktyczną jednostką dyspozycyjną ze względu na swój skład personalny, organizację i wyposażenie (ich mundury czarne nie tylko „raziły”, ale ułatwiały celność ognia nieprzyjacielowi!). Kpt. Sowa miał prawo bronić swoich podkomendnych i oczekiwać od przełożonych zrozumienia. W tych okolicznościach doszło do tych pożałowania godnych wydarzeń w Pińsku, o których opowiada nam płk Grobicki (*Kultura* 9/167 z 1961). Trudno spokojnie czytać, jak to ochotnicy do Wojska Polskiego

zostali potraktowani zanim jeszcze zostali żołnierzami! Rozbrajanie przy pomocy pociągu pancernego, kompanii 22 pp., która „odkuwa się na zdrajcach” maltretując bezbronnych „mimo protestu i interwencji” oficerów tej kompanii, którzy widocznie nie umieli rozkazów wydawać!

I — jak się okazuje — wszystko to było niepotrzebne. Wystarczyło bowiem przemówienie mjr. Narbuta-Łuczynskiego, by milicjanci „z entuzjazmem” zgłosili się do służby wojskowej w 34 pp. — jak pisze płk Grobicki, „gdzie pełnili służbę ku zadowoleniu dowódców”. Oto przykład odpowiedniego podejścia do żołnierza, o którym pisze płk Kowalczewski (*Kultura* 5/175).

Nie byli to „zakapturzeni wrogowie” na tyłach własnych wojsk. Byli po prostu zmęczeni wrogą atmosferą, wytworzoną wokół nich, co było następstwem różnicy przekonań politycznych, Milicja Ludowa bowiem składała się z członków PPS, a płk Grobicki jeszcze dzisiaj twierdzi, że 9 dywizja piechoty była — „białogwardyjska”... Nie sądzę, by żołnierze tej dywizji czuli się tym mianem — zaszczytami... Sytuacja była jasna. Zrozumiał to gen. Listowski i dlatego zmienił swoją opinię o tym oddziale Milicji Ludowej, o czym nie chciał mówić swemu szefowi sztabu, by mu nie robić przykrości...

Znałem gen. Listowskiego i nie mogę sobie wyobrazić, by wyrażał swoje rozgoryczenie przed frontem oddziału, złożonego z ochotników, w taki sposób, jak to opowiada płk Grobicki; gen. Listowski uważał za wielkie swoje szczęście, iż mógł służyć w Wojsku Polskim i nosić polski mundur, a przecież — na czapce było godło państwowe! Nie mówiąc już, iż był dobrze wychowany!

Toteż wydaje mi się, że zaszła tu jakaś pomyłka. Minęło więcej, niż 42 lata. A że pamięć zawodzi, niechaj posłuży następujący przykład: płk Grobicki stwierdza, iż „na wiosnę 1919 roku” był „szefem sztabu 9.D.P. (Poleskiej)”. W rzeczywistości wtedy 9 dywizja piechoty jeszcze nie istniała, a gdy powstała przy końcu 1919 r. nie nosiła nigdy nazwy „Poleska”.

15 — 18 luty 1918 r. Rarańcza — Bolechów

2 brygada (legionowa) tzw. Polskiego Korpusu Posiłkowego przedarła się przez austriacko-rosyjski front na Ukrainę 15 (a nie 18) lutego 1918 (str. 540).

W Bolechowcie i okolicy stacjonowały oddziały uzupełniające i szkolne (a nie „ośrodek zapasowy”) w składzie: trzy bataliony piechoty, szkoły podchorążych i podoficerska. Dowódcą Uzupełnień był płk Władysław Sikorski, inspektorem wyszkolenia ppłk Galica, referentem organizacyjnym por. Józef Jaklicz, ref. wyszkolenia i równocześnie komendantem szkoły podoficerskiej por. K. Florek, intendentem por. Miller; komendantem szkoły podchorążych kpt. dr Izidor Modelski, instruktorem tej szkoły por. Tadeusz Jeziorański; dowódcami batalionów (o ile sobie przy-

pominam) byli: kpt. Antoni Kamiński, kpt. Olbrycht i kpt. Smolarski.

O przedarciu się 2 brygady dowiedzieliśmy się przed południem 15 lutego przez kolejarzy.

Do 17 lutego nic nie zmieniło się w naszej pracy służbowej. — W rozmowach prywatnych wyłaniały się różne projekty, z których skrajne były: jeden — by przedrzeć się przez oddziały austriackie, maszerując grzbietem górskim, przebić się przez front i dołączyć do 2 brygady na Ukrainie; oraz inny — by starać się utrzymać tę resztę oddziałów polskich jako kadrę przyszłego Wojska Polskiego.

Płk Sikorski zarządził zwołanie zebrania oficerskiego na popołudniu 17 lutego, na którym zaproponował przygotowaną przez siebie deklarację, w której nasz korpus oficerski solidaryzuje się z czynem 2 brygady; oficerowie składają stopnie wojskowe i odznaczenia, otrzymane od Austriaków, i jako oficerowie Wojska Polskiego, co niniejszym stwierdzaliśmy, wypowiadamy posłuszeństwo władzom austriackim.

W dyskusji wypłynęły rozmaite propozycje, także i ta, by starać się utrzymać pozostałe oddziały.

Po końcowym przemówieniu płk. Sikorskiego, którego treścią było: zerwać wszelką współpracę z Austrią i Niemcami, deklarację jednogłośnie uchwalono.

W zebraniu oficerskim brało udział 120 oficerów.

Deklaracja ta została wręczona przez płk. Sikorskiego austriackiemu generałowi Obauerowi, któremu nasza grupa podlegała, około 3 nad ranem dnia 18 lutego. Ta niezwykła pora została wybrana przez płk. Sikorskiego w obawie, że rano 18 lutego może nastąpić nasze internowanie, a chodziło o to, by deklaracja była doręczona przez — wolnych. To przypuszczenie okazało się trafne: w momencie, gdy płk Sikorski wjeżdżał do miejsca postoju austriackiego generała, koncentracja oddziałów była już w toku. Wysłano do internowania naszego zgrupowania austriacką dywizję kawalerii i osiem batalionów piechoty, Chorwatów, przy czym dywizja kawalerii miała otoczyć nasz rejon od zewnątrz.

Gdy już byliśmy gotowi do marszu do obozu internowanych (Dolina), nastąpiła raczej niezwykła parada:

Osiem batalionów chorwackich na rozkaz dowódcy całości przedefilowało przed płk. Sikorskim. Dowodzący nimi major rozkazywał: „Patrzyć w oczy polskiemu pułkownikowi!”

A wzdłuż trasy defilady płonęły stopy: paliły się karabiny. Żołnierz nie chciał oddawać broni.

Zamach styczniowy 1919 r. (str. 552 i 553).

Dużo już napisano i ogłoszono na ten temat (część materiału podałem w swym liście do Redakcji *Kultury* nr 6/164 z 1961). Trzeba niestety wprowadzić szereg uzupełnień i poprawek.

Napad na Belweder

Marsz. B. Miedziński pisze w *Tygodniku Polskim* z 27.6.1959 str. 3:

„Grupa uzbrojonych zamachowców cywilnych i wojskowych, prowadzona przez rotmistrza w mundurze wtargnęła na podwórzec Belwederu; niedoświadczony wartownik posłuchał rozkazu rotmistrza i przepuścił ich przez bramę; dostrzeżeni jednak zostali z okien pałacu i adiutant Naczelnika Państwa, por. K. Stamirowski, zatrzymał ich u wejścia. Zapytani kto zacy i czego chcą, odpowiedzieli, że z rozkazu nowego rządu przyszli aresztować Naczelnika Państwa. Por. Stamirowski, huknąwszy na nich niezbyt parlamentarnymi słowami, aresztował ich i przy pomocy podoficera i kilku nadbiegłych z wartowni żołnierzy, rozbroił”.

Zostało to podane do ogólnej wiadomości w komunikacie urzędowym *Monitora* z dnia 7 stycznia 1919.

Powyżej opisany napad na Belweder wydarzył się przed zaalarmowaniem Szkoły czyli przed godz. 2 po północy (około). Potem nastąpiła zmiana i wzmocnienie warty belwederskiej przez kompanię podchorążych por. Rowckiego. Dalszy przebieg wydarzeń w rej. Belwederu — jak mój list, ogłoszony w *Tygodniu Polskim* z 18.1.1960.

Nie było ponownej próby opanowania Belwederu; nie mogła być więc udaremniona przez Szkołę Podchorążych.

W rejonie Komendy Miasta

Tydzień Polski z 14.3.1959 ogłosił relację p. H. Kwiatkowskiego, a w dniu 27.6.1959 ukazał się artykuł marsz. B. Miedzińskiego „Piłsudski i Paderewski”, który omawia te wydarzenia.

P. Kwiatkowski, jako sierżant, był zastępcą oficera inspekcyjnego garnizonu i w tym charakterze działał, nie będąc zresztą przez zamachowców aresztowany (niewątpliwie z ich punktu widzenia — błąd). Jest to więc bardzo ważny świadek. Relacja jego jest bardzo szczegółowa, dlatego ją streszczam.

O północy z 4 na 5 stycznia 1919 zamachowcy obsadzili centralę telefoniczną Komendy Miasta.

O godz. 0,30 przybył do Komendy Miasta płk. Januszajtis i przez sierż. Kwiatkowskiego wezwał do siebie płk. Zawadzkiego, komendanta Miasta. Gdy ten się zgłosił, oświadczył mu:

„Panie Pułkowniku, rząd dotychczasowy nie istnieje, ja zajmuję Komendę Miasta. Pan Pułkownik uda się do swoich apartamentów i nie wolno Panu ich opuszczać bez mego zezwolenia”. — Pułkownik Zawadzki bez słowa opuścił centralę, a ponieważ nikt się nim nie interesował, wyszedł ze swego mieszkania drzwiami kuchennymi i udał się do mieszkania gen. Szeptyckiego w Hotelu Bristol. Sierż. Kwiatkowski pozostał przed wejściem do hotelu. Za chwilę autem osobowym przyjechało kilku cywilnych, 4 — 5 z nich weszło do hotelu.

Sierz. Kwiatkowski udał się na wartę główną i powrócił z patrolem właśnie w chwili, gdy zamachowcy wyprowadzali aresztowanych: gen. Szeptyckiego z jego adiutantem i płk. Zawadzkiego. Z kolei zamachowcy zostali aresztowani i odstawieni na wartę główną.

Po naradzie z płk. Zawadzkim gen. Szeptycki rozmawiał z zamachowcami, po czym został ponownie aresztowany przez płk. Januszajtisa wraz z płk. Zawadzkim; obaj zostali umieszczeni w mieszkaniu płk. Zawadzkiego; przed wejściem postawiono posterunek.

Płk Zawadzki wyszedł następnie przez to samo kuchenne wyjście i udał się do mieszkania swego adiutanta por. Ocetkiewicza, zbudził go i kazał mu sprowadzić batalion garnizonowy.

Batalion ten wkrótce obsadził Plac Saski, a zamach został zlikwidowany.

Dodać należy, że przybył też pod Komendę Miasta szwadron 5 p. uł. pod dowództwem rtm. Głuchowskiego, co przyspieszyło tę likwidację.

Gen. Szeptycki przybył z meldunkiem do Naczelnego Wodza do Belwederu około godz. 7.

Nieścista jest również informacja, że „gen. Szeptycki wysłał ny został do Paderewskiego do Krakowa”.

Marsz. B. Miedziński (*Tydzień Polski* z 19.9.1959 str. 3) cytuje wyjątek ze wspomnień ówczesnego ministra spraw zagranicznych L. Wasilewskiego, ogłoszonych w 1923 r., a mianowicie: „Po zamachu stanu, który nasze stanowisko wzmocnił, Piłsudski telegrafował do Paderewskiego, bawiącego w Krakowie, by przyjechał do Warszawy”. Następnie marsz. Miedziński pisze:

„Faktem jest, że gen. Szeptycki, który rzekomo o 8 rano miał „natychmiast” wsiadać do samochodu, przez cały dzień urzędował w Sztabie Gen. Gdy byłem wieczorem w Belwederze, dano mi do przejrzania plik telefonogramów, przesyłanych przez gen. Szeptyckiego w ciągu popołudnia do wiadomości Naczelnego Wodza, zawierających raporty ze wszystkich okręgów generalnych, meldujące o zupełnym spokoju i nienaruszonej dyscyplinie wśród wojska w całym kraju. W mojej obecności nadeszła do Naczelnika Państwa depesza z Paryża z pierwszą wiadomością o zajęciu przez armię czerwoną Wilna. Naczelnik Państwa rozkazał, aby natychmiast przetelefonować tę wiadomość gen. Szeptyckiemu z tym, aby wszelkie dalsze wiadomości w tej sprawie były mu niezwłocznie meldowane”.

Artykuł „Jeszcze o pierwszych dniach Rzeczypospolitej” płk. Romeyko (*Kultura* 12/170, z 1961) wymaga licznych sprostowań i uzupełnień, pozostawiam to Autorowi po zapoznaniu się przez niego z licznym, już ogłoszonym materiałem. Tu tylko kilka uwag.

Pisząc w swoim poprzednim liście (*Kultura* 6/164, z 1961) o batalionie kieleckim, podałem „Stan liczbowy jego 800”. Płk Romeyko cytuje z Memoriału Komendanta Piłsudskiego, iż zostało zwerbowanych 1228 ochotników i zapytuje, którą z tych liczb „należy przyjąć dla historii?”. Oczywiście, że obie. To chyba nie trudno zrozumieć. 1228 — ogólna ilość zwerbowanych

ochotników, z czego 800 przydzielonych zostało do baonu kieleckiego, a reszta do innych oddziałów, które przyjmowały ochotników jeszcze przed powstaniem batalionu kieleckiego. Jednym z ochotników, który zgłosił się do batalionu Wyrwy, gdzie byłem adiutantem, był — ros. chorąży Gustaw Dreszer z 6 dragonami.

Płk Romeyko w Kielcach i Kielecczyźnie nie był (chyba że był w brygadzie Nowikowa, ale o tym nie pisze). Relacje jego pochodzą od osób trzecich. Co jest zastanawiające — to zupełne niezrozumienie i brak odczucia ważności i doniosłości czynu zbrojnego w tych pierwszych dniach sierpnia 1914 r. I to mimo, iż przez długi czas był bezpośrednim współpracownikiem gen. Orlicza-Dreszera i niewątpliwie nieraz słyszał, co spowodowało go do porzucenia służby carskiej i zameldowania się do tego nieregularnego wojska, nie mającego jeszcze praw kombatanckich, jakim były oddziały strzeleckie Komendanta Piłsudskiego.

W styczniu 1919 r. nie było jeszcze brygad (ani dywizji).

Płk Jaźwiński był dowódcą 21 pp.

36 pp. Legii Akad. odszedł na front przy końcu grudnia 1918 i podczas zamachu nie było go w Warszawie (pozostała tylko kadra zapasowa).

W czasie zamachu tą kompanią, która stała przed Komendą Miasta, była kompania Szkoły Podoficerskiej pod dowództwem por. Wiesława Januszajtisa.

Gdy dowódca 21 pp. z jednym batalionem pomaszzerował na Plac Saski do dyspozycji zamachowców, por. Moniuszko zameldował się ze swoim batalionem Naczelnemu Wodzowi.

Kampania 1920 roku

Józef Piłsudski musiał często improwizować; zaczynał bowiem od początku. Improwizacja ta jednak była w wykonaniu oparta na dokładnie przemyślanym i wypracowanym planie. Tak było w latach 1913 — 1917 i tak też w latach 1919 — 1921. Widać to wyraźnie na przykładzie kampanii 1290 roku.

„Od września 1919 była w Warszawie misja atamana Petlury” (URL) — pisze prof. Kukiel (str. 572). Operacyjne problemy opracowywali wybrani oficerowie w ramach Sztabu Generalnego.

W kwietniu 1920 w czasie ofensywy na Ukrainie Naczelny Wódz planował już przeciwakcję na północy, w Kalenkowiczach wydał dyspozycje gen. Szeptyckiemu dla północy, a pierwsze rozkazy wyszły w Zytomierzu.

Gdy została odparta majowa ofensywa Tuchaczewskiego, przewidując następne jego uderzenie, Naczelny Wódz wydaje gen. Szeptyckiemu instrukcję operacyjną na odprawie w czerwcu 1920 (silna grupa odwodowa w rej. Wilna).

W lipcu planuje kontrofensywę z rej. Kowla w oparciu o Brześć nad Bugiem, a po uprzednim unieszkodliwieniu Budien-

nego. Wobec upadku Brześcia ta sama idea zostaje zastosowana jako manewr znad Wieprza w bitwie warszawskiej.

W czasie tej operacji planuje i przygotowuje bitwę nad Niemnem i ofensywę na Podolu i Wołyniu 6 i 3 Armii.

Prawie wszystkie te fakty są podane przez prof. Kukieła w odpowiednich działach jego książki. Czy nie należałoby jednak zwrócić na nie uwagi jako na metodę pracy marsz. Piłsudskiego?

Nadto — brak jednego ważnego szczegółu, na który wskazuje p. Tytus Komarnicki (*Kultura* 5/175 z 1962, str. 126) brak daty układu z Petlurą (URL). Prof. Kukiel pisze na str. 574, że w kwietniu 1920 podpisano układy polityczny i wojskowy z Petlurą, a na str. 572:

„Od lipca nawiązały się kontakty z wojskowymi i politykami ukraińskimi. Od września 1919 była w Warszawie misja atamana Petlury... Toczyły się układy polityczne i wojskowe. Poczyniono już pierwsze kroki do budowy kadr nowych jednostek wojskowych ukraińskich na terytorium polskim”.

Przypominam sobie (nie z mojej pracy służbowej, lecz z prasy), że rząd Paderewskiego przy końcu swego urzędowania, tj. we wrześniu lub październiku 1919, podpisał układ polityczny z Petlurą, a sejm go ratyfikował na wniosek ministra spraw zagranicznych Paderewskiego. Pracowałem wtedy bardzo intensywnie w innym dziale i dlatego nie jestem pewny, czy ta informacja jest dokładna. Proszę o ew. jej sprostowanie.

Od października 1919 do połowy lipca 1920 pełniłem służbę kierownika Wydziału Ewidencji i Sytuacji Kwatermistrzowskiej w Oddz. IV Sztabu Gen., Naczelnego Dowództwa.

Koncentracja nieprzyjaciela zarówno w maju, jak i w czerwcu 1920 była znana Naczelnemu Wodzowi, oraz podwładnym dowódcom.

W końcu czerwca na odprawie w Belwederze Naczelnny Wódz wydał gen. Szeptyckiemu instrukcję operacyjną na wypadek ofensywy Tuchaczewskiego, której się spodziewał. W szczególności nakazał utworzenie silnej grupy manewrowej w rej. Wilna. Odprawę tę opisuje w rozdziale VI „Roku 1920”.

„Dlatego też niespodzianką — pisze marszałek Piłsudski — i to bardzo przykrą, był rozkaz gen. Szeptyckiego z dnia 5 lipca, wręcz przeciwny tej zasadniczej myśli. Wszystkie próby do dnia 11 lipca wywołania zmiany pod tym względem okazały się w stosunku do gen. Szeptyckiego daremnymi”.

Brak tej grupy manewrowej umożliwił nieprzyjacielowi stałe przeskrydlanie od północy, o czym pisze prof. Kukiel na str. 580 i 581.

Brak również opisu akcji opozycji politycznej, która uruchomiła cały swój aparat propagandowy przeciwko Naczelnikowi

Państwa i Naczelnemu Wodzowi, co uniemożliwiło mu osobiste objęcie dowództwa frontu północnego bezpośrednio.

Opuszczenie tych faktów ukazuje ówczesną sytuację niezgodnie z prawdą historyczną i uniemożliwia zrozumienie sytuacji, w jakiej musiał pracować Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz.

Przełamanie lewego skrzydła 1 Armii i odwrót ogólny — to właśnie następstwo braku odwodu na północnym skrzydle, a więc niewykonania rozkazu Naczelnego Wodza.

Na południu — Równe przechodziło z rąk do rąk, a pierwszy raz zostało zajęte przez nieprzyjaciela wcześniej, niż 4 lipca. Marszałek Piłsudski w „Roku 1920”, opisując swoje wysiłki, by osaczyć Budiennego, mówi:

„Ostatnią taką przed 4-tym lipca próbą były prawie komiczne wypadki pod Równem, gdy raz 18-ta dywizja z 6-ej armii szła do ataku od południa, a 2-ga armia w tym samym czasie wykonywała odwrót ku północy; odwrotnie zaś gdy 2-ga armia przeszła do natarcia i jej 1-sza dywizja nocnym atakiem zdobyła Równe, 18-ta dywizja już się znajdowała we wstecznym ruchu ku Dubnu. Nie mogę twierdzić, ażeby te śmieszne teraz kontredanse wpływały zanadto demoralizująco na samo walczące wojsko...”.

Poza tym — Równe, jako węzeł komunikacyjny, został wczasu ewakuowany zgodnie z wydaną instrukcją przez Nacz. Dow.

Na str. 581 prof. Kukiel charakteryzuje gen. Stanisława Hallera jako „bardzo zasłużonego, ale znużonego półtorarocznym wysiłkiem”.

Nie wiem, co Autor chciał wyrazić przez użycie tego przymiotnika „znużony”. Sądzę, że oznacza on zniechęcenie lub przynajmniej osłabienie zainteresowania się problemami służbowymi — w tym wypadku operacyjnymi — wskutek przemęczenia.

Z tytułu mej funkcji kierownika Wydziału Ewidencji i Sytuacji miałem możliwość meldowania się u płk. S.G., a następnie generała St. Hallera niemal codziennie od października 1919 r. do połowy lipca 1920.

Od kwietnia 1920 ustanowiony został nocny dyżur oficera Oddz. IV analogicznie do dyżurów oddz. III i II S.G.

Z Oddz. IV. S.G. dyżurowało 3 do 4 oficerów, pracujących na stanowiskach Sztabu Generalnego. Służba nocna więc przypadała na każdego z nas dyżurujących co trzy lub cztery noce.

Dyżurujący oficer miał rozkaz meldowania gen. Hallerowi o każdej ważnej wiadomości natychmiast (gen. Haller mieszkał w gmachu sztabu generalnego).

Gen. Haller zawsze o każdej godzinie dnia i nocy był gotów do pracy; przyjmował meldunki i dawał decyzje. Był to oficer o niespożytej wytrzymałości i sprężystości, rzadko spotykanej nawet u należycie wyszkolonych oficerów Sztabu Generalnego. Umiał tak zorganizować swą pracę, by nie być nigdy przemęczonym; sztuki tej uczył innych.

Dodam, iż od 1919 do 1925 r. (z przerwami) pełniłem służbę pod rozkazami płk. S.G., a następnie gen. St. Hallera, gdy był szefem Sztabu Generalnego, potem dowódcą 6 Armii, następnie Inspektorem Armii i wreszcie ponownie szefem Sztabu Generalnego.

Natomiast gen. St. Haller był jednym z najmłodszych generałów; był młodszy od każdego dowódcy armii, a nawet od wielu dowódców dywizji. Nie powinno to być utrudniać mu pracy, działał bowiem zawsze w imieniu i z ramienia Naczelnego Wodza. Ale — gdy zdarzył się wypadek tak niezwykły, jak niewykonanie instrukcji operacyjnej Naczelnego Wodza, a potem jego rozkazu, stało się konieczne uzyskiwanie każdorazowo aprobaty Naczelnego Wodza na każde nowe zarządzenie. Naczelnny Wódz jednakże był zmuszony wyjeżdżać ze stolicy i przewidywał, że takie wyjazdy mogą trwać dłuższe okresy czasu. Tymczasem na północy wobec ogólnej dezorganizacji konieczne było regulowanie nawet drugorzędnych szczegółów. Stąd powstała myśl zmiany na stanowisku szefa Sztabu Generalnego. Usłyszałem o tym od gen. Hallera; oddawał mi właśnie wtedy jedną z depesz do gen. Szeptyckiego, świeżo aprobowaną przez Naczelnego Wodza, celem jej wystania. Niewykluczone, że on sam zaproponował tę zmianę. (Było to w tych tragicznych dla północnego frontu dniach między 6 — 11 lipca).

W połowie lipca zameldowałem się u gen. Rydza-Śmigłego, dowódcy frontu Środkowego i natychmiast tego samego dnia objąłem Oddz. II Szt. Dow. 3 Armii. A więc Front Środkowy istniał już w połowie lipca. Nie przypominam sobie daty jego utworzenia, było to wnet po wyjściu z Kijowa 3 Armii, którą wtedy dowodził gen. Rydz-Śmigły.

Front Środkowy (dowódca: gen. Rydz-Śmigły, szef sztabu; płk S.G. Kutrzeba) składał się z 3 Armii (dowódca: gen. Zieliński, szef sztabu: ppłk Bortnowski) i z 2 Armii (dowódca: gen. Listowski, później gen. Raszewski).

Od str. 581 „Dziejów” rozpoczyna się opis operacji przygotowawczych i następnie bitwy warszawskiej. Autor — moim zdaniem — starał się wykonać zadanie, niemożliwe do wykonania w takiej pracy, choćby z powodu niemożności dołączenia szkiców. Poza tym przez skracanie i uogólnianie powstały niedokładności, niedociągnięcia itd. Czytelnikowi nie pozostaje nic innego, jak przestudiowanie „Roku 1920” marszałka Piłsudskiego. Należy tu przypomnieć, że materiały historyczne oraz zestawienia stanów liczebnych przygotował szef Wojskowego Biura Historycznego oraz że szkice do pracy zostały wykonane w Biurze Historycznym, jak pisze we wstępie płk. Moszczeński.

Do str. 582 i 583 konieczne są następujące sprostowania:

Zgrupowanie, nad którym dowództwo bezpośrednio objął Naczelnny Wódz, zostało nazwane: grupa uderzeniowa (a nie front środkowy). Front Środkowy, którym dowodził uprzednio gen. Rydz-Śmigły, został rozwiązany.

3 Armia nie należała do składu grupy uderzeniowej. (Zresztą prof. Kukiel podaje na str. 587, iż znajduje się nad Bugiem).

Grupa uderzeniowa składała się:

z 4 Armii (dowódca: gen. Skierski, szef Sztabu: płk. S.G. Rybak, oficer łącznikowy misji francuskiej: płk B-té (S.G.) Faury, skład: 21, 16 i 14 dyw. piech.);

z grupy gen. Rydza-Śmigłego (szef Sztabu: płk S.G. Kutrzeba, skład: 1 i 3 dyw. piech. Leg., brygada kawalerii).

3. Armia (dowódca: gen. Zieliński, szef Sztabu: ppłk. Bortnowski) pozostała w dotychczasowym pasie działania; została osłabiona o dwie dywizje piechoty Leg., które odeszły do grupy uderzeniowej, lecz dowódcy tej armii podporządkowana została grupa gen. St. Hallera (13 dyw. piech. i dywizja jazdy).

3. Armia składała się teraz z:

7. dyw. piech.

grupa gen. St. Hallera,
ukraińska 6 dyw. strzelców,

4 szwadrony Kozaków, w tym dwa kubańskie jako dywizjon pod dowództwem essauła Jakowlewa,
oddział armii białoruskiej gen. Bałachowicza,
oddział rosyjski gen. Peremykina.

Zadaniem 3 Armii była osłona wchodniego skrzydła grupy uderzeniowej, a więc całej kontrofensywy przeciwko frontowi Tuchaczewskiego, czyli zarówno osłona od wschodu przeciw 12 Armii sowieckiej (cztery dywizje strzelców), jak i od południowego wschodu, skąd spodziewana była armia konna Budiennego. Sytuacja 3 Armii stała się jeszcze trudniejsza, gdy nieprzyjaciel przejął rozkaz naszego Naczelnego Wodza o bitwie warszawskiej. (Dla obserwacji przedpola dywizjon lotniczy armii liczył 1 — 3 samolotów). Dodatnim elementem w tej sytuacji naszej była zupełna nieaktywność sow. 12 Armii.

W drugiej połowie sierpnia armia Budiennego podsunęła się w kierunku Zamościa. Nadeszła jednak jedna nasza dywizja piechoty, a jej 31 p. strz. kan. zdążył jeszcze do Zamościa przed jego otoczeniem.

Oblężenie Zamościa trwało trzy doby: od 29 do 31 sierpnia.

Obroną Zamościa dowodził ukraiński płk S.G. Bezruczko, dowódca ukr. 6 dyw. strz.

W skład załogi Zamościa wchodziły: część ukr. 6 dyw. strz. (część była w rej. Hrubieszowa), 31 p. strz. kan. (dowódca: kpt. Bołtuć), Kozacy, Rosjanie i polski batalion etapowy.

Działanie grupy gen. St. Hallera od południa i 10 dyw. piech. od północy uwolniło Zamość.

Od wschodu przesłaniała 7 dyw. piech. Oddział Armii Białoruskiej gen. Bałachowicza operował na tyłach 12 Armii sow.

W międzyczasie przybyła 2 dyw. piech. Leg.

Przed 10 września dowództwo 3 Armii objął gen. Władysław Sikorski. (Nie pamiętam dokładnej daty).

Do str. 583 wiersz 8 i 9 od góry:

Co do wyboru miejsca i czasu działania grupy uderzeniowej przez Naczelnego Wodza i trafności Jego decyzji pisze Tuchaczewski („Pochód za Wisłę” rozdział XIII): „...o ofensywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 18-go sierpnia z rozmowy hughesowej z dowódcą armii 16-ej. Ten ostatni o ofensywie dowiedział się dopiero 17-go”. Wtedy „właśnie przeprowadzono przegrupowanie” i „łączność dywizji z dowództwem armii była przerwana”.

Do str. 587, wiersz 12 od dołu i nast.:

Na 20 września została nakazana przez Naczelnego Wodza ofensywa na Podolu i Wołyniu 6 i 3 Armii.

Niestety 6 Armia pod dowództwem gen. Lamezana — mimo wydanych przez niego rozkazów — nie ruszyła z miejsca. Nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy i szefa sztabu Armii; zamianowani zostali: gen. St. Haller i płk S.G. Julian Stachiewicz.

3 Armia tymczasem, wykonując rozkaz Naczelnego Wodza, wysunęła się znacznie naprzód, południowe jej skrzydło zawisło w powietrzu. 6 Armia musiała więc nadrobić opóźnienie. Zaczęła się więc na południu akcja w bardzo przyspieszonym tempie. Dowódca Armii był prawie stale na froncie (towarzyszył mu zawsze jeden z szefów Oddz. III lub II Szt. mjr. Ajdukiewicz lub ja, byłem więc często naocznym świadkiem wykonania). Nieprzyjaciel jednak miał — wskutek opóźnienia około 8 dni — dość czasu, by ewakuować zapasy i transport.

Ofensywa obu tych armii osiągnęła linię, która stała się później linią rozejmową.

Ostatnią operacją był w dniach 15-18 10 zagon brygady kawalerii pod dowództwem gen. Głuchowskiego; powrócił niemal w ostatniej chwili przed terminem zaprzestania działań wojennych.

Do str. 589, wiersz 12 od góry:

Tydzień Polski z 22.8.1959 ogłosił list mjr. Żebrowskiego z wyciągiem z I tomu „Ułanów Lubelskich”. Podaję streszczenie tego wyciągu; oraz niektóre cytaty:

Por. Stamirowski był bardzo lubiany przez Komendanta i często używany do rozmaitych tajnych lub bardzo poufnych spraw.

Będąc w pułku w 1924-25 r. pplk. Stamirowski opowiadał różne swoje przeżycia. Między innymi mówił o roku 1920, jak był przydzielony najpierw do misji gen. Romera do bolszewików, a później do delegacji posła Dąbskiego.

Misja ta w sierpniu 1920 r. była wysłana przez rząd polski, celem nawiązania pertraktacji z bolszewikami.

Przed wyjazdem delegacji posła Dąbskiego, por. Stamirowski został wezwany 5 albo 6 sierpnia do Anina, gdzie była kwatera naczelnego wodza.

Komendant wyszedł do ogrodu z por. Stamirowskim i wydał następującą instrukcję: „Słuchajcie, o tym zupełnie nikomu. Ja 15-17 rozpoczynam ofensywę. Delegacja do tego czasu na pewno nic nie załatwi i nie podpisze, gdyż bolszewicy nie pójdą na żadną ugodę. Sądzą oni, że nas zupełnie rozbili i pobili. Zobaczymy. Wy 18 sierpnia o godz. 1 w nocy łapcie

swoim radiem Warszawę. W tym czasie będą już wiadomości o naszej ofensywie i jej rozwoju — dacie wtedy zaraz znać o tym Dąbskiemu”.

Następuje opis podróży delegacji oraz warunków, w jakich znalazła się w Mińsku. Radiostacja mogła delegacja używać jedynie między godz. 4 a 5 rano, gdy wszystkie stacje sowieckie pracowały. Poza tą godziną stacja była opieczętowywana przez oficera sowieckiego. Mimo to 18 sierpnia przed godz. 1 w nocy uruchomiona została. Odebrana została następująca wiadomość:

„Nasza ofensywa rozwija się. Oddziały polskie podchodzą pod Mińsk Mazowiecki. Inne kolumny również posuwają się w szybkim tempie naprzód. Napotkane oddziały bolszewickie rozbite. Duża zdobycz. Wojska bolszewickie cofają się w popłochu...”.

W tym miejscu odbiór został przerwany przez patrol sowiecki. — Por. Stamirowski zakomunikował natychmiast posłowi Dąbskiemu, który na konferencji popołudniowej odmówił podpisania zaprojektowanej przez stronę sowiecką umowy.

Do str. 594, wiersz 7 od dołu:

Dowódcą drugiego powstania śląskiego był kpt. Zgrzebniok. — Była to samotna walka; Polska była zaangażowana w wojnie polsko-sowieckiej.

Do str. 595, wiersz 15 od góry:

Z Polski, choć potajemnie, spieszyli ochotnicy na Śląsk; szły transporty broni, jako — żywność. Na pierwszym miejscu w tej akcji pomocy stał Lwów i Małopolska wschodnia.

Brak również wzmianki o bitwie o Górę św. Anny w dniu 21 maja 1921. Niemiecka propaganda głosi, że to żołnierz niemiecki zwyciężył na Śląsku i wymienia Górę św. Anny. W rzeczywistości Niemcy posłużyli się quasi rozejmem, by sprowadzić wojska z Rzeszy, skoncentrować i zaskoczyć powstańców.

W walkach tych polegli ochotnicy ze Lwowa, a między nimi kadeci Korpusu Kadetów nr 1. Część materiałów, opublikowanych przez Korpus Kadetów nr 1 we Lwowie 21 maja 1930, w dniu jego pierwszego święta, wydał Związek Lwowskich Kadetów marszałka Józefa Piłsudskiego pt. „W Czterdziątą Rocznicę III Powstania Śląskiego” w Londynie, w maju 1961 r.

Jako ilustrację do słusznej uwagi p. Tytusa Komarnickiego (*Kultura* 5/175 z 1962, str. 127) o skutkach Konwencji Górnośląskiej mógłbym podać szereg przykładów, z których jednym jest, popierane przez banki niemieckie ze Śląska Górnego, osadnictwo niemieckie na Wołyniu, które w 1939 r. współdziałało z najeżdżącą armią hitlerowską.

Niezrozumiałe dla mnie jest zupełnie pominięcie ks. biskupa Władysława Bandurskiego, który miał duży wpływ na naszą młodzież żołnierską od wczesnych lat naszej akcji niepodległościowej. Nie ma jego nazwiska w ogóle w książce. Niech mi wolno będzie wspomnieć zdarzenie, które razem przeżyliśmy z Autorem:

W ostatnią niedzielę grudnia 1918 r. odbyło się pierwsze w wolnej Polsce nabożeństwo uroczyste w Szkole Podchorążych w Warszawie. Nabożeństwo to odprawił — na zaproszenie komendanta Szkoły — arcybiskup ormiański ks. Józef Teodorowicz (str. 502), mimo, iż był jednym z tych, którzy w r. 1913 utracili akcję Bobrzyńskiego pogodzenia Polaków z Ukraińcami, a w 1918 r. był jednym z przewodców partii politycznej opozycji. (Walka o Lwów i Małopolskę Wschodnią trwała).

Był to szok dla podchorążych. Zapytywali: Dlaczego nie biskup Bandurski?!

Brak również wzmianki choćby o wpływie Weteranów Powstania Styczniowego, którzy skupili się w Warszawie, a szczególnie tych, mieszkających we Lwowie.

Zaznaczę jeden szczegół: w obronie Lwowa z bronią w rękę walczył 70-letni por. Teofil Bętkowski, były adiutant płk. Francesco Nullo (str. 362) i został odznaczony *Virtuti Militari*.

Okres od zawieszenia broni 18.10.1920 do końca roku 1921 został potraktowany przez autora tylko ogólnie. Jest to jednak okres wielkiej wagi, okres przejściowy między wojną a pokojem. Nie mam już miejsca na uzupełnienia do takich tematów, jak:

1. Niektóre aspekty, dotyczące traktatu ryskiego.

2. Petycje ludności powiatów zachodnich Ukrainy o pozostawienie tego terenu w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.

3. Wykonanie zawieszenia broni i związane z tym sprawy. (Załatwianie ich należało do mego zakresu na odcinku 6 Armii tj. od Dniestru do Prypeci).

4. Akcja dywersyjna Ukraińskiej Republiki Ludowej na tyłach wojsk sowieckich.

5. Akcja Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (KPZU) na terenie Małopolski Wschodniej i Wołynia. (Plenum C.K. KPZU w czasie posiedzenia we Lwowie aresztowane przez władze bezpieczeństwa 1 listopada 1920).

6. Sąsiedzi: bliżsi i dalsi:

Rumunia (wstępne prace nad traktatem polsko-rumuńskim).

Czechosłowacja (sprawa ukraińska: brygada strzelców siczowych płk. Kraussa na Zakarpaciu, uniwersytet w Pradze).

Niemcy (sprawa ukraińska, ks. Hlinka).

Może kiedyś będę mógł o tym opowiedzieć szczegółowo.

Wszystkie podane powyżej uzupełnienia są oparte na moich wspomnieniach, nie były uzgadniane z innymi ogłoszonymi lub jeszcze nieogłoszonymi.

W moich uzupełnieniach mogą być omyłki, niedokładności, czy błędy. Proszę o ich prostowanie. Oczywiście — nie wyczerpują one całości. Jest to jedynie drobny ułamek. Byłbym szczęśliwy, gdyby zostały uzupełnione przez Kolegów z ich działalności.

Wtedy dopełnienie całości, czego pragnie autor, stałoby się faktem.

K. FLOREK, *ppłk. dypl.*

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

NAJNOWSZY TOM „NIEPODLEGŁOŚCI”

Tom VII (po wznowieniu) „Niepodległości” przynosi w swej pierwszej części druk listów Józefa Piłsudskiego z lat 1919 i 1920. Nie ujmując znaczenia i wartości pozostałym materiałom tomu, „Listy” są przyczynkiem najważniejszym, a ich udostępnienie szerszemu ogółowi posuwa znacznie naprzód naszą wiedzę o przełomowym okresie historii Polski i krajów sąsiadujących z nią od wschodu i od północy, które z naszej po części winy znalazły się poza nawiasem Europy. Przynajmniej w sensie politycznym. Niektóre z nich, myślę o państwach bałtyckich, pochłonięte zostały przez imperium sowieckie dopiero po dwudziestu latach, gdy urzeczywistniło się niebezpieczeństwo porozumienia niemiecko-sowieckiego, którego wizja nie schodziła sprzed oczu Piłsudskiego, choć wykaczała poza możliwości analizy i przewidywań ówczesnej „ententy” a późniejszych sygnatariuszy umów jałtańskich. Inne — Ukraina i Białoruś — przebrały swą sprawę już w roku 1919 i 1920, w czym winę największą ponosiła krótkowzroczność polityki polskiej. Polska nie umiała przewyciężyć zmęczenia narodu po ostatnim podrywie energii, jakim były zwycięstwa wojskowe w bitwie warszawskiej i w bitwie nad Niemnem. Ustąpienie naciskowi Wielkiej Brytanii i Francji wydało się rozwiązaniem najlepszym, gdyż jak osądzano wówczas, pozwalało uzyskać kompromisowe korzyści na wschód od Bugu, które jak wykazał dalszy bieg dziejów nie zadowolily nikogo: ani Zachodu, ani Sowietów, ani mieszkańców ziem przeciętych granicą traktatu ryskiego.

Zmęczeniu temu, jak wiemy dzisiaj, uległ także jedyny mąż stanu polski, który nie bał się wielkich wizji, rozumował katego-

riami historycznymi i nie uległ ani przez chwilę złudzie zaufania w stosunku do zobowiązań podejmowanych przez Sowiety. Był nim Józef Piłsudski.

„Listy” nie przynoszą w tym względzie rewelacji. Przynoszą jednak wiele dowodów słuszności rozumowania Piłsudskiego, pozwalając jednocześnie przyjrzeć się bliżej zarówno przyczynom jak i okolicznościom towarzyszącym w tym okresie częstszemu niż się to wydaje brakowi konsekwencji i błędnym ocenom możliwości praktycznych — wojskowych i politycznych — Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.

„Listów” jest 37. Nie jest to, rzecz jasna, całość korespondencji Piłsudskiego z tego okresu. Mówi o tym nota wstępna redakcji Tomu, a także „Wstęp” do „Listów”, napisany przez zmarłego w grudniu 1962 Kazimierza Świtalskiego, naocznego świadka ich pisania i powiernika politycznego Piłsudskiego. Świtalski przygotowywał całość korespondencji Piłsudskiego do druku. Rok 1939 przerwał tę pracę. Po wojnie część materiałów uległa w Polsce konfiskacie i stała się niedostępną badaczom, choć Świtalski nie szczędził wysiłków by rozpoczętą pracę prowadzić dalej. Teksty, drukowane w obecnym tomie „Niepodległości” ukazują się — jak pisze Redakcja — z upoważnienia pani Aleksandry Piłsudskiej, której zgon poprzedził o kilkanaście bodaj dni ukazanie się tomu w druku. Część przypisów i wyjaśnień przy „Listach” jest dziełem Świtalskiego — inne opracowali dwaj członkowie Redakcji płk Tadeusz Schaetzel i płk dr Stanisław Biegański. Podkreślili oni słusznie i rzetelnie przyczynkowy charakter „Listów”, których analizować nie można w sposób naukowy w oderwaniu od innych materiałów okresu. Wiele z nich mamy w mniej lub więcej uporządkowanym kształcie — wielu nie znamy dotychczas. Obraz jest zatem niepełny, niejednokrotnie dla mniej krytycznie nastawionego czytelnika może się wydać jednostronny, mocno podbudowany uprzedzeniami, którym bądź ulegał Piłsudski w chwili pisania listu, bądź też takimi, które narastały lub nie dały się rozchwiać w umysłach ludzi należących do jego bezpośredniego otoczenia, lub też związanych na zawsze i bez „ale” z obozem politycznym, któremu Piłsudski dał początek. Przypisy do „Listów” są rzeczowe i same w sobie po mistrzowsku przeprowadzają logiczne uzasadnienie słuszności ocen i rozumowania Piłsudskiego. W stosunku do jego przeciwników — swoich i obcych — zdobywają się na umiar, godny pracy historycznej. Lecz wzbogaciłyby się na pewno w swej treści, gdyby towarzyszył im komentarz, choćby tylko publicystyczny, z którego czytelnik mógłby się domyśleć przesłanek

rozumowania i okoliczności wpływających na charakter działalności przeciwników Piłsudskiego. Komentarzy tego rodzaju jest trochę gdy mowa o obcych. Na przykład o planach (lub ich braku) polityki angielskiej na terenie państw bałtyckich. Znajdujemy także niejedno spostrzeżenie i wyjaśnienie dążeń politycznych ukraińskich. Lecz w stosunku do swoich, wyjaśnień takich brak. Pierwszy z „Listów” napisany był do Romana Dmowskiego, 22 lub 26 stycznia 1919 roku. Są szczegóły i okoliczności pisania listu — nie ma niczego co by mówiło o reakcjach adresata. Wiemy, że nie prowadziły do proponowanej współpracy ponad bariery ówczesnych „orientacji”, lub uprzedzenia „orientacji” dotychczasowych. Lecz wiemy o tym z innych źródeł. A co najważniejsze, choć wiemy jak było, nie zawsze rozumiemy dlaczego tak było a nie inaczej. Zbyt krótko, zbyt lapidarnie obeszły się przypisy do „Listów” ze sprawami organizacyjnymi wojska, tam gdzie mowa o tzw. „Armii Hallera” i o Armii Wielkopolskiej, siła, która niewspółmiernie więcej zaważyła na wyniku wojny polsko-bolszewickiej niżby wskazywało wymienienie nam kilku jednostek i przypomnienie żenujących kłopotów. Po czterdziestu kilku latach usunięcie zadawnionych akcentów „polemicznych” byłoby w tych tematach bardzo wskazane i na pewno w niczym nie przyniosłoby uszczerbku wielkości autora „Listów”.

Część druga Tomu to „Rozprawy i udokumentowane wspomnienia”. Jest ich sześć. Przyczynkowo, dla historyka, największą wartość ma praca Wacława Chocianowicza pt. „Historia dywizji litewsko-białoruskiej w świetle listów Józefa Piłsudskiego”. Jest ona bardzo cennym uzupełnieniem krytycznym „Listów”. Rozprawa Michała Sokolnickiego pt. „Kryzys legionowy 1916 roku” zastanawia swą zwięzłą logiką i głęboką znajomością przedmiotu, budząc nadzieję, że doczekamy się niezadługo następnego tomu wspomnień tego autora. Ciekawa w swym założeniu jest rozprawa Ireny Gałęzowskiej: „Myśl Józefa Piłsudskiego w świetle filozofii współczesnej”. Jako czysto spekulatywna odbiega od tematyki historycznej dominującej w dotychczasowych tomach „Niepodległości”. W rozprawie pt. „Twórca awangardy” Stanisław Skwarczyński pisze o działalności Józefa Piłsudskiego w latach 1893-1918, chcąc wykazać i wykazując jak dalece i wysoko wybijał się ponad powiązania organizacyjne, które przyszło mu tworzyć lub z którymi współdziałał. Jan Staszewski pisze swe spostrzeżenia o „Piłsudskim w Polsce Niepodległej”, a Bohdan Podoski porządkuje wiadomości o wysiłkach Piłsudskiego zapewnienia wojsku stanowiska niezależnego od fluktuacji partyjno-

politycznych w artykule: „Organizacja naczelnych władz obrony państwa”.

Część trzecia to relacje i dokumenty w opracowaniu Stanisława Skwarczyńskiego (Kilka rozmów z Komendantem), Adama Koca (Przyjazd Józefa Piłsudskiego do Warszawy 10 listopada 1918 r.), Wacława Jędrzejewicza, Jerzego Potockiego, Leona Strzeleckiego i ks. Tadeusza Genka. Tematyka szeroka od gier wojennych, poprzez rozbrajający nieco pomysł nadania *Virtuti Militari* oficerom japońskim za wojnę z Rosją w r. 1904, do treści wypowiedzi profesorów w seminariach duchownych po śmierci Piłsudskiego.

Na szczególną uwagę zasługuje opracowanie podpisane literami „L.K.”: „Ekspozytura M.S. Wojsk. do spraw ukraińskich w roku 1920”. W jej zakończeniu mamy fragment relacji Juliusza Ulbrycha o wizycie Piłsudskiego w obozie internowanych oficerów ukraińskich w Szczypiornie. „Witano go entuzjastycznie. A cóż Piłsudski? Powiedział, pamiętam, tych kilka słów: 'Ja Was przepraszam Panowie, ja Was przepraszam' ”.

W słowach tych było coś więcej niż wstyd żołnierza wobec żołnierzy. Był ból z rozwiania wizji, z załamania się jedynej od czasów Hadziacza próby ułożenia stosunków z narodem ukraińskim na podstawach przyjaźni i trzeźwej oceny wspólnych interesów. Słusznie też zapytuje „L.K.”: „Czy rzeczywiście nie można było inaczej? Czy Polska musiała opuścić sprzymierzeńca, który dla zawarcia z nią przymierza zdecydował się być na wiele ustępstw ze swych ambicji politycznych i narodowych? Pytanie jest jednym z najważniejszych, jakie nam stawia najnowsza historia Polski. I nie wystarczy, jak to czynili przeciwnicy Piłsudskiego, odpowiadać na nie innym pytaniem: czy należało zawierać przymierze z Semenem Petlurą, skoro tak mało było szans i tak mało, jak się później okazało, woli jego dotrzymania? Gdyż nawet potępienie Piłsudskiego za jego wizję Europy Wschodniej, nawet stwierdzenie, że zwycięstwo wojskowe nad bolszewikami nie dawało Polsce sił na osiągnięcie zwycięstwa politycznego, nie zwalniało Polski z przyjętego zobowiązania. A jak wykazały dalsze dzieje, nie zabezpieczało także jej własnego bezpieczeństwa, nie mówiąc już o należytym jej, czy tylko osiągalnym, roli zwornika równowagi od Helsinek po Beograd. Wiedział o tym Piłsudski, lecz zmienić biegu wypadków już nie potrafił. Przy wszystkich zastrzeżeniach — a pewna programowa jak gdyby jednostronność jest tu najważniejszym — ostatni Tom „Niepodległości” budzi szacunek dla dorobku naukowego redaktorów i autorów skupionych dokoła „Instytutu Józefa Piłsudskiego po-

święconego badaniom najnowszej historii Polski". Utrzymać wydawnictwo na tak wysokim poziomie można tylko wtedy gdy siłę przekonania i wierności ideologii towarzyszy pasja dociekania prawdy w sposób naukowy. Uchybień jest w tym względzie niezbyt wiele. Brak indeksu, choć należy do tak zwanych uchybień „technicznych”, uznać jestem gotów za najistotniejsze. Żałować tylko należy, że „Niepodległość” nie znajduje żadnego godnego siebie przeciwnika w polemice historycznej i stąd wiele z tego co powinno być pożywką dla dalszych dociekań i analizy musimy przyjmować jako ostateczny wykład podręcznikowy.

Paweł ZAREMBA

LUDZIE STAREJ UKRAINY

Książka Aleksandra Ohlobyna*), jednego z najlepszych historyków ukraińskich doby obecnej, może pocieszyć uczonych na emigracji. Przykład jej świadczy, że nie należy rozpaczać z powodu znikomych możliwości wydawania publikacji naukowych na obczyźnie. Omawiana praca składa się z 23 szkiców historycznych o różnej objętości a drukowanych w pismach ukraińskich między 1943 a 1958 r.; jedynie sześć spośród nich ukazało się po raz pierwszy w książce.

Dziwić może dlaczego publikacja wydana w r. 1959 staje się przedmiotem recenzji w cztery lata później. Piszący te słowa, zajmując się przygodnie ukrainistyką, nie zapuszcza się w dziedzinę historii sąsiadów; ponieważ jednak, o ile mu wiadomo, książka nie obudziła dotychczas zainteresowania historyków polskich, czuje się zobowiązany zwrócić na nią uwagę.

Z 3 sylwetek wybitniejszych postaci Ukrainy lewego brzegu Dniepru zaledwie dwie lub trzy noszą nazwiska znane szerszemu ogółowi. Zaslugę autora stanowi fakt, że na podstawie dość skąpych źródeł archiwalnych i faktów historycznych nie podlegających wątpliwości zdołał utworzyć obraz budzącej się do świadomego życia narodowego Ukrainy w drugiej połowie XVIII wieku, gdy poczucie odrębności Kozaczyzny, tępienie lub w najlepszym wypadku zacieranie umyślnie przez centralne władze rosyjskie, zdecydowało bardziej światłych patriotów szukać rozwiązania politycznego w oparciu o koniunkturalnych wrogów caratu.

Z tego punktu widzenia dwie postacie winny zainteresować polskiego czytelnika: marszałek szlachty gubernii kijowskiej Wasyl Wasylewicz Kapnist (1756-1823) i Warłaam Szyszacki (1751-1820), arcybiskup mohilewski i witebski. 65-stronnicowe studium poświęcone działalności kulturalnej i politycznej Kapnisty ukazuje jego ciekawą umysłowość. Przyjaciel Dzierżawina i Radiszczewa, piszący po francusku i po rosyjsku członek Carskiej Akademii Nauk, liberalizujący autor „Ody na niewolę” (z powodu rozciągnięcia pańszczyzny na wolną dotychczas Kozaczyznę, 3.5.1783), Kapnist jako marszałek okręgu kijowskiego zaczyna od 1785 r.

*) Olexander Ohloblyn: *Ludy staroji Ukrainy*, wyd. „Dniprowa Chwyła”, München, 1959, s. 327.

myśleć o przyszłości swego narodu. Wyciągając wnioski ze zjazdu w Kaniowie (1787) kiedy Katarzyna II (i posłuszny jej rozkazom Stanisław August Poniatowski) wraz z Józefem II przygotowuje wojnę przeciw Turcji, Kapnist, pozostający w opozycji wobec wszechwładnego Potiomkina, zwraca swe zainteresowania polityczne w stronę Prus. (Znany nasz historyk Bronisław Dembiński zajął się już w r. 1891 tym dotychczas nienałeżycie wyświetlonym epizodem z życia Kapnisty). Być może w porozumieniu z polskimi działaczami opozycyjnymi z otoczenia Stanisława-Augusta, marszałek-literat udaje się w Berlinie do ministra pruskiego Herzberga z propozycją usług przeciw Rosji. Mianowicie oburzony tyranią władz rosyjskich, Kapnist niewątpliwie z polecenia swych rodaków zapytuje ministra czy może liczyć na pomoc króla pruskiego by zrzucić jarzmo carskie. Herzberg zreferował tę rozmowę Fryderykowi-Wilhelmowi II 25 kwietnia 1791, ale propozycja zorganizowania Kozaków Zaporoskich przeciw Rosji w momencie długo ciągnącej się wojny z Turcją została przez króla odrzucona i zarysowujący się konflikt prusko-rosyjski nie doszedł do skutku.

Analogie między złudzeniami polskich polityków zawierających przymierze z Prusami a pierwszą, o ile mi wiadomo, próbą uzyskania niepodległości Ukrainy w oparciu o Berlin narzucają się same. W pierwszym wypadku Polska zapłaciła drogę zawierzyszy Prusom; podobnie próby Kapnisty (i następcy) nie przyniosły wolności Ukrainie.

Dzieje Warlaama Szyszackiego ukazują inny, bardziej tragiczny epizod z dziejów Ukrainy. Jako ihumen klasztoru św. Ducha w Wilnie odmówił on przysięgi na wierność Rzeczypospolitej w ostatnich latach jej panowania, kiedy cerkiew prawosławna uzyskała autokefalię (od 1.V.1792). Mianowany ihumenem w Nowgorodzie, wspinając się po szczeblach hierarchii duchownej, Szyszacki, patriota ukraiński i bezkompromisowy zwolennik niezależności metropolii kijowskiej od synodu rosyjskiego, zdecydował się w 20 lat później, w czasie wyprawy Napoleona na Moskwę opowiedzieć się — zresztą niezupełnie dobrowolnie — po stronie Francji. Niepowodzenie kampanii przypieczętowało los Szyszackiego; pozbawiony arcybiskupstwa uchwałą synodu, zatwierdzoną przez Aleksandra I, „zdrajca” ukraiński został zesłany jako prosty mnich do klasztoru, z którego nie wyjdzie do śmierci.

Tragiczny los Ukraińca prześladowanego pod maską prawosławia przez imperializm rosyjski, porażki polityczne w związku z rachubami na poparcie Prus czy dalekiej Francji pozwalają, drogą porównania, ocenić względne powodzenie kulturalnych i politycznych aspiracji ukraińskich za 1-szej i 2-jej Rzeczypospolitej. Surowa choć b. obiektywna ocena polskich błędów wobec Kościoła wschodniego i Ukraińców tudzież Białorusinów w XVII i XVIII w. — nakazuje wyciągnąć z pracy Ohłoblyna wnioski co do możliwości rzetelnie pojętej i stosowanej federacji.

Zwolennicy „polskiego słonia” znajdują w tej ciekawej książce wiele informacji dotyczących związków kulturalnych polsko-ukraińskich i sporo faktów w odniesieniu do rodzin zasłużonych również w naszej historii (Dunin-Borkowscy, Miklaszewscy, Raczyńscy i in.).

Imponująca pod względem erudycji, żywo choć popularnie napisana praca historyka bratniego narodu zasługuje na uwagę ze względu na pełną obiektywizm postawę autora.

Zygmunt MARKIEWICZ

NOWOŚCI HISTORYCZNE

BIBLIOGRAFIA WĘGIERSKA

KARSAI, Elek, „Országgyarapítás” — országvesztés. A nürnbergi per és Magyarországnak („Pomnożenie” i ruina kraju. Węgry i proces norymberski), Budapeszt, 1961, 2 tomy.

Autor, archiwista i historyk, wydawca zbioru źródeł do historii współczesnej Węgier, omawia w dwóch broszurach wypadki, które po 1933 pociągnęły za sobą udział Węgier w wojnie po stronie niemieckiej i przez to odzyskanie części utraconych w Trianon terytoriów, potem zaś zniszczenie kraju przez działania wojenne. W popularnie napisanym przeglądzie tych wypadków autor przytacza w streszczeniach i wyjątkach protokoły procesu norymberskiego — w którym zresztą mało mówiono o Węgrzech — materiały z węgierskich archiwów państwowych, głosy prasy i pamiętniki. Z tych ostatnich na szczególną uwagę zasługują pamiętniki b. ministra Wyznań Religijnych Hóman'a oraz kolejnych szefów sztabu armii węgierskiej Werth'a, Szombathelyi'ego i Lakatos'a, bądź dotąd nie drukowane, bądź też ogłoszone w mało dostępnych publikacjach. Jakkolwiek obie rozprawy przeznaczone są dla szerszej publiczności, autorowi udało się przedstawić ten rozdział historii współczesnej w sposób przekonujący, nie obciążając go zbyt propagandą. Chodzi mu przede wszystkim o wykazanie, że polityka rządów węgierskich, stawiających sobie za główny cel odzyskanie utraconych terytoriów, musiała nieuchronnie prowadzić do zbliżenia z Trzecią Rzeszą; Hitler jednak nie zamierzał spełniać życzeń węgierskich bez odpowiedzialnej kompensaty, tj. bez aktywnego udziału Węgier w wojnie. Zapoczątkowana w 1933 przez wizytę Gömbös'a u Hitlera, polityka ta pociągnęła za sobą kolejno zgodę Węgier na aneksję Austrii (tom I, rozdz. 2-3), i „pozwolenie” Hitlera na udział w rozbiórce Czechosłowacji (rozdz. 4-5). Dwa wiedeńskie „orzeczenia rozjemcze” Hitlera zobowiązywały praktycznie Węgry do udziału w napaści na Jugosławię (tom II, rozdz. 1). Omawiając ten ostatni epizod autor stara się dowiedzieć, że samobójstwo hr. Teleki'ego nie było „aktem męczeńskim”, bo Teleki był już od 1928 zwolennikiem zbliżenia z Hitlerem i — trafnie przewidując skutki napaści na Jugosławię w postaci wypowiedzenia Węgom wojny przez Aliantów

— nadal zalecał tę politykę. W rozdziałach 4 i 5 tomu II autor opisuje „wycięg” Węgier i Rumunii o zasługi sobie u Hitlera przydziału całego Siedmiogrodu. Ostatnie dwa rozdziały poświęcone są okupacji Węgier przez wojska niemieckie i katastrofie 1944-1945. Autor wzmiankuje przy każdej okazji protesty nielegalnej partii komunistycznej przeciw polityce filoniemieckiej rządów węgierskich, nie wchodząc jednak w szczegóły tzw. ruchu oporu.

ROZSNYÓI, Agnes, 1944 október 15, *Századok (Stulecia)* 95 (1959) str. 373-394 i 871-898. Przekład angielski tej pracy, zresztą nienajlepszy, ukazał się w *Acta Historica Acad. Sc. Hung.* VIII (1961) str. 57-104; także streszczenie rosyjskie, str. 104 sqq.

Rozprawa panny Rozsnyói przedstawia dość szczegółowo rozwój wypadków od dnia, w którym Rumunia zmieniła front (23 sierpnia 1944), do 15 października tj. do abdykacji Horthy'ego i powołania Szalasi'ego na szefa „rządu koncentracji narodowej”. Brakło dotąd węgierskiego opracowania tego rozdziału historii, jeżeli nie liczyć wzmianek w ogólnych dziełach historycznych i uwag krytycznych o niedostępnych dla czytelników węgierskich publikacjach zachodnich na ten temat, przede wszystkim zaś o kontrowersyjnej książce C.A. Macartney'a *October Fifteenth* (2-gie wyd. Edinburgh 1961, 2 tomy). Autorka streszcza informacje znane dobrze na Zachodzie, lecz, poza nieliczną grupą osób, nieznaną na Węgrzech, czerpiąc obszernie z pamiętników emigrantów, głównie zaś z Macartney'a. Tę ostatnią książkę przedstawia jako apologię Horthy'ego i nazich, jakkolwiek nie odpiera jej argumentów. Stara się przekonać czytelników, że terrorystyczne rządy Szalasi'ego były nieuniknionym skutkiem 24-letnich rządów Horthy'ego, nie zaś — jak chcieliby jego apologety — zerwaniem z przedwojennymi i wojennymi tradycjami polityki węgierskiej. Ponieważ autorka czerpie z tych samych źródeł co badacze zachodni, rozprawa jej nie dorzuca niemal nic nowego do materiałów wymienionych w II tomie Macartney'a na str. 319-470. Dziwić się można, że autorce nie udało się dotrzeć do nie ogłoszonych dotąd źródeł sowieckich i węgierskich, mogących rzucić światło na kilka ciemnych epizodów, jak np. historię rokowań rozejmowych w Moskwie (wrzesień-październik 1944). Autorka powtarza tu sumaryczną relację, ogłoszoną w 1946 i omawianą już wielokrotnie na Zachodzie.

Jakkolwiek fakty są na ogół znane, czytelnik nie może się oprzeć zdumieniu na widok dyletantyzmu i prowincjonalizmu, przejawiającego się w dyskusjach wewnętrznych i posunięciach ówczesnych przywódców politycznych i wojskowych Węgier. Mimo wątpliwości panny Rozsnyói, brali oni na serio swe próby ocalenia kraju od zniszczenia przez działania wojenne. Ich wysiłki jednak robią tragikomiczne wrażenie, tak dalece byli zamknięci w urojonym świecie przestarzałych pojęć o konspiracji, o sytuacji międzynarodowej i zagadnieniach konstytucyjnych.

KEREKES, Lajos, Magyar külügyminiszteriumi iratok Ausztria annexiójának előzményeihez (Akty węgierskiego ministerstwa Spraw Zagranicznych, dotyczące przygotowań do aneksji Austrii),

Századok 94 (1960), str. 303-333; przekład niemiecki w *Acta Historica Acad. Sc. Hung.* VII (1960, str. 355-390).

Ogłoszone tu dokumenty są przeważnie znane z książki o Węgrzech podczas drugiej wojny światowej, opracowanej przy udziale tegoż autora, w wielu wypadkach jednak uzupełniają dokumenty znane jedynie ze streszczenia. Tłumaczenie niemieckie udostępni badaczom zachodnim materiały znane dotąd tylko w tekście węgierskim. Jeden z opublikowanych dokumentów — rozmowa Göringa z Kalmanem Kánya, węgierskim ministrem Spraw Zagranicznych — mówi nam o tym, jak mało niemiecki marszałek interesował się życzeniami węgierskimi, które nie wchodziły na razie w jego plany. Słów o pretensjach terytorialnych Węgier do Jugosławii Göring po prostu nie dosłyszał, popierając natomiast zdecydowanie roszczenia do Czechosłowacji. Z innych dokumentów dowiadujemy się o bliskich stosunkach, jakie w latach trzydziestych łączyły armię węgierską i austriacką i które rozluźniły się na życzenie Berlina. Jest też rzeczą zastanawiającą, jak gwałtownie nazi reagowali — lub udawali że reagują — na pogłoski o zamierzonej restauracji monarchii w Austrii, jakkolwiek powrót Habsburgów nie miał wówczas żadnych szans w Austrii, a tym mniej w państwach sukcesyjnych.

NEMES, Dezsö, A Bethlen-kormány külpolitikája 1924-1926. (Polityka zagraniczna rządu Bethlena 1924-1926), *Századok* 94 (1960), str. 844-862.

Notatka redakcyjna wzmiankuje, że artykuł ten jest częścią większej pracy, poświęconej temuż przedmiotowi. O dacie ukazania się tej pracy nie bliźszego na razie nie wiadomo. Leżący przed nami artykuł jest szkicem, dającym przegląd starań węgierskich o wyjście z izolacji politycznej. Horthy i parlament odrzucili ofertę sowiecką, zbliżenie z Jugosławią zostało udaremnione przez opór Małej Ententy. Wreszcie w 1926 rząd Bethlena zawarł sojusz z Włochami, który przez 10 lat następnych miał być jedną z głównych wytycznych polityki zagranicznej węgierskiej. Hr. Bethlen starał się również o rozluźnienie kontroli Ligi Narodów, co mu się zresztą udało; w tymże czasie jednak „afery fałszywych franków” postawiła jego rząd w obliczu trudności gospodarczych. Artykuł Nemesa nie podaje źródeł, treść jego będzie więc można ocenić dopiero po ukazaniu się całości pracy.

ARATÓ, Endre, Magyar, cseh és szlovák munkások együttműködése a Nagy Októbert követő forradalmi fellendülés időszakában (Współpraca robotników węgierskich, czeskich i słowackich po Rewolucji Październikowej), *Századok* 93 (1959), str. 46-69.

Praca ta, będąca rozwinięciem rocznicowego przemówienia, traktuje o współpracy jeńców wojennych różnej narodowości, pod przewodnictwem Béli Kuna, z Rewolucją Październikową oraz o stosunku Węgierskiej Republiki Rad do Czechosłowacji. Przy tej okazji autor streszcza dyskusję, wywołaną przez pracę słowackiego (?) historyka Gosiorowskiego.

Ten ostatni miał zarzucać Węgierskiej Republice Rad popieranie separatystów słowackich, uwieńczone ogłoszeniem Słowackiej Republiki Rad latem 1919. Autor bierze w obronę swego słowackiego koleżę, nie wchodząc zresztą w meritum dyskusji. Wzmiankuje przy tym kilkakrotnie niewyraźny stosunek zarówno Rosji jak komunistów węgierskich do Czechosłowacji, uchodzącej w ich oczach za republikę burżuazyjną, popierającą zabiegi interwencjonistów.

ÁDÁM, Magda, JUHÁSZ, Gyula, KERÉKES, Lajos: Magyarország és a második világháború. Titkor diplomáciai okmányok a háború előzményeihez és történetéhez (Węgry i druga wojna światowa. Tajne dokumenty dyplomatyczne dotyczące początków i przebiegu wojny), Budapeszt 1959, str. 550, wydawnictwo Instytutu Historycznego Węgierskiej Akademii Nauk.

W 20-tą rocznicę napadu niemieckiego na Polskę historycy węgierscy ogłosili zbiór nieznanych dotąd dokumentów dotyczących udziału Węgier w wojnie. Jakkolwiek wstęp ogólny pióra L. Zsigmonda i wstępy do poszczególnych rozdziałów nie przynoszą nowego oświetlenia ówczesnej sytuacji, wybór dokumentów świadczy o dużym obiektywizmie wydawców. Tom obejmuje 178 raportów, listów, depeesz i not z okresu od 1933 do 16 października 1944. Większość materiałów dotyczy lat 1937-1942 i pochodzi z tajnych archiwów węgierskiego premiera i ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tom zaopatrzony jest tablicą chronologiczną, listę węgierskich ministrów, ambasadorów i osobistości politycznych oraz skorowidz nazwisk.

Rozdział I zawiera dokumenty dotyczące wzrastających tendencji germanofilskich w polityce zagranicznej Węgier w latach 1933-1938 oraz wspólnych wysiłków Osi i Węgier w celu rozbięcia Małej Ententy. Rozdziały II-III odnoszą się do zabiegów Węgier w celu zyskania poparcia niemieckiego dla ich roszczeń terytorialnych, zwłaszcza skierowanych przeciw Czechosłowacji; przygotowani do projektowanego, za aprobatą Polski i Włoch, napadu na Ruś Zakarpacką w 1938, a wreszcie do udziału Węgier w rozbiore Czechosłowacji, na co Węgry zyskały upoważnienie Hitlera po przystąpieniu do paktu przeciw Kominternowi. Rozdział IV obejmuje dokumenty odnoszące się zapewnień lojalności wobec Hitlera w okresie napadu na Polskę i odmowy udziału w wojnie przeciw dawnemu sprzymierzeńcowi. Rozdział V dotyczy decyzji wiedeńskiej, upoważniającej Węgry do okupacji północnej części Siedmiogrodu. Jak się okazało, Węgry zapłaciły za nią udziałem w wojnie. Rachunek został im przedłożony w 1941, w formie żądania wolnego przemarszu dla wojsk niemieckich zdążających do Jugosławii (rozdz. VI). Premier Teleki, widząc że krok ten, niemożliwy do usprawiedliwienia wobec mocarstw zachodnich, zmusi Węgry do udziału w wojnie po stronie Niemiec, popełnił samobójstwo. Następca jego, Bardosy, po zagadkowym „bombardowaniu sowieckim” Koszyc, wydał wojnę Rosji i znalazł się w stanie wojny z mocarstwami zachodnimi (rozdz. VII). Klęski niemieckie w latach 1941-1942 pociągnęły za sobą dla Węgier ciężkie straty wojenne i wzrost obciążenia gospodarczego kraju. Rząd Kállay'a próbować rozluźnić stosunki Węgier z Trzecią Rzeszą (rozdz. VIII). Nieliczne dokumenty odnoszące się do tego epizodu nie wnoszą żadnych

nowych wiadomości do tego, co o „polityce huśtawkowej” wiadome było z pamiętników Kállay’a. Ostatni rozdział zawiera dokumenty dotyczące tzw. *Fall Margarete* (okupacja niemiecka Węgier) i reakcji rządu węgierskiego, zakończonych nie przygotowaną i tragicznie bezowocną deklaracją Horthy’ego o zawieszeniu broni z 15 października 1944.

Należy zapisać na dobro wydawców, że nie ukryli różnic poglądów, ścierających się wewnątrz reżymu Horthy’ego. Ogłoszone dokumenty świadczą, że historia przedwojenna Węgier będzie wymagała jeszcze wszechstronnych badań, i że nie można nalepić jej etykiety „rządów quislingowskich”, jak to robiono w ostatnich latach.

Szczegółowe streszczenie angielskiej książki znajduje się w *Acta Historica Węgierskiej Akademii Nauk*, tom VII (196), str. 197-202.

PUSKÁS, A. I., Adatok Magyarország külpolitikájához a II. világháború éveiben (Zarys węgierskiej polityki zagranicznej w czasie drugiej wojny światowej), *Századok* 95 (1961), str. 83-115. Streszczenie rosyjskie na str. 115, francuskie na 116.

Autor, piszący z Moskwy, daje w swym artykule przegląd polityki zagranicznej Węgier od 1937 do marca 1944. Zastanawia że gdy jego koledzy węgierscy badają szczegółowo krótkie odcinki tego okresu, Puskas zadowolnia się ogólnikami, mającymi wykazać winę węgierskich rządzących i perfidię mocarstw zachodnich. Mając zapewne w Moskwie wgląd w nieznanne dokumenty sowieckie, nie wnosi nic nowego do znanych już faktów. Najlepszą częścią jego pracy jest dokładna chronologia aneksji Rusi Zakarpackiej. Autor podkreśla tu współpracę węgiersko-polską pod hasłem „wspólnej granicy” i twierdzi, że tylko rząd sowiecki protestował przeciw tej aneksji, ale i w tym wypadku nie przytacza źródła swej informacji.

ÁDÁM, Magda, Magyarország és a kisantant a második világháború előtt években 1936-1937 (Węgry i Mała Ententa w latach poprzedzających drugą wojnę światową 1936-1937), *Századok* 96 (1962), str. 502-551. Streszczenie rosyjskie na str. 551, francuskie na 552.

Pani Adam przystępuje ostrożnie do rozważania swego tematu. O początkach Małej Ententy mówi, że, jakkolwiek myśl o *cordon sanitaire* nie była obca jej twórcom, głównym celem potrójnego przymierza było zabezpieczenie się od powrotu Habsburgów i irredentyzmu węgierskiego. Odzywa się też krytycznie o publikacji czeskiej, która, wierna ortodoksji z czasów stalinowskich, jeszcze w 1956 widzi w Małej Entencie narzędzie polityki antysowieckiej. Następnie autorka przedstawia, niestety nieco chaotycznie, historię rokowań między państwami sukcesyjnymi i Węgrami w latach, gdy wartość gwarancji zachodnich dla Czechosłowacji, Rumunii i Jugosławii stała się problematyczna. Próby Hodży znormalizowania stosunków z Austrią i pośrednio z Węgrami rozbiły się o opór sojuszników i szywną postawę Budapesztu. Czując za sobą poparcie Niemiec, Włoch i Polski, rząd Daranyi’ego czuł się dość pewnie, aby móc odrzucić rokowania z całą Małą Ententą, szukał jednak porozumienia z Rumunią, zachęcony do tego

przez Becka w celu — jak sądził Titulescu — oddalenia Rumunii od Rosji. Premier jugosłowiański Stojadinović poszedł najdalej w swych deklaracjach przyjaźni pod adresem Budapesztu, lecz jego układ z Włochami stworzył mu tak wielkie trudności wewnętrzne, że musiał wrócić do tradycyjnego nacjonalizmu. Najpoważniejszy partner, dr Beneš, został odrzucony przez Węgrów w 1937 za radą Berlina. Utrzymanie się napiętych stosunków w łuku karpackim dało Trzeciej Rzeszy do ręki narzędzie szantażów i zmusiło Węgry do oczekiwania rewizji traktatu z Trianon tylko z łaski Hitlera.

JUHÁSZ, Gyula Adatok Magyarország külpolitikájához a II. világháború kirobbanásának napjaiban (1939 aug.-szept.). (Dokumenty dotyczące węgierskiej polityki zagranicznej w chwili wybuchu drugiej wojny światowej). *Századok* 96 (1962), str. 565-600. Tłumaczenie niemieckie tych dokumentów znajduje się w *Acta Historica Acad. Sc. Hung.* VIII (1961), str. 137-174.

Zebrane w tej pracy 33 dokumenty oświetlają politykę rządu węgierskiego wobec napadu niemieckiego na Polskę. Wydaje się, że wdzięczność dla Polski za kilkakrotne manifestacje solidarności w latach trzydziestych albo — jak to nazywał hr. Csáky — „miłość platoniczna Węgier dla Polaków” była jedynym motywem, który dał rządowi węgierskiemu okresu międzywojennego odwagę obstawania przy zasadach moralności. Już w lipcu 1939 premier węgierski hr. Teleki — zresztą bez przynagleń z Berlina — zawiadomił Hitlera, że Węgry gotowe są stanąć po stronie Osi w razie zbrojnego konfliktu, lecz że „względy moralne nie pozwalają nam wziąć udziału w żadnej akcji zbrojnej przeciw Polsce” (list z 24 lipca, str. 575). Ministrowi Spraw agranicznych hr. Csáky, nie od razu udało się rozwiać podejrzenia niemieckie, wywołane przez ten list. Oświadczył on, że Węgry gotowe są zaatakować sojusznika Polski, Rumunię, „jeżeli tego zajdzie potrzeba” (to znaczy, jeżeli otrzymają na to pozwolenie). Pozwolenia takiego jednak nie otrzymały. Nagrodę za lojalność mogły dostać tylko z rąk Hitlera, nie zaś przez własną inicjatywę... Nie mniej, gdy 9 września Ribbentrop zażądał pozwolenia na transport przez Słowację wojsk niemieckich operujących przeciw Polsce, rząd Telekiego odmówił. Należałoby tu dodać, że *il Duce*, z którym sprawa ta została poprzednio uzgodniona, popierał stanowisko rządu węgierskiego.

A Magyar Tanácsköztársaság történelmi jelentősége és nemzetközi hatása (Doniosłości historyczne i znaczenie międzynarodowe Węgierskiej Republiki Rad). Wyd. Instytutu dla badania historii partii przy C.K. Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, Budapeszt 1960, str. 388.

Tom ten zawiera 19 referatów, napisanych przez historyków partii komunistycznych Węgier, Związku Sowieckiego, Chin, europejskich republik ludowych, Austrii, Francji i Włoch. Teksty te zostały odczytane na zjeździe z okazji 40-lecia ogłoszenia Węgierskiej Republiki Rad (19 marca 1919) i mają charakter przemówień okolicznościowych. Większość ich ogra-

nicza się do cytatów z socjalistycznych i komunistycznych pism z lat 1919-1920, solidaryzujących się z rewolucją węgierską.

W przemówieniu wstępnym Dezső Nemes podkreślił, że Republika Rad upadła dzięki interwencji zagranicznej. Zdaniem jego mówiono dotąd zbyt wiele o „błędach” Republiki, nie zwracając dostatecznej uwagi na rolę historyczną, jaką odegrała w ciągu 133 dni swego istnienia.

Anna Hornik reprezentowała na zjeździe Austrię, Stela Dimitrowa Miteva — Bułgarię; Teodor Niko Nikov mówił o Bułgarach na Węgrzech; Frantisek Pór i Martin Vietor o wypadkach współczesnych w Czechosłowacji; Michał Dzwonik mówił o ruchu rewolucyjnym w Słowacji w 1919, dowodząc nie bez pewnych trudności, że ogłoszenie Słowackiej Republiki Rad nie było skierowane przeciw jedności państwowej Czechosłowacji; referat Aleksandra Zatorskiego (Echa rewolucji węgierskiej 1919 w Polsce) dał przegląd przejawów solidarności z rewolucją węgierską w Polsce, w formie uchwał rad robotniczych we Lwowie, Warszawie itd., głosów prasy lewicowej i przede wszystkim manifestacji protestacyjnych przeciw interwencji Ententy w lipcu 1919; Henryk Malinowski mówił o historii kontaktów między komunistami Polski i Węgier, wspominając udział polskiego batalionu w czerwonej armii węgierskiej i działalność Józefa R. Krasnego w Komunie Budapeszteńskiej. (O Krasnym osobny artykuł pióra Edmunda Semil-Milskiego ukazał się w *Páttörténeti Közlemények* (Wiadomości partyjne) z 1960, str. 179-188). Z komunistów francuskich referaty wygłosili: Emile Tersen (Ententa i Węgry) i Paulette Charbonnel (Klasa robotnicza francuska i rewolucja węgierska); Włochy reprezentował Franco Ferri; Helmut Kolbe, Johannes Zelt i Siegfried Hörpner mówili o echach rewolucji węgierskiej w Niemczech; Rumuni zgłosili referat zbiorowy, opracowany przez ich partyjne biura historyczne; L.N. Niezinskij i G. I. Turjanica omawiali wypadki, jakie miały wówczas miejsce na Ukrainie i na Rusi Zakarpackiej; N.I. Szatygin przemawiał imieniem Instytutu Marksa-Lenina w Moskwie; wreszcie Chiang Chun-fang mówił o echach, jakie Komuna Budapeszteńska wywołała nawet w odległych Chinach.

Diplomáciai Iratok Magyarország Külpolitikájához 1936-1945 (Dokumenty dyplomatyczne dotyczące polityki zagranicznej Węgier w 1936-1945), wydane pod redakcją László Zsigmond'a.

Tom I: Powstanie osi Berlin-Rzym i aneksja Austrii (1936-1938). Wydał Lajos Kerekes. Str. 823.

Tom IV: Polityka zagraniczna Węgier w okresie wybuchu drugiej wojny światowej (1939-1940). Wydał Gyula Juhász. Str. 803.

Oba tomy ukazały się w 1962, nakładem Instytutu Historycznego Węgierskiej Akademii Nauk.

Powyższe dwa tomy stanowią trzecią część na sześć tomów obliczonego wydawnictwa. Oparte są na materiałach zachowanych w archiwach węgierskich i uzupełnione przez regesta dokumentów niemieckich wydanych na Zachodzie. Brak w nich natomiast, jak zresztą we wszystkich publikacjach poprzednich, dokumentów pochodzenia sowieckiego; brak więc np. dokumentacji o kontaktach węgiersko-sowieckich po 1939-40.

Tom I zawiera około 500 dokumentów podzielonych na 9 grup następujących: 1) zbliżenie niemiecko-włoskie i sytuacja międzynarodowa Austrii; 2) umowa niemiecko-austriacka z 11 lipca 1936; 3) wzmocnienie osi Berlin-Rzym i skutki umowy z 11 lipca 1936; 4) tarcia niemiecko-austriackie i rokowania Neuratha we Wiedniu; 5) spotkanie Schuschnigga z Mussolinim w Wenecji i zwrot w austriackiej polityce Włoch; 6) izolacja polityczna Austrii i przygotowania do aneksji; 7) spotkanie Schuschnigga z Hitlerem w Berchtesgaden; 8) Anschluss i 9) wcielenie Austrii do Trzeciej Rzeszy.

Tom IV obejmuje okres od 19 marca 1939 do 10 maja 1940, a zatem zaangażowanie się sprawy Gdańska, podróż Sumnera Welles'a do Europy i okupację Danii i Norwegii przez wojska niemieckie. Tom ten zawiera około 600 dokumentów podzielonych na następujące grupy: 1) umowa angielsko-polska i rozmowy hr. Teleki'ego w Rzymie; 2) mowa Hitlera z 28 kwietnia 1939, podróż Teleki'ego do Berlina, sojusz niemiecko-włoski, rokowania niemiecko-polskie i stanowisko Węgier; 3) rokowania między Anglią, Francją i Związkiem Sowieckim, próby porozumienia niemiecko-angielskiego, zajęcie przez Węgry stanowiska na wypadek wojny niemiecko-polskiej; 4) napad Hitlera na Polskę, stanowisko Węgier, oferty pokojowe Hitlera pod adresem Zachodu; 5) *drôle de guerre*, wojna sowiecko-fińska, projekt bloku neutralnego w Europie i konferencja państw bałkańskich w Belgradzie; 6) przygotowania do wojny na Zachodzie, okupacja Danii i Norwegii, podróż Teleki'ego do Rzymu i jego list do Hitlera z 17 kwietnia 1940. W tomie tym odczuwa się wyraźnie brak dokumentów o kontaktach Węgier z Zachodem, zniszczonych w chwili zjawnienia Węgier przez wojska niemieckie, a także niedostępność dokumentów sowieckich, której zresztą trudno się dziwić.

Zawarty w tych dwóch tomach materiał jest zbyt obszerny, aby można go było streścić. Na kilka dramatycznych momentów węgierskiej polityki zagranicznej tego okresu zwróciliśmy już uwagę przy omawianiu innych publikacji. Do bardziej szczegółowego omówienia całości wrócimy jeszcze po ukazaniu się pozostałych tomów.

Praca wydawców zasługuje na największe uznanie. Prócz nielicznych streszczeń dokumenty ogłoszone zostały przez nich w pełnym tekście. Odnosi się wrażenie, że wydawcy przedrukowali wszystkie dostępne im dokumenty, nie wyłączając nawet najbardziej drażliwych. Szczególnie pouczające są raporty ambasadorów i attachés wojskowych o roli, jaką Hitler przeznaczył Węgom, i ich przestrogi przed zbytnią ustepliwością.

Streszczenie niemieckie pozwala obcym zorientować się w ogólnej treści ogłoszonych dokumentów.

GODÓ, Ágnes, A Horthy-rendszer kalendar háborús tervei 1919-1921 (Awanturyczne projekty wojskowe rządu Horthy'ego z 1919-1921). *Hadtörténeti Közlemények* (Biuletyn Historii Wojny) VIII (1961), Nr 1, str. 112-144.

Wychodzące od 1954 czasopismo Instytutu (i archiwum) Historii Wojskowej utrzymane jest w stylu bardzo „technicznym”; politycznie jest mniej giętkie od innych periodyków historycznych. Wyjmujemy zeń artykuł pani Godó, dający wgląd w pierwsze lata rządów Horthy'ego.

Artykuł ten zaznajamia czytelników z trzema planami napadu na Czechosłowację, opracowanymi kolejno przez Horthy'ego i jego sztab. Już w końcu października 1919 Miklós Horthy, sprawujący wówczas funkcje „dowódcy armii narodowej”, przedłożył rządowi memoriał polityczny dowodzący, że Węgry powinny przygotować się do odzyskania z bronią w ręku utraconych obszarów, okupowanych przez państwa obce, lecz nie przyznanych im dotąd przez traktaty międzynarodowe. Za głównego wroga memoriał uważa Rumunię (której pomoc wojskowa przed kilku zaledwie miesiącami umożliwiła wypędzenie z Węgier „czerwonych”), sądzi jednak, że wystąpienie przeciw niej zbrojnie będzie możliwe dopiero w 1921. Wobec Jugosławii memoriał zaleca podwójną grę w celu przeszkodzenia aneksji Chorwacji. W Austrii przewiduje bliski wybuch rewolucji socjalistycznej, która pozwoli Węgom wystąpić w roli czynnika „przeciwbolszewickiego”. Za sprawę niecierpiącą zwłoki uważa natomiast zbrojne wtargnięcie do Słowacji. W tym celu zaleca mobilizację 100.000 żołnierza na Węgrzech i utworzenie paru dywizji ze znajdujących się w Polsce jeńców wojennych z Węgier i Słowacji. Siły te mogły być później zużyte przy interwencji w Rosji...

Traktat pokojowy przekreślił te plany. Horthy liczył wprowadzić na poparcie francuskie, Francja jednak nie zgodziła się ani na napaść na Słowację, ani na powiększenie sił zbrojnych Węgier, pozwoliła jedynie na dostawy amunicji dla Polski, odpierającej właśnie silną ofensywę czerwonej armii. Prasa węgierska omawiała wówczas szeroko te dostawy, które miały przyczynić się lub w ogóle umożliwić „bohaterskie zwycięstwo generała Piłsudskiego”.

Horthy nie dał jednak za wygraną opracowując trzy dalsze, skromniejsze projekty. Pierwszy z nich, noszący wymowną nazwę „Przebudzenie”, upadł na skutek oporu Jugosławii, następny zaś, zwany „Jutrzenką”, oraz ostatni, opracowany w końcu 1920 i noszący imię jednego z pierwszych książąt węgierskich, „Arpad” utraciły szybko swą aktualność w wyniku ograniczeń wojskowych, przepisanych Węgom traktatem pokojowym. Horthy musiał czekać 20 lat, aby wreszcie — lecz już jako pomocnik Hitlera — móc przystąpić do wykonania tych planów.

KASSAI, Géza, Magyar történelmi sorsfordulók és nemzetiségi kérdés (Los historyczny Węgier i zagadnienie narodowościowe), Budapest, Wyd. Koszuth, 1959, str. 189.

Zmarły niedawno teoretyk marksizmu Géza Kassai napisał swą książkę w latach 1940-1941 i uzupełnił w 1948. Przedstawia w niej historię zagadnienia mniejszości narodowych na Węgrzech w ciągu ostatnich stu lat. W dziesięciu rozdziałach książka jego traktuje następujące tematy: pojawienie się zagadnienia mniejszości na Węgrzech, ich sytuację przed 1848, w latach 1848-1849 i po rewolucji, zagadnienia narodowościowe w monarchii habsburskiej przed i podczas pierwszej wojny światowej, projekty polityki narodowościowej z 1918, Węgierska Republika Rad i mniejszości, politykę mniejszościową Horthy'ego. Ostatni rozdział nosi tytuł: „Zaden naród nie może być wolny, jak długo uciska inne”.

Autor poświęca stosunkowo niewiele miejsca burżuazyjnej i proletariackiej rewolucji lat 1918-1919, jakkolwiek tę ostatnią uważa za najdonioślejsze wydarzenie na Węgrzech przed 1945. Znacznie dokładniej omawia natomiast politykę Horthy'ego i jego represje, które doprowadziły do zaostrzenia się stosunków z państwami sąsiednimi. Wreszcie w rodzaju obszernego posłowania autor omawia sytuację obecną, poddając krytyce „postulaty nacjonalistyczne kontrrewolucji z 1956” i kończąc swe wywody paru oklepanymi refleksjami na temat patriotyzmu i internacjonalizmu. Książka jego pomija milczeniem sprawy drażliwe, jak sytuacja narodowościowa w obecnej Rumunii lub tony nacjonalistyczne, jakie dały się słyszeć w kampanii przeciwjugosłowiańskiej z lat 1949-1954.

Aranyhid. Válogatás hét évszázad írásaiból (Złoty most, antologia z siedmiu stuleci), zebrał Gábor G. Kemény. Wydawnictwo podręczników szkolnych, Budapeszt, 1962, str. 423.

Ta użyteczna książka jest zarazem antologią literacką i zbiorem dokumentów politycznych. Autor, historyk zagadnień narodowościowych, zebrał w niej teksty wyjęte z literatury Węgier i krajów sąsiednich, a także deklaracje polityczne, świadczące o wzajemnym porozumieniu się Węgrów i ich sąsiadów lub o trudności takiego porozumienia. Wybór jego obejmuje teksty, często mało znane, z siedmiu stuleci, od najazdu Mongołów do chwili obecnej.

Główną część książki stanowi wielogłos autorów XX wieku. Otwiera go Endre Ady, któremu odpowiadają Todor Manojlović, Octavian Goga, Emil Isac, Miroslav Krleža i sędziwy Hviezdoslav. Relacja Beli Bartóka o muzyce ludowej w Słowacji, Rumunii i Serbii mówi o roli muzyki w współzyciu narodów. Obok artykułów z okresu Węgierskiej Republiki Rad znajdujemy wypowiedzi emigrantów, jak Lajos Hatvany i Jenő Gömöry, którym odpowiada Słowak Martin Rázus. Dalej znajdujemy wiadomość, jak Zsigmond Móricz był atakowany przez nacjonalistów za podróże do sąsiadów Węgier. Lata międzywojenne reprezentują takie nazwiska jak Karel Capek, Milo Urban, Edgar Balogh, Komél Szenteleky, Zoltán Fabry, Aladár Kuncz, László Németh, Petru Groza, Anton Straka i Julius Fučík. Ten ostatni mówił o porozumieniu w 1931, na zjeździe pisarzy węgierskich w Słowacji, ale myśl jego podjął wówczas tylko jeden Attila József. Do porozumienia nie doszło ani wówczas, ani po wojnie, pod rządami komunistów.

Książka kończy się 150-stronicowym wyborem poezji i eseistyki ostatnich 15 lat. Teksty te nie dorastają przeważnie do poziomu poprzednich okresów. Zbyt wiele jest w nich przemilczeń. Możemy się z nich np. dowiedzieć o różnicach zdań i nieporozumieniach między Kossuthem i Balcescu w 1848-1849, ale o obecnych konfliktach w Siedmiogrodzie nie znajdziemy ani słowa.

Antologię swą autor zaopatrzył objaśnieniami, dzięki którym *Złoty most* może słusznie uchodzić za podręcznik historii kontaktów umysłowych w basenie naddunajskim.

jmb.

A. 220

LISTY DO REDAKCJI "ZESZYTÓW"

Ripon, Wis., 4 kwietnia 1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W trzecim zeszycie „Zeszytów Historycznych” znajduje się krótki, lecz jakże ważny artykuł prof. Piotra Wandycza pt. „Trzy dokumenty: przyczynek do zagadnienia wojny prewencyjnej”.

Słusznie pisze prof. Wandycz, że te trzy dokumenty, które udało mu się odszukać w archiwach Instytutu Sikorskiego w Londynie, „stanowią oczywiście zbyt wąską podbudowę jakiejś nowej interpretacji planów wojny prewencyjnej”. Lecz, zdaniem moim, zbliżają one nas do rozwiązania tego problemu i potwierdzają metodę pracy Piłsudskiego w sprawach najwyższej wagi dla państwa.

Prof. Wandycz doprowadza historię niesprecyzowanej misji Jerzego Potockiego w Paryżu do dnia 17 kwietnia 1933 r. Wtedy to Anatol Muhlstein dał mu do zawiezienia do Warszawy swój list do Becka, gdy jesteśmy jeszcze przy tym liście stwierdzmy, że obaj członkowie ówczesnego gabinetu francuskiego, premier Daladier i minister spraw zagranicznych Paul-Boncour, zapytywani w ostatnich latach o sprawę wojny prewencyjnej, zaprzeczali, że nic nigdy o tym nie wiedzieli. List Muhlsteina wyraźnie twierdzi, że wiedzieli o tym bardzo dobrze, że Boncour uważa, iż trzeba się tym zająć, i że „myśl ta chodzi po głowie Daladiera i... wzbudza w nim duży niepokój”.

Lecz wróćmy do osoby Potockiego. W liście swym do Paul-Boncoura (data nieznana, lecz zapewne ze stycznia 1933 r.) pisze Beck o Potockim jako o ewentualnym ambasadorze. Wtedy chodziło o objęcie przez niego ambasady w Rzymie. Jako protest przeciwko akcji Mussoliniego odnośnie paktu czterech, Potocki 24 marca, na polecenie Piłsudskiego, zrezygnował demonstracyjnie z tej placówki. Czy był on wówczas w Warszawie? Należałoby to sprawdzić.

Po powrocie z Paryża do Warszawy w kwietniu, Potocki został mianowany ambasadorem w Ankarze w końcu maja.

Przed swym wyjazdem na placówkę był on, wraz z Beckiem, wezwany do Belwederu, gdzie Piłsudski udzielił mu ustnie instrukcji bardzo poufnej zbadania opinii Kemala odnośnie Rosji.

Notatka, sporządzona przez Potockiego niezwłocznie po tej rozmowie, znajduje się w odpisie w archiwum Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku. Pisałem o tym szerzej w artykule „Piłsudski i Kemal” („Wiadomości”, nr 425 z 23 maja 1954 r.).

Opuszczam meritum tej instrukcji, lecz cytuję z zakończenia mego artykułu następujący ustęp, wyjaśniający, zdaniem moim, metodę pracy Piłsudskiego:

„Nie wchodzę w ocenę politycznej strony instrukcji. Pragnę natomiast zwrócić uwagę na pewien szczegół, charakterystyczny dla posunięć politycznych Piłsudskiego. Mam na myśli metodę użycia swego wysłannika do załatwienia pewnych spraw *bezpośrednio* pomiędzy Piłsudskim a, w tym wypadku, głową obcego państwa. Piłsudski każe Potockiemu szukać u Kemala audiencji prywatnej, podczas której ambasador raczej przestałby być formalnym przedstawicielem Prezydenta Rzeczypospolitej a stałby się bezpośrednim łącznikiem Piłsudskiego z daną osobą. Potocki ma to uczynić, ma przedstawić Kemalowi ocenę sytuacji politycznej tak, jak ją widzi Piłsudski, i to w formie ustnej. Żaden ślad tych rozmów nie ma pozostawać w archiwach rządowych; ma to dziać się „bez zaznajomienia rządów i parlamentów, a nawet ministrów”.

Ta metoda działania Piłsudskiego za pomocą ludzi bezwzględnie zaufanych i w zupełności lojalnych, jest bardzo charakterystyczna. Myślę, że trzeba to mieć na uwadze przy badaniu sprawy tzw. wojny zapobiegawczej przeciw Niemcom, która nie schodzi z łamów polskiej prasy emigracyjnej. Należy przy tym pamiętać że pomiędzy akcją zapobiegawczą Piłsudskiego (kwiecień 1933) a instrukcją daną Potockiemu w sprawie poufnych rozmów z Kemalem (koniec maja 1933) upłynęło zaledwie kilka tygodni. Można przeto przypuszczać iż metoda, zastosowana przez Piłsudskiego do rozmów w Paryżu, była podobna do tej, którą Piłsudski zastosował do rozmów w Ankarze”.

Gdy pisałem te słowa dziewięć lat temu nie wiedziałem, że tenże sam Jerzy Potocki był użyty przez Piłsudskiego (Beck nie mógł wysłać Potockiego do Paryża bez zgody Marszałka) do równie tajnej misji, z pominięciem rządu i ambasadora w Paryżu. Czy ta misja dotyczyła wybadania Francuzów w sprawie „wojny przewencyjnej” czy też w innej, równie ważnej sprawie? Nie wiemy, lecz słusznie prof. Wandycz podkreśla, że wówczas w polityce polskiej „centralnym zagadnieniem... mogła być jedynie sprawa zbrojeń niemieckich”.

Opierając się na analogii z zadaniem, jakie Potocki miał spełnić w Ankarze można sobie łatwo wyobrazić że rozmawiał on w Paryżu w powierzonej mu sprawie z kim należy (Paul-Boncour?), nie wolno mu było ani poinformować naszego ambasadora w Paryżu, ani napisać raportu tak żeby ślad tych rozmów nie pozostał w archiwach rządowych. Można być pewnym, że Potocki wykonał to ściśle i dobrze, to znaczy że przywiózł informacje, na których mógł Piłsudski oprzeć swe dalsze decyzje. Gdyby tak nie było, nie otrzymałby niezwłocznie po powrocie z Paryża nowej placówki i nowego, równie poufnego zadania w Ankarze.

Odkrycie przez prof. Wandycza trzech dokumentów jest, zdaniem moim, bardzo ważnym krokiem naprzód w wyjaśnieniu polsko-francuskich i polsko-niemieckich stosunków w początkach ery Hitlera.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego prawdziwego szacunku i poważania.

Wacław JĘDRZEJEWICZ

Londyn, 11.2.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W niezmiernie ciekawym zeszycie trzecim „Zeszytów Historycznych” znajdują się dwie relacje dotyczące okresów i wydarzeń znanych mi z

własnych przeżyć, toteż uważam za swój obowiązek prosić Pana Redaktora o zamieszczenie w „Kulturze” uwag i sprostowań — *pro publico bono*.

1) Relacja śp. pplk. dypl. W. Mercika pt. „Wspomnienia z 'Wypadków Majowych'” nosi wyraźne cechy przedawnienia, to znaczy pisania po wielu latach, w tym wypadku z górą 30-tu, polegając wyłącznie na pamięci, bez oparcia na notatkach, pamiętniku czy dokumentach z danego okresu. Stąd też zrozumiałe jest, że relacja zawiera akcenty będące echem późniejszych przemyśleń i przeżyć autora, oraz pewne błędy czy nieścisłości.

Byłem podchorążym w kompanii kpt. Mercika, w II plutonie por. Światłowskiego (zginął jako podpułkownik w Kampanii Wrześniowej), dlatego mogę stwierdzić z całą pewnością, że zawiodła autora relacji pamięć. Otóż wbrew temu co autor pisze, II pluton jego kompanii nie znalazł się wcale w Wilanowie 14 ani 15 maja, gdyż pluton ten był jednym oddziałem który został „wzięty do niewoli” przez oddział piechoty — którego pułku, nie wiem — walczący po stronie Marszałka Piłsudskiego i spędził trzy czy cztery dni w obozie nad Wisłą — na Bugaju. Nie wiem, gdzie się okopywał III pluton, wiem natomiast, że II pluton zrobił okopy z chodników naprzeciwko wejścia do Łazienek (jakże się ta ulica nazywała?) i że przespałem się godzinę opierając się o mur ogrodu kawiarni Dakowskiego. Do mego plutonu plk. Paszkiewicz nie wygłosił żadnego przemówienia. Dostaliśmy się „do niewoli” na skutek pobłądzenia w Łazienkach, a że oficer dowodzący oddziałem, który nas otoczył (dosłownie — przyparł do muru, choć nie widzieliśmy „nieprzyjaciela” wcale!) był kolegą por. Światłowskiego, zgodził się na „honorowe” warunki: przemaszerowaliśmy przez zatłoczone ulice z bronią na ramieniu (choć oddać musieliśmy amunicję!) do komendy miasta, tam odebrano nam karabiny i zaprowadzono na Bugaj.

Druga nieścisłość: plk. Hertel wygłosił przemówienie do szkoły podchorążych (bez oficerów) nie w Rembertowie, lecz w Warszawie, w budynku szkoły przy Alejach Ujazdowskich. Zwymyślanie nas zakończył wyrażeniem wątpliwości, czy Marszałek pozwoli nas kiedykolwiek zrobić oficerami. W rzeczywistości Marszałek nas pochwalił i nie słyszałem aby ktokolwiek z nas miał później być narażony na jakieś szykany. Co prawda jednego z moich bliższych kolegów spotkała w 1933 r. przykrość: inspektor armii zapytał go w czasie przedwstępnego egzaminu do W.S.Woj. tak oto niedelikatnie: Pan jako podchorąży walczył przeciw Panu Marszałkowi; niech pan powie, jak pan się wtedy czuł, co pan myślał?”. Kolega mój, późniejszy major, dał odpowiedź szczerą, męską, która generała X. jak się to mówiło — zatkala; nie wiem czy mój kolega miał słuszny żal, twierdząc że właśnie ta odpowiedź spowodowała „spalenie” go na egzaminie; nie przypuszczam aby tak było, toteż nie wymieniam nazwisk generała i mego kolegi.

2) Relacja plk. dypl. L. Mitkiewicza pt. „Z paryskiej 'Reginy' do londyńskiego 'Rubensa'” ma podtytuł „Kartki z mojego notanika”, stąd jej braków nie można kłaść na karb złej pamięci. Niezrozumiałe — a może charakterystyczne? — są następujące punkty:

I) W okresie od 2 marca 1940 do 30 czerwca 1940 r. notatki szefa misji wojskowej nie zawierają ani jednej wzmianki o walkach naszych myśliwców we Francji.

II) 8 lipca 1940 r. autor zanotował: „Marynarze i lotnicy nie przeszli przez katastrofę Francji”. Zatem autor nie wiedział, że we Francji było z górą osiem tysięcy lotników, że 160 pilotów myśliwskich walczyło i odniosło

45 zwycięstw powietrznych, że szereg jednostek lotniczych rozrzuconych po Francji ewakuowało się różnymi drogami i nieraz w dramatycznych okolicznościach, że jednak prawie całe 8 tysięcy lotników dotarło po 3 miesiącach na wyspę. I jak się tu było dziwić że nazywaliśmy rezydentów „Rubensa” leśnymi dziadkami?

III) W tymże dniu 8 lipca 1940 autor zanotował rozlokowanie Polskich Sił Zbrojnych; wedle autora: „Lotnictwo nasze znajduje się w okolicach Londynu”. Równa się to powiedzeniu: Jezioro Gopło znajduje się w okolicach Wilna. Bo oto najbliższa jednostka lotnicza — dywizyjony bombowe — była w dniu 8 lipca w okolicy Leicester, 200 kilometrów od Londynu, a gros lotnictwa znajdowało się w Blackpoolu i pod Glasgowem — 350 i 630 kilometrów od Londynu. Plk. Mitkiewicz był myślami widocznie jeszcze w kwietniu 1940, gdy lotnicy znajdowali się w obozie w Sheerness-on-Sea, 60 km. od Londynu, ale ten właśnie obóz — pierwszy w Anglii — przeniósł się w maju 1940 do Blackpoolu. Zapewne takie szczegóły nie interesowały szefa misji i przyszłego szefa II Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza.

IV) Od 8 lipca do 24 sierpnia autor nie miał nic do zanotowania o lotnictwie. Tymczasem w połowie lipca polscy piloci rozpoczęli działania bojowe w Battle of Britain, 2 sierpnia 303-ci Dywizjon przybył do Northoltu pod Londynem, następnego dnia gościł ministra Sinclair'a; 11 sierpnia zginęli w obronie Anglii pierwsi polscy lotnicy — por. Ostowicz i kpt. Stęborowski, następnego dnia kpt. pil. inż. Pankratz; było o tym w gazetach, w komunikatach N.W., ale uszło uwagi plk. Mitkiewicza; ważniejszy daleko od tego był szczegółowy opis oglądania hoteli i kwater w Szkocji, no i „Rubensa” — w dniu 18 lipca, rozszerzony w dniu 24 sierpnia. Zabawne jest to, że na najwyższym piętrze „Rubensa”, na którym sam autor mieszkał nawet, mieścił się również Inspektorat Polskich Sił Powietrznych, co również uszło uwagi autora. Zawsze sądziłem, że wynajmowanie kwater i urządzenie ich należało do obowiązków komendanta kwatery głównej — no, ale „u nas inaczej”, zajmował się tym ważnym zadaniem szef misji wojskowej. Gdy w październiku 1940 byłem w Londynie, powiedziano mi, że kwaterymistrz umieścił lotnictwo na najwyższym pięttrze — „bo lotnicy powinni być najbliżej nieba”, a ponadto dlatego, że winda często zawodziła.

V) 15 sierpnia 1940, w rocznicę Święta Żołnierza Polskiego, wszedł do walki pierwszy dywizjon myśliwski P.S.P., 302 Poznański; 21 sierpnia dywizjon zestrzelił swój pierwszy samolot nad Anglią; 31 sierpnia wszedł do walki i odniósł pierwsze zwycięstwo 303-ci Dywizjon Kościuszkowski, 7 września 303-ci zestrzelił 7 samolotów niemieckich. I września Polacy zestrzelili 20 samolotów niemieckich, z tego 303-ci czternaście, prasa i radio pełne są zachwyty dla naszych myśliwców, odwiedza ich król Jerzy VI, gen. Sikorski. 14 września dywizyjony bombowe 300 i 301 wykonują pierwsze loty bojowe z Wyspy — ale w notatkach szefa Oddziału II polskiego sztabu głównego nie ma o tych wydarzeniach ani jednej wzmianki! Natomiast tegoż 14 września autor zanotował patetyczny widok z okna swego pokoju w „Rubensie” jak to dwie bomby niemieckie (po 50 kilogramów czy 100 bodaj) spadły na pałac królewski i jednak wszystko było *as usual*. A dlaczego nie miało być? Strat w ludziach nie było, szyby wyleciały i jak autor pisze był „straszny kurz”, natomiast zwycięstwa polskich skrzydeł były na pewno wielkim wydarzeniem historycznym i takim na zawsze pozostaną, choć widocznie na autorze notatek nie zrobiły wrażenia — zachwycał się wtedy harcerzami angielskimi (patrz notatka 24 sierpnia).

Relacja plk. Mitkiewicza budzi smutne refleksje; notatki i własne myśli autora potwierdzają w dużej mierze iż były podstawy do narzekania

linii na „Rubena”. — Zajmowano się tam przede wszystkim polityką, choć większość nie była do tego powołana, intrygami partyjnymi, wzajemnym zwalczaniem się Piłsudczyków i ludzi Sikorskiego, strategią „fotelową”; każdy pułkownik i generał „Rubensa” chciał dawać rady Anglikom jak prowadzić wojnę, pilnowano własnych wygod, dodatków sztabowych i dodatków londyńskich, ale o linii nie wiele myślano, jej sprawy załatwiano wolno, zbywano nieraz niczym. z władzami brytyjskimi się nie targowano, bo rzekomo „nie wypadło”, a na pewno lepiej się osobiście wychodziło gdy się kłaniano w pas i stawało się *plus catholique que le pape* — polskim *yes-manem*, bo ostatecznie w „Rubensie” nikomu się krzywda nie stanie. Od bitew powietrznych i bitew na morzu w których sławę zdobywali i ginęli polscy lotnicy i marynarze, w okresie objętym relacją płk. Mitkiewicza, ważniejsze były sprawy kuchni politycznej, intryg, zamachów, awansów — oto co potwierdza relacja płk. Mitkiewicza.

Franciszek KALINOWSKI



Wellington, N.Z., 13.4.63.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Franciszka Kalinowskiego: „Naczelni wodzowie i lotnictwo”, zamieszczony w nrze 3-im „Zeszytów”. Kiedyś obracałem się dosyć swobodnie wśród zagadnień w artykule poruszanych. Może, więc, będzie dobrze podać do wiadomości czytelników, uwagi, jakie mi ten artykuł nasunął. Nie zamierzam polemizować z Autorem. Polemika jest możliwa, gdy istnieje różnica zdań. Moje uwagi są jedynie, komentarzami.

Bez względu na przebieg i rezultaty naszej kampanii 1939 roku, nasze lotnictwo przestałoby istnieć w krótkim okresie czasu. Nie tylko na skutek działań nieprzyjacielskich; po prostu wykruszyłyby się z powodów technicznych. Te powody, to: brak uzupełnień sprzętu, brak służb, nieprzystosowanie do warunków polowych.

— Uzupełnienie sprzętu: Przedwojenne obliczenia, oparte na doświadczeniach 1-szej wojny, przyjmowały straty wojenne samolotów na 25% stanu 1-szej linii miesięcznie. W konkretnym wypadku września 1939 r., byłaby to cyfra około 100 samolotów. Cyfra zbyt wysoka na możliwości naszego przemysłu. Zresztą, w rzeczywistości, ilość samolotów zestrzelonych i zniszczonych w inny sposób, wyniosła w kampanii wrześniowej 82% stanu wyjściowego. Ale i na 25% nie było nas stać. O istotnym zwiększeniu produkcji nie mogło być mowy z dwóch względów. Są to: uszkodzenia ponoszone od pierwszego dnia na skutek działalności niemieckiego lotnictwa i dezorganizacja siły roboczej fabryk. Ta ostatnia nastąpiła dzięki pedantycznemu stosowaniu zarządzeń mobilizacyjnych. Wiemy, jak w rezultacie masowej mobilizacji, władze znalazły się wobec pytania co robić z masą rezerwistów dla których nie tylko broni, ale mundurów i butów brakowało. Wiemy, także, że rozwijający się gwałtownie COP pochłoniął całą nadwyżkę robotników. Przedwojenny rynek pracy wykazywał brak wykwalifikowanych robotników fabrycznych, a specjalnie metalowców, ślusarzy i podobnych zawodów niezbędnych w przemyśle lotniczym. Można było oczekiwać, że władze mobilizacyjne dodadzą te dwa czynniki do siebie i wyciągną wnioski. Stało się prze-

ciwnie, pozwolono wyreklamować dla lotniczego przemysłu tylko najniezbędniejszy, kluczowy personel. Z rozpoczęciem wojny, przemysł lotniczy, zamiast puszcząć produkcję na całą parę, musiał zacząć starania o skompletowanie fabrycznych załóg.

Powodem opóźnień był, również, pomocniczy przemysł wytwarzający specjalne elementy płatowców i silników i wyposażenie samolotów. Ten przemysł, będąc słabszym, nie nadążał za głównym przemysłem lotniczym już w okresie pokoju.

Dużo mówiło się o tym, że alianci nie sprzedali nam samolotów. „Bo gdybyśmy mieli te Hurykany i te ich Ferybatle”... Wolne żarty. Po pierwsze, wiadomo, że Francuzi i Anglicy nie mieli samolotów za wiele nawet na własne potrzeby. Po drugie, sprzedali, a mianowicie: 160 myśliwców „Morane-406”, 100 lekkich bombowców Fairey „Battle”, II Hawker „Hurricane” i I supermarine „Spitfire”. A po trzecie i najważniejsze: nasza misja zakupów wyjechała do Anglii i Francji w kwietniu, a transakcje zostały zawarte w maju 1939 roku. Musztarda po obiedzie. A dlaczego — zaraz wyjaśnię.

W przeciwieństwie do innych wyrobów przemysłowych, sprzęt lotniczy nie był (i nie jest) znormalizowany. Każdy nowy samolot buduje się niezależnie od poprzednich typów. Zależność jest, tylko ta, że płatowiec buduje się dla danego silnika, a nie na odwrót. (Tak jak działo dla konkretnego pocisku). Każda, więc, nowa konstrukcja wychodząca z danej fabryki, będzie miała, lub mieć może, duże odchylenia od innych produktów tej samej fabryki. Zwykle, zresztą, z zachowaniem pewnych, charakterystycznych dla danej wytwórni, cech. Konstrukcje dwu różnych fabryk będą miały, z reguły, większe różnice. Samoloty pochodzące z różnych fabryk będą miały, z reguły, większe różnice. Samoloty pochodzące z różnych krajów — jeszcze większe. Różnice mogą zachodzić we wszelkich dziedzinach. Może mieć miejsce przeciwne sterowanie, lub manipulacja przyrządów; inna obsługa i konserwacja części i zespołów; różne materiały pędne, smary i oleje itd. Nowy samolot w oddziale wymaga „uczenia się go”. Uczy się personel latający i uczy się obsługa ziemna. Jeżeli samolot jest już w użyciu danego lotnictwa, nauka ogranicza się do zainteresowanego oddziału, pod nadzorem i z pomocą specjalistów z instytucji technicznych. Mimo to, przebrojenie na nowy sprzęt trwa kilka miesięcy, czasami rok. Wtedy, dopiero, można uważać oddział za całkowicie „operacyjny”.

Znacznie większe trudności występują w wypadku wprowadzenia na uzbrojenie całkowicie nowego sprzętu. Teraz, część „nauki” spada na instytucje centralne. Trzeba przeprowadzać badania i doświadczenia. Na ich podstawie opracowywać instrukcje użycia nowego sprzętu (w wypadku sprzętu zagranicznego — tłumaczyć), układać zestawy narzędzi i części zapasowych potrzebnych oddziałowi jako podręczny zapas, często zmieniać etaty personalne a, nawet, skład transportu samochodowego oddziału. Tyle, w krótkim zarysie. Wniosek: nie moglibyśmy użyć tych zakupionych we Francji i Anglii samolotów przed połową 1940 roku.

— Służby lotnicze: Nie ma wielkiej przesady w powiedzeniu, że zanim się ma samolot, wpierv trzeba się, postarać o warsztat i magazyn dla niego. Te warsztaty, magazyny i wiele innych pożytecznych urządzeń posiadaliśmy, ale na stałych, pokojowych lotniskach. W wypadku wojny, eskadry i dywizjony musiały przejść na lotniska połowe położone tam, gdzie wymagały względy operacyjne. Musiały im towarzyszyć w pole służby zapewniające naprawę, uzupełnienie i ewakuację sprzętu, dostarczenie potrzebnych materiałów, budowę i konserwację lotnisk, zapewnienie obsługi meteorologicznej itd. itd. Żeby spełniać należycie swoją rolę

w czasie wojny, musiały te służby istnieć i gromadzić doświadczenia w czasie pokoju. Ale, w czasie pokoju służby lotnicze nie istniały. A raczej istniały na papierze. Jakiś referent, może nawet sam kierownik referatu opracował etaty, szef wydziału podpisał, zaopatrzone to w „koszulkę” upstrzoną podpisami zainteresowanych wydziałów i... sprawę uznano za załatwioną. Mieliśmy, więc, ruchome parki, plutony warsztatowe i techniczne, stacje i posterunki meteorologiczne, kompanie obsługi etc. Ale jak i do czego mają te oddziały służyć nie wiedzieli ani przyszli przełożeni, ani, co gorsza, nieszczęśliwi oficerowie rezerwy wyznaczeni na dowodzenie nimi.

Jak wyglądało to w praktyce ilustruje następujący przykład: Nakładem Ministerstwa Obrony Narodowej ukazała się w Warszawie książka pułkownika dyplomowanego nawigatora w stanie spoczynku Adama Kurowskiego, „Lotnictwo Polskie w 1939 roku”. Wyjaśniam, że pułkownik Kurowski był w swoim czasie dyrektorem nauk Wyższej Szkoły Lotniczej a w czasie kampanii wrześniowej pełnił funkcje szefa sztabu lotnictwa armii „Poznań”. Z tytułu zajmowanych funkcji powinien być znać lepiej niż ktokolwiek inny organizację, przeznaczenie i zadania oddziałów podlegających jego kompetencji. Otóż, pułkownik Kurowski pisze (str. 69): „Rzeczywistość 1939 r. wykazała brak naprawdę ruchomej komórki technicznej, która mogłaby pomóc eskadrom dorywczo na ich własnym lotnisku. Prawdopodobnie tak właśnie były pomyślane owe nie zmobilizowane plutony warsztatowe”.

Nie „prawdopodobnie”, ale tak właśnie było, i panie pułkowniku, zgadł Pan.

Trzeba, więc, wierzyć, że szef sztabu lotnictwa armii, który miał dysponować użyciem oddziałów, nie był poinformowany do czego mają one służyć.

Że pułk. Kurowski nie widział swoich plutonów warsztatowych, to także nic dziwnego. Wprawdzie jednostki bojowe zaalarmowano i wysłano na polowe lotniska już 27-31 sierpnia (rzuty kołowe odeszły 25-26), ale mobilizację służb (tych dotychczas nie istniejących) przewidziano od 10 dnia mobilizacji, czyli od 10 września. Niektóre z nich miały być mobilizowane w bazach Poznania, Torunia, Krakowa. Mamy czas, jakies tam służby lotnictwa!

Czy te służby mogły wydajnie pracować? Miesiące by przeszły nim by to nastąpiło. Wiem o jednej jedynej próbie pracy paru elementów służb — na manewrach wołyńskich w 1938 r. Doświadczenia trwały — tydzień. Personel służb, spędzony doraźnie do kupy, musiał zaczynać pracę od opracowania swoich zadań, celów i sposobów pracy. Łatwo się domyślić, że, na niższych nawet, szczeblach, praca jest różniczkowana. Mechanik ma inne zadania i sposoby pracy w eskadrze, inne w parku lub w plutonie warsztatowym, a jeszcze inne w plutonie technicznym, którego celem była ewakuacja uszkodzonych samolotów. Brak doświadczeń powodował brak odpowiedniego, dostosowanego do zadań sprzętu. Na przykład, jak sobie wyobrażano ewakuację uszkodzonych samolotów przy użyciu zwykłych ciężarówek? Bo specjalnych samochodów nie było.

Brak służb lotniczych spowodował olbrzymi procent samolotów spalonych przy wycofywaniu się, których techniczny personel eskadr nie był w stanie naprawić. Brak służby budowy i konserwacji lotnisk spowodował rozbięcie wielu maszyn na skutek złej nawierzchni lotniska.

Jakby dla powiększenia trudności, na kilka tygodni przed wojną, intendentura wypuściła, nareszcie, ze swoich szponów benzynę lotniczą. Zawiadomiła, przy tym, że, niestety, ale wszystkie cysterny kolejowe rozgospodarowała już na własny użytek.

Czemu przypisać i komu te zaniedbania?

Lotnictwo było postawione, na czas pokoju, w warunki w których nie odczuwało potrzeby służb. Szło się na manewry, to pułk dosyłał na najbliższą boczną koleją cysterne, albo beczki z benzyną. Żywność pobierało się z jakiejś wojskowej jednostki, albo otrzymywało się pieniądze. W wypadku poważniejszego uszkodzenia, albo rozbicia maszyny — telefonowało się do najbliższej bazy. Proste, jasne i wygodne.

Ale jest i inna, głębsza przyczyna. Charakterystyczne, jak mało pisze się na te tematy. W „Destiny can wait”, lub u Kurowskiego — po parę stronice, na kilkadziesiąt całości. Dlaczego tak małe zainteresowanie tak ważnymi sprawami? Bo jesteśmy narodem rycerskim. Nie nam babrać się w tych rzeczach. Szpadę mi albo w naszym wypadku — knypel do ręki, a nie papierki. Szanujący się pilot czy obserwator był wyższy ponad takie sprawy. Wiem coś o tym i biję się w piersi.

— Nieprzystosowanie do warunków polowych: Właściwie omówiłem ten temat w poprzednim paragrafie. Dodam do powiedzianego wyżej parę objaśnień. Inaczej wygląda praca lotnictwa z lotniska stałego pokojowego typu, a inaczej na lotnisku polowym. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do pracy personelu naziemnego. Tu doprowadza się samolot do podziemnego zbiornika i napełnia zbiorniki elektryczną pompą, tam pompuje się ręcznie z beczek (bośmy cyster samochodowych z pompą benzynową nie mieli). Proszę wpompować około dwu ton do „Łosia” — różnica stanie się od razu jasna. I tak w każdej czynności. Można wynaleźć wiele pomocniczych urządzeń. Wynaleźli je alianci i Niemcy. Ale dochodzi się do tego praktyką. Nasze eskadry prawie nie opuszczały podstawowych lotnisk. W polowych warunkach były może tydzień, może dwa rocznie. Wyjątek stanowiły plutony i eskadry obserwacyjne. Ale te miały sprzęt lekki, łatwy do obsługi nawet w polu.

I jeszcze jedno. Rozbudowa pokojowych lotnisk rozděła je do kół — nie do obrony przez najsilniejszą, nawet, opl. Takie Okęcie. Dętyłe jest mowy o „prewencyjnych działaniach wojennych” Polski. Póki bliń. Na przykład Okęcie. Jeden bok zajmował I. pułk lotniczy ze swoimi 13-ma eskadrami (14-ta stała na Mokotowie), z parkiem zatrudniającym kilkuset robotników, koszarami, osiedlami oficerskimi i podoficerskimi. Dalej, za wskazówką zegara, I.T.L., L.W.D. (dawne R.W.D.), P.Z.L. płatowcowe, P.Z.L. silnikowe, Lot. Gdzie rzucisz bombę to trafny.

Jeżeli polowe warunki utrudniają pracę latem, to zimą robią ją nie do wytrzymania. Lotnisko, pokryte śniegiem, wymaga walców do ubicia pasów startowych. Silniki zamarzają i muszą być ogrzewane grzejnikami, nieraz po całych nocach. Trzeba to widzieć, żeby zrozumieć jakiego ta praca wymaga wysiłku od obsługi. Wniosek — zwiększanie personelu. Takie zimowe doświadczenia przeprowadzało lotnictwo obserwacyjne. Czy były próby z innymi rodzajami — nie wiem, ale zdaje mi się że nie. Wątpię, także, by potrzebny, zimowy sprzęt istniał w dostatecznych ilościach.

Tak wyglądały „tyły” lotnictwa, a dokładniej powiedziawszy — ich brak. Czy porównanie naszego lotnictwa z potiomkinowskimi wioskami odbiega od prawdy?

Sytuację lotnictwa opisaną przez Autora, ilustruje historia lotnictwa obserwacyjnego.

Dużo mówiło się i pisało o lotnictwie obserwacyjnym, początkowo zwanym towarzyszącym. Już na parę lat przed wojną, w lotnictwie nikt nie wierzył, że ten rodzaj ma jakiegokolwiek możliwości skutecznej pracy bojowej. Zadania i wypływający z nich sposób pracy, wykluczały wykonanie. Około stu trzydziestu maszyn i załóg można było wyzyskać w wydaj-

niejszy sposób, na przykład jako bombowe (oczywiście po zmianie typu samolotu). Nawiasowo, zapomina się, że było ich aż 18 eskadr. Na wojnę poszło 12-cie bo mobilizacja zwinęła po jednej eskadrze każdego każdego dywizjonu. Rzadko spotykany wypadek, kiedy wskutek mobilizacji, ilość oddziałów nie wzrasta, ale maleje.

Mimo ujemnych opinii lotników, „towarzysze” istnieli, doczekali się wojny i wzięli w niej udział. Dlaczego? Oddajmy coś cesarskiego cesarzowi — w tym wypadku winę ponoszą (każde w swoim zakresie): władze naczelne, armia i lotnictwo.

Podobno pomysł należał do samego ministra Spraw Wojskowych — gen. dyw. Tadeusza Kasprzyckiego. Wziął go, bodaj, od Włochów. Pomysł był, w zasadzie, dobry. Lekka maszyna, o słabszym silniku, kręci się nad liniami i melduje co widzi. Mogąc lądować na każdym polu, trzyma się blisko dywizji — łatwa łączność. Koszt o wiele mniejszy od samolotów rozpoznawczych. Za tańsze pieniądze można mieć lotnictwo, które, narzeczcie, na coś się armii przyda.

Zapomniano o jednej rzeczy — sprzęt dobry przeciwko wojownikom Negusa, nie wystarcza przeciw armiom europejskim. O lataniu na wolnej, mało zwrotnej maszynie nad dywizją niemiecką mającą organiczny dywizjon przeciwlotniczy; o lataniu na takim nieuzbrojonym gracie po niebie pełnym Messerschmittów, nie było mowy.

Lotnictwo dojrzało w generalskim pomysłe inną możliwość. Dotąd, w ćwiczeniach z armią, lotnictwo było milczącym statystą. Lotnicy latali wojsko robiło swoje. Na manewrach trudno jest wykazać przydatność myśliwca, czy bombowca. Nawet samolot rozpoznawczy okazuje małą pomoc. Z powstaniem „towarzyszy” zaistniała możliwość wykazania armii własnej przydatności. Wysłyż rozkazy: „Robić co tylko się da; stać się niezbędnymi dla ziemnych dowódców. Sprzedawajcie się jak najlepiej”.

Zaczęliśmy się „sprzedawać”. Lataliśmy kiedy można i nie można. W dobrą i złą pogodę. Przed świtem i po zmierzchu. Deptaliśmy po piętach wojsku zmieniając lądowiska po parę razy na dzień. Lądowaliśmy na półkach i łączkach w pobliżu dowództw i oddziałów z ustnymi meldunkami. Byłe się wkupić w łaski naszych władców — wojska.

Zresztą i przyjemności było kupę.

Armia zaczęła „kupować”. Meldunki były sumienne i jak się okazało — zasługiwały na wiarę. Dowódcy przyzwyczaili się do lotniczej współpracy. Wymagania zaczęły dochodzić do absurdów. Za to pole walki coraz mniej sprzyjało szwendaniu się nad nim. Ale na tłumaczenia było za późno.

Dlatego, na wojnie mieliśmy dwanaście eskadr obserwacyjnych, zamiast o tyle więcej myśliwskich i bombowych.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Tadeusz NOWACKI



Lizbona, 18 lipca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszytcie trzecim „Zeszytów Historycznych” ukazały się dwa artykuły: Wiktora Sukiennickiego „Mademoiselle” Piłsudskiego i Tadeusza Katelbacha „Łoże”. W obu mowa jest, w większym lub mniejszym

stopniu, o osobie i działalności publicznej Ignacego Paderewskiego. Jako jeden z dawnych współpracowników z roku 1919 i zawsze wierny pamięci wielkiego Polaka, pragnę dorzucić nieco uwag, jakie mi się nasunęły w związku z tymi interesującymi wypowiedziami.

Już od dawna nosiłem się z zamiarem omówienia książki Adama Grzymały-Siedleckiego: „Niepospolici ludzie w swoim dniu powszednim”, wydanej w kraju w r. 1961, a ściślej mówiąc — jednego z jej rozdziałów, poświęconego Paderewskiemu. Artykuł prof. Sukiennickiego, poruszający ten sam temat, daje mi asumpt do zabrania głosu w tej sprawie.

Jestem z całym podziwem dla Grzymały-Siedleckiego, który w tak sędziwym wieku potrafi skreślić tyle ciekawych sylwetek wybitnych Polaków, sypiąc, jak z rękawa, szeregiem barwnych opisów i zabawnych anegdot i ostro rysując wizerunki swych modeli. Nie mam jednak wrażenia, podobnie zresztą jak, zdaje się, i prof. Sukiennicki, by wspomnienia jego można było traktować, jako wiarogodne materiały historyczne. Pomijając pewien trochę rażący „młodopolski” sposób pisania, jeśli chodzi o formę, wysunąłbym również i poważniejsze zarzuty, dotyczące tym razem treści. Grzymała jest moim zdaniem powierzchowny i zbyt „felietonowy”, gdy mówi o bądź co bądź dość poważnych sprawach. Dbą więcej o efekt, niż o prawdę historyczną, z którą niekiedy obchodzi się po macoszem. Zastłyszane opowiadania podaje bez należytego krytycyzmu, powtarzając niekiedy zwykłe plotki czy złośliwości, choć nie brak mu chyba dziś tak cennego dla dziejopisów dystansu. Specjalnie, w odniesieniu do Paderewskiego, sądzę, że mógł być się zdobyć na bardziej pogłębione studium psychologiczne i ocenić z większym zrozumieniem i bezstronnością jego polityczną działalność z r. 1919. Natomiast, mam wrażenie, że to, co Grzymała-Siedlecki pisze o swoich bezpośrednich kontaktach z Paderewskim i z p. Paderewską jest prawdopodobnie ściśle i, jako przyczynek do charakterystyki Paderewskiego, nie bez wartości. Świetna pamięć i niewątpliwy dar obserwacyjny autora oddają mu wielkie usługi. Dodać wypada, że Grzymała-Siedlecki żonaty był (czy jest) z siostrą żony plenipotenta Paderewskiego, Tadeusza Jentysa. Obie panie były krewnymi pani Paderewskiej, o czym Grzymała jednak nie wspomina. Stąd bliski dostęp do Paderewskiego i okresowa współpraca z nim w Warszawie i w Paryżu (w Warszawie np. Grzymała-Siedlecki zredagował odpowiedzi na wszystkie listy i depecze powitalne otrzymane przez Paderewskiego po przyjeździe do Polski, a potem po objęciu stanowiska premiera, z czego wywiązał się zresztą doskonale).

W relacji Grzymały dostrzegłem następujące nieścisłości, które pragnę sprostować. Tak więc, Paderewski, wbrew temu, co pisze nasz autor, nie zawsze mieszkał u króla Alberta w czasie swych pobytów w Brukseli (za mojej pamięci w tej stolicy Paderewski był dwa razy i zawsze stawał w hotelu, raz w r. 1929, a drugi raz w r. 1932). Sylwin Strakacz, o ile mi wiadomo, nie siedział bynajmniej w więzieniu w St. Zjedn. w związku ze sprawą testamentu i spadku po Paderewskim. Dmowski, wreszcie, nie był drugim, lecz pierwszym delegatem Polski na Konferencję Pokojową, drugim był właśnie Paderewski. Ale to, co mnie przyko uderzyło, to kolportowany przez Grzymałę rzekomy opis przyjazdu Paderewskiego do Hagi w wersji naszego ówczesnego posła, prof. Kętrzyńskiego. Na cześć Paderewskiego „wivatowały tłumy”, on zaś wyrażać miał zdziwienie, że „nie widzi nigdzie fotografów”. Jeżeli działo się to w r. 1929, kiedy Paderewski rzeczywiście koncertował w Hadze, to przypadek zrządził, że widziałem go w chwili przejazdu przez Brukselę. Był chory i zmęczony i na pewno na fotografiach mu nie zależało. Nie dbał zresztą wcale o jakąkolwiek reklamę (miał prawo chyba być pod tym względem zblazowany!). Gdy po koncercie w Antwerpii w jakiś czas potem zaniósłem mu do

hotelu cały zbiór entuzjastycznych recenzji i artykułów, zostawiłem go sekretarzowi, którym był wówczas Anglik, i powiedziałem o tym Paderewskiemu, odpowiedział, śmiejąc się: „Niepotrzebnie się Pan trudził, bo on nie rozumie, a ja nie przeczytam”.

Przechodzę do artykułu prof. Sukiennickiego, który wiąże się ze szkicem Grzymały, zwłaszcza w odniesieniu do osoby Czesława Świrskiego. Znałem go, oczywiście, należąc do najbliższego kręgu otoczenia Paderewskiego i do jego osobistego sekretariatu. Miał ujmującą powierzchowność i b. dobre maniery, mówił jednak z pewną trudnością i robił wrażenie kogoś, kto przeszedł przez ciężkie przeżycia, z których dotąd nie zdołał się jeszcze otrząsnąć. To budziło niewątpliwie sympatię i tym sobie tłumaczył zyczliwość, jaką oboje pp. Paderewscy go darzyli. Natomiast do dziś dnia nie rozumiem, dlaczego tak mało poważny i zapewne nie bardzo zrównoważony człowiek mógł pełnić funkcje łącznika między Naczelnikiem Państwa a Premierem i być mężem zaufania pierwszego wobec drugiego. Chaotyczny list Świrskiego do Piłsudskiego rzuca dość ponure światło zarówno na jego poziom umysłowy, jak i na jego lojalność w stosunku do Paderewskiego. Intrygi, zwłaszcza przeciwko Erazmowi Piltzowi, obok Dmowskiego najwybitniejszemu członkowi Komitetu Narodowego, budzić mogły jedynie politowanie. Fakt, że Świrski nie odegrał później żadnej roli politycznej, że został jedynie notariuszem (*paris bene merentium*) i że w końcu wyjechał do Brazylii, świadczy, że jego „misja” w Paryżu nie przysporzyła mu laurów i nie utarowała drogi do dalszej kariery życiowej i urzędowej.

Przechodząc do stosunków między Piłsudskim, Paderewskim i Dmowskim, muszę, podobnie jak i prof. Sukiennicki, zakwestionować wiarygodność plotki cytowanej przez Grzymałę na temat rzekomego przyjęcia na siebie przez Paderewskiego odpowiedzialności wobec Sejmu za „Odezwę Wileńską”. Paderewski, sądzę, że z całym przekonaniem, popierał program federacyjny Piłsudskiego, czemu publicznie dawał wyraz. Z drugiej strony słowo *Herzpinkeł*, włożone w usta Piłsudskiego pod adresem Paderewskiego, brzmi mało przekonująco, ale mogą się tu mylić. Jest to słowo, którego Piłsudski normalnie nie używał, więc dlaczego użyłby go tym razem? Osoby interesujące się tym okresem odsyłam do znakomitej książki prof. Tytusa Komarnickiego pt. „The Rebirth of the Polish Republic” (Heinemann, 1957), który w pełni potwierdza zgodność poglądów między Piłsudskim a Paderewskim w sprawie naszej polityki wschodniej. W książce tej omówiona została poza tym działalność Paderewskiego zarówno w czasie wojny w Stanach Zjednoczonych, jak i na Konferencji Pokojowej.

Różnice między Piłsudskim a Paderewskim były o wiele silniejsze, niż jakiegokolwiek możliwe podobieństwa. Oba łączyły: głęboki patriotyzm, całkowita bezinteresowność i ofiarność w służbie dla kraju. Ale, zarówno ich charaktery, usposobienia, warunki, w jakich przedtem żyli i drogi, jakimi do upragnionych celów kroczyli, sprawiły, że współpraca między nimi, tak pożądana i jak niezbędna w obliczu zbierającej się właśnie Konferencji Pokojowej, mogła być tylko przejściowa i krótkotrwała. Paderewski władzy w Polsce nie pragnął, chciał tylko służyć, i to do ostatka. Dlatego, mimo że mógł ustąpić wcześniej, np. na tle polityki zagranicznej, utrwał do końca i, jak tym razem słusznie zaznacza Grzymała-Siedlecki, odszedł nie przez „triumfalną bramę”... Sądzę, że Paderewski uważał, że bez niego pomoc amerykańska, której Polska tak bardzo potrzebowała, ulegnie przerwaniu lub zmniejszeniu i że nikt lepiej, niż on, dzięki swej wyjątkowej pozycji międzynarodowej, nie potrafi bronić sprawy polskiej na forum światowym. Toteż, gdy tworzyła się Liga Narodów, Paderewski przyjął stanowisko pierwszego Delegata Polski do tej instytucji i przedstawi-

ciela jej przy Radzie Ambasadorów. Chodziło mu, jak widać, nie o zaszczyty i władzę, lecz o służbę dla Ojczyzny. Aleksandra Piłsudska pisze w swych wspomnieniach, że Piłsudski namawiał miał Paderewskiego do chwilowego wyjazdu zagranicę i wycofania się na ten czas z życia politycznego. Paderewski go jednak nie usłuchał. Przeczyłoby to chyba rzekomej opinii Piłsudskiego o Paderewskim, jako, według Świrskiego, „kryształowej duszy zamkniętej w głowie dziecka”, wiemy natomiast z ogłoszonej po wojnie korespondencji Marszałka, że zdaniem jego, Paderewski miał mieć raczej „słaby charakter”.

Jeżeli prawdą może być, że dla Piłsudskiego i Paderewskiego jednocześnie nie było w Polsce miejsca, to nie winą Piłsudskiego, jak sugeruje Grzymała, było uniemożliwienie Paderewskiemu zostanie Prezydentem Rzeczypospolitej. Odpowiedzialność za to ponoszą te czynniki, które w 1922 r. wysunęły zamiast jego kandydatury na Prezydenta Rzeczypospolitej kandydaturę Maurycego Zamoyskiego, wielkiego patrioty i człowieka o wielkich zasługach, ale jednocześnie największego „obszarnika” w Polsce. Wybór jego z tego choćby tytułu był z góry skazany na niepowodzenie. Jak można przypuszczać, Paderewskiemu zaszkodziły zepsute już wówczas jego stosunki z Dmowskim i tym samym z obozem narodowym, a zapewne również i obciążenie, jakie stanowiła pani Paderewska i różni jej protegowani, o których obszernie pisze Grzymała-Siedlecki, a którzy z powodzeniem udawali „nawróconych grzeszników”. W każdym razie Paderewski uniknął losu prezydenta Wojciechowskiego, do roli zaś, jaką odgrywał jego następca, a którą surowo potępiał, oczywiście się nie nadawał.

Niestety, brak jest źródeł dla należytej oceny stosunków, jakie łączyły Paderewskiego z Dmowskim w okresie jego premierostwa. Wiadomo tylko, że zaczęły się dobrze, a skończyły źle. Osobiście skłonny jestem sądzić, że psuły się one stopniowo, w końcu zaś przerodziły się w jawną animozję. Paderewski, obejmując z rąk Piłsudskiego szefostwo rządu, oświadczył, że „włożył swój dumny kark pod jarzmo władzy”. Oddał wówczas nieocenioną usługę nie tylko Polsce i sprawie polskiej, ale też i osobiście Piłsudskiemu, który do tego stopnia miał dosyć gabinetu Moraczewskiego, że aż myślał o powołaniu na premiera apolitycznego prof. Smoleńskiego (patrz artykuł w tym samym numerze „Zeszytów Historycznych” na ten temat: Tadeusz Święcicki „Jak prof. Władysław Smoleński o mało nie został premierem”). Przy pomocy Paderewskiego uniknął poza tym Piłsudski perspektywy utworzenia rządu koalicyjnego z udziałem Narodowej Demokracji, którego nie chciał, wyrównując, przy tym przynajmniej formalnie, stosunki z Komitetem Narodowym i umożliwiając obronę spraw polskiej na Konferencji Pokojowej przez najlepiej do misji tej przygotowanych i wykwalifikowanych delegatów: Dmowskiego i Paderewskiego.

Nic też dziwnego, że, jak słyszałem od naocznego świadka, Dmowski przyjął wiadomość o powstaniu rządu Paderewskiego jak najgorzej, nie ukrywając bynajmniej swego niezadowolenia, co nie przeszkadza, że jeden z jego towarzyszy partyjnych, prof. St. Grabski, przebywający wówczas w Warszawie, w rozmowie ze mną sobie przypisywał główną zasługę powołania rządu tego do życia.

Paderewski, mimo że według określenia Erazma Piltza był „genialną organizacją duchową”, zaś Anatola Muhlsteina „człowiekiem umiłowanym przez bogów”, nie posiadał, naturalnie, tzw. kwalifikacji na szefa rządu kraju dopiero co powstającego z długotrwałej niewoli, i to w dodatku w tak strasznie trudnych warunkach. Nie znał wskutek stałego pobytu zagranicą ani stosunków we wszystkich trzech zaborach, ani ludzi, z którymi wypadało mu współpracować. Na terenie międzynarodowym czuł się o wiele swobodniej, tam był w swoim żywiole o wiele bardziej niż np. na gruncie beznadziejnie skłóconego Sejmu i intrygujących stronnictw. To, że mimo

tego „handicapu” i licznych nieobecności, wywołanych obroną sprawy polskiej w Paryżu (w kraju zastępował go wtedy minister spraw wewnętrznych, a późniejszy Prezydent, Wojciechowski), mógł w ogóle sprostać zadaniu, jest najlepszym świadectwem jego niepospolitych zdolności i umiejętności improwizacji. Bywały jednak nieuniknione potknięcia, które doprowadziły w końcu gabinet jego do upadku. Gabinet ten jednak wykazać się może szeregiem poważnych osiągnięć, jak uznanie niepodległości Polski i jej rządu przez wielkie mocarstwa, podpisanie traktatu wersalskiego, pierwsze kroki na drodze zespolenia trzech zaborów, uchwalenie zasad przyszłej reformy rolnej i zapewnienie Polsce cennej pomocy amerykańskiej. Co jednak górować będzie zawsze nad wszystkim innym — to doprowadzenie do powstania warunków umożliwiających udział Polski w Konferencji Pokojowej, to „Treuga Dei”, na którą z dużą ujmą dla naszych interesów zdobyliśmy się o tyle później, od Czechów.

Piłsudskiego i Paderewskiego dzieliło, i to od początku, podejście do zagadnienia polsko-niemieckiego. Wczesną wiosną r. 1929 miałem okazję odbycia z Paderewskim dłuższej rozmowy w cztery oczy w Hadze. Wspominając z goryczą o swych stosunkach z Piłsudskim, Paderewski powiedział mi, że gdy zgłosił się do niego po powrocie z Paryża wkrótce po uchwale komisji do spraw polskich przyznającej nam Gdańsk (12 marca 1929 r.), co potem obalone zostało przez Lloyd George'a, Piłsudski rzekł: „Bardzo mi Pan piękne prezenty przywozi, Panie Ignacy, bardzo pięknie, ale kosztowne... Nawiasem mówiąc, to „Panie Ignacy” drażniło Paderewskiego, do którego nikt w tej formie się nie zwracał, ale to, oczywiście, szczegół z zakresu imponderabiliów. Natomiast negatywne ustosunkowanie się Piłsudskiego do sukcesu Paderewskiego w Paryżu zraniło niepotrzebnie jego miłość własną, wykazując poza tym, że Piłsudski żywi wątpliwości co do pożytku płynącego dla Polski ze zbyt dla niej korzystnej granicy z Niemcami. W świetle późniejszej polityki Marszałka, który zawsze daleko patrzył w przyszłość, orientując się przede wszystkim przeciwko Rosji, wypowiedziane słowa brzmią bardziej zrozumiale, ale w ówczesnej koniunkturze wydzźwięk ich był inny, nic też dziwnego, że zmroziły Paderewskiego.

Co zaszło jednak między obu wielkimi Polakami, co doprowadziło do zerwania między nimi nie tylko wszelkiej współpracy, ale i wszystkich stosunków, pozostaje dla mnie tajemnicą. Faktem jest, że w czasie swego urzędowania Paderewski oddalił się bardzo od obozu narodowego, z którym w swoim czasie był dość ściśle związany, a więc tym samym — od politycznych przeciwników Piłsudskiego, zwalczany zaś był namiętnie nie tylko przez luzem chodzących (Nowaczyńskiego w „Liberum Veto” i Niemojewskiego w „Myśli Niepodległej”), ale pod koniec i przez K. Erenberga w „Kurierze Porannym”, uchodzącym, nie bez uzasadnienia, za ówczesną tubę Belwederu...

Po swej dymisji Paderewski, ze swej strony zaangażował się pośrednio przeciwko Piłsudskiemu, finansując pismo „Rzeczpospolita”, redagowane przez prof. St. Strońskiego i gwałtownie atakujące zarówno politykę, jak i osobę Piłsudskiego. Znając dobrze Paderewskiego, mam wątpliwości, czy zawsze solidaryzował się z tak ostrym i nieprzejednanym tonem polemiki uprawianej przez urodzonego polemistę, jakim był Stroński.

Za czasów pomajowych Paderewski, do Polski więcej nie przyjeżdżał, był przez kolejne rządy ignorowany i bojkotowany. Nie zdawano sobie sprawy, jaką nadal miał w świecie pozycję i jakim go darzono wciąż szacunkiem. Był dosłownie wielkim obywatelem świata, a w oczach wielu sumieniem Polski. Nie dopuszczono go do przemawiania na odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Paryżu, chociaż był bodajże największym mówcą polskim, a przy tym przyjacielem rodziny Mickiewiczów, na wy-

stawie Światowego Związku Polaków Zagranicą figurował tylko, jako muzyk i pianista, a już po śmierci Piłsudskiego odezwa jego, nawołująca do utworzenia rządu koalicyjnego z udziałem również i piłsudczyków, uległa konfiskacie.

W r. 1929 pisze swój testament, który kończy się cytowanym przez Grzymałę-Siedleckiego, a za nim i prof. Sukiennickiego przykrym zwrotem pod adresem ówczesnych władców Polski. Zgrzyt ten, skądinąd ubolewania godny, tłumaczy się od lat nagromadzoną goryczą i poczuciem doznanych krzywd. Paderewski zresztą, mimo że wobec cudzoziemców zachowywał podziwu godną rezerwę i powściągliwość w stosunku do spraw polskich oceniał niemniej b. krytycznie politykę rządu polskiego Słowa: „prowadzą Ojczyznę do zguby” brzmią zresztą zarówno złowrogo, jak i poniekąd niestety, proroczo...

Nie jeden tylko Paderewski nie potrafił w Polsce „krzywd cierpliwie znosić” i „uraz chętnie darować”. Jego dwaj wielcy współcześni Piłsudski i Dmowski nie stanowią tu bynajmniej wyjątku. Inwektywy miotane na opozycję, Brześć i Bereza — to najbardziej charakterystyczne momenty bezwzględności w mowie i w działaniu pierwszego, zaś nienawiść, jaką żywił do swych przeciwników, wśród nich w pierwszym rzędzie do Piłsudskiego, była, niestety, udziałem drugiego. Sam byłem mimowolnym świadkiem rozmowy Dmowskiego z żoną jednego z młodszych dyplomatów zagranicznych w obecności posła hiszpańskiego w Warszawie de Aguerri i dyrektora Protokółu Dyplomatycznego, Stefana Przeddzieckiego. Działo się to w Poznaniu w parę zaledwie dni po bitwie pod Warszawą w sierpniu 1920 r. Dmowski znieacka oświadczył, że pragnąłby tej pani uczynić prezent... z głowy „naszego Naczelnika Państwa”. Brnąc dalej, dodał, że powinna ocenić jego odwagę cywilną, skoro podobne słowa wypowiedział w obecności przedstawiciela obcego państwa i wyższego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, na co Stefan Przeddziecki z właściwym mu taktem odpowiedział: „Ponieważ jesteśmy na placu Wolności, więc widocznie wszystko tu uchodzi...”. Dmowski był zresztą specjalnie rozżalony na Piłsudskiego, który, według miarodajnej relacji Izabeli z Lutosławskiej Wolikowskiej, miał parę miesięcy przedtem czekać aż trzy dni na audiencję w Belwederze, by wysłuchać z ust Piłsudskiego wywołu o niepodległości Ukrainy, której, jak wiadomo, był zdecydowanie przeciwny (patrz: Roman Dmowski. Człowiek. Polak. Przyjaciel”. Chicago 1961).

By zamknąć uwagi na temat stosunków między Piłsudskim, a Paderewskim, wypada przypomnieć, że po śmierci Marszałka Paderewski, choć z parodniowym opóźnieniem, wysłał depesze kondolencyjne do pani Piłsudskiej i do prezydenta Mościckiego. W pierwszej z nich nadmieniał, że to właśnie Piłsudski powołał go w swoim czasie do służby państwowej. Jak wielkie opory musiał Paderewski w sobie przełamać, by zdobyć się na wysłanie tych telegramów, może świadczyć relacja ks. Zdzisława Łubomirskiego, który w tym czasie przebywał jednocześnie z Paderewskim na Riwierze. Opowiadał mi on, że udało mu się w końcu Paderewskiego przekonać. Przy okazji pragnę też stwierdzić, znów dzięki księżce pani Lutosławskiej-Wolikowskiej, że po śmierci Dmowskiego Paderewski, mimo złych stosunków, jakie ich łączyły, również złożył kondolencje, i to, jak widać utrzymane w b. pochlebnym tonie.

Sporządzanie różnic między Paderewskim a Dmowskim do osoby pani Paderewskiej jest ze strony Grzymały zbytym uproszczeniem. Mam wrażenie, że przyczyny musiały być głębsze: zarówno polityczne, jak i personalne z okresu urzędowania Paderewskiego. Jak już wspominałem, Dmowskiemu nie była na rękę ugoda Paderewskiego z Piłsudskim. Na zagadnienia polityki wschodniej poglądy ich były odmienne, gdyż, w odróżnieniu od Paderewskiego, Dmowski nie zgadzał się z Piłsudskim i miał w

tej sprawie własny program, który w końcu, choć z pewnymi poprawkami, zatriumfował w traktacie ryskim. Wreszcie, stosunki musiały ulec pogorszeniu w Paryżu, na Konferencji Pokojowej, co do czego nie posiadam bliższych danych, Wiem natomiast z ust samego Paderewskiego, że przestał darzyć Dmowskiego dawną przyjaźnią i zaufaniem.

Czytelnikom „Zeszytów Historycznych” pozwalam sobie przypomnieć mój artykuł pt. „Trzej wieszczowie i trzej politycy” („Wiadomości” nr 810 z 10 XII.61), w którym wypowiedziałem mój pogląd, dlaczego stosunki między Piłsudskim, Paderewskim a Dmowskim nie układały się pomyślnie i dlaczego współpraca między nimi nie mogła być długotrwała. Podobnie jak w wypadku trzech wieszczów każdy z naszych wielkich polityków działał pod przemożnym impulsem innej siły kierowniczej: Piłsudski, jak Słowacki, pod nakazem wyobraźni czy fantazji, Paderewski, jak Mickiewicz, — uczucia, zaś Dmowski, jak Krasiński, — refleksji. Stąd pewne analogie duchowe i umysłowe między poszczególnymi poetami i politykami, stąd też, jak i u wieszczów, antagonizmy, wzajemne niedocenianie się i niemożność znalezienia wspólnego języka. Nie przeszkadza to, że tak jak we Francji Foch, Clémenteau i Poincaré, którzy też się ze sobą nie zawsze zgadzali lub się nie lubili, tak i w Polsce trzej twórcy naszej niepodległości przeszli do potomności i nic ich z panteonu narodowego usuwać nie zdoła.

Na zakończenie parę słów w związku z artykułem Tadeusza Katelbacha pt. „Loże”, który ukazał się w tym samym numerze „Zeszytów”. W artykule tym, w sposób zupełnie dowolny, pisze autor, że „w tym trójosobowym zespole tylko Dmowski nie był osobiście związany z masonerią”. Ponieważ dwoma pozostałymi członkami tego zespołu (delegatów na Konferencję Pokojową) byli Paderewski i Dłuski, wynika, że i Paderewski „był osobiście związany z masonerią”. Nie wiem, co autor ma na myśli, ale tu mogę tylko zacytować słowa, które Paderewski wypowiedział do mnie w tej samej rozmowie w Hadze w 1929 r., o której już wspominałem. Nie pamiętam już, w związku z czym, Paderewski powiedział: „gnój masoński”, co chyba jest dość wymownym dowodem niezwiązania z masonerią. Sienkiewicza także posądzono o masonerię, bo pod koniec swego życia do jego najbliższego otoczenia należeli: Osuchowski i Askenazy, którzy uchodzili za masonów, co też nie jest dowiedzione. Niedawno Aleksander Janta w artykule pt. „Pamięci Paderewskiego” („Wiadomości” z 19 maja rb. nr 20/894) wymienia wśród wydatków figurujących w notessie Paderewskiego pod datą 31 maja 1914 r. pozycję: „księdzu za spowiedź 100 fr.”. Dziwny to mason, który chodzi do spowiedzi.

Zdzisław SZCZERBIŃSKI



Drogi Redaktorze!

Zamieszczona w 3 Zeszycie Historycznym relacja o tym „Jak prof. Smoleński o mało nie został premierem” przyniosła mi — obok miłych bardzo ech — także zastrzeżenia.

Kilku moich przyjaciół zakwestionowało mi w swych listach stanowczo słowo „klecha”, jakie Komendant Piłsudski miał rzucić w odpowiedzi na podsunięte mu przez pana Artura Śliwińskiego nazwisko biskupa Bandurskiego.

Przyznaję otwarcie, że wątpliwości ich podzielałam. Istotnie każdemu

kto pamięta z jak serdeczną atencją odnosił się zawsze Komendant do biskupa polowego legionów, musi wydać się wysoce nieprawdopodobne, aby mógł on użyć w stosunku do księdza Bandurskiego tak lekceważącego i niechętnego określenia. Daleko bardziej prawdopodobną jest rzeczą, że słowa tego użył w tej rozmowie właśnie tak lewicowy i antyklerykalny pisarz, jak pan Artur Śliwiński, a nie Komendant Piłsudski. Ale nie zapominajmy, że pan Artur Śliwiński przytaczał mi tę niestonografowaną przecież przez nikogo rozmowę z roku 1918-go w 20 niemal lat później. Tak mi ją opowiedział i tak ją sobie zapisałem. Obecnie przy podawaniu jej do druku nie chciałem wprowadzać do dawnego tekstu żadnych retuszów, czy uzasadnionych nawet poprawek.

Łączę serdeczny uścisk dłoni.

Tadeusz ŚWIĘCICKI



Toronto, 21.3.1963. r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł M. Borwicza (*Zeszyty Historyczne*) i list Wł. Żeleńskiego (*Kultura*, 3/185) skłaniają mnie do wystąpienia na tym miejscu w obronie czci śp. Boya-Zeleńskiego, takiego jakiego pamiętam z okresu pierwszych miesięcy okupacji sowieckiej we Lwowie (1939-40).

Aż do aresztowania w kwietniu 1940 r. stykałem się z Boyem wielokrotnie, bądź to na uniwersytecie, bądź w moim mieszkaniu przy ul. Pelczyńskich, dokąd Boy chętnie zachodził. Boy nigdy nie ukrywał swojej odrazy do rzeczywistości, jaką na Lwów sprowadziła sowiecka armia i NKWD. Był przerażony prostactwem, niechlujstwem i zakłamaniami z jakim nowy porządek rzeczy był przez okupanta wprowadzany w życie. Do komunizmu w tym okresie nie tylko się nie zbliżył, ale przeciwnie, jakby się w nim załamała wiara w zdolność rasy ludzkiej do postępu. We Lwowie czuł się samotny i opuszczony; marzył o wydostaniu się spod okupacji sowieckiej, przy czym nie ciągnęło go wcale na Zachód, a planował przedostanie się do rodziny do Warszawy. O rodzinie też ciągle wspominał, a pomijał milczeniem moje napomnienia o możliwościach wydostania się przez Węgry do Francji.

Profesura na lwowskim uniwersytecie dawała Boyowi jakie takie warunki przetrwania, dlatego jego polscy przyjaciele namawiali go do jej przyjęcia. Zresztą uniwersytet w tym okresie ciągle jeszcze pozostawał polski, chociaż wzmagał się nacisk na wykładanie w języku ukraińskim, albo rosyjskim. Boy nie miał z tym kłopotu: wykladał po francusku. Podam przy tej okazji ciekawy szczegół: razu pewnego zastałem go w jego mieszkaniu przy Romanowicza przy głośnym czytaniu *Madame Bovary*. Zapytany po co to robi, odpowiedział że obawia się, by w nowych warunkach jego francuszczyzna nie zardzewiała. Ten znakomity znawca języka i przedmiotu nigdy nie był pewny opanowania trudności i nie wstydził się odbywać ćwiczeń jak młody, niezaprawiony lektor.

Unikał ludzi, którzy dla kariery, albo ze strachu, wychwalali nowe stosunki, ale kiedy już dochodziło do wymiany zdań, — nie wahał się piętnować obłudę sowieckich „oswobodzicieli”. Pamiętam kiedy raz jeden z nowoupieczonych profesorów zaczął zachwalać rozdawnictwo mleka dla karmiących matek (widocznie pamiętał boyowską „Kropkę Mleka”). Autor *Naszych Okupantów* gwałtownie zaatakował wywózki tysięcy ludzi w nieopalonych wagonach i ze zgrozą przytaczał wypadki zamazania niemowląt, których matkom władza sowiecka rzekomo zabezpieczyła bezplatne dokarmianie.

Ostatni kontakt z Boyem utrzymywała moja żona już po moim aresztowaniu i jej wywiezieniu. Boy próbował interweniować i przez uniwersytet i w drodze pisemnej do naczelnego prokuratora. Oczywiście bez skutku. Każde takie wstawiennictwo było w ówczesnych warunkach niebezpieczne. Boy jednak mówił, że nie wiele ma już do stracenia.

Łączę wyrazy szacunku i osobiste pozdrowienia.

Wiktor TUREK

S P I S T R E Ś C I

Jerzy Mond:

- O NIEZNANEJ DYSKUSJI GOMUŁKI Z DZIENNI-
KARZAMI 7

RELACJE I WSPOMNIENIA (Okres Niepodległości)

Wacław Chocianowicz:

- SEJM WILEŃSKI W 1922 ROKU 25

W.A. Zbyszewski:

- NIEZNANE „TESTIMONIUM” O PIŁSUDSKIM .. 45

Stanisław Fischlowitz:

- KIEDY WOJNA ROZPOCZĘŁA SIĘ NAPRAWDĘ 52

RELACJE I WSPOMNIENIA (Okres wojny i późniejszy)

Feliks Frankowski:

- KRYZYSOWY OKRES W STOSUNKACH POLSKO-
FRANCUSKICH 61

Kazimierz Bagiński:

- „PROCES SZESNASTU” W MOSKWIE 74

Wanda Ładniewska-Blankenheimowa:

- Z DWÓCH OSTATNICH LAT BOYA 123

HISTORIOGRAFIA SOWIECKA

L. Nikulin:

- POCHÓD ZA WISŁĘ 145

M A S O N E R I A W P O L S C E

<i>Tadeusz Święcicki:</i> „444” CZYLI „CZYSTA RĘKA”	167
<i>Tadeusz Święcicki:</i> LIST DO REDAKCJI „ZESZYTÓW”	173
<i>Marian Kukiel:</i> LIST DO REDAKCJI „ZESZYTÓW”	175

P O L E M I K I

<i>Tadeusz Wasilewski:</i> W SPRAWIE APOLOGETYKI A. LEDNICKIEGO ..	177
<i>K. Florek:</i> NA MARGINESIE „HISTORII” GEN. KUKIELA ..	183

P R Z E G L Ą D W Y D A W N I C T W

<i>Paweł Zaremba:</i> NAJNOWSZY TOM „NIEPODLEGŁOŚCI”	204
<i>Zygmunt Markiewicz:</i> LUDZIE STAREJ UKRAINY	208

N O W O Ś C I H I S T O R Y C Z N E

<i>jmb:</i> BIBLIOGRAFIA WĘGIERSKA	210
---------------------------------------------	-----

L I S T Y D O R E D A K C J I „ Z E S Z Y T Ó W ”

Wacław Jędrzejewicz	221
Franciszek Kalinowski	222
Tadeusz Nowacki	225
Zdzisław Szczerbiński	229
Tadeusz Święcicki	235
Wiktor Turek	236

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 20 AOUT 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1963

**KSIĄZKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

Józef Mackiewicz: **Kontra** (7 F)

Paweł Zaremba: **Historia Stanów Zjednoczonych**
(18 F.)

Tadeusz Katelbach: **Rok złych wróżb** (8 F)

Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz** (7 F)

Paweł Zaremba: **Historia Polski, Tom I** (20 F)

Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi** (Wydanie drugie)
(15 F)

Bernard Singer: **Od Witosa do Sławka** (18 F)

Milovan Đilas: **Rozmowy ze Stalinem** (9 F)